

ASSASSIN'S CREED

ORIGINS

PUSTYNNNA PRZYSIĘGA



OLIVER BOWDEN



Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

CZĘŚĆ I

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

CZĘŚĆ II

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

40

41

42

43

44

45

46

47

CZĘŚĆ III

48

49

50

51

52

53

54

55

56

57

58

59

60

61

62

63

64

65

66

67

68

69

Epilog

Podziękowania

Assassin's Creed®
O R I G I N S
Pustynna przysięga

OLIVER BOWDEN

PRZEKŁAD
MICHAŁ JÓŹWIAK



Tytuł oryginału
Assassin's Creed® Origins. Desert Oath

First published in 2017

Penguin Books is part of the Penguin Random House group of companies whose addresses can be found at global.penguinrandomhouse.com

Copyright © 2017 Ubisoft Entertainment. All Rights Reserved.

Assassin's Creed, Ubisoft and the Ubisoft logo are registered or unregistered trademarks of Ubisoft Entertainment in the U.S. and/or other countries.

The moral right of the author has been asserted.

Przekład

Michał Józwiak

Redakcja i korekta

Dominika Rychel, Marcin Piątek

Skład

Tomasz Brzozowski

Copyright © for this edition Insignis Media, Kraków 2017

Wszelkie prawa zastrzeżone.

ISBN pełnej wersji 978-83-65743-91-6



Insignis Media

ul. Lubicz 17D/21-22, 31-503 Kraków

tel. +48 (12) 636 01 90

biuro@insignis.pl, www.insignis.pl

facebook.com/Wydawnictwo.Insignis

[@insignis_media](https://twitter.com/insignis_media)

[@insignis_media](https://instagram.com/insignis_media)

Snapchat: [insignis_media](#)

CZĘŚĆ I

1

Pustynnego krajobrazu nie zakłócało nic poza chatką łowczego, która wyrastała z horyzontu niczym spróchniały ząb. *Nada się*, uznał Emsaf. Podjechał do schronienia, uwiązał konia w jego cieniu, po czym wszedł do chłodnego wnętrza, wdzięczny za grube gliniane ściany, chroniące przed najgorszym nawet upałem.

W środku zdjął nakrycie głowy i rozejrzał się. Miejsce nie było urządzone, pachniało stęchlizną. Z pewnością nie chciałby w nim siedzieć zbyt długo, ale doskonale nadawało się do tego, co planował.

A planował zabójstwo.

Odłożył na ziemię swój łuk i jedną strzałę wyciągniętą z kołczanu, a następnie poświęcił uwagę okienku, z którego rozciągał się widok na pokrytą piaskiem równinę. Mrużąc oczy, wyjrzał przez nie pod różnymi kątami, najpierw na stojąco, potem klęcząc na jednym kolanie. Na koniec sięgnął po łuk, nałożył strzałę na cięciwę i próbnie złożył się do strzału.

Zadowolony ze swoich przygotowań, odłożył broń na ziemię. Zjadł resztę melona, którego nabył na rynku w Ipu, i usiadł wygodnie. Pozostało mu czekać, aż jego cel się pojawi.

Brak zajęcia sprawił, że Emsaf wrócił myślami do rodziny, którą – powodowany listem przysłanym do niego z Džerti – zostawił w Hebenu. Treść listu zaniepokoiła Emsafa tak bardzo, że z miejsca zaczął się pakować.

Swojej żonie i synowi powiedział tylko tyle, że ma zadanie do wykonania: „Takie, które nie może czekać. Wrócę najszybciej, jak będę w stanie. Obiecuję”.

Wyjaśnił Merti, że nie będzie go kilka tygodni, może nawet miesięcy, i że w międzyczasie będzie musiała sama obsadzić i udeptać ich pola. Ebemu, który miał ledwie siedem lat, zlecił opiekę nad gęsiami i kaczkami, a następnie wymógł na nim obietnicę, że pomoże matce przy bydle i świniach. Nie wątpił, że syn zrobi to, o co go prosił, bo był chłopcem o dobrym sercu, oddanym rodzicom i sumiennie wykonującym swoje obowiązki.

Merti i Ebe żegnali się z Emsafem ze łzami w oczach, on sam też z ciężkim sercem dosiadał konia, z ledwością zachowując niewzruszoną postawę.

– Oczekuję, że zaopiekujesz się matką, synu – nakazał Ebemu, udając, że strzepuje pyłek z powieki.

– Oczywiście, tato – odpowiedział Ebe. Jego dolna warga drżała.

Emsaf i Merti wymienili krzywe uśmiechy. Wiedzieli, że ten dzień może nadejść, ale i tak nie potrafili się z tym pogodzić.

– Pomódlcie się za mnie. Poproście bogów, żeby mieli mnie w opiece, aż wrócę – poprosił Emsaf, po czym obrócił konia i ruszył w kierunku południowo-zachodnim, tylko raz oglądając się za siebie. Żona i syn patrzyli, jak odjeżdża. Przepęłniał go ból, jakby otrzymał cios nożem w serce.

Obliczył, że droga z północnej części Hebenu do celu zajmie mu dwanaście dni. Zabrał tylko najbardziej potrzebne rzeczy i podróżował nocą, wyznaczając kierunek na podstawie księżyca i gwiazd. Za dnia pozwalał koniowi odpoczywać, a sam spał, kryjąc się przed podstępny, palącym słońcem w cieniu terpentynowców albo w napotkanych szopach.

Pewnego wieczora wstał jeszcze przed zachodem słońca i wprawnym okiem przyjrzał się horyzontowi. Jego uwagę przyciągnęła ledwie zauważalna nieprawidłowość w rozedrganym gorącym powietrzu, którego fale przykrywały horyzont niczym warstwy mułu. Zanotował to w pamięci i postanowił następnego dnia upewnić się, że nie ma powodu do niepokoju.

Zadbał, żeby wstać ponownie o tej samej godzinie, i potwierdził, że niestety, w pasie światła rozciągającym się w poprzek horyzontu, w tym samym miejscu, co poprzednio, widać ciemną kropkę. Niewątpliwie był śledzony. Co gorsza, przez kogoś, kto znał się na rzeczy i podążał za swoim celem w stałej odległości.

Musiał potwierdzić swoją teorię, chociaż w ten sposób mógł zdradzić osobie, która go ścigała, że ją zauważył. Zwolnił tempo. Plamka wśród fal gorąca na horyzoncie pozostała tej samej wielkości. Następnego dnia podróżował w palącym słońcu, a wieczorem dostrzegł, że jego cień najwyraźniej zrobił to samo. Innej nocy puścił się galopem, wyciskając z konia wszystko, na co mógł sobie pozwolić. Ktokolwiek go tropił, poszedł w jego ślady.

Emsaf znalazł się w sytuacji bez wyjścia. Musiał na pewien czas porzucić misję i rozprawić się z ogonem. Zadawał sobie pytanie, w którym momencie śledząca go postać wpadła na jego trop. Emsaf był doświadczonym zwiadowcą i zachowywał wszelkie środki ostrożności.

Dobrze, stwierdził. Przemyślmy to. Dostrzegł swój cień piątego dnia podróży, co go cieszyło, bo oznaczało, że póki będzie się trzymał z dala od domu, Merti i Ebemu nic nie grozi. Teraz potrzebował sposobu, by nakłonić osobę, która za nim podążała, do ujawnienia się.

Niedaleko Ipu Emsaf natrafił na osadę. Kupcy rozstawili w niej stragany, z których sprzedawali licznym podróżnym oliwy, tkaniny oraz soczewicę i fasolę w wysokich słojach. Emsafowi udało się znaleźć mężczyznę, który zmierzał w stronę Teb, i zapłacił mu za dostarczenie wiadomości, zapewniając, że adresat dodatkowo go wynagrodzi. Nabył też prowiant, ale nie chciał zostawać wśród ludzi dłużej niż to konieczne. Na widok mijających go rolników i wołów przypominał sobie o Merti i Ebem i poczuł ukłucie tęsknoty za domem. Niedługo później przeprowił się przez Nil na

Pustynię Zachodnią i zaczął planować kolejne posunięcie. Miał nadzieję podpuścić swojego prześladowcę.

Dwie noce później, przemierzając pustynną równinę, napotkał chatkę łowczego. Doszedł do wniosku, że to idealne miejsce na zasadzkę.

Tak jak przewidział, po pewnym czasie jego cel pojawił się w zasięgu wzroku – samotny jeździec, coraz wyraźniej odcinający się na tle rozmytego horyzontu. Emsaf podziękował bogom za słońce za plecami, nałożył strzałę na cięciwę i skierował ją w stronę postaci na koniu. Zwrócił uwagę na znajomą już mu pelerynę i na umaszczenie konia.

Naszedł czas.

Emsaf wziął głęboki oddech, nie spuszczać celu z oka. Naciągnął łuk i trzymał go w tej pozycji przez dłuższą chwilę. Za długą – odniósł wrażenie. Musi wypuścić strzałę, zanim jego mięśnie zaczną drżeć z wysiłku i pojawi się niebezpieczeństwo, że nie trafi. Musi to skończyć tu i teraz.

Rozwarł palce prawej dłoni.

Strzała dosięgnęła celu. Jeździec, którego wciąż dzielił od Emsafa spory dystans, zwałił się z wierzchowca, wzbijając w powietrze chmurę piachu i pyłu. Emsaf nałożył kolejną strzałę i ponownie naciągnął łuk, na wypadek, gdyby spoczywający na ziemi człowiek dał oznaki życia.

Nie dał.

2

Dwa tygodnie wcześniej

Bion obudził się o świcie, akurat w chwili, gdy wschodzące słońce wlewające się do wnętrza przez okiennice wypełniło mu oczy białym ogniem. Wiedział, że niedługo zrobi się ciepło, ale ubierając się, zwrócił uwagę na orzeźwiający chłód, który rozgościł się w ciszy jego domu. Ściągnął z łóżka chustę i owinął się nią.

Przeszedł do drugiego pokoju, gdzie przygotował sobie posiłek z resztek chleba i owoców. Jadł powoli, w głębokim skupieniu, porządkując myśli przed zadaniem, które go czekało. Minęło wiele czasu od ostatniego razu, ale czuł się gotów duchem i ciałem. Klingi jego broni były ostre.

Kiedy skończył jeść, dokonał ostatnich przygotowań, sprawdzając kilka szczegółów na mapach. W lustrze z brązu, którym pomagał sobie, nakładając na powieki kohl zapobiegający oślepieniu przez słońce, widział sieć blizn pokrywających jego skroń i policzek.

Zastanawiał się, czy Iset, Horus i Anubis będą mu sprzyjali.

Czas pokaże.

Potrzebował trzech dni i trzech nocy, by dotrzeć pod gospodarstwo w Hebenu. Składało się ze stojącego na piasku szeregu budynków z zagrodami dla bydła. Dostrzegł sznur obwieszony śnieżnobiałym praniem. Wykorzystując ukształtowanie terenu, podjechał niepostrzeżenie pod skupisko drzew palmowych i uwiązał swojego wierzchowca w ich cieniu.

Następnie wydobył z juków bukłak i przyjrzał się pozycji słońca na niebie. Poruszając się w taki sposób, by mieć je cały czas za plecami, znalazł odpowiednie wgłębienie w piasku pustyni, w którym okopał się, nakrył chustą i cierpliwie czekał.

Ruch przy domu. Jakaś postać – kobieta – zmierzała ku studni z kołem wodnym, trzymając duży dzban na wodę. Oczy Biona zwęziły się na widok sposobu, w jaki szła. Wszystkie jej ruchy były oszczędne, opanowane. Przyglądał się, jak napełnia naczynie, odstawia je na skraj murku okalającego studnię i stoi przez pewien czas z dłońmi opartymi o biodra. Chwilę później przyłożyła dłonie do ust i wykrzyczała imię, które lekki wiatr poniosł w jego stronę:

– Ebe!

Jego cel miał na imię Emsaf i albo przebywał akurat gdzieś indziej – może w mieście, albo na polu, którego nie było stąd widać – albo wyjechał. Z głównego budynku za to wyłonił się chłopiec. Z pewnością właśnie Ebe. Bion przyglądał się, jak malec pomaga kobiecie zdjąć jeszcze jeden dzban z krawędzi studni, a potem wspólnie z nią zanoszą oba naczynia pod dom, gdzie przy pomocy mniejszych dzbanów przelewają wodę do koryt. Kozy pochylały głowy i zaczęły pić. Mężczyzna przyglądający się im z zagłębienia w piachu poszedł za ich przykładem.

Nie ruszał się z miejsca, aż nabrał pewności, że Emsafa nie ma, a w domu zostali tylko ta kobieta i chłopiec. W końcu podniósł się z brzucha do przysiadu, zerwał się biegiem w stronę domu i chwilę później dopadł glinianej ściany, ciężko dysząc. Przez tylne okno dobiegały odgłosy matki i dziecka spożywających wspólny posiłek. Wyłapał słowo „ojciec”. Odpowiedź kobiety zawierała zapewnienie, że „niedługo wróci”.

Bion zamknął oczy, żeby przemyśleć sytuację. To była niedogodność – niewielka, ale zawsze. Czyżby ktoś ostrzegł Emsafa?

Nie. Na pewno nie przed nim. Gdyby tak było, Emsaf zostałaby bronić rodziny. Ale musiał dostać jakąś wiadomość. Popędził ostrzec innych albo może otrzymał jakieś zadanie? Uznał, że dowie się, kiedy go dopadnie, a na razie postanowił się tym nie przejmować.

Teraz liczył się czas. Czas był wszystkim. Czas był jego wrogiem.

Zsunął sandały. Gorący piasek parzył go w stopy, kiedy skradał się dookoła domu, ale nie przejmował się tym i przemykając nisko pod parapetami okien, dotarł pod wejście. Zajął pozycję przy drzwiach. Przylegając plecami płasko do ściany, wyteżył słuch, żeby określić położenie chłopca względem matki. Wyciągnął zza pasa nóż i nasunął na nadgarstek skórzaną pętlę, która zwisała z rękojeści.

Czekał.

Odliczał kroki.

Teraz.

Odepchnął moskitierę, wparował zwinnie do środka, chwycił kobietę od tyłu i przystawił jej nóż do szyi. Wszystko trwało zaledwie kilka sekund.

Ebe, który znajdował się po drugiej stronie pokoju, usłyszał hałas, odwrócił się i zobaczył mężczyznę o twarzy pokrytej bliznami trzymającego nóż przy szyi matki. Chłopiec miał rozczochrane włosy, a w jego szeroko rozwartych oczach odmalowywało się zaskoczenie i strach. W jednej dłoni trzymał talerz, na którym leżał nóż. Omiótł pokój panicznym wzrokiem.

– Nikomu nie musi stać się krzywda – oznajmił zabójca. Kłamstwo. Oddech kobiety przyspieszył. – Synek, odłóż ten talerz i połóż się na brzuchu.

– Nie słuchaj go, Ebe – nakazała kobieta. Głos jej drżał, ale zabrzmiał stanowczo.

– To nie są żarty – przestrzegł Bion i na potwierdzenie docisnął ostrze noża do skóry matki. Krew z rany pociekła mu na nadgarstek.

– Odłóż talerz – powtórzył.

– Przypomnij sobie, co mówił tata – wydusiła kobieta. – Uciekaj, Ebe. Przez okno. On cię nie dogoni. Na pewno ma konia. Porwij go i zmykaj. – Uniosła dłonie, żeby chwycić się ramienia zabójcy i odzyskać równowagę.

Bion pokręcił głową.

– Zrób choć jeden krok, to poderżnę jej gardło. A teraz kładź się, tak jak kazałem.

Następnych kilka zdarzeń odbyło się bardzo szybko. Ledwie zauważalny ruch nadgarstka Ebego, talerz roztrzaskujący się o podłogę, ostrze, które jak za sprawą magii pojawiło się nagle pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym drugiej dłoni chłopca. Kolejne trzepnięcie dłonią posłało wirujący nóż w stronę Biona w tej samej sekundzie, w której kobieta wywinęła się i wbiła zęby w rękę, którą ją przytrzymał.

Chłopak rzucił dobrze, ale Bion zdążył się odchylić i nóż tylko minimalnie drasnął go w ramię. Matka zdzieliła go łokciem w żebra, raz, drugi. Solidne uderzenia. Wiedziała, co robi, najwyraźniej też trenowała. Przez to jednak nie miał wyboru, musiał się rozprawić z tą dwójką. Błyskawicznie podjął decyzję i podciął kobiecie gardło, kiedy składała się do trzeciego uderzenia, po czym, kontynuując ruch, cisnął sztylet w stronę chłopaka, który ruszył biegiem w jego stronę, ewidentnie planując pomóc matce.

Chłopak był blisko. Bion wycelował dobrze. Ebe chwycił się za szyję w miejscu, w którym utkwiał nóż. Bluzgając krwią z rany, osunął się na kolana, a po chwili padł na bok. Matka i syn wyzionęli ducha na kamiennej podłodze w tak niewielkiej odległości od siebie.

Bion nieco zmarszczył brwi i westchnął. Oni już nie mogli.

Niedługo później trafił na trop Emsafa i kierując się nim, podążył w stronę Ipu.

Nie ulegało wątpliwości, że jego cel jest dobrze przeszkolony. Kiedy napotykał karawany albo kupców zdążających w tym kierunku co on, poruszał się ich szlakiem, a na odcinkach, na których jako jedyny zostawiałby ślady na drodze, odbijał na pustkowiu. Zbyt długo jednak zajęło mu potwierdzenie podejrzenia, że jest śledzony, co pozwoliło Bionowi przewidzieć jego plan.

Kiedy dostrzegł w oddali chatkę łowczego, ale żadnego śladu Emsafa, wiedział, że ma do czynienia z pułapką. Sam zastawiłby podobną. Los jego celu był więc niemal przesądzony.

W pewnej odległości od rzeki, niedaleko pól, Bion napotkał podróżnego jadącego na osie objuczonym glinianymi naczyniami. Rozejrzał się, ale poza ledwie rozpoznawalnymi sylwetkami w oddali – pewnie robotnikami pracującymi w polu – nie widział nikogo. W każdym razie nikogo, kto mógłby dostrzec, co się za chwilę stanie.

– Witam, panie! – zawołał wesoło podróżny w stronę Biona. Zabójca zszedł z konia i ruszył w jego stronę, ukrywając pod chustą dłoń, w której trzymał nóż. Mężczyzna uniósł dłoń, żeby osłonić oczy. – I cóż mógłbym dla cie... – serdeczne powitanie, które zaczął wygłaszać, urwało się w pół słowa.

Bion powiódł osła, rozdrażnionego zapachem krwi martwego właściciela wciąż usadowionego na jego grzbiecie, ku swojej kryjówce. W cieniu, z dala od wścibskich oczu, przeniósł zwłoki na swojego konia i zabezpieczył je liną, wiążąc kilka sprytnych węzłów w taki sposób, by w odpowiednich warunkach po zeszywnieniu ciała zluzowały się i pozwoliły plecom podnieść się do pozycji pionowej. Na koniec zarzucił na trupa swoją chustę i odsunął się o kilka kroków, by nasycić się swoim dziełem.

Posłał konia i martwego jeźdźca w stronę zasadzki, a sam ruszył pieszo, zataczając szeroki łuk dookoła chatki łowczego. Przyglądał się z oddali, jak zwłoki osuwają się z wierzchowca, ugodzone w szyję strzałą wystrzeloną

przez Emsafa.

Zasadzka unieszkodliwiona.

Po chwili Emsaf wychynął z kryjówki. Bion, który tymczasem przedostał się na tył chaty, na to właśnie czekał. Zaatakował nożem i przeciął rdzeń kręgowy Emsafa na wysokości nasady karku. Wiedząc, że pozostawił ofierze wyłącznie możliwość przyglądania się i mówienia, nachylił się, żeby zadać pytanie.

– Gdzie znajdę ostatniego przedstawiciela twojej krwi?

Emsaf wpatrywał się w niego świadomymi, pełnymi smutku oczami, a Bion po raz kolejny odczuł irytację, bo zrozumiał, że nic nie wskóra. Cała ta rodzina była ulepiona z jednej gliny. Wsunął sztylet w oko Emsafa, po czym wytarł ostrze do czysta o ubranie ofiary. Czekał, aż wzbierze w nim chęć, by ruszyć w dalszą drogę, przez chwilę przyglądał się sępom, które zaczęły się gromadzić wokół zwłok podróżnika spoczywających na płaskim piachu. Niedługo wywąchają i Emsafa. Śmierć i odrodzenie. Nieprzerwany cykl.

W bagażu Emsafa Bion znalazł medalion, który przełożył do swojej sakwy.

Misja wykonana. W każdym razie jedna jej część.

Bion przeciągnął się i wziął głęboki oddech. Musiał dokładnie wyczyścić broń, wyspać się i zgłosić się do przełożonych. Ci przekażą mu dalsze rozkazy, kolejny cel do wyeliminowania, i gra rozpocznie się na nowo.

3

W dniu, który postawił nasze życie na głowie, siedzieliśmy w naszym ulubionym miejscu, plecami do ciepłych kamieni zewnętrznej strony muru okalającego warownię Siwy. Dostrzegłem samotnego jeźdźca na horyzoncie, ale szczerze mówiąc, nie poświęciłem mu większej uwagi. Nie wydawał się niczym więcej niż plamką w oddali, całkiem zwyczajnym widokiem, jak woda pluskająca o nabrzeże oazy rozpościerającej się u naszych stóp czy ludzie krzątający się wśród zieleni plantacji.

Poza tym towarzyszyła mi Aya, która zgodnie ze swoim zwyczajem opowiadała o Aleksandrii i o tym, jak bardzo chciała kiedyś do niej wrócić. Słuchając jej, przyglądałem się, jak jeździec dociera do granicy oazy i kieruje się w głąb wioski.

– Powinieneś ją kiedyś zobaczyć, Bayeku – tłumaczyła mi, a ja starałem się wyobrazić sobie to wielkie miasto. – Aleksandria jest centrum świata, na jej ulicach ludzie rozmawiają w każdym możliwym języku, Grecy i Egipcjanie chodzą ramię w ramię, a Żydzi nawet mają własne świątynie. Mędracy z całego świata zjeżdżają się czerpać wiedzę z wielkiego Muzeum i Biblioteki. Myślisz, że kiedyś uda ci się tam pojechać?

Wzruszyłem ramionami.

– Może. Ale moje przeznaczenie jest tu.

Nastąpiła chwila ciszy.

– Wiem – odpowiedziała Aya smutno.

– Wiesz, co jeszcze zrobił Aleksander? – zacząłem w nadziei, że uda mi się rozładować atmosferę. – Mam na myśli poza założeniem swojego

wspaniałego miasta. Przyjechał tutaj, do Siwy. Z wizytą do Wyrocni w świątyni Amona.

W Siwie mieliśmy dwie świątynie. Jedna stała opuszczona, za to druga – Świątynia Amona – tworzyła coś w rodzaju samodzielnego miasteczka.

– A jak tu dotarł? – spytała Aya.

– Cóż – zacząłem wyjaśniać – moja ulubiona wersja tej historii brzmi tak, że Aleksander wraz z kompanami zgubił się na pustyni i kiedy był o krok od śmierci z pragnienia, ukazały mu się dwie żmije, które poprowadziły go do Siwy.

Aya zachichotała.

– Albo po prostu odbył pielgrzymkę do Wyrocni.

– Wolę moją wersję.

– Wieczny uczuciowiec. I cóż Aleksander tu robił?

– Odwiedził Wyrocnię. Nikt właściwie nie wie, co od niej usłyszał, ale wyszedł z widzenia przekonany, że jest synem Amona, obwołał się faraonem w Memfis, a następnie podbił wiele krain.

– Sądzisz, że wszystko to było skutkiem słów naszej Wyrocni?

– Lubię myśleć, że tak – odparłem. – Ale przede wszystkim chodzi mi o to, że Wyrocnia w Siwie jest uważana za nieomylną, nasza Świątynia Amona jest słynna na cały kraj...

– I...?

– I potrzebuje ochrony.

Aya spuściła głowę. Na jej twarzy, przesłoniętej przez czarne warkocze, pojawił się szeroki uśmiech.

– Ach, czyli wracamy do kwestii twojego przeznaczenia. Powiedz mi, Bayeku, jesteś absolutnie pewien, że chcesz iść w ślady ojca? Tak naprawdę? Czujesz to w głębi ducha?

Dobre pytanie.

– Oczywiście – odparłem.

Siedzieliśmy chwilę, nie mówiąc nic, aż Aya przerwała ciszę:

– Szkoda, że nie jestem taka jak ty. Bardziej... usatysfakcjonowana życiem.

– A to nie tak, że wolałabyś, żeby było odwrotnie? – spytałem próbnie. – Żebym był bardziej podobny do ciebie?

Pytanie zawisło w powietrzu i przez dłuższą chwilę znów siedzieliśmy w milczeniu. Z zamyślenia wyrwał nas krzyk przyjaciela, Hepzefy, który biegł w naszą stronę.

– Bayek! Bayek! – wołał. – Przybył posłaniec z Sauti.

– I co w związku z tym? – spytała Aya, prostując się.

Było oczywiste, że nasze plany na popołudnie ulegną zmianie.

– On przyjechał po Sabu – odparł zdyszczanym głosem Hepzefa.

– Co? – usłyszałem własny głos.

– Sabu szykuje się do podróży. Twój ojciec opuszcza Siwę.

Popędziliśmy ścieżką prowadzącą od muru w dół ku wiosce i chwilę później byliśmy już wśród zabudowań, z których wystawały ciekawskie głowy. Ich właściciele osłaniali oczy przed słońcem i spoglądali w górę alei.

W stronę mojego domu.

Kiedy wkroczyliśmy na ulicę, dostrzegła mnie jakaś kobieta, która wyszeptała coś do swojego towarzysza. Ten też spojrział w moją stronę i szybko odwrócił wzrok. Minęła nas grupka dzieci pędzących pod górę, żeby dowiedzieć się, o co ten hałas, i kiedy już miałem ruszać, by do nich dołączyć, dostrzegłem mężczyznę na koniu jadącego pod prąd. Zdałem sobie sprawę, że jeździec, którego widziałem na skraju oazy, musiał być właśnie posłańcem z Sauti. Mężczyzna był zajęty upychaniem czegoś, co wyglądało na sakiewkę pełną monet, do większej skórzanej torby przełożonej przez pierś, więc kiedy wyrwałem się z tłumu i chwyciłem wodze jego

wierzchowca, z zaskoczenia prawie spadł. Zaklął i podrapał się po brodzie.

– Nie tykaj mojego konia – ostrzegł i wbił we mnie wzrok. Jego oczy miały ciemnobłękitny kolor.

– Przywiozłeś, panie, wiadomość dla mojego ojca, stróża tej miejscowości. Jaka była jej treść?

– Jeśli to rzeczywiście twój ojciec, z pewnością ci powie.

Pokręciłem głową i poczułem, jak narasta we mnie frustracja. Spróbowałem inaczej:

– To proszę mi zdradzić coś innego. Kto ją wysłał?

Posłaniec nieco obrócił konia, żeby się ode mnie uwolnić.

– O to też będziesz musiał zapytać ojca – odparł i odjechał.

Mieszkańcy wciąż ciągnęli w stronę mojego domu. Daleko z przodu usłyszałem, jak ktoś woła Rabię, co mnie nie zdziwiło: była powierniczką mojego ojca, z którym często zaszywała się z dala od podsłuchujących uszu i omawiała szeptem różne sprawy. Na zebraniach wioskowej starszyny Rabia i Sabu mówili jednym głosem.

– Chodźcie – popędził ich Hepzefa i ruszył pod górkę.

Aya poszła za nim, ja jednak zostałem z tyłu, świadom, że moje życie ulegnie wielkiej zmianie. Chciałem odsunąć tę chwilę w czasie.

Aya odwróciła się i dostrzegła mój stan. Powiedziała Hepzefie, żeby szedł bez niej, a sama zawróciła. Przemierzając kilka kroków, które dzieliło ją ode mnie, miała za plecami resztki popołudniowego słońca, przez które sprawiała wrażenie, jakby jaśniała.

– Bayeku – powiedziała łagodnym głosem, opierając dłonie na moich ramionach i spoglądając mi prosto w oczy. – Co się dzieje?

– To... – próbowałem odpowiedzieć. – Nie wiem.

Pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Cóż, nigdy się nie dowiesz, jeśli nie pójdziesz sprawdzić, w czym

rzecz. Chodź.

Pochyliła się w moją stronę i musnęła moje usta swoimi.

– Bądź dzielny – wyszeptała i wzięła mnie za rękę, chcąc zarazem dodać mi otuchy, jak i poprowadzić mnie w stronę domu, do którego opuszczenia szykował się mój ojciec.

4

Następnego ranka przebudziłem się w melancholijnym nastroju, którego opary spowijały mój pokój. Nie wstając z łóżka, półświadomie usiłowałem rozeznaczyć się w tej szczególnej chwili, w której rzeczywistość i świat snu są nierozzerwalnie splątane. Zastanawiałem się, co się nie zgadza, dlaczego czuję się, jakbym trafił do obcego, dziwnego świata. Aż wreszcie...

Przypomniałem sobie.

Wszystko do mnie wróciło.

Przypomniałem sobie matkę stojącą w dogasającym świetle dnia. Jej ręce skrzyżowane na piersi, usta ściśnięte do białości i gorejący wzrok. Na ulicy przed naszym domem stał uwiązany koń ojca, już objuczony, i ten widok podziałał na mnie jak cios w brzuch, pozbawił mnie złudzeń, uświadomił, że to wszystko dzieje się naprawdę.

Skierowałem wzrok na Ayę, która odwzajemniła moje spojrzenie. W jej oczach tlił się niepokój. Mój ojciec wyłonił się zza drzwi i stanął jak wryty, widząc tłum na ulicy, ale zaraz potrząsnął głową i kontynuował przygotowania.

– Ahmose... – odezwał się prosząco do mojej matki, ale jeśli oczekiwał zrozumienia, to się przeliczył.

Zjawiała się Rabia, z którą zamienił szeptem kilka słów – dla niej niesatysfakcjonujących, sądząc po wyrazie jej twarzy. Ewidentnie była tego samego zdania co moja matka. Potrząsała głową, usiłując wytłumaczyć coś ojcu, ten jednak w ogóle jej nie słuchał, nie chciał też zaprosić jej do domu, żeby porozmawiać na osobności. Upierał się, że musi wyruszyć natychmiast.

Kilka chwil później był gotów. Pocałował moją matkę, po czym wziął mnie w potężny uścisk i łupnął kilka razy w plecy na pożegnanie tak mocno, że zupełnie odebrało mi dech.

Dosiadł konia. Tłum przycichł.

– Sabu, złożyłeś przysięgę – przypomniała mu Rabia. Jednak jej głos i postawa wyrażały spokój sugerujący, że pogodziła się z biegiem zdarzeń.

– Złożyłem wiele przysięg – odparł mój ojciec.

– Kto będzie teraz chronił Siwy? – dobiegł głos z tłumu.

– Kiedy stąd zniknę, ochrona będzie wam dużo mniej potrzebna! – zawołał ojciec w odpowiedzi, a następnie spiął konia i przeciskając się przez tłum w stronę oazy, rozpoczął swoją podróż.

Pamiętam stukot końskich kopyt, oddalający się, kiedy ojciec podążył wzdłuż szpaleru gapiów ścieżką prowadzącą w stronę plantacji. Niektórzy mieszkańcy, przyglądając się jego odjazdowi, starali się rozszyfrować sens jego ostatnich słów. Ja zaś z chwilą, gdy sylwetka ojca stała się kropką na horyzoncie, podjąłem starania, by zrozumieć targające mną uczucia. Wtedy jednak jeszcze nie potrafiłem.

Teraz, kiedy uniosłem głowę z podgłówek i rozejrzałem się zdezorientowany po moim pokoju, jakbym znalazł się w zupełnie obcym miejscu, zdałem sobie sprawę, że wciąż tych uczuć zrozumieć nie potrafię.

Matka była już na nogach. Zniosła dzban wody na tyły domu, gdzie wzdłuż ściany rosły młode drzewa figowe, których górne gałęzie tworzyły koronę przepuszczającą promienie porannego słońca, tworzące urokliwe plamy na niewielkim podwórzu. Siedziała, obejmując nogi. Lniana suknia opinała jej kolana. Trzymała dzban tak niedbale, że sprawiał wrażenie, jakby mógł w każdej chwili wypaść jej z dłoni, i choć uniosła głowę w odpowiedzi na to, że przysiadłem się do niej, uśmiech, którym mnie obdarzyła, był dość wąły. Zastanowiło mnie, ile spała.

– On wróci – oznajmiła. – Nie musisz się martwić.

– A co z nami?

Zaśmiała się krótko, oschle.

– Oh, damy radę. Zobaczysz, jak tylko zaczniemy się przyzwyczajać do życia bez niego, pojawi się z powrotem i wywróci wszystko do góry nogami.

– Ale dlaczego wyjechał?

– Nie wiem – westchnęła. – Nie chciał mi powiedzieć. Ale dostrzegłam w jego oczach niepokój.

– Czy to miało coś wspólnego z Menną?

Jej spojrzenie stwardniało na wspomnienie dawnych wydarzeń. Zatopiła się w myślach. Siedzieliśmy tak obok siebie i pozwalałem jej spokojnie wspominać. Wreszcie pokręciła głową.

– A nawet jeśli, to co?

– To by przynajmniej miało sens.

– Aha – odparła, uniosła dzban do ust, po czym odstawiła go na stopień. – Cóż, jeśli tak uważasz, to chyba powinieneś odwiedzić Rabię.

5

Mój ojciec był człowiekiem, który pokonał słynnego łupieżcę grobów, Mennę. Bogowie jedni wiedzą, ile razy wbijano mi do głowy ten fakt. Mieszkańcy wsi wzięli sobie za punkt honoru, żeby przypominać mi o tym przy każdej możliwej okazji.

Kim był Menna? Dobre pytanie. Niektórzy twierdzili, że w ogóle nie istniał. Dość popularna teoria głosiła, że za złowieszczą postacią, którą znaleźmy pod tym imieniem, stało w rzeczywistości kilka osób albo nawet doskonale zorganizowana banda, która podtrzymywała wygodną iluzję, żeby napędzać strach.

Inni twierdzili, że Menna był osobą z krwi i kości, ale nie brał bezpośredniego udziału w działaniach swojej szajki. Że upaść się i ubogacił pracą swoich sługusów, których poczynaniami kierował z Aleksandrii, nie opuszczając podwórza okazałej posiadłości.

Najtrwalsza z plotek o Mennie – i ta, o której my, dorastający na ulicach Siwy, dyskutowaliśmy najczęściej – głosiła, że jak najbardziej istniał i że utrzymywał swoją bandę w ryzach, skutecznie łącząc wpływ swojej przerażającej osobowości z obietnicami wielkiego bogactwa. Mówiło się, że wrywał ofiarom zęby, które splecione drutem, pomalowane na czarno i zaostrzone na końcach nosił zamiast własnych, co napełniało trwogą serce każdego, kto na niego spojrzał. Że był okrutny i bezlitosny i nie wyznawał żadnego boga poza mamoną. Mówiło się też, że zabijał wszystkich, którzy nie dali się przekupić albo stawiali mu opór, że zabijał też ich rodziny, a potem rozwieszał wnętrzności ofiar na drzewach, a oskórowane zwłoki

zostawiał na miejskich placach jako ostrzeżenie dla każdego, w kogo głowie tliła się myśl o nieposłuszeństwie.

Mówili, że był demonem zesłanym przez bogów, by karać złoczyńców i gnębić niewinnych.

Był niewyobrażalnie zły.

Nieważne, ile z tego było prawdą – szajka Menny niezmiennie wyprzedzała o kilka kroków żołnierzy, którzy podążali jej tropem. Czasami jeden z rabusiów wpadał w sidła. Schwytanego torturowano i palono żywcem, odbierając mu możliwość przejścia do zaświatów, bezczeszcząc ciało w taki sam sposób, w jaki on i jego pobratymcy traktowali szczątki na grabionych cmentarzyskach.

Niewiele to zmieniało. Jedyne urządzenie, które nie dało się przekupić i próbował powstrzymać Mennę, nic nie wskórał i niedługo później zmarł w tajemniczych okolicznościach. Nieważne, jak wielkie siły angażowano do interwencji, działalność szajki nie ustawała, a mimo tortur, które stosowano wobec pojmanych bandytów, żaden nie zdradził ani tożsamości, ani kryjówki swojego przywódcy. Za bardzo się bali.

Okres najbardziej wzmożonej działalności Menny przypadł na czasy, kiedy byłem mały. Miałem wtedy może dziesięć lat. Na początku jego szajka była dla mnie tylko wytworem straszliwych opowieści. Istniała wyłącznie w rozmowach pomiędzy matką a ojcem, a co za tym idzie – w mojej wyobraźni późnymi wieczorami, kiedy leżałem w łóżku i próbowałem zasnąć.

Z tego, co podsłuchałem, wiedziałem, że Menna grasował na północy. Rabował piramidy, co oczywiste, ale i zarzucał sieć szerzej. To właśnie przez łupieżców w jego rodzaju, ściągających niczym ćmy ku płonącej pochodni do bogatych grobowców pełnych dóbr, które zmarli planowali zabrać na tamten świat, architekci faraonów zaczęli stosować więcej pułapek i ślepych zaułków. Mimo to nawet najwięksi bogacze, chowani obecnie w olbrzymich

tajnych komorach albo w mauzoleach wykutych w litej skale, nie mogli czuć się bezpieczni. Ulubionym celem Menny byli jednak ludzie niezamożni – choć też nie ci najbiedniejsi – którzy swoją podróż ku zaświatom rozpoczynali na terenie nekropolii, czyli cmentarzyska sąsiadującego ze wsią albo miastem. To tam głównie żerował.

Menna działał według ustalonej metody. Jego ludzie, podszywający się pod kupców, zakładali obóz w wygodnej odległości od celu, jednak nie za blisko. Stamtąd część z nich wnikała w miejscową społeczność i przekupywała urzędników, podczas gdy inni przeprowadzali zwiady grobowców, przygotowywali mapę tuneli i wymyślali sposoby na ominięcie pułapek.

Podejście Menny do samej grabieży zmieniało się w zależności od charakteru nekropolii, ale najczęściej jego ludzie włamywali się do grobowców i po prostu zabierali wszystko. Pozwalało im to szybko zniknąć z miejsca zdarzenia, a oddzielaniem złota od tandety zajmowali się później, bezpiecznie ukryci.

Działalność ta, nietrudno się dziwić, sprawiła, że szajką zainteresował się mój ojciec, który jako obrońca Siwy – czyli jej *mekety* – poczuwał się w obowiązku pilnować, czy Menna grasuje w okolicy jego miasta.

A tego dnia, o którym rozmyślałem, grasowali bardzo blisko.

6

Rabii nie było w domu. Rozsiadłem się więc i czekałem, czując, jak z każdą mijającą sekundą narasta we mnie gniew. Wreszcie ją dostrzegłem – dreptała ścieżką prowadzącą w stronę domu, niosąc kosz pełen owoców kupionych na rynku.

– O, proszę. Ciekawiło mnie, czy cię dziś zobaczę – oznajmiła bez cienia życzliwości, mijając mnie.

Ruszyłem za nią do środka, nie czekając na zaproszenie. Poczekałem, aż zsunie z ramion pelerynę i odstawi kosz, po czym okazałem szacunek, pozwalając jej przez nieprzyjemnie długą chwilę stać z rękami założonymi na piersi i wbijać we mnie oceniający wzrok.

Rabia była nieco starsza od mojej matki, ale podobnego charakteru. Ani jedna, ani druga nie owijały w bawełnę („Jestem bezpośrednia i nie ma w tym nic złego” – zwykła mówić matka, kiedy ojciec strofował ją za nieprzystojne wyrażanie się) i przy obu człowiek czuł się tak, jakby potrafiły przejrzeć go na wylot.

I tak właśnie czułem się w tej chwili.

– Dostrzegam w tobie zdecydowanie – oznajmiła, kiedy inspekcja nareszcie dobiegła końca. – To dobrze. Tego właśnie oczekujemy u potomka obrońcy Siwy. Chciałbyś może przejąć obowiązki ojca już teraz, skoro wyjechał?

– Być może – odpowiedziałem ostrożnie, zastanawiając się, do czego ona zmierza.

– Jak sądzisz, ile potrzebnych umiejętności posiadasz? – spytała.

Jej twarz o dość głęboko osadzonych oczach nie wyrażała zupełnie nic.

– Nauczyłem się od niego bardzo wiele o sztuce walki i przetrwania.

– Przetrwania? – stwierdziła. – A tego czasem nie nauczyła cię ta Nubijka?

Nubijczycy, o których mówiła, mieli obóz na obrzeżach Siwy, kiedy byłem młodszy. Przyjaźniłem się z jedną z dziewczyn, Kensą, która, mimo że młodsza ode mnie, wiedziała dużo więcej o polowaniu i zastawianiu pułapek. Później dowiedziałem się, że przekazywała mi tę wiedzę z polecenia mojej matki, która uważała, że Nubijczycy nie mają sobie równych w tych sprawach.

– Tak – odpowiedziałem Rabii. – Ale od kiedy Nubijczycy wyjechali, moim szkoleniem zajmował się ojciec. Tylko on mógł mnie nauczyć walki i tego, jak być dobrym obrońcą miasta.

– Oczywiście – przyznała mi rację. – I jak daleko posunęło się twoje szkolenie?

Wbiła we mnie wzrok i poczułem się, jakby potrafiła zajrzeć do mojej głowy i odczytać krążące w niej myśli... Z jakiegoś powodu mój trening przebiegał dość ospale, a ojciec sprawiał wrażenie, jakby wcale nie chciał mnie szkolić. Rabia i matka uparcie naciskały, żeby prowadził to szkolenie, on tymczasem każdy kolejny etap nauki rozpoczynał od jakiejś wersji stwierdzenia: „Nie jesteś jeszcze gotowy”.

Zdawałem sobie sprawę, że mój trening zajmie lata – „całe życie, synu” to kolejne słowa, które słyszałem od ojca bardzo często – ale mimo to przepełniało mnie poczucie, że pomiędzy szóstym rokiem życia, kiedy moje szkolenie się rozpoczęło, a obecnym, piętnastym, zrobiłem nad wyraz liche postępy.

Rabia najwyraźniej też tak uważała.

– Powiedz mi – spytała mnie o zdanie – czy uważasz, że twój trening

przebiegał za wolno?

Spuściłem głowę i przyznałem:

– Tak.

– Nie da się ukryć – stwierdziła z uśmiechem. – I jak sądzisz, dlaczego ojciec nie nauczył cię wszystkiego? Dlaczego tak wiele brakuje ci do ukończenia treningu?

– Sam chciałbym wiedzieć, przysięgam – odparłem. – Czy to przez to, że przyjaźnimy się z Aya?

– Ach, przyjaźnicie się? – zachichotała. – To ci się udało. Przyjaźnicie się. Widziałam was razem. Jak dwa małże przyssane do kadłuba łodzi. Czyż edukacja w zakresie opieki nad miastem ma jakiegokolwiek szanse w starciu z nastoletnią miłością?

Poczułem, że się rumienię, a Rabia uśmiechnęła się od ucha do ucha, czym sprawiła, że poczułem się jeszcze bardziej zażenowany.

– Jeśli dawał ci do zrozumienia, że chodzi o twoją przyjaźń z Aya, to próbował ukryć prawdziwy powód. Jestem tego pewna. Musiało być coś jeszcze. Jakaś inna przyczyna. Powiedz mi, co pamiętasz z nocy, kiedy zaatakowali nas ludzie Menny?

– Czyli on jednak ma z tym coś wspólnego?

– Najpierw odpowiedz na moje pytanie. Co pamiętasz z tamtej nocy?

Spojrzałem na Rabię. Miałem wtedy nie więcej niż sześć lat, ale wciąż pamiętałem wszystko z najdrobniejszymi szczegółami.

Noc najazdu była bezwietrzna. Cicha. Leżałem w łóżku, usiłując podsłuchać rozmowę, którą prowadzili rodzice. Ojcu doniesiono, że w miasteczku zaczęły się pojawiać nieznajome twarze. Osoby te utrzymywały, że są kupcami, ale nikt nie widział, żeby handlowały. Ojciec doszedł więc do wniosku, że są to członkowie szajki łupiącej grobowce, która prawdopodobnie rozbiła obóz gdzieś na pustyni poza granicami miasteczka

zgodnie ze zwyczajem Menny.

Dla młodego mnie takie informacje były bezcenne. Plotki o pojawieniu się Menny sprawiły, że byłem rozchwytywany, a moi przyjaciele Hepzefa i Sennefer (Aya wtedy jeszcze nie była obecna w moim życiu) dzień w dzień zasypywali mnie pytaniami. „Czy to prawda, że Menna ma do dyspozycji armię bandytów, z pomocą której zamierza najeżdżać Siwę?” „Czy to prawda, że czubki jego zaostrzonych zębów są pokryte trucizną?” Podobało mi się, że byłem w centrum uwagi. Pozycja syna obrońcy miasta niezaprzeczalnie miała pewne atuty.

Mimo to źle spałem. Przyśniło mi się, że stoję naprzeciw formacji skalnej, spoglądam w głąb jaskini i w niemal nieprzeniknionej ciemności dostrzegam błysk oczu i białych zębów. Szczur. I po chwili następny. I jeszcze jeden. Przyglądałem się, jak wewnątrz jaskini wypełnia falująca masa wijących się ciał pokrytych tłustym futrem. Wdrapywały się jeden na drugiego, starając się dobrać na szczyt stosu, góra, którą tworzyły, to spłaszczała się, to uwypuklała, i cały czas z ciemności wyłaniało się coraz więcej oczu. Hałas, który wydawały – skrobanie, odgłos przebierania nogami – przybierał na intensywności, aż wreszcie...

Przebudziłem się. Dźwięki jednak nie ucichły. Wypełniały mój pokój.

Dochodziły od okna.

Natychmiast usiadłem na łóżku. Coś było na zewnątrz i najpierw pomyślałem, że może szczur... ale nie, to było coś większego. Może pies.

Potem jednak dotarło do mnie, że pies też nie. Psy brzmiały inaczej. Psy nie starają się zachowywać jak najciszej.

Za oknem był jakiś człowiek. Moje oczy powędrowały do falującej lekko moskitiery osłaniającej okno sypialni i zauważyłem, że to nie wiatr wprowadził ją w ruch, lecz palce. Ostrożna dłoń, której właściciel usiłował wymacać, czy bezpiecznie będzie tędy wejść.

W następnej kolejności dostrzegłem twarz i tułów mężczyzny, który wkradał się mojego pokoju. W oczach miał złowrogi błysk, a pomiędzy zębami trzymał zakrzywiony nóż.

Wyskoczyłem z łóżka, kiedy mężczyzna podniósł się z ziemi, ale choć instynktownie chciałem uciekać i mój mózg błagał nogi, żeby te zaczęły się ruszać, nie potrafiłem się do tego zmusić: nie mogłem ani się poruszyć, ani krzyknąć, ani wołać o pomoc, zupełnie nic. A wszystko dlatego, że się bałem.

Intruz miał zeza, a ubrany był w ciemną, brudną tunikę i pasiastą pelerynę, która prawie sięgała jego stóp i lekko falowała na wietrze wpadającym przez okno. Kiedy wyjął nóż spośród zębów, jego twarz rozciął szeroki uśmiech, ale zamiast czarnych drewnianych zębów o trójkątnych czubkach, których się spodziewałem, zobaczyłem takie zwyczajne – połamane i brudne, ale w niczym nieprzypominające śmiertelnej broni, o której rozmawialiśmy z przyjaciółmi, snując się po ulicach Siwy.

Mężczyzna przyłożył palec do ust, żeby mnie uciszyć, ja zaś wciąż stałem skamieniały. Pragnąłem uciekać, ale moje stopy nie chciały się poruszyć. Czułem się przygwożdżony do miejsca, w którym stałem, za to intruz zaczął stąpać w moją stronę. Światło księżyca tańczyło na klindze noża, której ruch miał w sobie coś fascynującego, hipnotyzującego, co przywodziło na myśl kołyszącą się kobrę.

Otworzyłem usta. Czy raczej, uściślając, poczułem, że moje usta się otwierają, i zdałem sobie sprawę, że podjąłem pierwszy ważny krok. Mój umysł podpowiadał mi, że skoro udało mi się to, z pewnością mogę też krzyknąć.

Gdybym tylko przełamał strach.

Intruz zrobił kolejny krok w moim kierunku. Wciąż dotykał ust palcem. Z zewnątrz dobiegały szept i stłumione odgłosy kroków kolejnych mężczyzn

wchodzących do domu. Pomyślałem o ojcu i matce śpiących w innych pokojach i zdałem sobie sprawę, że są w wielkim niebezpieczeństwie.

Wtedy nareszcie poczułem, jak w moim gardle narasta krzyk, jak dźwięk dociera do moich ust, gotów wydostać się na wolność.

W tej samej chwili usłyszałem za plecami głos ojca.

– Aha! – krzyknął, wparowując do pokoju. – Czyli twój przywódca postanowił mnie uciszyć!

Dało to natychmiastowy rezultat. Uśmiech wyparował z twarzy bandyty, który szybko opanował zaskoczenie i z krzykiem: „Do ataku!”, rzucił się naprzód.

Odwrociłem się i zauważyłem drugiego mężczyznę, który pojawił się w drzwiach za plecami ojca.

– Tato! – zawołałem, a ojciec wykręcił nadgarstek i wyprowadził cięcie mieczem, które zakończyło życie nowego intruza. Następnie opadł na jedno kolano i obrócił tułów z powrotem w przód, prowadząc klingę łukiem, żeby sparować atak mężczyzny, który wszedł przez okno. Wciąż przyszpilony do swojego miejsca na podłodze, poczułem, jak moją twarz opryskują ciepłe kropelki krwi.

Ojciec był za szybki dla włamywacza z zezem, który uświadomiwszy sobie, że stracił przewagę zaskoczenia, a jego nóż wypada żałośnie w porównaniu z mieczem niedoszłej ofiary, szybko zrobił dwa kroki do tyłu. Równocześnie ojciec chwycił mnie pod ramię i pociągnął w stronę drzwi. Wychodząc, przewrociłem się o ciało drugiego napastnika.

Z jednego z pozostałych pokojów, zza moich pleców, dobiegł krzyk matki:

– Sabu!

Słyszając to, ojciec odwrócił się, postawił mnie na nogi i pociągnął za sobą w głąb domu.

Wśród poduszek i taboretów znaleźliśmy matkę. Trzymała w dłoni ociekający krwią nóż do chleba, rozglądała się ponurym, groźnym wzrokiem, a u jej stóp leżało martwe ciało.

W pokoju był jeszcze jeden mężczyzna, a równolegle z nami przez inne drzwi wparował kolejny, z bronią w dłoni i obnażonymi zębami. Usłyszałem, że matka mnie woła i pobiegłem w jej stronę. Ojciec w tym samym czasie rzucił się na dwójkę napastników.

– Ahmose, zabierz Bayeka w bezpieczne miejsce! – krzyknął, wyprowadzając cięcie spod ramienia.

W następnej sekundzie jeden z pary intruzów wrzasnął i upadł na ziemię. Z rozplatanego podbrzusza wylewały się wnętrzności. Drugi wywarczał przekleństwo i wyprowadził cięcie, które ojciec przyjął na swój miecz. Zadźwięczała stal. Kiedy matka ciągnęła mnie w stronę sypialni, obserwowałem, jak ojciec nachyla się, odwija w tył i mieczem trzymany w obu dłoniach atakuje dwóch nowych napastników, którzy pojawili się w pokoju. Klinga, opadając, rozsiewała w powietrzu krople krwi. Na twarzy ojca odmalowywało się niemal błogie skupienie i ten widok sprawił, że choć zewsząd otaczali nas zabójcy, przez chwilę poczułem się bezpieczniej niż kiedykolwiek.

Uczucie to błyskawicznie mnie opuściło, kiedy wpadliśmy z matką do sypialni i zastaliśmy tam kolejnego intruza, który wszedł przez okno i właśnie podnosił się na nogi.

– Łatwy łup – stwierdził, szczerząc się podle i wyciągając nóż. Były to jednak jego ostatnie słowa, bo zanim zdążył unieść broń do ataku, matka zrobiła dwa zdecydowane kroki w jego stronę i z całej siły wbiła nóż do chleba w jego mostek.

– Miał rację – oznajmiła, po czym wskazała palcem matę do spania. – Poczekaj tu – nakazała mi, a następnie uniosła dłoń trzymającą nóż i

przywarła do ściany przy oknie. Wykręcając szyję, ostrożnie wyjrzała na zewnątrz, a kiedy nabrała pewności, że nikogo tam nie ma, zwinnie podeszła do drzwi. Zakrwawiony nóż kontrastował z jej elegancką szatą, która sunąc po ziemi, szeleściła.

Po drugiej stronie ściany pojawił się przemykający cień. Matka znów uniosła nóż, gotowa do obrony, ale po chwili rozluźniła się, widząc, że to ojciec. Ciężko oddychający, wyczerpany walką i pokryty krwią, ale żywy. Po drugiej stronie drzwi, w półmroku holu, dostrzegałem nieregularne kształty leżące na ziemi – ciała mężczyzn, którzy zginęli z ręki ojca.

– Jesteś cały i zdrowy? – spytała matka i nie czekając na odpowiedź, podeszła do niego i zaczęła odchyłać poły jego tuniki, żeby sprawdzić, czy pod zakrwawioną tkaniną nie kryją się rany.

– Nic mi nie jest – odparł. – A ty? Bayek?

Spojrzał wymownie przez jej ramię na zwłoki zalegające na podłodze ich sypialni.

– Nic nam nie jest – odpowiedziała.

Pokiwał głową.

– W takim razie przykro mi, ale muszę jechać – oznajmił. – Na pewno rozpoczęli już atak na świątynię. Pewnie liczą na relikwie, złoto, ofiary i cokolwiek jeszcze wpadnie im w te brudne łapska. Ci ludzie nie boją się bogów, nie obchodzi ich, czy urażą Wyrocznię. Tylko ja mogę ich powstrzymać.

– Będzie ich wielu? – spytała.

– Tak, ale głównie robotników, do tego rzemieślnik, którego Menna wykorzystuje. Wojowników wysłał, żeby zrobili porządek ze mną. Więc liczy na to, że nie żyję.

Ostrzegł nas jeszcze, żebyśmy mieli się na baczności, i wyszedł. W naszym domu, który sprawiał wrażenie, jakby w całości wypełniały go

martwe ciała, nagle zapanowała cisza, a matka osunęła się po ścianie i spuściła głowę. Pocierała dłonie, jakby próbowała je oczyścić. Zdałem sobie sprawę, że choć cała dygotała od emocji, które wywołała w niej walka, rozumiała, że może się pojawić więcej napastników i będzie musiała stanąć w mojej obronie jeszcze raz.

Przywołałem z pamięci chwilę, w której podeszła do mężczyzny w sypialni i ugodziła go nożem, bez zwątpienia czy zawahania. Tej nocy po raz pierwszy zobaczyłem, jak moi rodzice przelewają krew, ale dostrzegłem też, jak różniły się ich reakcje. W wypadku ojca odniosłem wrażenie, że oglądam człowieka umiejętnie wykonującego swój zawód, a poczucie bezpieczeństwa, które mi się wtedy udzieliło, zostało ze mną do dziś. Matkę jednak to doświadczenie w pewien sposób zmieniło, jakby na zawsze uzmysłowiło jej, do czego jest zdolna się posunąć, by obronić siebie i rodzinę. W ciągu kolejnych lat wiele razy widziałem, jak przygląda się własnym dłoniom. Przybierała wtedy zadumany, ale i dziwnie spokojny wyraz twarzy, a ja zastanawiałem się, czy wraca pamięcią do tego, co się stało tamtej nocy.

Wtedy jednak po prostu przysiadłem się do niej na podłodze. Skuleni pod ścianą, pocieszaliśmy się nawzajem, aż po dłuższej chwili matka zmusiła się, żeby wstać, i poszła powiadomić innych mieszkańców, co się stało.

Przywołanie tego wspomnienia wiele mnie kosztowało i kiedy skończyłem opowiadać, byłem zupełnie odrętwiały.

– Twój ojciec pokrzyżował plany zabójców i uratował świątynię – oznajmiła Rabia, wpychając do ust daktyla, którego w międzyczasie pozbawiła skórki i pestki. – Nie byłem przy tym obecna, wiadomo, ale z tego, co mi opowiedział, wynikało, że bandyci rzeczywiście przypuścili atak, zanim dotarł na miejsce, i zdążyli zabić wielu pracujących w świątyni. Gdyby nie to, że jednak się pojawił, ogołociliby budynek z kosztowności, może nawet zamordowaliby Wyrocznię.

– Menna brał w tym udział?

– Ojciec ci nie opowiadał?

– Nie. Ani razu.

– Menna tam był, owszem, ale uciekł. – Rabia przybrała zamyślony wyraz twarzy, jakby zastanawiała się, czy powinna coś zdradzić coś więcej. – Tamta noc zupełnie odmieniła twojego ojca – odezwała się wreszcie. – Po raz pierwszy zobaczył przelew krwi oczami swoich najbliższych i zaczął kwestionować nie tylko własną drogę życia, ale i tę, która przeznaczona jest tobie. Żył zdjęty strachem o ciebie i nie chciał trenować cię do roli obrońcy miasta. Zamiast tego rozmyślał, jak ochronić cię przed kontaktem z przemocą. Powtarzał, że nie jesteś gotowy, to była jego wymówka. I ja, i Ahmose powtarzałyśmy mu, że wykorzystaliby każde wytłumaczenie, żeby cię nie szkolić, ale używał wciąż tego jednego.

– Od małego byłem gotowy. Niczego nie pragnąłem bardziej niż pójść w jego ślady.

Rabia zrobiła poważną minę i uniosła brew. Przez dłuższą chwilę znów przyglądała mi się badawczo tym przeszywającym, wszystkowiedzącym wzrokiem.

– Naprawdę? A jakże okazywałeś to rzekome pragnienie? Jakież to działanie zamierzałeś podjąć, by pogodzić tę „przyjaźń” z Ayą z przyszłością w roli obrońcy Siwy? Co z marzeniami Ayi o powrocie do Aleksandrii? Jakie kroki poczyniłeś, by zapewnić ojca, że jesteś właściwym kandydatem na jego następcę? Że zostaniesz w Siwie niezależnie od wszystkiego?

– Miałem nadzieję...

– Miałeś nadzieję! – Roześmiała się na cały głos. – Za mało. Co jeszcze?

Uświadomiłem sobie, że wdałem się w walkę, aczkolwiek nie taką na pięści czy broń. Odruchowo przybrałem wygodniejszą pozycję.

– Byłem oddanym synem.

Przewróciła oczami i pociągnęła nosem. Niezadowolająca odpowiedź.

– To nie wystarczy. Co jeszcze?

Potrząsnąłem głową.

– Sam mógłbym zapytać, cóż takiego on zrobił, żeby sprawdzić, czy nadaję się na obrońcę.

– Zrozum, Bayeku, że nim miotają wątpliwości – wyjaśniła surowym, nieobecny głosem. – Na twój temat, na jego własny, na temat roli wojownika i życia, do którego rzekomo byłeś przeznaczony. Trzeba go przekonać. W końcu sam też nie jesteś absolutnie pewien, że chcesz pójść w jego ślady, prawda?

Tym razem ja przewróciłem oczami.

– To cię śmieszy? – skarciła mnie.

– Nie, ale Aya spytała mnie wcześniej o to samo.

Przez twarz Rabii przemknął cień czegoś, co odczytałem jako zadowolenie. Zainteresowałem się, co sądziła o marzeniach Ayi i moich, i o tym, że w przyszłości mogą od siebie odbiegać.

– Jak brzmiała twoja odpowiedź?

– Powiedziałem, że jestem.

– Owszem, lecz to było jeszcze, nim twój ojciec opuścił Siwę. A teraz?

Co, jeśli Aya wyjedzie do Aleksandrii? – pozostało niewypowiedziane.

– Nie zmieniłem zdania.

Mój głos wyrażał pewność siebie, stałem prosto i spokojnie patrzyłem jej w oczy. To już nie było dziecięce marzenie. Nie wiedziałem, co innego mógłbym zrobić ze swoim życiem.

– Gdyby zobaczył i usłyszał to, co ja teraz, może dałby się przekonać.

Potrząsnęła głową w wyrazie frustracji i wypowiedziała słowa, które wielokrotnie słyszałem z ust matki:

– Może tym, czego najbardziej potrzebowaliście oboje, była porządna

kłótnia.

Przyłożyłem pięść do piersi.

– W takim razie nie dostrzegł, co się kryje tutaj.

– Może zobaczył za dużo – odparła wprost.

Nie takiej odpowiedzi się spodziewałem i wyprowadziło mnie to trochę z równowagi. Gdybyśmy walczyli, w tej właśnie chwili Rabia by mnie pokonała. Na szczęście miałem pewną zaprawę w dyskusjach – dzięki rozmowom, które prowadziliśmy z Aya, kiedy pokazywała mi treść swoich lekcji z historii i filozofii.

– Co masz na myśli, pani?

– Wątpliwości, same wątpliwości – powtórzyła, jakby chciała czegoś uniknąć. – Może to, co zobaczył, było dla niego zbyt ważne. Może dlatego nie dostrzegł skrytego głębiej lwiego serca.

Wbiłem w nią zdecydowany wzrok.

– A ty, pani, potrafisz?

Skinęła głową.

– Owszem. Dostrzegam w tobie zalążek obrońcy miasta.

– To dlaczego jemu się nie udało?

– Może widział tylko swojego syna i to mu wszystko przesłaniało.

– Dlaczego wyjechał? – spytałem. Specjalnie zmieniłem temat, bo pomyślałem, że może teraz uda mi się złapać ją w zasadzkę. – Czy to miało coś wspólnego z Menną?

Zastanowiła się, ledwo zauważalnie poruszając ustami, jakby usiłowała wydłubać językiem tkwiące między zębami kawałki daktyla.

– Jeśli mam być szczerą, to nie wiem.

– Przecież widziałem, jak z tobą rozmawiał, pani. Coś szeptał. Przekazał treść wiadomości, prawda?

Potrząsnęła głową, wyraźnie zirytowana.

– Wcale nie. Powiedział, że nie może tego zrobić, bo byłoby to dla mnie zbyt niebezpieczne.

Objąłem głowę dłońmi.

– To co ja tu jeszcze robię!? Muszę dogonić tego posłańca.

– Słucham?

– Tylko on może nam powiedzieć, co przekazał ojcu.

Rabia uniosła dłoń. W jej spojrzeniu wciąż widziałem niepokój, ale zupełnie niespodziewanie uśmiechnęła się szeroko.

– Chwila. Tę rzekę nie tak łatwo przekroczyć. Nie myślisz chyba, że to ja będę się tłumaczyć z tego twojej matce?

Rabia i matka często się wspierały, ale kiedy nie mogły dojść do porozumienia... cóż, po wsi krążyły powtarzane konspiracyjnym szeptem plotki o ich legendarnych utarczkach słownych.

– Poza tym – kontynuowała – powinieneś wiedzieć coś jeszcze. Tej samej nocy...

– Nie, nie. Wystarczy. Muszę ruszać. Będiesz, pani, potrafiła wyjaśnić wszystko mojej matce, prawda?

Rabia skrzywiła się, uniosła wysoko brew i zmierzyła mnie wzrokiem.

– Miejmy nadzieję.

7

– Nie zgadzam się, żeby wyjechał.

Matka stała z dłońmi opartymi o biodra. Miała zaczerwienioną twarz i przenosiła wściekłe spojrzenie to na Rabię, to na mnie. Przyjaźniła się z Rabią całe życie, ale w tej chwili znaczyło to bardzo niewiele.

– Sabu go szkolił, zdobył umiejętności potrzebne do przetrwania od Nubijczyków – przekonywała Rabia, która trzymała dłonie splecione za plecami i starała się uspokajać atmosferę.

– Ale jego trening nie dobiegł końca. Czy nie sam Sabu tak twierdził?

– Nie sądzisz, Ahmose, że ta wyprawa pomoże mu wejść w dorosłość?

Matce to się nie spodobało.

– Co ty kombinujesz?

– Nic – upierała się Rabia, choć widziałem, że nie udało jej się powstrzymać odruchu mrugnięcia oczami. – Chcę po prostu tego, co najlepsze dla twojej rodziny i dla Siwy.

Matka zmarszczyła brew.

– Aha, ale chyba nie w tej kolejności. – Była to nie tyle przygana, co zwykłe stwierdzenie. Wyraz świadomości i akceptacji. – Co mu powiedziałaś? Słucham. Powiedz mi dokładnie, co Bayek od ciebie usłyszał na temat wczorajszego wieczora.

– Przekazałam mu słowa jego ojca. Że Sabu ściągnąłby na nas niebezpieczeństwo, przekazując informację, dlaczego jest wzywany w inne miejsce.

– Musiało być coś jeszcze. Na pewno.

Rabia napięła ramiona, a dłonie splecione za plecami zacisnęła do białości.

– Nie okłamuję cię, Ahmose – wycedziła przez zęby.

Dostrzegłem po mojej matce, że zdała sobie sprawę, iż odrobinę przesadziła. Włączyłem się więc do rozmowy, żeby dać im możliwość wycofania się.

– Nic nie szkodzi – powiedziałem do obu. – Mamo. Rabio. Nie ma znaczenia, dlaczego wyjechał. Ja już podjąłem decyzję.

Spojrzały na mnie: Rabia spokojnie, matka ze smutkiem, kręcąc przy tym głową. Obie wiedziały, co nadchodzi.

– Jadę – oznajmiłem.

– Poczekaj jeszcze – rzuciła szybko matka. – Poczekaj. Nie wydaje mi się, żeby tego właśnie chciał twój ojciec.

– Nie jestem pewna, czy to, czego Sabu chciał, było dla Bayeka najlepsze – stwierdziła cierpko Rabia.

Matka przełknęła słowa, które cisnęły się jej do gardła, i powoli pokiwała głową sama do siebie. Najwyraźniej w odróżnieniu ode mnie pojęła, co miała na myśli jej przyjaciółka.

– Rabio, może pójdź już do domu i pozwól nam porozmawiać we dwoje – odparła bez złości.

Rabia, mając świadomość, że matka podjęła już decyzję, nic zgłosiła sprzeciwu.

Wymieniły spojrzenia – w oczach każdej z kobiet można było dostrzec inne emocje – a potem Rabia zmierzyła mnie wzrokiem, robiąc wymowną minę, i wyszła.

– Nie jesteś gotowy – wymamrotała moja matka bez przekonania.

Dziwnie było słyszeć z jej ust coś, co normalnie mówił ojciec. I ona, i Rabia zawsze trzymały moją stronę, kiedy ojciec wściekle sprzeciwiał się

szkoleniu mnie na nowego mekety.

– W tym tempie nigdy nie będę – odpowiedziałem, czując, jak narasta we mnie frustracja. – Chcę jechać.

– Nie do końca tak to sobie wyobrażałam, kiedy pomagałam cię trenować. – Westchnęła i pokręciła głową.

– Chyba nikt sobie tego tak nie wyobrażał. – Byłem poirytowany, ale nie na matkę ani na Rabię. Bardziej na ojca, za to, że opuścił nas, nie zważając na konsekwencje. I na los, który postawił nas w tej sytuacji.

Matka uśmiechnęła się krzywo.

– Słuchaj, przemyśl to, tylko o to proszę. Zastanów się przez noc, a jeśli rankiem wciąż będziesz chciał wyruszyć, nie sprzeciwię się.

Przez pół nocy leżałem na macie, bez powodzenia usiłując zasnąć i wsłuchując się w dźwięki nocy. W końcu matka pojawiła się w drzwiach.

– Twoje wzdychanie słyhać nawet w świątyni – powiedziała cicho. – Nie zmieniłeś zdania, prawda? – Jednak to było raczej stwierdzenie niż pytanie.

Skinąłem głową.

– W takim razie powinieneś wyruszyć teraz – westchnęła – póki jest chłodno, a Siwa drzemie... i zanim znajdę w sobie wolę, by ci tego zabronić.

Wręczyła mi sakwę podróżną, której zawartość łatwo odgadłem: bukłak z wodą i jedzenie. Dość, żeby zapewnić mi solidny start, zanim będę musiał zacząć żywić się tym, co upoluję.

– Nic by to nie zmieniło. Podjąłem już postanowienie.

– Wiem, wiem. Jesteś tak samo zawzięty jak on.

Przewróciła oczami, a ja stłumiłem naturalny odruch, by przypomnieć jej, że ojciec nie jest jedyną osobą, po której odziedziczyłem upór.

– Powiniennem powiedzieć Ayi? – spytałem matkę.

– Myślisz, że zrozumie?

– Jestem pewien.

Matka uśmiechnęła się przelotnie i choć było oczywiste, że przede wszystkim martwi się moim wyjazdem, w jej reakcji też dostrzegłem uznanie dla Ayi.

– A czy tobie nie będzie trudno się pożegnać?

– Niemożliwie trudno.

– Decyzja należy do ciebie – odparła i wyszła z pokoju. Zebrałem swoje rzeczy, przewiązałem tułów rzemieniami, a do pasa przytroczyłem torbę, do której schowałem sakiewkę wypełnioną monetami. Zawierała wszystkie moje oszczędności z dzieciństwa spędzonego w znacznej mierze na drobnych posługach i pomocy przy pracach na roli. Miałem nadzieję, że to wystarczy, by pokryć wydatki podczas podróży.

Powiedziałem kilka słów pożegnania, a matka w odpowiedzi mocno mnie przytuliła. Kiedy wypuściła mnie z objęć, szybko wypędziła mnie na zewnątrz i odwróciła się ze łzami w oczach. Zostałem sam na wyludnionej, cichej ulicy oświetlonej przez księżyc, który wisiał nad oazą i przyglądał się beznamiętnie, jak wciągam na ramię torbę podróżną i udaję się do przydomowej stajni, gdzie czekał mój koń.

Ścieżka, którą wyjeżdżałem z miasta, przebiegała niedaleko miejsca, w którym Aya mieszkała ze swoją ciotką Herit. Trudno zliczyć wieczory, kiedy podkradałem się do jej sypialni, wyszeptywałem jej imię i odczuwałem dreszcz podniecenia, widząc, jak wychodzi przez okno. Uwielbiałem z nią rozmawiać, trzymać ją za ręce i wymieniać pocałunki pod nocnym niebem upstrzonym gwiazdami. Przez chwilę zastanawiałem się, czy zniosę tę rozłąkę. Kochałem przecież Ayę, od kiedy po raz pierwszy ją ujrzałem: chłopak z Siwy, zadufany w sobie syn obrońcy miasta, trafił na dziewczynę z Aleksandrii, która nie wahała się pokazać mu, gdzie jego miejsce.

Aya by zrozumiała. Połączyło nas to, że oboje na coś czekaliśmy: ja na

swoje przeznaczenie, a ona na polecenie powrotu do Aleksandrii, gdzie miała kontynuować naukę u boku rodziców. Zrozumiałyby, że wyjeżdżam, ponieważ czuję, iż muszę podążać swoją drogą. Ale żeby wyjechać, nic nie mówiąc... to robiłem wyłącznie dla siebie. Nie potrafiłem znieść myśli o pożegnaniu.

– Przepraszam – wyszeptałem, a moje słowo zniknęło w mroźnej nocy jak kamień wrzucony do mrocznej studni.

8

Trasa do Sauti prowadziła przez pustynię, Czerwoną Ziemię. Pierwszej nocy rozbiłem obóz, zapewniłem sobie źródło ciepła, zbudowałem wiatrochron z kamieni i odkryłem, że nie ma na świecie miejsca wywołującego silniejsze wrażenie osamotnienia niż piaszczysta równina po zmroku. Moje jedyne towarzystwo stanowiły nawołujące gdzieś z daleka sępy. Tęskniłem za Aya. Powtarzałem sobie, że udowodnię jej, ile jestem wart, podobnie zresztą jak ojcu, matce i Rabii. Z perspektywy czasu widzę, że właśnie ta myśl dała mi siłę, by się nie poddać.

Zbierałem wodę, kopiąc dziury, które nakrywałem płachtą materiału, i czekając, aż słońce sprawi, że para skropi się pod spodem. Wysysałem wilgoć z łądyg nielicznych roślin, które znajdowałem, a do tego starałem się ograniczyć utratę płynów, utrzymując stałe tempo i oddychając przez nos. Wszystko to były umiejętności, których uczyła mnie Kensa, a później ojciec. Część wspólnego dzieciństwa spędziliśmy z Aya na wycieczkach, budując schronienia, polując i szukając jadalnych roślin. Przekazywałem Ayi przy okazji porady, które sam otrzymywałem: „Polować musisz przodem albo bokiem do wiatru. Najlepiej wczesnym świtem, bo wtedy zwierzęta wychodzą z kryjówek”.

Dzięki moim nauczycielom umiałem rozpoznawać różne zwierzęta po tropach, śladach bytności i wyglądzie odchodów. Wiedziałem, jak oskórować zdobycz, zanim wystygła, jak usunąć gruczoły wydzielające zapach i psujące mięso, gdzie ciąć, by nie rozerwać żołądka ani jelit.

Swoje zdobycze – króliki, gryzonie, dzikie owce, kozy i świnie („Nie

oskórujesz dzikiej świni, Bayek. Najpierw ją wypatrosz, a potem opal szczecinę”) – piekłem nad ogniskami z pustynnych krzewów. Pamiętałem, że wątrobę można piec krócej, a nerki stanowią dobre źródło pożywienia, ale wymagają gotowania. „Serce piecz, jelita gotuj. Wybierz łyżką galaretę z racic, ugotuj język i kości, mózg zachowaj do garbowania skór”. Z wnętrzości robiłem nowe przynęty do sideł, pożywną krew wypijałem, a z gałek ocznych wysysałem płyn.

Moją pierwszą bronią była proca, ale największą dumę odczuwałem z własnoręcznie skonstruowanego łuku. Wykonałem go, kiedy najcięższą część podróży miałem już za sobą i znalazłem się bliżej rzeki, na bardziej żyznych terenach. Natrafiłem tam na drzewo cisowe, z którego uciąłem elastyczną gałąź na łączysko. „Przytrzymaj za koniec, o tak. To twoja rozpiętość ramion. Taki długi powinien być twój łuk” – tłumaczył mi ojciec.

Mając w pamięci jego wskazówki, zjąłem korę, wyprofilowałem łączysko, przygotowałem nacięcia pod cięciwę, a na koniec natarłem całość tłuszczem z upolowanych zwierząt. Po założeniu cięciwy – rzemienia z niewyprawionej skóry – obwiązałem jeszcze gryfy łądygami pokrzyw, by wzmocnić węzły i mieć pewność, że łuk pozostanie napięty.

Strzały wykonałem z prostych odcinków gałęzi sykomory. Lotki zrobiłem z piór, których miałem już wtedy w torbie całkiem sporo, bo po drodze podnosiłem wszystkie, które wpadły mi w oko.

Siedząc samotnie na pustkowiu i przygotowując łuk, rozmyślałem o wszystkich, którzy byli mi drodzy – o Kensie, ojcu, matce, Rabii, Hepzefie... Ayi – i zastanawiałem się, kiedy ich znów zobaczę. I czy w ogóle będzie mi to dane...

9

Pewnego dnia pustynia, po której dotychczas podróżowałem, ustąpiła miejsca zielonemu splendorowi wybrzeży Nilu. Podczas gdy jeszcze niedawno ze wszystkich stron otaczał mnie suchy piach, teraz mijałem gospodarstwa, liczne drzewa, plantacje i dzikie zwierzęta. Przestałem też być jedynym człowiekiem w okolicy. Gdziekolwiek spojrziałem, widziałem innych podróżnych, kupców, robotników, rolników. Raz nawet napotkałem procesję kapłanów.

Niedługo później w zasięgu mojego wzroku pojawiła się sama rzeka: wielki Nil, którego wody decydowały o losie zamieszkujących jego brzegi. Mniej więcej w połowie każdego roku woda z topniejących wyżynnych śniegów niosła w stronę delty potężną falę gęstego mułu, powodując achet – wylew. Wtedy to ludzie wznosili modły do boga Hapiego, dziękując za błogosławieństwo żyznej gleby, na której wyrosnie pożywienie dla nich i ich rodzin. Rzeka była dla nich życiem; źródłem wody, pokarmu i środkiem transportu.

Wszystko to już, rzecz jasna, wiedziałem od Ayi, której wspomnienie znów sprawiło mi ból. W świątyniach w Siwie znajdowały się niezliczone obrazki przedstawiające tę rzekę, więc miałem pewne wyobrażenie i od małego zdawałem sobie sprawę, że Nil musi wyglądać imponująco. Nic jednak nie mogło przygotować mnie na to, co zobaczyłem. Masa wody przecinała równinę niczym ogromny wąż i choć poruszało się po niej wiele łodzi, płynęła powoli i statecznie, jakby uznała spokój za jedyną rozsądną odpowiedź na kleistą wilgoć unoszącą się w powietrzu.

Jadąc przez pola zazielenione plonami wylewu, nie mogłem oderwać oczu od rzeki. Obserwowałem wystające z wody wyspy trzciny i palm, ale przede wszystkim niezliczone łodzie – niektóre pokaźnych rozmiarów i bogato zdobione, z wielkimi jedwabnymi żaglami, które łopocząc na wietrze, wydawały odgłos podobny do bębnow, inne maleńkie, jednoosobowe, uplecione z trzciny. Rybacy, posługujący się długimi kijami zamiast wiosł, zarzucali sieci na powierzchnię wody. Przyglądałem się ptactwu wodnemu i słuchałem jego nawoływań, a później po raz pierwszy w życiu zobaczyłem ibisy – wielkie brodzące ptaki o zakrzywionych dziobach, długich szyjach i smukłych nogach. Zerowały na płyciznach i sprawiały wrażenie niewzruszonych towarzystwem ludzi w łódkach, dzieci bawiących się na brzegu i bydła na polach.

Kolejną nowością był dla mnie hipopotam. Opowieści przedstawiały go jako bestię budzącą grozę, przypominającą swoim ogromem o szacunku należnym bogini Toeris, jednak pysk, który wynurzył się spod wody na moich oczach, sprawiał raczej wrażenie należącego do zwierzęcia spokojnie spędzającego dzień.

W końcu dotarłem na przedmieścia Sauti i skupiłem się na zadaniu. Bardzo mi pomogło, że znalazłem się z powrotem wśród ludzi. Na pustyni czułem się maleńki i wystawiony na łaskę losu, a chwilami nawet się bałem. Miejski harmider na swój sposób dodał mi sił, zapewnił mi poczucie bezpieczeństwa, ale innego rodzaju niż to, które odczuwałem w Siwie, gdzie wszyscy znali mnie jako syna obrońcy miasta. Tutaj byłem nikim. I to sprawiło, że nabrałem pewności siebie.

Znalazłem miejsce dla konia, zapłaciłem chłopakowi stajennemu monetą z mojej sakiewki, po czym ruszyłem na miasto upajać się widokami. Krążyłem od straganu do straganu, przeciskając się między mieszkańcami i zatrzymując się od czasu do czasu, by obejrzeć dokładniej ten czy inny

zachwycający towar. Cały czas pilnowałem się, żeby za bardzo się nie gapić.

Ulice były węższe niż te, do których przyzwyczała mnie Siwa. Wychodziły na nie sklepy z kolorowymi okiennicami i straganami. Gdzie nie spojrziałem, uliczki rozgałęziały się, raz w lewo, raz w prawo... żeby przysporzyć kłopotów ewentualnym najeźdźcom, wyjaśniła mi kiedyś Aya.

Chwila!

Zatrzymałem się. Zdałem sobie sprawę, że jestem na najlepszej drodze, żeby się zgubić. Odstawiłem konia, poszedłem zwiedzać. Jeszcze chwila, a nie wiedziałbym, jak trafić z powrotem do stajni.

Rozglądając się za sensownym punktem orientacyjnym, dostrzegłem kątem oka nagły ruch, od strony, w którą jeszcze przed chwilą były zwrócone moje plecy. Nie miałem pewności, ale odniosłem wrażenie, że było to małe dziecko. Starające się bardzo, żebym go nie zauważył.

Kiedy nabrałem rozeznania, gdzie się znajduję, ruszyłem dalej, aż odkryłem kolejny stragan, którego zawartość mnie zainteresowała. Jego właściciel miał na wystawie szereg noży – wszystkie, na moje oko, lepiej nadające się do obrony niż ten, który zabrałem z domu.

Jeden w szczególności przyciągnął moją uwagę. Wyciągnąłem sakiewkę, żeby zapłacić, ale zanim wsunąłem swój nowy nabytek za pas, uniosłem go na wysokość głowy. Udając, że jeszcze raz poddaję go oględzinom, skupiłem się na widoku za moimi plecami, który odbijał się w klindze. Znów dostrzegłem ruch pomiędzy nogami innych kupujących. Czyżby jakieś dziecko ulicy łąsiło się na moją sakiewkę?

Sąsiedni stragan należał do jubilera. Chwyciłem wypolerowany na błysk naszyjnik i ułożyłem go tak, by pokazał mi widok za plecami. W pierwszej kolejności zobaczyłem, rzecz jasna, własną twarz pokrytą kilkudniowym zarostem, umorusaną pustynnym brudem i pyłem, ale po chwili...

O, tam!

Chłopak, młodszy ode mnie. Ubrany w tunikę całkiem podobną do mojej, ale bez skórzanych pasów na piersi.

Pytanie, dlaczego mnie śledził? Czego chciał?

Czas się dowiedzieć.

10

Założyłem, że chłopak będzie za mną podążał, i szedłem przed siebie, aż znalazłem odpowiedni plac. Wzdłuż murów stały kamienne ławki, a opadające gałęzie migdałowców zapewniały cień klientom, którzy kręcili się wśród straganów zastawionych jedzeniem i alabastrowymi słojami. Kupiłem miodowe ciastko posypane nasionami i zająłem miejsce przy jednym ze stolików zdobionych mozaiką.

To teraz czekamy, aż szczur wyjdzie z nory, pomyślałem.

Po pewnym czasie wychynął na plac. Było tu mniej ludzi niż na ulicach, które mijałem, ale i tak udawało mu się chować za osobami znacznie wyższymi od siebie. Przyglądałem mu się tak dyskretnie, jak potrafiłem. Zauważyłem, jak jego oczy powędrowały ku ciastku. Niewątpliwie był głodny.

Spojrzałem w jego stronę i przywołałem go gestem dłoni. Przez jego twarz, prawie tak zanedbaną jak moja, natychmiast przemknął cień niezdecydowania. Zaczął się odwracać.

– Hej! – zawołałem. – Jesteś głodny? Mam ciastko z miodem i chętnie się podzielę.

To go zatrzymało. Przemknął wzdłuż muru w moją stronę i zatrzymał się przy mojej ławce. Zanim się odezwał, zmierzył mnie doświadczonego wzrokiem.

– Myślisz, że jesteś kimś, panie? – skwitował to, co zobaczył, i wyciągnął dłoń po ciastko.

Chwyciłem je i przytrzymałem poza jego zasięgiem.

– Skoro jesteś niegrzeczny, to...

– Dobrze, dobrze, po prostu jeszcze mi się nie zdarzyło, żeby ktoś niewiele starszy odzywał się do mnie tak, jakby był moim dowódcą w wojsku.

Zmarszczyłem brew.

– Ile masz lat w takim razie? I jak ci na imię?

– Tuta. Lat mam dziesięć. A ty jak masz na imię, panie, i ile jesteś starszy ode mnie? I kiedy zamierzasz mi dać to ciastko? Czy może mam błagać? Proszę, proszę, czy mógłbym dostać kawałek tego ciastka? Zatańczę, zaśpiewam, zrobię, panie, cokolwiek będziesz chciał, proszę!

Wciąż trzymałem ciastko w uniesionej ręce. Pokazałem mu, żeby usiadł i odłożyłem je na stół.

– Proszę. Jestem Bayek i mam piętnaście wiosen na karku, a teraz chciałbym wiedzieć, dlaczego podążałeś za mną jak cień.

Pociągnął nosem.

– Jestem głodny, mieszkam na ulicy. Cały czas szukam czegoś do jedzenia.

– Może i bym w to uwierzył, ale kiedy zacząłeś mnie śledzić, nie miałem przy sobie jedzenia. Dlaczego odnoszę wrażenie, że interesuje cię nie tyle ciastko, ile to? – bezceremonialnie rzuciłem moją sakiewkę na mozaikowy stół.

Chłopak usta miał oproszone drobinami nasion, a policzki pełne ciastka, ale i tak przewrócił oczami.

– Dobrze już, dobrze – wydukał, rozsiewając wszędzie okruchy. – Mam znajomego w stajni. Stara się wskazywać mi nowo przy byłych, którzy wyglądają, jakby mieli o drachmę czy dwie za dużo...

– Żebyś mógł ich okraść?

Pokręcił stanowczo głową.

– Nie, co najwyżej przekonać, żeby wspomogli biednego chłopaka.

Zapadła cisza.

– To co, myślisz, panie, że mógłbyś to zrobić? – spytał z nadzieją. – Pomóc mi, mam na myśli. Taka mała pożyczka? Może nawet prezent, jeśli pokażę ci kilka ciekawych miejsc, panie?

– Cóż, jest taka możliwość, nawet całkiem prawdopodobna...

– Naprawdę?

– Tak. Najpierw jednak chciałbym wiedzieć, komu pomagam. Opowiedz mi o sobie, Tuta. – Gestem pokazałem, żeby wziął sobie kolejny kawałek ciastka.

Mówił z pełnymi ustami:

– Przeprowadziliśmy się do Sauti z Teb, kiedy byłem bardzo młody, matka, ojciec, ja i moja młodsza siostra. Przez pewien czas wszystko było dobrze, na tyle, na ile pamiętam. Potem jednak zdarzył się pożar, koszmarny pożar, w którym zginęły moja matka i siostra.

– Przykro mi – skomentowałem.

– Dziękuję, ale to było kilka lat temu, a dzieci, które przeżyły coś takiego, jest na pięćki.

– A co z twoim ojcem?

– Cóż, to prawie tak samo tragiczna historia, bowiem ojca straciłem w pożarze wraz z matką i siostrą: zaczął pić i zniknął z mojego życia. Nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że zapił się na śmierć.

– Przykro mi – powtórzyłem. – A gdzie mieszkasz?

– Och, co najmniej kilka razy mieszkałem tu, na tym placu. – Uśmiechnął się szeroko. – W gruncie rzeczy nie ma chyba w tym mieście ulicy, która nie służyłaby mi za dom choć raz. Nocami bywa trochę zimno, ale jakoś sobie radzę, a poza tym nie jestem tu jedynym, który tak śpi.

– A to skąd? – wskazałem na siniaka na jego szyi.

– Powiedziałem, że nie jest tak źle. – Tu wyraz twarzy mu spochmurniał.
– To nie znaczy, że jest dobrze.

– Aha – odparłem. – Cóż, może będę mógł ci pomóc, ale tylko jeśli zrobisz dla mnie coś w zamian. Coś trudnego. Jestem tu nowy i nie znam miasta tak dobrze jak ty, a muszę znaleźć posłańca, który niedawno odwiedził Siwę. Miał uderzająco niebieskie oczy i nosił na piersi skórzaną torbę, trochę podobną do mojej – wskazałem na pas zwisający z mojego ramienia – ale zawieszoną o, tu...

– Za dużo mi to nie mówi – stwierdził Tuta z powątpiewaniem.

Postarałem się skupić.

– Dobrze, kiedy ostatni raz widziałem tego mężczyznę, wpychał sakiewkę wypełnioną czymś, co zdecydowanie wyglądało na monety, do tej swojej torby. Co jeśli od tego czasu wydał część swoich zarobków, może nawet ściągnął na siebie uwagę?

– Ach, w takim razie cofam moje słowa, panie – odparł Tuta. – Wydaje mi się, że będę mógł pomóc. W gruncie rzeczy mam znajomego, który idealnie nada się do twych celów, panie. Kupca, który handluje wszelakimi towarami. Mógłbym zacząć od niego.

– Sądzisz, że znajdziesz mężczyznę, o którego mi chodzi?

Tuta mrugnął szelmowsko. Najwyraźniej ciastko już podziałało na niego wzmacniająco.

– Szczerze mówiąc, nie ma w tym mieście nikogo, kto mógł by się ukryć przed moim wzrokiem. Zatrudniłeś, panie, do tego zadania najlepszą możliwą osobę. Proszę tu poczekać.

Poczekalem, zupełnie nieświadom, że popełniam koszmarny błąd.

Sabu potrzebował ponad dwudziestu dni, by dotrzeć do celu. Podróż trwała dłużej niż przewidywał, bo postępował bardzo ostrożnie, żeby mieć pewność, że nie daje się wciągnąć w pułapkę. W wiadomości pojawiło się słowo oznaczające sprawdzoną kryjówkę – „Matka” – więc nie miał większych wątpliwości co do autentyczności wezwania, ale mimo wszystko... przezorności nigdy za wiele.

Od chwili, gdy znalazł się w „Matce”, która była niedużą oazą na Pustyni Wschodniej, musiał poczekać dzień, może trochę dłużej, by w oddali pojawiła się znajoma sylwetka wozu zmierzającego leniwie w jego kierunku. Na siedzeniu woźnicy siedział podopieczny Mistrza – chłopak w wieku mniej więcej piętnastu lat, o błyszcząco białych oczach ślepcy.

Sabestet, bo tak miał na imię, zdaniem wielu posiadał niemal nadnaturalne zdolności. W rzeczywistości jednak jego tajną bronią był słuch, a poza tym nie widział tak źle – tylko udawał. Zgodnie z radą Mistrza: „Dostrzeż swoje zalety i z nich korzystaj. Nie odsłaniaj kart przed przyjaciółmi, bo nie sposób odgadnąć, czy któryś z nich nie stanie się wrogiem”.

Mistrz Hemon najczęściej siedział ramię w ramię z Sabestetem. Najwyraźniej jednak nie dziś.

Mężczyźni się przywitali, po czym Sabu stanął z boku i poczekał, aż Sabestet zejdzie z wozu. Wiedział, żeby nie podawać mu ręki. Chwilę później siedzieli, opierając plecy o pień drzewa, i dopijali resztki wody z bukłaka Sabu.

– Hemon dziękuje ci, że zjawieś się tak szybko w odpowiedzi na naszą wiadomość. Byliśmy pewni, że tak właśnie zrobisz – oznajmił Sabestet, kiedy skończył wypłukiwać pył z ust.

Sabu odgonił muchę.

– Jak się ma nasz Mistrz?

– Jest zdrowy i wciąż tak samo sprawny umysłowo, aczkolwiek musi chodzić o lasce. Przyjechałby ze mną, ale ostatnimi czasy zbyt wiele podróżował. Uznaliśmy, że lepiej będzie, jeśli tym razem zostanie w domu w Dżerti. Mistrz wyraził nadzieję, że nie urazi cię jego nieobecność i prosił, by podziękować ci za przybycie.

– A dlaczegoż to tyle podróżował?

– Właśnie. Dlaczego. To właśnie powód, dla którego cię wezwał. Naprawdę jest ci wdzięczny, że się zjawieś.

Sabu westchnął na myśl o Ahmose i Bayeku, których zostawił w domu, o mieście, które zostawił bez ochrony.

– Jest mi wdzięczny za przybycie, rozumiem. Naprawdę. To może teraz powiesz mi dlaczego? Po co te podróże? O co tu chodzi?

– Mistrz wysłał wiadomość do Emsafa. Prosił o spotkanie w ważnej sprawie. Emsaf nie dotarł na umówione miejsce. Zamiast tego skontaktował się z nami z Ipu z poleceniem, by spotkanie odbyło się w zastępczym miejscu. Jak uważasz, co się stało?

Sabu wstał, przyłożył dłonie do łędźwi i przeciągnął się w ramionach.

Usiłował postawić się na miejscu Emsafa. Wrócił myślami do dni i nocy, które dopiero co spędził, przemierzając pustynię.

– Czyli dotarł do Ipu – zaczął, spoglądając z góry na Sabesteta. – To spory kawałek od jego domu w Hebenu. Musiał odnieść wrażenie, że ktoś go śledzi.

Sabestet skinął głową. Wykonując ten gest, miał w zwyczaju zamykać

oczy, co nadawało mu wygląd głęboko zamyślonego.

– Do tego samego wniosku doszedł nasz mistrz. Teraz prosi, byś przeprowadził w tej sprawie dochodzenie. Musimy mieć pewność co do losu naszego przyjaciela i towarzysza broni, Emsafa, by udokumentować go dla potomnych zgodnie z prawdą. Kiedy zdobędziesz potrzebne informacje, Mistrz przyjmie cię w Dżerti.

Nie mogę się doczekać, pomyślał gorzko Sabu.

– Zakładam, że zdaniem Mistrza za zniknięciem Emsafa stoi nasz odwieczny wróg?

Sabestet ponownie skinął głową na potwierdzenie.

– Mistrz tak właśnie uważa, i to go niepokoi.

12

Zmierzchało już, a kupcy zdążyli spakować się do domu, zanim Tuta wślizgnął się z powrotem na plac. Zajął miejsce przy moim stole i wpatrywał się we mnie oczami ocienionymi przez czarną, poczochną czuprynę.

– Chyba znalazłem mężczyznę, o którego ci chodziło, panie – oznajmił i wyciągnął w moją stronę otwartą, pustą dłoń.

Spojrzałem na brudną rękę. Zuchwalstwo chłopaka sprawiło, że uśmiechnąłem się szeroko i wbrew sobie poczułem do niego sympatię.

– O, nie. Na monetę przyjdzie czas. Najpierw muszę się upewnić co do towaru. Gdzie znajdę mojego posłańca?

– Jesteś bardzo wymagający, panie – stwierdził Tuta, ale wy cofał dłoń bez narzekania. – Ale ja doskonale rozumiem, że chcesz się, panie, upewnić, że znalazłem, kogo trzeba. Proszę za mną.

Poprowadził mnie wąskimi, krętymi uliczkami. Ucieszyłem się, że rozpoznaję charakterystyczne budynki, które zapamiętałem wcześniej, i raczej będę umiał trafić do stajni. Co nawet ważniejsze, poczułem pierwsze iskierki podekscytowania, rosnącą pewność siebie. *Uda mi się.*

Na wylocie jednej z ulic Tuta odciągnął mnie na bok.

– Ostrożnie... – wysyczał. – Ten, którego pan szuka, jest tam, kawałek dalej.

Krawędzie alejki były upstrzone markizami, pod którymi siedziało kilku mężczyzn, jedząc i pijąc ze znajomymi. Wciąż kręcili się tu też przechodnie, jednak nie tylu, bym nie mógł dojrzeć między nimi mężczyzny wskazanego przez Tutę. Wyglądał dokładnie, jak opisałem – miał intensywnie błękitne

oczy i na pierwszy rzut oka rzeczywiście wyglądał jak jeździec, którego widziałem w Siwie. Mimo to...

– Nie jestem pewien – powiedziałem Tucie, spędziwszy kilka chwil na obserwacji. – A gdzie torba?

– Z pewnością ma ją przy sobie, panie – odparł chłopak. – Może między nogami, pod stołem. Poza tym to jest ten mężczyzna, który, jak donosi mój kontakt, wydaje od kilku dni dużo pieniędzy. Według mojego znajomego, który jest naprawdę dobrze rozeznanym, ten mężczyzna, będący w posiadaniu zaskakująco dużej ilości monet dopiero niedawno wrócił do miasta. Nie było go prawie miesiąc.

Zastanowiłem się nad tym, co powiedział.

– To brzmi dużo bardziej przekonująco, przyznaję. Myślę, że pomogłoby mi, gdybym usłyszał jego głos.

– W takim razie przejdźmy się tą ulicą – zaprosił mnie Tuta. – Nim strach zupełnie cię zdejmie, panie, i będę musiał pożegnać się z nagrodą.

Zanim zrobił pierwszy krok, chwyciłem go za ramię.

– Nie. Może mnie rozpoznać.

Tuta zmierzył mnie od stóp do głów byстрыm wzrokiem.

– Czy tak wyglądałeś, panie, kiedy się ostatnio widzieliście?

– Nie. Może i masz rację.

– No to proszę pójść ze mną, nawet jeśli cię zobaczy, panie, uzna, żeś moim starszym bratem. Proszę, nie mam całego dnia.

Serce łomotało mi w piersi, kiedy przemykaliśmy obok miejsca, w którym Niebieskooki siedział w towarzystwie kilku innych mężczyzn. Niestety, najwyraźniej nie miał nic przeciwko przysłuchiwaniu się w milczeniu rozmowie kolegów i choć coraz bardziej nabierałem pewności, że znaleźliśmy tę osobę, co trzeba, i tak chciałem usłyszeć jego głos.

Tuta zareagował na ponagląjące spojrzenie, które rzuciłem w jego stronę

– podszedł do grupy i zapytał Niebieskookiego, czy da mu jedną drachmę.

– Wynoś się, szczurze – odburknął mężczyzna, a ja natychmiast rozpoznałem w jego głosie posłańca, którego szukałem.

– No i? – spytał Tuta, kiedy zakończyliśmy spacer.

– To on.

– Czyli wywiązałem się ze swojej części umowy, prawda, panie? To jeśli mogę, to wezmę pieniądze, który mi się należy, i wrócę do swoich zajęć. – Zamknął w palcach monetę, którą mu przekazałem. – Co teraz zrobisz, panie? Masz jakiś plan?

Dobre pytanie. Poza tym zaświtało mi, że ani w podróży, ani przez cały czas, który spędziłem już w Sauti, nie poświęciłem ani chwili na przemyślenie, cóż właściwie mógłbym powiedzieć posłańcowi, jeśli go znów zobaczę.

– Odnoszę wrażenie, że przydałby ci się, panie, pośrednik – oznajmił Tuta, jakby potrafił czytać w moim umyśle. – Myślę, że potrafiłbym zaaranżować spotkanie.

To miało sens. Jeśli Niebieskooki mnie rozpozna, umknie w labirynt alejek i pewnie nigdy go już nie znajdę. Na zaproszenie ze strony młodego chłopaka pewnie zareaguje mniej nieufnie, a ze spotkania w miejscu publicznym będzie mu trudniej uciec.

– A jak? – spytałem.

– Powiem mu, że pewien mój przyjaciel potrzebuje jego usług. A ty, panie, zaczekasz w teatrze. Przeprowadzę go tam, reszta należy do ciebie. Może być?

Uznałem, że brzmi całkiem rozsądnie, więc Tuta zniknął po raz kolejny, a ja późnym wieczorem udałem się na teren miejskiej sceny amfiteatralnej w Sauti. Czekałem samotnie, biedniejszy o kolejną monetę, zastanawiając się, czy mój nowy znajomy ma zamiar wrócić.

Teatr sprawiał wrażenie nienaturalnie cichego. Dopiero co publiczność oglądała *Myrmidonów*, a teraz, kiedy zakaszlałem, dźwięk dłuższy czas odbijał się echem od kolejnych poziomów pustej schodkowej widowni. Gdyby widzowie jeszcze tu byli, kamienne ławy byłyby przykryte himationami. Ludzie rozmawialiby, zajadając orzechy, daktyle i ciastka, czekając, aż aktorzy zaczną zabawiać ich poezją. Ayi bardzo by się tu podobało. Lubiła mi opowiadać o ogniu, który pojawiał się na scenie w *Furiach*, o pojedynkach na miecze, o tym, jak trupy teatralne potrafiły zainscenizować deszcz, a nawet stworzyć iluzję boskiej interwencji, posługując się czymś w rodzaju dźwigu.

Po wyjściu aktorów na scenę amfiteatr huczałby, rzecz jasna, od śmiechu i rozmów, i głosu aktorów deklamujących swoje kwestie. Ale nie teraz. Nie paliły się pochodnie, kosze na węgiel też stały puste, a robiło się ciemno. Do moich uszu dobiegały odgłosy ptaków buszujących wśród wyższych partii widowni i szuranie, którego źródłem pewnie były gryzonie. Przełknąłem ślinę. Przeszyło mnie silne ukłucie strachu, miałem poczucie, że wplątałem się w coś, co mnie przerasta.

Nieprawda, Bayek. To jest coś, z czym musisz sobie poradzić. Mimo że czułem się niepewnie, pozostając tak na widoku, zająłem miejsce siedzące i spokojnie czekałem, ukradkiem zaciskając dłoń na rękojeści nowego noża. Nie miałem jeszcze okazji go naostrzyć (od lewej do prawej kwarcową osełką, jak uczył mnie ojciec), więc klinga miała tu i ówdzie zadziory, ale wiedziałem, że w razie czego wystarczy.

W razie czego?

Odgoniłem tę myśl. Nie miałem powodu, by cokolwiek podejrzewać.

Prawda?

Z tunelu wejściowego niedaleko miejsca, w którym siedziałem, dobiegł mnie hałas. Ptaki najwyraźniej też go usłyszały, bo zapewniły

akompaniament w postaci nerwowego machania skrzydłami. Z ciemności wyłonił się posłaniec. Rozejrzył się z zainteresowaniem, a kiedy zobaczył, jak wstaje, żeby się przywitać, zwęził oczy.

– To z tobą miałem się spotkać, prawda? – Na szczęście absolutnie nic w jego twarzy nie zdradzało, by mnie rozpoznał. Najwyraźniej podróż odmieniła mój wygląd.

– To nie pierwszy raz, kiedy się spotykamy – oznajmiłem.

– Czyżby?

– Jak najbardziej – odparłem i już miałem kontynuować, kiedy moją uwagę odwrócił odgłos dobiegający z górnych rzędów widowni. Spojrzałem w górę, zastanawiając się, czy to jakaś gra cieni sprawia, że wydaje mi się, jakby coś tam się poruszało. – Widzieliśmy się w Siwie – dodałem.

Na jego twarz nareszcie wypłynęło zrozumienie.

– Ach tak, pamiętam cię. Zadawałeś mi te nachalne pytania. Oczywiście. Dobrze, to w takim razie powiedz mi teraz, po jaką cholere mnie tu ściągnąłeś? Propozycja pracy, tak mi powiedziano, okazja do zdobycia kilku drachm. Ale bardzo wątpię, żeby taki młokos jak ty mógł mnie w jakikolwiek sposób wynagrodzić.

– I tu się mylisz, panie. Mam dużo pieniędzy, a wymagam czegoś znacznie mniej męczącego niż zadania, do których jesteś przyzwyczajony. Chodzi mi o wiadomość, którą dostarczyłeś, panie, obrońcy Siwy. Kto ją wysłał i jak brzmiała?

Jego brwi wystrzeliły w górę.

– Nie mogłeś po prostu zapytać ojca?

– To nie takie proste.

– Wyjechał zaraz po otrzymaniu wiadomości?

– Nie dziwi cię to, panie?

Pokręcił głową.

– Ani trochę. Powiedział mi, że taki ma zamiar, kiedy skończyłem recytować słowa, które kazano mi przekazać.

– I co to były za słowa?

– Nie rozpędzaj się za bardzo, synu obrońcy Siwy. Udowodnij mi, że naprawdę masz pieniądze, to będziemy... być może... rozmawiać dalej.

Sięgnąłem do wnętrza tuniki i w tej samej chwili coś się poruszyło. Rozległ się odgłos szurania sandałów po kamieniu. Natychmiast się odwróciłem i zobaczyłem, że jakaś postać wyłania się z tunelu. Na chodnik przed sceną wyszedł mężczyzna o zniszczonej, podłej twarzy, ubrany w poszarpane łachy i uzbrojony w przytroczony do pasa rdzewiejący krótki miecz. Miał w sobie coś nieobcego, nie potrafiłem jednak zorientować się, co to jest. Przez chwilę myślałem, że może to jakiś znajomy posłańca, ale zostałem w tej kwestii szybko naprostowany. Niebieskooki przybrał pochmurny wyraz twarzy i kilka razy szybko przemknął wzrokiem pomiędzy mną a nowo przybyłym.

– Co tu się dzieje? – warknął. Jego dłonie powędrowały prosto do torby na piersi i chwyciły ją kurczowo. Wbił we mnie wściekłe spojrzenie. – Coś ty zrobił? To jest jakaś zasadzka?

– Nie, nie – zaprzeczyłem szybko, przerażony, że okazja za chwilę przeleci mi koło nosa. Poczuję się nagle bardzo, ale to bardzo samotny.

– Och, ależ tak – na usta nowo przybyłego wypełził ironiczny uśmiezek.
– Powiedziałbym, że to zasadzka idealna.

13

Mężczyzna z mieczem uniósł głowę i zawołał coś w stronę schodkowej widowni. Kiedy zdałem sobie sprawę, jakie słowa opuściły jego usta, poczułem się, jakby ktoś wymierzył mi policzek:

– Tuta, może byś się już przestał chować?

Poczułem skręt w żołądku, gdy – jakżeby inaczej – Tuta zmaterializował się na zacienionej widowni i ruszył powoli w naszą stronę szczeliną pomiędzy siedzeniami. Czerwienił się ze wstydu, ramiona miał zgarbione i nie potrafił się przemóc, żeby na mnie spojrzeć, ale stanął obok mężczyzny, który – co teraz wydawało się oczywiste – był jego ojcem. Pod jednym okiem miał świeżego sińca. Poczułem się wyczerpany, jakby coś pokarało mnie za butę i głupotę, ale i jakbym w pełni sobie na to zasłużył. *Masz za swoje.*

– Dobra robota, synu – stwierdził ojciec Tuty. – Ściągnąłeś ich tu razem dokładnie tak, jak obiecywałeś. A teraz, jeśli można, prosilibyśmy o wasze pieniądze.

Uniósł miecz w złowrogim geście.

– Tuta, dlaczego to zrobiłeś? – wyrwało mi się. – Przecież bym zapłacił, dobrze o tym wiesz. Myślałem, że jesteście...

– Przyjaciółmi – prychnął ojciec chłopaka. Doleciał od niego zapach oparów piwa. – Nie, kochany, nie jesteście przyjaciółmi. On robi wyłącznie to, co mu każe, kiedy mu każe, i zaprzyjaźnia się, z kim mu każe. Czyli na pewno nie z wami dwoma. – Wskazał kołyszącym się czubkiem miecza na przestrzeń między mną a posłańcem. – Dalej, dawać te sakiewki.

– Znasz tych ludzi – zachnął się w moją stronę Niebieskooki. – Wciągnąłeś mnie w pułapkę.

– Nieprawda – odpowiedziałem szybko. – Przysięgam, że nie miałem z tym nic wspólnego. Chciałem tylko uzyskać od ciebie informacje, panie. – Zwróciłem się do Tuty: – Sądziś, że tego chciałaby twoja matka? Żebyś się zniżał do rabowania niewinnych ludzi?

– Czego chciałaby jego... – usta ojca znów wykrzywił podły uśmiezek. – Co on ci naopowiadał?

– Czyli to też było kłamstwo? Wszystko po to, żeby mnie nabrać? – wysyczałem wściekle.

Tuta przełknął ślinę i odwrócił wzrok. Drżała mu dolna warga.

– No dalej, gadaj – nalegał jego ojciec. – Nie mogę się do-i czekać, żeby usłyszeć, co za historię ci sprzedał.

– Że twoja żona i córka zginęły w pożarze, panie, a ty zacząłeś pić.

Ojciec Tuty odrzucił głowę w tył i wybuchnął dzikim śmiechem.

– I dałeś się na to nabrać? W takim razie sam jesteś sobie winien, kochany.

Do mojego nosa dotarła kolejna porcja piwnego fetoru.

– Cóż, w połowie mówił prawdę – skwitowałem. – A jak tak patrzę na te siniaki, to widzę, że trochę też pominął.

– Bohater się znalazł! – naśmiewał się. – Dokładnie tak, jak cię przedstawiał Tuta, kiedy mówił, że złapiemy cię bez trudu. Mała rybka, co myśli, że może pływać w wielkiej rzece.

Rzuciłem okiem na Tutę, który opuścił wzrok, wyraźnie zawstydzony. W tej samej chwili jego ojciec podszedł bliżej i przyłożył mi do gardła czubek miecza. Wbił we mnie swoje kaprawe spojrzenie, a widok jego odsłoniętych połamanych zębów i smród, jaki od niego emanował, sprawiły, że nagle moje myśli zalało wspomnienie mężczyzny, który w noc ataku Menny wszedł

przez okno do mojej sypialni.

Teraz jednak nie dławił mnie strach. Dziecko dorosło.

Wolną dłonią ojciec Tuty sięgnął po nóż zatknięty za moim pasem i rzucił go na ziemię. Upadając, broń wydała stłumiony brzdęk. Kątem oka zwróciłem uwagę, że wzrok posłańca wędruje w jej kierunku, i poczułem, jak moje myśli skupiają się na tym, by jakoś odwrócić go od tego zamiaru. *Nie ryzykuj!* – chciałem zawołać. *Nie teraz, kiedy zaszedłem tak daleko.* Ostrze dotykające mojego podbródka było jednak natarczywe – żadnych zadziorów – i coś ciepłego zaczęło łaskotać mnie po skórze gardła. Zdałem sobie sprawę, że to krew.

Ojciec Tuty usiłował dobrać się do mojej torby, ale nie potrafił. Nie mógł jej otworzyć jedną ręką.

– Tuta, weź jego pieniądze – nakazał zirytowanym głosem.

Nie patrząc na mnie, Tuta podszedł, odwiązał torbę, wyciągnął sakiewkę i podał ją ojcu. Na ziemię wypadło jedno z piór, które zebrałem w drodze.

Posłaniec przemieścił się o kilka kroków w stronę mojego noża.

Nie rób tego.

– Tuta – błagałem, nie przejmując się, że w wyniku ruchu ust dociskam skórę do ostrza miecza, a po moim gardle spływa nowa strużka krwi – przynajmniej powiedz posłańcowi, że nie miałem z tym nic wspólnego. Przynajmniej to, proszę.

– On nie miał z tym nic wspólnego, panie – wygłosił Tuta z naciskiem, ku mojemu zaskoczeniu spoglądając prosto w oczy posłańca. – Za wszystko odpowiadamy ja, mój ojciec i nasz parszywy sposób na życie. Ten człowiek chce tylko odnaleźć rodzinę, nie zależy mu na niczym poza odpowiedziami na pytania. Gwarantuję, że jest uczciwy, chociaż zrozumiałem, jeśli mi nie uwierzysz, panie, i jeśli masz choć trochę serca, powiesz mu, co trzeba, żeby mógł spać spokojnie.

– Zamknij pysk. Nie mogę już słuchać tych bzdur! – wybuchł ojciec Tuty i uderzył go pięścią.

Cios posłał chłopaka na ziemię.

Posłaniec dostrzegł okazję. Wykorzystując zamieszanie, zrobił kolejny krok, zgiął się, podniósł swój nóż i skoczył na napastnika, tnąc w górę.

Trafił. Ojciec Tuty zawył z bólu, a mój nóż skosztował krwi w cudzych rękach.

Atak posłańca był jednak paniczny i nieskoordynowany – typowy cios z zaskoczenia, który miał w zamierzeniu zapewnić przewagę, ale niestety nie spełnił swojego zadania, a przy tym odebrał mi wszelką możliwość, by pomóc. Niebieskookiemu udało się rozciąć udo ojca Tuty, ten jednak okazał się zaprawiony w bojach i tylko zacisnął zęby, po czym rzucił się do kontrataku, jakby nie obchodziła go rana ziejąca z dziury w tunice ani krew, która lała mu się po nodze. Jego miecz błysnął w świetle księżyca.

Posłaniec nie dostał okazji, by wyprowadzić drugi cios. W mgnieniu oka klinga miecza znalazła się w jego brzuchu. Ojciec Tuty stęknął z wysiłku, wpychając ostrze aż po rękojeść z głuchym odgłosem przypominającym wytrzepywanie prześcieradeł przez praczki na brzegu Nilu. A potem docisnął raz jeszcze, a kiedy posłaniec zgiął się w pół, obejmując rękami tułów, kaszląc i spazmując z bólu, kiedy było jasne, że już po nim, ojciec Tuty dźgnął go jeszcze raz, z czystej złości.

Teraz odwrócił się w moją stronę. Jego noga była skąpana w jego własnej krwi, klinga miecza – w krwi posłańca.

– Ty zasrany gówniarzu – zakwicział i nie byłem pewien, czy ma na myśli mnie, Tutę, czy nas obu.

Wiedziałem tylko, że panicznie się cofam i potykam piętami o leżącego na ziemi chłopaka, po czym sam zwałam się na ziemię.

Ojciec Tuty włókł się w moją stronę, ciągnąc za sobą ranną nogę, a ja

wpatrywałem się w jego miecz.

Czyli tak się czuje człowiek o krok od śmierci. Powędrowałem myślami do Ayi, do matki i do Siwy, której miałem już nigdy nie zobaczyć.

– Nie, ojczy, proszę! – wrzasnął Tuta i zasłonił mnie własnym ciałem, kiedy ostrze miecza szybowoło już w moją stronę.

Dzięki bogom – ojciec Tuty pohamował się w porę, wygłaszając przy tym inwektywę, która zwiastowała gorszą karę dla syna w domowym zaciszu. Ściągnął ze mnie syna, po czym znów ruszył na mnie ze śmiercią w oczach. Na szczęście Tuta swoim bohaterstwem zyskał dla mnie cenne sekundy. Zdążyłem się podnieść i zacząłem szukać sposobu, żeby się obronić.

– Hej, co tu się wyprawia?! – dobiegł nas krzyk z tunelu.

Ojciec Tuty obrócił się błyskawicznie, żeby zlokalizować źródło głosu, a ja zanurkowałem po swój nóż. Krzyczącym był jeden z pracowników teatru, zaniepokojony zamieszaniem. Ojciec Tuty wydał okrzyk pełen frustracji, ale porzucił zamiar mordy i nachylił się nad powalonym Niebieskookim. Wygrzebał spomiędzy jego ubrań torbę, zabrał pieniądze, po czym wyciągnął rękę w stronę biednego, pobitego Tuty, postawił go siłą na nogi i pociągnął w stronę wyjścia. W tej samej chwili u wylotu tunelu pojawił się ten, który krzyczał.

Mężczyzna zaczynał już pomstować, ale na widok miecza opuścił go rezon. Rozpłaszczył się o ścianę widowni, czekając, aż minie go rozpędzony rabuś i jego mały pomocnik.

Popędziłem do posłańca. Uklęknąłem przy nim i położyłem jedną dłoń na jego skroni. Mój wzrok powędrował ku tunicy, całej czerwonej, porozdzieranej i posklejanej od krwi. Trzy rany klute. *Łup, łup, łup.*

Wszystko moja wina. Byłem taki głupi.

Posłaniec odkaszlnął krwawo. Oczy już mu zasły mgłą. Przyłożyłem

dłoń do jego klatki piersiowej – serce biło, ale ledwo, ledwo. Szarpało się jak ranny ptak.

Było pewne, że tu umrze – umrze, i będzie to moja wina, ale mimo to musiałem poznać odpowiedź. Chociaż czułem się obrzydliwie, stawiając osobiste potrzeby ponad godność jego ostatnich chwil, nachyliłem się i powiedziałem:

– Proszę, proszę mi powiedzieć, jak brzmiała ta wiadomość.

Odszedł. Ale zanim to się stało, wyszeptał słowa, które przekazał ojcu.

Nic mi nie mówiły.

Ukucnąłem przepelniony buzującą mieszanką złości, frustracji i nienawiści. Z przeciwnej strony amfiteatru pracownik zawołał:

– Nie ruszaj się stamtąd, sprowadzę żołnierzy!

Nie zamierzałem jednak go posłuchać. Wyprostowałem nogi i nie przejmując się krzykami mężczyzny, pobiegłem po schodach na samą górę widowni.

Nad głową miałem nawis. Skoczyłem w górę, chwyciłem go i podrzucając nogi, wciągnąłem się na dach. Tam ponownie kucnąłem i zacząłem się rozglądać z mojego nowego tarasu widokowego, który zapewniał mi widok Sauti z lotu ptaka.

Duże połacie miasta tonęły w ciemnościach, jako że zapalacze pochodni dopiero zaczynali obchód. Ulice były więc stosunkowo wyludnione. Odniosłem wrażenie, że dostrzegam to, czego szukam, dwie ulice dalej: starszego, kulejącego mężczyznę i młodego chłopca, obu w pośpiechu.

Wstałem i oceniłem dystans pomiędzy nawisem a sąsiednim płaskim dachem, który należał do prywatnego domu, a może sklepu. Do ziemi miałem spory kawałek i nie widziałem ani markiz, ani niczego miękkiego, co mogłoby złagodzić upadek, jeśli nie trafię.

Wziąłem kilka głębokich oddechów, przykucnąłem, poczułem, jak napinają się moje mięśnie nóg... i skoczyłem.

Udało mi się. Moje stopy przyległy do podłoża, pęd pociągnął mnie dalej przed siebie, przez pierwszy dach i potem – *hop* – drugi. Na dachach znajdowały się przygotowane miejsca do spania, ale na szczęście nie było na

nich jeszcze ludzi. Pędziłem, starając się utrzymać Tutę i jego ojca w zasięgu wzroku, przeskakując z dachu na dach.

Moje serce łomotało. Co zrobię, kiedy ich dogonię? Nie miałem pojęcia. Napędzało mnie poczucie niesprawiedliwości, wrażenie, że popełniłem okropny błąd, i potrzeba odkupienia winy.

Nie ustawałem w pogoni. Opuściliśmy ściśle centrum i znaleźliśmy się w dzielnicy, w której było więcej domów mieszkalnych. W końcu dotarłem do przerwy pomiędzy dachami, zbyt szerokiej, bym mógł ją przeskoczyć, i uznałem to za sygnał, że czas zejść z powrotem na ziemię. Schowałem się za stojącą na ulicy dwukólką i oceniłem sytuację.

Przekląłem. Ani śladu po mojej dwójce, ale...

Wyszedłem z kryjówki i rozejrzałem się po ziemi. O, tak, ślady krwi. Podążyłem za nimi na koniec ulicy, gdzie się urywały.

Do miejsca, w którym się zaszyli.

Stałem przed zwyczajnym domem, jednym z wielu w tej spokojnej alejce. Ślady krwi prowadziły prosto do jego drzwi. Podszedłem na tyle blisko jednego z okien, na ile starczyło mi odwagi, i wyteżyłem słuch.

Ze środka dochodziły odgłosy awantury. Ojciec Tuty przeklinał. Rozległ się odgłos uderzenia w policzek, a następnie okrzyk bólu Tuty, co sprawiło, że zacisnąłem zęby z wściekłości.

Co miałem robić? Byłem przekonany, że ranny ojciec Tuty położy się do łóżka. W końcu z jego perspektywy, jeśli nie liczyć nogi, która ucierpiała, napad zakończył się powodzeniem. Zdobyli pieniądze. Nie mógł wiedzieć, że ktoś podążał ich tropem.

Właściwie zależało mi tylko na odzyskaniu mojej sakiewki.

Zakradłem się na tył domu, który z każdą chwilą spowijała coraz gęstsza ciemność, dziękując w duchu, że sąsiedzi nie kręcą się na dworze. Tak jak się spodziewałem, z jednego z tylnych pomieszczeń dobiegały odgłosy

świadczące o tym, że Tuta pomaga ojcu położyć się do łóżka. Stary rabuś narzekał, domagał się piwa na uśmierzenie bólu i miodu do obłożenia rany.

Doskonale. Pij i zaśnij kamiennym snem.

Przemieściłem się w najciemniejszy kąt tylnego podwórza. Klucząc pomiędzy rozrzuconymi po ziemi glinianymi cegłami, dotarłem pod ścianę, przysiadłem na progu i postanowiłem poczekać, aż uznam, że mogę bezpiecznie wejść.

Ile czasu tam spędziłem? Nie wiedziałem, bo choć byłem nauczony, jak liczyć czas z ruchu gwiazd, nie robiłem tego. Ważne, że kiedy prześlizgiwałem się z powrotem do frontowego wejścia, we wnętrzu panował zupełny spokój.

Wyciągnąłem nóż z za pasa. Broń, której nigdy nie użyłem z wrogiem zamiarem, nie dodawała mi wiele otuchy, ale zdawałem sobie sprawę, że jest lepsza niż nic. Drżącymi dłońmi rozsunąłem moskitierę i wszedłem do środka.

Pokój frontowy był prawie nieurządzony. Ani jednego taboretu, poduszki czy dywanu, do których przyzwyczały mnie domy w Siwie. Żadnych wygod. Na jedynym meblu – stole – obok pomrużującej świeczki leżała przewrócona gliniana manierka, zardzewiały krótki miecz ojca... i dwie sakiewki z pieniędzmi.

W mroku, pod ścianą przeciwległą do drzwi, siedział Tuta. Widząc, że ktoś wchodzi, podniósł się na nogi i zanim mnie rozpoznał, zdążył wydać krótki okrzyk zaskoczenia: – Hej!

Skrzywiłem się. Przemknęło mi przez myśl, że jeśli zawoła jeszcze raz, narobi rabanu, zaraz przybiegnie jego ojciec. Nie miałem przecież pewności, że jest po mojej stronie. Na szczęście bałem się niepotrzebnie, bo zamarł tak samo jak ja. Wgapieni w siebie nasłuchiwaliliśmy uważnie, czy zdławiony krzyk wyrwał ojca ze snu. Twarz Tuty była ciężko posiniaczona i widać było, że płakał. Butny dzieciak, którego poznałem dzisiejszego popołudnia, zniknął. Jego miejsce zajął przerażony i zmaltretowany mały chłopiec.

Z pokoju na tyłach nie dobiegł żaden dźwięk. Podszedłem do stołu, zgarnąłem obie sakiewki i schowałem je do torby. Pomyślałem, że może uda mi się ustalić, czy posłaniec miał rodzinę, i przekazać im pieniądze. Zacząłem formować w głowie plan, żeby wrócić na ulicę, na której go znaleźliśmy, i przepytać jego znajomych.

Najpierw jednak musiałem wydostać się z tego domu.

Tuta obserwował bezgłośnie, jak zabieram pieniądze, ale dobrze wiedziałem, co znaczą jego wyraz twarzy i drżąca dolna warga. Zastanawiał

się, jak zareaguje jego ojciec, kiedy się obudzi. Próbował się domyślić, jak mocno dostanie w skórę.

– Chodź – wyszeptalem. – Idziesz ze mną.

Potrząsnął głową i wycofał się pod ścianę, gdzie najwyraźniej czuł się bezpieczniej.

– Chcesz tu zostać i dostać po pysku? – wysyczałem. – Jak zauważy, że tu byłem i zabrałem pieniądze, pewnie cię zabije.

– To ich nie bierz, panie... – błagał Tuta.

Pokręciłem głową.

– Przykro mi, ale połowa tych pieniędzy należy do mnie, a druga do posłańca, a w każdym razie do jego rodziny. Chodź ze mną. Wcześniej mówiłeś, że mieszkasz na ulicy. Każde życie jest lepsze niż to, które masz z nim.

– On mnie znajdzie.

– To wyjedź ze mną.

Nie wiedziałem co prawda, dokąd, ale jak miałem się zachować? Zamilkł. Wyglądało, jakby się zastanawiał.

– Skąd mam wiedzieć, że to nie pułapka? – odparł w końcu, patrząc w bok. – Że nie chcesz się, panie, zemścić za to, co zrobiłem?

– Uratowałeś mi życie tam, w teatrze. Chcę ci się za to odwdziaczyć.

Chyba nareszcie go przekonałem, bo pokiwał głową i ruszył w moją stronę.

W tej samej chwili w pokoju pojawił się jego ojciec.

Włosy miał rozczochrane, a jego nogę pokrywała łuszcząca się, zaschnięta krew. Zaryczał i podskoczył na zdrowej nodze do Tuty, sprawiając wrażenie, jakby nie obchodził go nóż, który trzymałem w dłoni.

– Kradniesz moje pieniądze, gówniarzu?! – krzyknął, chwycił syna za kark jak niegrzecznego psa i przyciągnął z całej siły do siebie. – Tylko

spróbuj! Tylko spróbuj!

– Nie, ojcze, nie – prosił Tuta, ale stary nie słuchał, tylko okładał go zdrową nogą.

Po chwili przestał, jakby nagle przypomniał sobie o mojej obecności i – jakżeby inaczej – o pieniądzach. Jego oczy powędrowały ku blatowi stołu. Zauważył, że sakiewki zniknęły, i spojrzał na mnie wściekle. Zanim zdążyłem zareagować, rzucił się w moim kierunku.

Moje próby odpędzenia go przy pomocy noża spełzły na niczym. Był ode mnie o wiele cięższy i kiedy wpadł na mnie z wielką siłą, nogi się pode mną ugięły. Przewracając się, uderzyłem potylicą o kamienną podłogę i rozdzwoniło mi się w głowie. Napędzany wściekłością, która dodawała mu sił, przygwoździł mnie do ziemi nogami i zacisnął palce jednej dłoni wokół mojej szyi. Sapał, a kropelki śliny, które wypluwał, spadały mi na twarz. Poczułem jednocześnie, że moja tunika przesiąka krwią, i zdałem sobie sprawę, że to z jego nogi. Gdzieś daleko w tyle mojego umysłu pojawiła się nadzieja, że może się wykrwawi i straci przytomność, zanim uda mu się ze mną skończyć.

Jego palce naciskały. Próbowałem wciągnąć powietrze do płuc, ale nie byłem w stanie. Kiedy odwróciłem głowę, dostrzegłem Tutę, który leżał bez ruchu z zamkniętymi oczami, ogłuszony albo nieprzytomny. Chwyciłem jego potężną, zrogowaciałą dłoń, usiłując rozewrzeć palce. W odpowiedzi sięgnął drugą ręką za plecy, zaczął przebierać palcami po stole, szukając swojego miecza.

I w tej samej chwili przemknął za nim jakiś cień. Nie Tuta. Ktoś nowy. Czyjaś dłoń odepchnęła miecz, który upadł z brzękiem na ziemię. Następnym, co zobaczyłem, była gliniana cegła unosząca się i opadająca, roztrzaskująca się o głowę ojca Tuty sekundę po tym, jak zdał sobie sprawę, że ktoś zabrał mu broń. Jego oczy wywróciły się tak, że było widać tylko

białka, uścisk zelżał i po chwili ojciec Tuty opadł na bok.

W nikłym świetle świeszki, która wciąż jakimś cudem się paliła, dostrzegłem osobę, która przyszła mi z odsieczą.

Aya.

16

– Dobrzy bogowie! – Aya przyklękła i objęła dłońmi moją twarz.

Spojrzeliliśmy na siebie i zwróciłem uwagę, że podobnie jak na mnie, odbiła się na niej długa podróż przez pustynię. Jej zaplecione w warkocze włosy były zmatowione i brudne, a twarz umorusana pyłem.

Pocałowaliśmy się, ale nie było czasu na nic więcej ani na wyjaśnienia. Ojciec Tuty jęczał na ziemi i usiłował się podnieść. Aya pomogła mi wstać i zaczęła ciągnąć mnie w stronę drzwi, ale ją powstrzymałem.

– Tuta! – zawołałem do chłopaka. – Ostatnia szansa. Chodź.

Tym razem nie potrzebowałem dłuższej namowy. Całą trójką wypadliśmy na zewnątrz i popędziliśmy kamienną ulicą. Tupot naszych stóp niósł się echem pomiędzy budynkami.

– Skąd się tu wzięłaś?! – spytałem, biegnąc.

– Przyjechałam konno, tak samo jak ty. W ogóle to nasze konie stoją w tej chwili w tej samej stajni i opiekuje się nimi pewien młody człowiek, który pamiętał ciebie i zna tego tu – wskazała na chłopaka. – Wystarczyło mu trochę posmarować, żeby zdradził, gdzie mieszka Tuta.

– Sukinsyn! – zachnął się chłopak, ale na widok naszych wściekłych spojrzeń zaraz przyjął przeproszający wyraz twarzy.

– Przyznaję, że nie spodziewałam się, że znajde was razem – wyjaśniła. – Ale czy to powód do narzekania?

– Nie dla mnie – wtrącił Tuta – ale musimy wrócić do stajni, odzyskać wasze wierzchowce i uciec stąd jeszcze dziś w nocy. Ojciec wie, że trzymasz tam konia, panie. Jeśli tu zostaniesz, z pewnością cię dopadnie.

Podczas gdy my z Ayą przygotowywaliśmy konie, chłopak stajenny i Tuta wymieniali nerwowe spojrzenia. Tuta wyraźnie chciał powiedzieć znajomemu, co o nim myśli, ale postanowił się nie odzywać.

Wsiedliśmy na konie najszybciej, jak się dało, i niedługo później mieliśmy już Sauti za plecami. Nic nie wskazywało, by ojciec Tuty nas gonił.

Spędziliśmy może dwie godziny, jadąc przed siebie. Tuta dzielił konia z Ayą, której trzymał się kurczowo. Zaczynało świtać, kiedy zatrzymaliśmy się i rozpaliliśmy ognisko. Upiekliśmy ryby kupione – a może wyłudzone – przez Ayę od rybaka, na którego natknęła się u brzegu Nilu.

Zleciliśmy Tucie zebranie drewna do podtrzymania ognia, a sami oddaliliśmy się trochę, żeby spokojnie porozmawiać. Szliśmy, podtrzymując się nawzajem niczym wyczerpani żołnierze wracający z bitwy, po czym z przyjemnością rozsiedliśmy się na piasku. Głowa Ayi znalazła swoje zwyczajowe miejsce na moim ramieniu i tak odpoczywaliśmy na tle świeżającego słońca, przyglądając się, jak Tuta pracowicie zbiera wyschnięte gałęzie. Przez pewną chwilę jedynym odgłosem, który dobiegał do naszych uszu, był chrobot krzesiwa. Odniosłem wrażenie, że pustynia jest nienaturalnie cicha, jakby poza naszą trójką nie było na świecie nikogo więcej.

– Dlaczego to zrobiłeś? – spytała Aya.

– Muszę znaleźć ojca. Muszę mu udowodnić, że...

– Nie o to mi chodzi. Dlaczego tak się zachowałeś?

Przez chwilę milczałem, czując, jak kotłuje się we mnie poczucie winy.

– Nie wiedziałem, czy inaczej uda mi się wyjechać – wydusiłem wreszcie. – Nie byłem pewien, czy będę w stanie się z tobą rozstać.

– W każdym razie więcej tak nie rób. Nigdy więcej. Żeby się wymykać bez pożegnania... ?

– Przepraszam.

– Dobrze, w takim razie opowiedz mi wszystko, co się wydarzyło – poprosiła.

Opowiedziałem. Aya wysłuchiwała całej historii, poczynając od wizyty w domu Rabii, a kończąc na sytuacji, w której mnie zastała.

Niczego nie pominąłem.

– I tak brzmiała ta wiadomość? – Stwierdziła, kiedy skończyłem. – „Przybądź jak najszybciej do Lokacji »Matka«. Obawiamy się, że Zakon zbiera siły”.

– Właśnie tak.

– Lokacja „Matka” – zastanowiła się. – Tajne miejsce spotkań. Mówi ci to coś?

– Nie.

– A ten Zakon?

Pokręciłem głową.

– Nie obilo ci się o uszy coś takiego, jak podsłuchiwałeś rodziców?

– Nie. – I kiedy wypowiedziałem te słowa, na chwilę odebrało mi mowę.

Zdałem sobie w pełni sprawę, jak mało zdziałałem mimo tak wielkiego wysiłku. Przecież dwukrotnie otarłem się o śmierć, nie mówiąc o tym, że przez moją nieporadność i brak doświadczenia życie postradał zupełnie niewinny człowiek.

– A teraz zwyczajnie nie wiem, co robić – przyznałem. – Nie wiem, od czego zacząć, gdzie się udać.

Otoczyły mnie ramiona Ayi, co podniosło mnie na duchu.

– Cóż, wiedziałbyś – wyjaśniła mi – gdybyś spokojnie posłuchał Rabii do końca. Powiedziała ci o Kensie, prawda? A o tym, co się stało po ataku Menny na świątynię?

– Nie...

– Jeden z kapłanów zginął podczas napadu, prawda? Pamiętasz to?

– Tak, ale jak przez mgłę.

– Dobrze. To wiedz, że z tym kapłanem było trochę inaczej. – Spauzowała na chwilę. – Zginąć zginął, ale następnego dnia, z ręki Nubijczyków działających na polecenie twojego ojca. Okazało się, że był potajnym współpracownikiem Menny i przekazywał mu informacje.

Przypomniałem sobie, jak pewnego dnia odwiedziłem obozowisko Nubijczyków i odkryłem, że zostało porzucone.

– Nigdy więcej nie widziałem się z Kensą. To dlatego zniknęła z Siwy?

– Nubijczycy dostali misję do wykonania, również od twojego ojca. Wytropić Mennę i jego ludzi, a następnie rozprawić się z nimi raz na zawsze. Według Rabii Kensa wyrosła na przywódczynię i teraz kieruje poczynaniami swojego plemienia. Niestety, mimo że zdziesiątkowała szajkę Menny, nie wykonała głównej misji. Menna i niektórzy z jego oficerów wciąż są na wolności.

– I tego zdaniem Rabii dotyczyła wiadomość od posłańca? – spytałem.

Nie widziałem jej twarzy, ale wyczułem, że zrobiła krzywą minę.

– Cóż, tak powiedziała, owszem.

– Nie jesteś przekonana?

– Nie, nie bardzo. Myślę, że może Rabia pokierowała nami zgodnie z jakimś własnym planem.

– Zaplanowała, że dokooptujemy miejską pól sierotę i rozbijemy obóz na pustyni, nie mając pojęcia, za co się zabrać?

– Ale nie do końca tak jest, prawda? Wiemy przecież, co powinniśmy robić, i ty też byś wiedział, gdybyś nie uznał za stosowne zwać z Siwy w środku nocy. Rabia zasugerowała, żebyśmy udali się do Teb, odnaleźli Kense i poprosili ją o pomoc.

– Wybacz, ale wizja wykonywania poleceń Rabii nie przepełnia mnie entuzjazmem. Jak dotąd nie przyszło mi z tego wiele dobrego.

– Naprawdę tak uważasz? – spytała.

Zastanowiłem się chwilę.

– Nie – przyznałem – może i nie. Podejrzewam, że to za jej namową pojechałaś moim śladem.

– W takim razie zjedźmy coś, prześpijmy się i jutro ruszajmy do Teb – zakomenderowała.

– Jest to jakiś plan – zgodziłem się – aczkolwiek dostrzegam taką trudność, że nie mamy pojęcia o Tebach. Zobacz, co się stało, kiedy próbowałem załatwić swoje sprawy w Sauti, wychodząc z założenia, że jakoś to będzie.

– W tej akurat sprawie mogę się przydać, panie – wtrącił się Tuta.

Byliśmy tak pochłonięci swoją rozmową, że nie zauważyliśmy, kiedy do nas podszedł. Za jego plecami jasno płonęło ognisko. Tańczące pomarańczowe płomienie tworzyły lustrzane odbicie miedzianej poświaty wschodzącego słońca.

– Znasz Teby? – spytała Aya.

Wiedziałem, że rozważa jego użyteczność, mając na uwadze wszystko, co jej opowiedziałem.

– Moja matka i siostra tam mieszkają – odpowiedział, wykazując się dostatecznym taktem, żeby rzucić mi przy okazji speszzone spojrzenie.

– Ta matka i siostra, one naprawdę istnieją, tak? – spytałem.

– To, co ci opowiedziałem, panie, było w połowie prawdą – wyjaśnił Tuta. – Naprawdę mieszkaliśmy w Tebach. To tam spędziłem pierwsze dziesięć wiosen mojego życia, tyle że mój ojciec narobił sobie poważnych wrogów i musieliśmy uciekać do Sauti. On bił moją matkę tak samo regularnie i dotkliwie, co siostrę i mnie. I myślę, że nie muszę mówić, że również dużo pił.

– Przyznaję, że mnie to nie dziwi – odparłem.

– Nasz dom naprawdę się spalił, panie. Ojciec wywrócił po pijaku latarnię. Tego moja mama już nie zniosła. Zabrała siostrę i wróciła do Teb.

– A ty zostałeś?

Tuta odpowiedział żalosnym uśmiechem.

– Lojalność czy coś z tych rzeczy...

– Tuta, możesz pojechać z nami – oznajmiła Aya. – Chętnie się zgodzimy, żebyś towarzyszył nam w podróży. A kiedy dotrzemy do Teb, udowodnisz nam, że jesteś coś wart.

– Oczywiście. Zobaczysz, pani.

Upiekliśmy ryby, a potem poszliśmy spać, Aya i ja przytuleni na piasku, Tuta nieopodal. Po pewnym czasie obudziły nas parzące promienie słońca i choć wciąż byliśmy zmęczeni, ruszyliśmy ku Tebom. Nie mogłem wyrzucić z myśli ostatnich słów posłańca.

Co oznaczały? Czymże był ten Zakon?

– Zakon rzekomo ma nas za pozbawiony znaczenia, niegroźny relikw przesłości – wściekał się Sabu. – Hemonie, powiedz, czy coś się stało?

Starzec wyduł usta. Rozsadzała go złość. Kiedyś krzyczałby tak samo jak Sabu, ale choć wciąż był mężczyzną solidnej postury, miejsce jego mięśni zajęły ścięgna, wiek przytępił zmysły, a awantury nie sprawiały mu już przyjemności.

– Prawdopodobnie tego właśnie musimy się dowiedzieć – odpowiedział w końcu.

– Nasz mistrz dziękuje ci za pracę, którą dla nas wykonałeś – oznajmił Sabestet, stawiając przed Sabu filiżankę ciepłego naparu z karobu.

Ojciec Bayeka musiał dołożyć wszelkich starań, by pohamować falę irytacji.

Zrobił to, o co poprosili go Hemon i Sabestet, czyli udał się w podróż do Hebenu. Tam odkrył, że gospodarstwo Emsafa ma nowych właścicieli, którzy odnieśli się do niego z wielką nieufnością.

Ich reakcja była uzasadniona: nie dość, że mieli świadomość czegoś, o czym Sabu dowiedział się dopiero chwilę wcześniej, czyli że gospodarstwo potrzebowało nowych opiekunów, bo żona i syn Emsafa zostali brutalnie zamordowani, to na dodatek, kiedy ich odwiedził, był cały pokryty brudem podróży, ledwo trzymał się na nogach i miał rozbiegany wzrok.

Sabu nie znał Emsafa dobrze, jednak był z nim spokrewniony i choć nigdy nie spotkali się w terażniejszości, wiązała ich przeszłość, a także, nierozzerwalnie, przyszłość. Sabu całe życie wierzył, że pewnego dnia będą

walczyć ramię w ramię o odnowę tradycyjnej, jedynie słusznej kultury Egiptu.

Śmieszne, jak łatwo można unicestwić taką absolutną pewność.

– Jak zginęli? – spytał.

– Ponoć ktoś ich zasztyletował. – Nowi właściciele nie widzieli ciał, rzecz jasna. – Rozumiesz, panie, myśmy nie mieli nic wspólnego z ich śmiercią.

– Tak, spokojnie. – Jego obecność wyraźnie niepokoiła mężczyznę i jego żonę.

Sabu spędził całe życie w Siwie, broniąc takich jak oni, i świadomość, że napawa tę parę lękiem, że wnosi w ich życie strach, była dla niego bardzo trudna do zniesienia. Próbował rozładować napięcie, uśmiechając się, ale na próżno. Pozostało mu zdobyć informacje, których potrzebował, i jak najszybciej zostawić tych ludzi w spokoju.

– Nie znaleziono ciała mężczyzny? – spytał, mając na myśli Emsafa.

Zapewnili go, że nie.

– A co się stało z dobrami rodziny?

Większość pochowano razem z nimi, zgodnie z tradycją. Pozostałe przedmioty nowi właściciele schowali, ale nie było wśród nich niczego naprawdę przydatnego. Po prostu nie chcieli ich wyrzucać, na wypadek gdyby pojawił się jakiś przyjaciel albo krewny. Bez oporu przekazali mu pakunek, żeby mógł go spokojnie przejrzeć.

Tak zrobił.

Medalionu nie było. Dzięki serii pomysłowych pytań ustalił, że przedmiot nie został pogrzebany z matką i synem.

Opuścił więc Hebenu i pokierował się w stronę Dżerti, gdzie stał dom Hemon. Jechał niemal bez przerwy, aż na horyzoncie zamajaczyło miasto. Ze środkowego placu sterczał granitowy obelisk postawiony przez faraona

Userkafa, a niedaleko niego stała świątynia boga wojny Montu, który normalnie występował w postaci sokoła, ale rozwścieczony objawiał się jako biały byk o czarnej twarzy.

Symbolika bardzo na miejscu.

Wewnątrz spotkał się z Hemonem.

– Myślisz, że na nas polują? – spytał.

Mistrz pokiwał głową.

– To jedyne wytłumaczenie.

– W takim razie stajemy do walki.

– Ach, stajemy...? – Hemon spojrzał na Sabesteta.

Sabestet w odpowiedzi nakierował swoje mlecznobiałe, niewidzące gałki oczne na Sabu.

– Nasz mistrz jest ciekaw... Chciałby poznać imiona wojowników składających się na naszą armię.

Sabu przewrócił oczami. Wiedział, że ten temat w końcu wypłynie.

– Zacząłem trenować Bayeka, ale nie jest jeszcze gotów.

– Doprowadzenie do tego, żeby był, jest twoim obowiązkiem.

– Cierpliwości. Poza tym nie zapominajcie, że Emsaf też szkolił swojego syna i nic to nie pomogło. Nasze szyki się wykruszyły. Staliśmy się przez to podatni na atak.

– Bez wątplenia – warknął Hemon – i dlatego właśnie musi my zadbać o liczebność, a jednym ze sposobów, by to osiągnąć, jest...

– Tak, tak. Doprowadzę do końca szkolenie Bayeka.

– Kiedy?

– Kiedy uznam to za stosowne.

– Nie za późno na takie stwierdzenia? – stwierdził Hemon. – Zanim zdecydujesz, że się nadaje, Zakon nas unicestwi.

– Zostawcie Bayeka mnie. Teraz najważniejszym zadaniem, które przed

nami stoi, jest odkryć, kto chce nas pozabijać, i zrobić z nim porządek, zanim doprowadzi swój plan do końca. Mam rację?

Hemon skinął na potwierdzenie.

– A jak planujesz się za to zabrać?

– Mam kilka pomysłów. Najpierw chciałbym się dowiedzieć... dlaczego teraz? Skąd to nagłe zainteresowanie, ta chęć wymazania nas z powierzchni ziemi?

Hemon jeszcze raz pokiwał głową.

– Dobre pytanie. Z tego, co na razie wiemy, początek temu dało jakieś zdarzenie, które miało miejsce w Aleksandrii.

CZEŚĆ II

Kilka miesięcy wcześniej

Pewnego dnia wczesnym rankiem były żołnierz imieniem Raia przybył do Biblioteki Aleksandryjskiej. Pojawił się tak wcześnie, że jeden z dozorców wciąż smacznie spał zgarbiony pod ścianą przy wejściu. Opuszczona głowa unosiła się i opadała w rytm ruchów klatki piersiowej, a cienka, srebrzysta wstążka śliny połyskiwała delikatnie we wstającym słońcu. Raia z ledwością powstrzymał odruch, żeby ocucić mężczyznę kopniakiem, i wszedł, niedostrzeżony i niezaczepony przez nikogo, do wielkiej sali wejściowej biblioteki.

We wnętrzu sprawy miały się zupełnie inaczej. Nie było mowy o spaniu.

Ktoś inny mógłby się poczuć przytłoczony wysokimi rzeźbionymi kolumnami, których rzędy ciągnęły się od miejsca, w którym stał Raia, po nakryty poranną mgłą ogród, gdzie nauczyciele przechadzali się z podopiecznymi. Uczniowie spragnieni mądrych słów matematyków i astronomów wypełniali kamienne ławy audytoriów.

Ktoś inny zagwizdałby z wrażenia na widok tysięcy zwojów ułożonych w otworach przypominających te w plastrach miodu, na setkach regałów zajmujących olbrzymią powierzchnię we wszystkie strony od wejścia. Ktoś jeszcze byłby pod wrażeniem rzeźb i reliefów, przepelniającej budynek atmosfery skrzętnej pracy, wilgotnego, zakurzonego powietrza kojarzącego się z wiedzą i mądrością, świadomości, że ma się na wyciągnięcie ręki składnicę wszelkiej wiedzy ludzkiej – przeszłej, obecnej i prawdopodobnie

przyszłej.

Ktoś inny, być może.

Raia przystanął, żeby się zorientować, gdzie powinien iść. Przyglądał się młodym uczonym obu płci przechadzającym się to w jedną, to w drugą stronę, szorującym sandałami po kamiennej podłodze. Nie chodziło o to, że budynek nie robił na nim wrażenia. Nieprawda – podobnie jak wszyscy, uważał go za imponujący. Rzecz jednak w tym, że kiedyś był żołnierzem, wojownikiem, który zasłynął stalowymi nerwami, niezłomną wolą i determinacją w starciach z nieprzebranymi zastępami wroga. Biblioteka była w jego oczach wymysłem osób, które nie miały nic lepszego do roboty.

A skoro o wilku mowa...

Zamierzał spytać o drogę jednego ze starszych bibliotekarzy, którzy krążyli pomiędzy półkami, trzymając naręcza zwojów, ale okazało się, że nie ma potrzeby. Kiedy tylko się zatrzymał, dopadło go echo rwącego kaszlu Teotyma, odgłosu, który niezmiennie doprowadzał go do szału – podobnie jak innych pocieranie zębami albo strzelanie w kościach.

Ruszył w stronę, z której dochodził dźwięk. Przypadkiem zerknął w lewo i dostrzegł oczy przyglądające mu się poprzez luźno zwinięte pergaminy. Szpieg? Kiedy dotarł do narożnika regału, zobaczył, że nie – tylko ciekawski uczeń – ale na wszelki wypadek i tak zestrofował go twardym spojrzeniem. Młodzieniec skulił ramiona, opuścił głowę i odwrócił się do niego plecami.

Znów ten kaszel. Raia w końcu dotarł do narożnika budynku, gdzie przy jednym ze stołów Teotym miał swoje małe obozowisko. Dostrzegł kilka rozwiniętych dokumentów, a na jego oczach starzec wracał z kolejnymi.

Zwoje nie ważyły wiele, ale Teotym i tak ugiął się pod ich ciężarem. Przemieszczał się powoli i lekko powłóczył jedną nogą, a kiedy uniósł głowę i dostrzegł Raię, jego oczy zaszyły mgłą. Najpierw wyrażały strach i zaskoczenie, jakby Raia przyłapał go na czymś niezgodnym z prawem, a po

chwili pojawiło się w nich zmieszanie, bo ewidentnie potrzebował trochę czasu, żeby rozpoznać, z kim ma do czynienia.

Spoglądając z góry na zniedołężniałego mężczyznę, który przynajmniej oficjalnie był jego zwierzchnikiem, Raia przeklinał los, że pokarał go stanowiskiem podopiecznego Teotyma. Od samego początku miał pewne wątpliwości. Starzec był w oczywisty sposób niesprawy fizycznie i potrzebował nie tyle asystenta, ile opiekuna. A rok wspólnej pracy tylko utwierdził Raię w przekonaniu, że poważanie, którym darzono Teotyma w Zakonie Pradawnych, miało charakter sentymentalny i wynikało z opacznie rozumianej lojalności.

Zakon powstał wieki temu, a jego misją było przygotowanie Egiptu do przyjęcia nowej formy rządów zainicjowanej przez Aleksandra Wielkiego z tronu w Memfis. Każde kolejne pokolenie przywódców Zakonu realizowało, a czasami i dostosowywało do nowych potrzeb, wiodącą ideologię Zakonu, którą można było streścić w jednym słowie: oświecenie. Odejście od starego porządku – od opartej na strachu tyranii bogów, kapłanów i faraonów – i wprowadzenie w jego miejsce nowoczesnego ładu, dającego ludziom możliwość samostanowienia.

Dawno temu Teotym był jedną z kluczowych postaci Zakonu i dokładał niebywałych starań, by organizacja podążała ustalonym torem. W tamtych czasach, rzecz jasna, w jego żyłach płonęła pasja. Biblioteka posiadała nawet zbiór zwojów z transkrypcjami jego wielkich oratoriów i legendarnych debat, w których wziął udział. Był naprawdę wybitnym człowiekiem. Postrachem wrogów.

Raia żałował, że nie poznał tamtego Teotyma, mężczyzny, który zajmował zasłużone miejsce wśród najwybitniejszych myślicieli i prawodawców Zakonu. Nie podobało mu się, jakie myśli wzbudzał w nim teraz. Zbyt mocno uzmysławiały mu to, co czeka jego samego, jeśli dożyje

sędziwego wieku. Męczyła go też pogarda, którą odczuwał za każdym razem, gdy kierował wzrok na swojego przełożonego, odruch, by zlekceważyć tradycyjny salut, którym Teotym go witał, tak jak teraz, kiedy wreszcie w jego zamglonych oczach pojawiła się iskierka zrozumienia i usiadł z powrotem przy swoim stole.

– Witaj, mój drogi.

Miał długie, siwe włosy i przeredzoną, zaniedbaną brodę. Uśmiechnął się, odsłaniając krzywe, zniszczone zęby, jak zwykle z nadzieją, że jego serdeczne powitanie zostanie odwzajemnione.

Nic z tego. Raia prychnął w duchu na widok opłakanego stanu starego uczonego, a jego umysł odnotował to, co zobaczył, jako kolejne uzasadnienie odczuwanej pogardy.

– Teotymie – zaczął Raia – cóż mnie sprowadza do biblioteki o tak nieludzkiej godzinie?

– Dostałem pewne zadanie do wykonania. – Oczy Teotyma wróciły do zwojów, które rozłożył na stole.

Jego palce tańczyły po znakach. Raii nie zdziwiło, że starzec „dostał zadanie”. Pewien członek Zakonu, przewyższający rangą ich obu, miał w zwyczaju zlecać Teotymowi różne żmudne i mało znaczące zajęcia pomyślane tak, by wykorzystywały szeroko zakrojoną wiedzę uczonego. Oznaczało to, niestety, że umiejętności Raii, który był wojskowym taktykiem, były niewykorzystywane.

– I na czymże polega to zadanie? – spytał Raia, wzdychając w myślach.

– Na ocenie pewnego zjawiska, można by powiedzieć – odparł Teotym. Pochylił się nad blatem, zmrużonymi oczyma przyjrzał się uważnie zwojowi, który czytał, i wskazał płasko ułożoną dłonią pewien ciąg słów. – Oho! – rozentuzjasmował się.

– Co?

Teotym przywołał go gestem dłoni.

– Widzisz to?

Raia przeszedł na drugą stronę stołu. Niektóre zwoje były zapisane greckim alfabetem, który znał, i z tego, co widział, dotyczyły głównie Teb. Na pozostałych widniało pismo, którego nie rozpoznawał.

Przyznał się do tego, a Teotym zacykał językiem, co w zamierzeniu miało być zabawne.

– To jest stare pismo demotyczne – wyjaśnił, wskazując na zwój. – Ale skąd taki młodzik ma to wiedzieć.

– No i? Nie mógłbyś po prostu powiedzieć mi, co tam znalazłeś?

Starzec zachichotał.

Dobre chociaż to, że dzięki mnie masz się z czego pośmiać na stare lata – pomyślał Raia. Do niczego więcej nie jestem tu przydatny.

– To słowo, o tu – wskazał Teotym. – Wiesz, co ono oznacza?

– Obawiam się, że nie. I byłbym wdzięczny, gdybyś mnie oświecił, zanim opuści mnie wszelka chęć do życia.

Teotym uniósł wzrok. W jego zwężonych oczach lśniła niespodziewana przytomność umysłu i świadomość dawnych tajemnic. Uśmiechnął się leniwie, a Raia, widząc jego wyraz twarzy, zmusił się, żeby nie zrobić kroku w tył.

– Medzajowie.

Kilka tygodni po odkryciu Teotyma Raia obudził się w aleksandryjskim domu publicznym z głową pełną dojrzewających pomysłów. Uścił należność, opuścił lokal i wrócił do domu, by poczynić plany. Plany te były zawile, a ich realizacja miała wymagać wiele pracy, ale dużo ważniejsze dla niego było to, że mogły skutecznie i stosunkowo bezboleśnie zapewnić mu awans do szeregów przywództwa Zakonu.

W pierwszej kolejności potrzebował tłumacza.

Nie, w drugiej. Najpierw musiał zrobić coś innego – dokonać czynu, o którym wiedział, że sprawi mu wiele satysfakcji.

Kiedy położył fundamenty pod swoją intrygę, pożegnał się z żoną i dwiema córkami, po czym opuścił Aleksandrię w wynajętej łodzi, która powiozła go rozfalowaną, lazurową rzeką w stronę Fajum.

W niewielkiej odległości od miasta zszedł z pokładu, kupił konia i podążył ku domowi mężczyzny znanego jako Bion, zabójca ludzi.

Zastanawiał się, czy jego dawny towarzysz broni wciąż maluje powieki kohlem.

I czy oczy te wciąż są tak samo wyzute z emocji, co kiedyś.

Dom Biona stał na pograniczu Pustyni Czarnej, niedaleko Fajum, i był jednym z niewielkiej liczby rzadko rozrzuconych budynków tworzących miniaturową osadę. Wioska stała w delikatnej niecce, przez co wyglądała trochę, jakby zapadała się pod ziemię, a jej obrazu dopełniał wiatr, który miał w zwyczaju podrywać wielkie ilości piachu i ciskać nimi o ściany domów. Nie były to sprzyjające warunki do życia, więc pasterze, którzy tu mieszkali,

rozsądnie starali się spędzać większość czasu z dala od domu. Bion to doceniał.

Dlatego też zdziwił się nieco, kiedy po powrocie z wycieczki po wodę zastał przed swoim domem uwiązanego konia. Zad zwierzęcia nakryty był sztandarem Gwardii Królewskiej, Machairophoroi.

Bion przystanął.

Aha. Czyli Raia przyjechał po spłatę długu.

Nikt inny nie wiedziałby nawet, gdzie go szukać.

Zanim wszedł do środka, na wszelki wypadek wyciągnął nóż i przełożył nadgarstek przez skórzaną pętlę.

Raia czekał już od pewnego czasu. Kiedy Bion popchnął plecione wiklinowe drzwi, schylił głowę i wszedł do środka, Raia wstał i przez kilka chwil wpatrywali się w siebie w milczeniu: Raia uśmiechnięty, z rękami założonymi na piersi, zabójca z nożem w dłoni.

Gość pierwszy przerwał milczenie.

– Witaj, Bionie, stary przyjacielu.

– Komendancie – odparł Bion bez uśmiechu.

Nie odczuwał potrzeby, czy może wręcz uważał za nierozsądne, by silić się na dobre maniery. Raię należało utrzymywać w niepewności. Wszedł głębiej do zacienionego wnętrza. Uśmiechnął się, widząc, jak Raia ustawia się w pozycji umożliwiającej odparcie ewentualnego ataku, usiłując zachować pozory uprzejmości.

– Po co przyjechałeś, panie?

Raia przywołał na twarz wypraktykowany, nieszczerzy uśmiech i wskazał na nóż w dłoni Biona, kolejny relikw dawnych czasów.

– Czyżbyś uważał, że powinieneś się czegoś bać? Bo jeśli nie, to może schowałbyś to z powrotem za pas? Jestem tylko człowiekiem; a nie ma człowieka tak odważnego, by nie wstępował weń strach na widok ostrego

noża w dłoni wielkiego Biona, posłańca śmierci.

– To bardzo miłe z waszej strony, komendancie – odparł Bion, bardziej z nawyku niż z szacunku, po czym wykonał polecenie Raii.

– Widzę, że wciąż używasz kohlu.

– Żeby słońce mnie nie oślepiało.

Poczuł wzrok Raii na swoich bliznach. Nie ruszał się z miejsca, bo wiedział, że przesuwający się cień tylko je podkreśla.

– Co się stało? – spytał jego dawny dowódca.

– Nieporozumienie – odparł Bion tonem wskazującym, że nie życzy sobie dalszych pytań.

– Musiało pójść o coś ciekawego... – Raia wykonał palcem krzyżowy ruch po policzku, jakby próbował sobie wyobrazić przebieg walki na miecze, który mógł doprowadzić do powstania takiej rany.

Bion znów wzruszył ramionami, bo ani myślał dalej ciągnąć ten temat. Przeliczył się, wykonując pewne zadanie. Uciekł i dokończył dzieła później. Nie popełni więcej tych samych błędów.

– Aha. – Raia wziął głęboki oddech i porzucił temat. – Czym jeszcze się zajmowałeś w latach od naszego ostatniego spotkania? Musiało minąć z dziesięć wiosen...

Bion wskazał gestem na dom. Niski sufit. Mury, które zdawały się zapadać do środka. Skromne wyposażenie świadczące o samotności i zarobkach ledwo pozwalających na utrzymanie się.

– A ty, panie? – spytał w odpowiedzi.

Raia się rozpromienił, jakby czekał na to pytanie. I nic dziwnego. Bion widział, że ma na sobie tunikę z pierwszorzędnego lnu, iż jego pas, choć wytarty, został wykonany z drogiej skóry. Wszystko poza nożem, który nosił u pasa, sugerowało, że prowadzi komfortowe życie. Nóż zaś, taki sam jak ten, którego używał Bion, był pamiątką dni spędzonych w Gwardii

Królewskiej i stanowił sam w sobie świadectwo statusu.

– Aleksandria dobrze mi służy – potwierdził Raia. – Tak dobrze, w gruncie rzeczy, że zostałem członkiem stowarzyszenia przewodzącego budowie nowego Egiptu. Słyszałeś o Zakonie? Dotarły do ciebie słuchy o naszych dziełach? – Bion pokręcił głową, a Raia kontynuował: – Jesteśmy organizacją o rosnącej sile i coraz większym znaczeniu. Naszym celem jest stworzenie lepszej, nowocześniejszej społeczności. Takiej, która odetnie się od dawnych tradycji.

Bion czekał na dalszą część opowieści. Nie ukrywał znudzenia. Mimo że – czy może raczej: szczególnie że poruszał się kiedyś w tych samych kręgach co Raia, starał się ze wszystkich sił unikać rozmów o sprawach związanych z polityką i ideologią. Dobrze wiedział, że jego rolą nie jest siedzieć przy stole z ludźmi, którzy ustalają prawa, tylko chronić ich i w razie potrzeby zabijać w ich imieniu, do czego – szczególnie do tej drugiej czynności – miał wybitny talent. Czerpał dumę ze swojej pracy. W tej jednej rzeczy przewyższał wszystkich innych. Niewątpliwie dlatego właśnie Raia przybył z tak daleka, żeby się z nim zobaczyć. Na pewno nie chodziło o to, że chciał... porozmawiać.

– Zakon dzierży wiele władzy w Aleksandrii, Bionie, i z każdym dniem staje się coraz silniejszy. W czasie, gdy ty budowałeś swój dom na pustkowiu, ja parłem się pracą dla nich. Nie z osobistej ambicji, rozumiesz...

Bion postarał się, żeby jego twarz nie wyrażała żadnych emocji. Raia spędził za dużo czasu, bawiąc się w politykę. Zapomniał kim – i czym – jest jego dawny znajomy.

– ...ale dlatego, że chcę działać na rzecz lepszego Egiptu. Dostatniejszego i autonomicznego. I co bardzo mnie cieszy, starszyzna Zakonu dostrzegła moje oddanie i mocny kręgosłup moralny. Nie będzie arogancją ani nadęciem z mojej strony stwierdzenie, że moje nazwisko przewija się w pewnych

kręgach, może nawet jako osoby, która pewnego dnia mogłaby zająć wysokie stanowisko w Zakonie.

Raia wygładził tunikę. Był z siebie wyraźnie zadowolony. Wyraźnie też liczył na reakcję ze strony mężczyzny, w którego domu stał, epatując arogancką pewnością siebie.

Biona korciło, żeby wyciągnąć nóż i zacząć go ostrzyć, ale uznał, że to dziecinne i niewarte reakcji, którą wywoła. Staął wygodniej. Obserwował gościa nieruchomym wzrokiem i oddychał równomiernie, dla zabicia czasu zastanawiając się, jak Raia stał się takim gadułą. Kiedyś był człowiekiem czynu.

Milczenie ze strony Biona wprowadziło Raię w chwilowe zakłopotanie. Szybko jednak odzyskał rezon i kontynuował:

– Decyzja w tej kwestii nie będzie, rzecz jasna, w moich rękach, ja to rozumiem. Poza tym niemal żal marnować czas na rozmyślanie o czymś tak odległym. Na razie interesuje mnie głównie to, jak przyspieszyć realizację naszych celów i uczynić jak najwięcej dobra. Jako że na Egipcie spoczywa czujny wzrok Rzymu, Zakon musi się wykazać sprytem, jeśli ma przetrwać i utrzymać się przy władzy. Musimy podjąć konkretne działania. Może nawet takie, do których pasowałoby miano przewencyjnych. Czy jasno się wyrażam? Rozumiesz, do czego zmierzam, Bionie?

Bion skinął na potwierdzenie. Jak najbardziej rozumiał. Było też dla niego oczywiste, że Raia nic się nie zmienił: wciąż był mężczyzną, który – mimo wielu dobrych cech – nie dostrzegał swoich słabości. Mężczyzną intelektualnie leniwym, pokładającym nadmierne nadzieje w swoich machinacjach.

– Dobrze, bardzo dobrze – oznajmił Raia. – Wiedziałem, że zrozumiesz. A jest ważne, żeby to do ciebie trafiło, bo, jak zapewne domyśliłeś się z chwilą, gdy ujrzałeś mój sztandar, nie przyjechałem tu, żeby odnowić

znajomość z dawnym towarzyszem broni. Chciałem poprosić cię o pewną przysługę.

Przysługę. Można to nazwać i tak. Raia opowiadał dalej:

– W Aleksandrii mianowano mnie pomocnikiem jednego z członków starszyny Zakonu, mędrca imieniem Teotym. Niedawno odkrył on zwoje, których treść dotyczy Medżajów, i sugeruje, że szykują się oni do odzyskania dawnej świetności. – Zrobił pauzę. – Zdajesz sobie sprawę z tego, kim są Medżajowie, prawda?

Bion skinął na potwierdzenie. Owszem, miał pewne pojęcie o Medżajach, bo kiedyś zaciekało go, jak się takowym zostaje, i zdobył trochę informacji na ich temat. Wrócił teraz myślami do tej wiedzy. Byli obrońcami dawnego królestwa, strażnikami wszystkiego, co starożytne, tymi, którzy niegdyś czuwali przy wejściach do grobowców i świątyń, ochraniali ważne osoby i pełnili funkcję rozjemców. W pradawnych czasach mieli reputację groźnych wojowników, ale i mędrców, równie obeznanym w słowie, co w sztuce miecza. Było to jednak setki wiosen temu, w innych czasach, kiedy inne też były zmartwienia zwyczajnych Egipcjan. Wraz z nową erą nadeszli nowi stróże i obrońcy, a że ludzie są, jacy są, ani przedstawiciele nowego świata, ani zatrudniani przez nich siepacze nie mieli zamiaru tolerować reprezentantów dawnego ładu. Medżajowie zaś byli jednym z najbardziej rzucających się w oczy przejawów kultury, która coraz częściej budziła pogardę czy wręcz jawną nienawiść. Z czasem status Medżajów uległ zmianie. Z obrońców przemienili się w istoty niemal mityczne, nieistniejące. Zaczęły się rozprzestrzeniać plotki. W niektórych obszarach kraju uważano ich za pozbawione znaczenia relikty przeszłości, podczas gdy w innych, gdzie wcześniej czynnie ich prześladowano, panowało przekonanie, że wymarli.

Stan ten teoretycznie mógł się utrzymać, gdyby nie to, że w miarę

zmniejszania się liczby Medżajów i ich wpływu na życie publiczne z jakiegoś powodu zaczął rosnać szacunek, jakim obdarzano ich w kręgach uczonych. Choć nie było w kraju ani jednej świątyni, którą ochraniałby Medżaj z krwi i kości, nazwa organizacji stała się swego rodzaju nośnikiem historii i szczytnych ideałów. Strażnikiem „dawnego ładu”, rozumianego przez jego zwolenników jako lepszy, uczciwszy i prostszy sposób na życie.

Jako Machairophoroi Bion i Raia teoretycznie należeli do tych, którzy oddalali się od starożytnej kultury bazującej na władzy faraonów, więc i od zasad, które reprezentowali Medżajowie. Bion nigdy nie spotkał autentycznego Medżaja, jednak za czasów, gdy służył jako żołnierz, intrygowało go to, co o nich słyszał. Z kolei Raia zawsze łapczywie chłonał wszystko, co nowe i bezlitośnie krytykował tradycyjny ład. Bion uznał więc za zupełnie logiczne, że jego dawny towarzysz broni związał się z Zakonem i widział w Medżajach naturalnego wroga.

Jeśli chodziło o niego, to temat ten budził w nim co najwyżej lekką ciekawość. Płacono mu za ochronę, czasami za zabijanie. Nie za myślenie.

– Medżajowie szykują się do powrotu? – powiedział na głos, wciąż zastanawiając się, na czym ma polegać jego rola. – Tak sądzi twój przełożony, panie, ten Teotym?

– Nie żaden przełożony – obruszył się Raia – ale tak, jest o tym przekonany.

– A ty jak uważasz, panie?

Bion żywił nadzieję, że Raia nareszcie przejdzie do sedna.

– Nie potrafię czytać zwojów zapisanych jakimiś wymyślnymi starożytnymi językami – odparł Raia z dumą. – Nie jestem uczone, tylko żołnierzem. Po to mamy historyków pokroju Teotyma, żeby robili to za nas.

– I cóż Teotym twierdzi, że wyczytał w tych zwojach? Bion potrafił być cierpliwy. Ta rozmowa sprawiała jednak, że nie miał ochoty.

Raia przybrał zraniony wyraz twarzy i rozluźnił ramiona. Nie umknęło mu, że Bion zaczął się irytować.

– Niestety, zanim Teotym poczynił większe postępy w tłumaczeniu, dopadła go ciężka choroba.

– Rozumiem.

Bion powstrzymał się od komentarza na temat zależności między żołnierską etyką a stosowaniem trucizn. Nie był pewien, czy dobrze zrozumiał, a wiedział, że Raia nie powie mu prawdy.

– Mam nadzieję, że niedługo odzyska siły i będzie mógł kontynuować pracę – dokończył szybko, oszczędzając Bionowi konieczności drążenia tematu. – Na razie leży w łóżku, ale kiedy go odwiedziłem, powiedział mi, że Medżajowie nigdy nie zostali pokonani. Czy może raczej powinienem ująć to tak, że odmawiają przyznania się do porażki i snują plany, jak zająć podstępem pozycję, która pozwoliłaby im ponownie stanąć do walki o władzę nad Egiptem. Co, jak pewnie zdajesz sobie sprawę, postawiłoby ich w bezpośredniej opozycji do Zakonu. – Zrobił pauzę. – I, co zapewne również cię nic dziwi, chcemy temu za pobiec. – Uniósł dłoń, jakby uznał, że Bion zamierza mu prze rwać, choć ten nie miał takiego zamiaru. – Pewnie ciekawi cię, kiedy Medżajowie pragną wdrożyć w życie ten plan. Nie wiemy. Wiadomo nam tylko, że to przedsięwzięcie długofalowe, w jakiś sposób związane z przyszłymi pokoleniami wojowników. Jak już mówiłem, chcielibyśmy zdusić to w zarodku.

– Konkretnie: kto?

– Zakon.

– Ty, panie, pospołu z Teotymem?

Przez twarz Raii przemknął cień irytacji.

– A jakie to ma znaczenie? Ważne, że powstrzymanie Medżajów, zanim ich działania nabiorą rozpędu, będzie z korzyścią dla Zakonu. Bardzo mi

zależy, żeby o to zadbać.

Z pobudek czysto osobistych – pomyślał Bion, jednak głośno spytał: – Czyli nikt inny w twojej organizacji, panie, nie ma o tym pojęcia?

– Tak jest strategicznie najkorzystniej, żołnierzu. Im mniej osób wie, co zamierzamy, tym mniej prawdopodobne, że Medżajowie będą mieli okazję się przeciwstawić. Musimy uderzyć szybko i zdecydowanie, a nasze działania muszą pozostać niezauważone.

– I to jest jedyny powód?

Brwi Raii zbiegły się w jedną kreskę.

– A jakież inny powód mógłbym mieć? To są niebezpieczni ludzie. Nie możemy ich lekceważyć.

I dlatego tu jesteś.

– I dlatego tu jestem. Czy przybyłem we właściwe miejsce?

– Chcesz, panie, bym dla ciebie zabijał Medżajów.

Raia zachichotał.

– Cóż, bez ogródek to ująłeś, ale tak, właśnie tego od ciebie potrzebuję, Bionie. Żebyś wyciął w pień wszystkich Medżajów, którzy jeszcze żyją. Cały ich ród: mężczyzn, kobiety i dzieci.

W tym miejscu zrobił pauzę, jakby chciał zobaczyć, czy na jego słowa Bion się obruszy, jednak nie zauważył żadnej reakcji, bo Bion zabijał już mężczyzn, kobiety i, owszem, nawet dzieci – nie zwracał uwagi na wiek czy płeć.

Biona nie interesowały szczegóły. Po prostu wykonywał swoją pracę.

– Chcę, żeby zginęli, Bionie. Chcę też, żebyś zbierał medaliony, które przy sobie noszą, a na koniec przywiózł je wszystkie do Aleksandrii, żebym dostał do ręki dowody, że zadanie zostało wykonane.

– A w zamian?

Raia wygładził tunikę na ramieniu.

– Jak wspomniałem, sądzę, że szykuje się dla mnie awans na stanowisko przywódcze w Zakonie. Będę, rzecz jasna, niebywale wdzięczny wszystkim, którzy przyłożą się do tego, może nawet sam przyznam im wyższą rangę w naszej organizacji.

– Przez wszystkich masz na myśli mnie, prawda, komendancie?

Jego gość przewrócił oczami.

– Mam na myśli każdego, kto mnie wesprze, Bionie, tak jak powiedziałem.

– Co, jeśli nie mam ochoty wracać do miasta, miejskich intryg i mojego dawnego życia?

Raia założył ręce na piersi i uważnie przyjrzał się swojemu dawnemu towarzyszowi broni. Jego postawa wyrażała przekonanie, że nie wierzy, iż Bion mógłby chcieć tu zostać.

– Naprawdę? – spytał tonem wskazującym, że zna odpowiedź, a kiedy Bion nie odpowiedział, dodał: – Czy muszę ci przypominać, że...

Stacjonowali wtedy w Naukratis. Bion dobrze pamiętał. Podobnie jak Aleksandria, Naukratis było jednym z nowoczesnych miast zbudowanych przez Greków. Doświadczalo jednak wielu odwiecznych trudności, w tym – o czym Raia i Bion mieli się przekonać owego dnia – nieustającego konfliktu pomiędzy właścicielami ziemskimi a chłopami, *sechety*, którzy pracowali na ich polach.

Zadanie Biona i Raii polegało na ochranianiu księciunia imieniem Qenna – potomka stosunkowo nisko sytuowanego urzędnika państwowego.

Znaleźli się na tym posterunku w ramach upominku dla matki chłopaka, ich obecność była ukłonem w stronę konwencji, jako że nie podejrzewano, by dziecku cokolwiek groziło. Obaj jednak byli zawodowcami i nie zamierzali zaniedbywać obowiązków.

Feralnego dnia przyszli razem z chłopakiem na plac, który ze wszystkich stron otaczały splekane kamienne kolumny. Jako aleksandryjczycy Raia i Bion nie zdawali sobie sprawy, że tłum, w który weszli, jest co najmniej dwukrotnie gęstszy niż na co dzień i dość gniewnie nastrojony. Z ich perspektywy był to po prostu tętniący życiem plac. Pośrodku znajdowała się kamienna platforma otoczona schodami, z których różni mężczyźni wygłaszali pełne emocji przemówienia.

Jeden z oratorów zebrał wyjątkowo okazałą widownię.

– Dlaczego godzimy się na to? – grzmiał pochylony, wyciągając jedną dłoń, jakby zebrał o uwagę słuchaczy. Ubrany był w brudną szatę, której stan podkreślał wagę jego słów. – Dla czego mówi się nam, że musimy

bezczylnie przyzwalać na takie traktowanie?!

Przyglądali się i przysłuchiwali, jak mężczyzna oskarża właściciela ziemskiego imieniem Wakare o stosowanie metod, które określił mianem bezbożnych. Jakiś czas później Bion przeprowadził na własną rękę śledztwo w tej sprawie i potwierdził, że Wakare rzeczywiście postępował nieetycznie i żerował na rolnikach, a wściekłość i nienawiść, których doświadczyli z Raią tamtego dnia na placu, były w pełni uzasadnione.

Na razie jednak...

– Musimy się przeciwstawić! – huknął mówca.

Bion zauważył, że Qenna się zląkł, zaskoczyły go siła i emocjonalność słów oratora. Pomyślał, że może powinni się ewakuować. Tłum sprawiał wrażenie ożywionego, a tego rodzaju sytuacje miały zwyczaj błyskawicznie wymykać się spod kontroli.

Z drugiej strony może warto pokazać młodemu, jak wygląda prawdziwe życie.

– Musimy odebrać ziemię, którą uprawiamy, na której zaharowujemy się do upadłego! Jakim prawem nasz znój napycha sakiewki tych, którzy niczym na to nie zasłużyli? Jak się nas wynagradza za ciężką pracę?

Mówca sięgnął do wnętrza tuniki, gdzie najwyraźniej miał schowaną niewielką sakiewkę, i wyciągnął garść ziemi, która przeleciała mu przez palce. Tłum odpowiedział zgodnym rykiem.

I wtedy się zaczęło.

Być może do Wakarego dopiero dotarła informacja o próbie podżegania. Co bardziej prawdopodobne, dowiedział się o niej zawczasu i zorganizował grupę, której zadaniem było rozprawić się z mówcą. Niezależnie od tego, która wersja była bliższa prawdy, w tej samej chwili, w której słowa padające z podwyższenia wprowadziły zgromadzonych w stan dzikiego podekscytowania, grożący przekuciem emocji w czyny, po lewej stronie

placu pojawiła się trójka mężczyzn, którzy ruszyli w stronę oratora, przepychając się przez tłum.

Kiedy dotarli do platformy, jeden z mężczyzn wyciągnął miecz i zamachał nim przed nosami gawiedzi, natomiast pozostała dwójka wzięła się za mówcę, który zwałił się na ziemię pod gradem pięści. Tłum zareagował, wydając okrzyki oburzenia i napierając na oprawców, ale widok miecza sprawił, że zabrakło chętnych, by przerwać brutalne zajście, które uciszyło głos oratora jego własną krwią.

Pierwsza i jedyna myśl, która podczas tej sceny dźwięczała w głowie Biona, brzmiała: *Jesteś tu, żeby bronić chłopaka*. Raia zareagował tak samo.

– Trzymaj się nas – rozkazał Raia głosem dużo ostrzejszym, niż Qenna był przyzwyczajony słyszeć od mężczyzn o niższym statusie społecznym, od pracowników swojego ojca. Chłopak jednak, choć władczy z charakteru, nie był głupi. Poza tym ojciec od małego wpajał mu, że musi bezwzględnie podporządkowywać się nakazom osób odpowiedzialnych za jego bezpieczeństwo, więc schował się za Biona i czekał, aż jego stróże ocenią sytuację.

Niemal natychmiast tłum wydał kolejny okrzyk, a fala strachu przemieszanego z nadzieją oznajmiła nadejście kolejnej grupy, tym razem od przeciwnej strony placu. Mężczyzn było siedmiu czy ośmiu, a ich korowód sprawiał wrażenie najeżonego bronią – na tle nieba odbijały się ciemne, spiczaste sylwetki kos, mieczy, wideł i najróżniejszych innych narzędzi mordy.

Raia odsunął połą płaszcz, by sięgnąć do miecza przytroczonego w pasie. Bion, który był już myślami o kilka kroków do przodu, rozumiał, że może to zaognić sytuację, i wyciągnął dłoń, żeby go powstrzymać. Za późno. Nowo przybyli, o oczach wybałuszonych z wściekłości, otumanieni piwem albo żądzą krwi, a może po prostu gotujący się z poczucia

niesprawiedliwości, dostrzegli członków Gwardii Królewskiej i ruszyli w ich stronę. Być może nie wiedzieli, że ci dwaj mężczyźni są strażnikami mianowanymi przez faraona, doskonałymi szermierzami, bezwzględny i precyzyjni w walce oraz, co w tej sytuacji miało większe znaczenie, gotowymi oddać życie za przedstawiciela rodziny królewskiej. A może zwyczajnie nie obchodziło ich to. Może po prostu widzieli w nich trzech członków elity – ludzi będących, nieważne w jak niewielkim stopniu, sprawcami ich cierpienia. I choć Bion i Raia mieli na sobie cywilne ubrania, były one jakości wymaganej od osób działających w imieniu faraona, i to wystarczyło, by naznaczyć ich jako członków wyższych sfer. By ogłosić wszem i wobec, że stoją po złej stronie, Bion wyciągnął własny miecz. Wiedział, co ich czeka.

– Gwardia Królewska! – zawołał Bion. – Jesteśmy gwardzistami!

W jego głowie pojawiła się myśl, że ci ludzie są szaleni. Czyżby nie rozumieli, jak łatwo mogą postradać życie?

– Nie chcemy z wami walczyć! – zawołał Raia.

Bion zachowywał spokój, mając nadzieję, że niedługo będzie po wszystkim, aczkolwiek jeśli miał być szczery, to nie obchodziło go nic poza tym, że pojawiło się zagrożenie dla powodzenia ich misji. Los osób tworzących uzbrojoną czeredę był mu obojętny. Dlatego też kiedy pierwszy napastnik zanadto się do niego zbliżył, bez zbędnych ceregieli przeszył go mieczem. Mężczyzna, na którego tunice wykwitła krwawa plama, zwałił się martwy na bruk. Widok ten jeszcze mocniej podburzył rebeliantów i kiedy gapie się rozproszyli, bitwa rozgorzała na dobre. Gwardziści walczyli plecami do platformy, zasłaniając chłopaka.

Raia zasygnalizował Bionowi wolną dłoń, że ma się szykować do odwrotu. Ci spośród członków tłumu, u których ciekawość przerosła strach, uformowali koło, żeby przyglądać się walce. Raia planował przebić się

po między nimi. Kiedy nadarzyła się stosowna okazja, zakręcił palcem i wskazał w wybranym kierunku. Bion chwycił chłopaka i zaczęli przepychać się przez tłum, torując sobie drogę rękojeściami mieczy.

Raii udało się wydostać, wyrwać poza granicę gapiów, i gestykulował do Biona, żeby szedł za nim. Tłum, z którym chcieli przestać mieć do czynienia, był jednak wrogi i mściwy. Bion potknął się o podstawioną nogę.

Zwalił się na ziemię, nakrywając chłopaka, i odkrył z przerażeniem, że stała się rzecz niewyobrazalna: rękojeść miecza, który był częścią jego ręki na równi z dłonią, wyslizgnęła mu się spomiędzy palców. Nie miał broni.

Zareagował natychmiast i zdążył zasłonić chłopaka własnym ciałem akurat w chwili, gdy pierwszy z wściekłych robotników rolnych przebił się przez tłum. Mężczyzna wziął wysoki zamach trzymaną oburącz kosą. Bion objął wzrokiem zepsute zęby, napięte ścięgna widoczne na szyi mężczyzny, zarejestrował nienawiść i żądzę mordy. Widząc, jak klinga pędzi w jego stronę, odruchowo i nonsensownie zasłonił głowę przedramieniem.

Cięcie nie sięgnęło celu. Raia się zatrzymał, odwrócił i cisnął swoim mieczem niczym włócznią, a napastnik padł z ostrzem sterczącym z klatki piersiowej. W następnych kilku ruchach Raia doskoczył do powalonych kompanów, pochylił się nisko, żeby chwycić miecz Biona i rozprawił się z kolejnym atakującym chłopem. Wyswobodził własny miecz, odrzucił broń Bionowi, który tymczasem pozbiierał się na nogi i poderwał z ziemi chłopaka, po czym całą trójką przebili się przez tłum i zbiegli z placu. Ostatnich kilku napastników zgubili w gęstwinie ulic Naukratis.

Bion wciąż pamiętał wdzięczność, jaka była z oczu chłopaka, kiedy wreszcie dotarli do pałacu. On sam też podziękował Raii za ratunek, ale musiał zamaskować przy tym swoją irytację. Znał Raię: może i był dobrym żołnierzem, ale leniwym. Cechowała go nadmierna ambicja. Nieustannie coś knuł. Wciąż chciał więcej, nie zadowalał go posiadany status. Bion był więc

pewien, że kiedyś znajdzie się w sytuacji, w której Raia zażąda spłaty długu, a jemu honor nie pozwoli odmówić.

Kiedy Raia ruszył w podróż powrotną, Bion został sam z myślami, które przypominały zrolowany dywan. Był przekonany, że nie usłyszał całej prawdy. Wiedział też, że otrzymał zadanie do wykonania i choć nie podobało mu się, że w pewnym sensie stał się chłopcem na posyłki, to należał do mężczyzn poważnie traktujących swoje zobowiązania. Denerwowała go ta sytuacja. Czerpał przyjemność ze skromnego życia, które obecnie prowadził. Nie miał ochoty opuszczać swojego małego domu na miesiące, może nawet lata, podobnie jak nie śpieszyło mu się, by znów zabijać.

Choć z drugiej strony...

Świadomość, co go czeka, wywoływała w nim lekki dreszcz podekscytowania. Zastanawiał się, jak to możliwe, że natychmiast przypomniał sobie zapach krwi, łatwość, z jaką ciało rozstępowało się pod naporem ostrego noża.

Przygotowując się do podróży, która miała go powieść w pierwszej kolejności do Hebenu, a później tropem Emsafa, rozmyślał: *Czyżbym stęsknił się za zabijaniem?*

21

Aya rozładowywała frustrację, maszerując w tę i z powrotem wzdłuż skały, której podnóże od kilku dni nazywaliśmy domem.

– Nie mogę uwierzyć, że daliśmy się nabrać – narzekała. – Żeby pozwolić takiemu szczerowi zrobić z nas kompletnych głupców. Zwrócił na ciebie uwagę, kiedy pojawiłeś się w Sauti, od razu zauważył twój brak doświadczenia i od tego czasu nie widział w tobie nic poza łatwym celem. Mówię ci...

– Nie rozumiesz – przerwałem jej. Siedziałem ze skrzyżowanymi nogami na piasku i spoglądałem na nią w górę przez zmrużone oczy. – Wiele razem przeszliśmy.

– Tacy z was towarzysze broni? – spytała bez złośliwości. Usiadła obok i oparła się o moje ramię. – Sądzisz, że istnieje coś takiego jak złodziejski honor?

Powinienem się martwić?

Trudno powiedzieć.

Podróż, którą odbyliśmy, nie należała do łatwych. Przemierzyliśmy połacie terenu pokrytego kamieniami, na których ślizgały się końskie kopyta. Co dzień rozbijaliśmy obóz i polowaliśmy. Przekazaliśmy Tucie umiejętności potrzebne do przetrwania, których nauczyli mnie ojciec i Kensa, i które sam wcześniej przekazałem Ayi podczas naszych wspólnych wycieczek dookoła Siwy. Przyjemnie nas zaskoczyło, jak dobrze sobie poradziliśmy. Licha pustynna egzystencja stała się dla nas źródłem dumy. Przetrwanie nawet we dwójkę byłoby wyzwaniem, tymczasem my mieliśmy jeszcze pod opieką

Tutę. Każdy dzień w niemiłosiernym słońcu sprawiał, że stawaliśmy się twardsi. To, co dawniej budziłoby strach – myśl o tym, jak daleko jesteśmy od domu, od wszystkiego, co normalnie dawało nam poczucie bezpieczeństwa – stało się dla nas źródłem determinacji.

Nocami często zamiast spać rozmyślałem, czy dobrze zrobiliśmy, udając się na poszukiwania Kensy, ale cieszyło mnie, że przynajmniej nie stoimy w miejscu. Doszedłem do wniosku, że nawet jeśli odniesiemy porażkę i przyjdzie mi wrócić do Siwy z pustymi rękami, wrócę dużo lepiej przygotowany do roli obrońcy miasta.

Będę miał świadomość, że spróbowałem. Że nie porzuciłem zadania tylko dlatego, że wydawało się ponad moje siły. Że poprzez trud stałem się kimś lepszym.

Parliśmy przed siebie, aż pewnego dnia ukazały się nam kolumny przywodzące na myśl połamane zęby, w których od razu rozpoznałem słynną Wielką Salę Hypostylową. Chwilę później dojrzeliliśmy kształt świątyni wyłaniający się jakby bezpośrednio z piasków, nabierający majestatu, w miarę jak pokonywaliśmy pozostały dystans. Za kompleksem świątynnym rzucał się w oczy łuk koryta Nilu – jasnoniebieska wstążka przewleczona pomiędzy rzędami budynków z piaskowca – a na jego przeciwległym brzegu tebańska nekropolia, rozciągająca się od nabrzeża niemal po horyzont.

Byliśmy wyczerpani, ledwo trzymaliśmy się na koniach, jednak widok miasta w oddali dodał nam sił. Nasze plecy się wyprostowały. Z perspektywy chłopaka z Siwy Teby jawiły się jako miejsce równie odległe i legendarne co Aleksandria. W rzeczywistości trudno było o dwa bardziej odmienne miasta. Czas Teb w roli dumnej stolicy egipskiego imperium dobiegł końca po szeregu rewolucji, których skutki trapiły miasto do dziś. Na lewo od świątyni rozciągała się chaotyczna zbieranina domów i innych budynków, przywodząca na myśl sfatygowany, połatany koc albo kości do gry rzucone

na piasek i zostawione na pastwę losu, wtapiające się w podłoże w miarę butwienia.

Dopiero z bliska zaczęliśmy dostrzegać kolorowe akcenty markiz i sznurów z praniem. Z większej odległości potężne miasto wyglądało jak jednolita – złowieszcza i podupadła – struktura. Wielkie kolumny sprawiały wrażenie, jakby drapały przepływające nad nimi chmury, ale wyglądały też na zmęczone, jakby w każdej chwili mogły runąć na piach. Były w tym samym stopniu imponujące, co podniszczone i starzejące się. Symbol siły poddający się mijającym latom i zaniedbaniu, podobnie jak cała metropolia.

Na obrzeżach miasta znaleźliśmy drzewo rzucające cień i skałę, która skutecznie chroniła przed wiatrem, i tam rozłożyliśmy obozowisko.

– Proszę tu poczekać – powiedział nam Tuta.

Chciał udać się do swojego dawnego rodzinnego miasta sam, żeby odnaleźć swoją matkę i siostrę, Kiyę. Wziął też nasze konie, które zamierzał sprzedać za jedzenie. Aya zapatrywała się na to z podejrzliwością, ale pospołu z Tutą przekonaliśmy ją i chłopak wyruszył na swoją misję.

Pierwszego dnia, który spędziliśmy w cieniu Teb, rozmawialiśmy z Ayą o domu, jak wiele razy wcześniej podczas tej podróży. Wspominaliśmy i przeżywaliśmy na nowo nasze wspólne wycieczki. Drugiego dnia rozmowa zeszła na temat nieobecności Tuty, Aya robiła się coraz bardziej podejrzliwa. Pojawiło się pytanie, co o nim wiedzieliśmy. Z jednej strony nie tylko mieszkał kiedyś w Tebach, ale był przyzwyczajony do życia na ulicy i polegania na swoim sprycie. Czyż nie był stworzony do tego, by odnaleźć swoją rodzinę, a później Kense?

To były te lepsze strony naszej sytuacji.

Z drugiej strony, kiedy Tuta mieszkał w Tebach, był małym dzieckiem. Bardzo małym. Całkiem prawdopodobne, że jego rodzina przeprowadziła się, wyjechała z miasta albo nawet już nie żyła.

A Kensa mogła się kryć wszędzie. Co więcej, wciąż nie byłem przekonany, czy poszukiwanie jej to w ogóle mądry pomysł.

Przede wszystkim jednak Tuta miał nasze konie. I był złodziejem.

Owszem, uratowaliśmy sobie nawzajem życie. Tylko co z tego? Złodziej to złodziej.

Trzeciego dnia... cóż, trzeciego dnia głównie przyglądałem się, jak Aya się zamartwia. Początkowo wmawiałem sobie, że nie ma powodu do strachu, a w drugiej połowie dnia zacząłem podzielać jej niepokój. Czwartego dnia Tuta wrócił.

Minęło wiele czasu, od kiedy nóż Biona skosztował krwi. Zabójca odbył podróż brzegiem Nilu do Aleksandrii, żeby porozmawiać ze swoim pracodawcą, choć przeklinał w duchu, że zaistniała taka potrzeba. Wolałby być wszędzie, tylko nie w tym siedlisku węży. Nienawidził polityki.

Jeśli powrót do Aleksandrii miał jakąkolwiek jasną stronę, był nią widok zakłopotanego wyrazu twarzy Raii. Dawny komendant Biona wyraźnie nakazał mu kontaktować się przez posłańca i nie odwiedzać go w domu.

– Co ty tu robisz? – warknął Raia.

Bion obejrzał się przez ramię. Powiódł wzrokiem po dużym pokoju, ozdobach z kości słoniowej na przeciwległej ścianie, stole zastawionym jedzeniem i koszach wypełnionych rozżarzoną węglą drzewnym. Zauważył rzucane mu spojrzenia kobiety trzymającej srebrną paterę z chlebem i owocami, pewnie żony Raii, oraz dwóch dziewczynek, które siedziały na krzesłach i machały nogami. Zdał sobie sprawę, że jego wygląd – blizny, oczy usmarowane kohlem, ubranie brudne po podróży – budzi w nich niepokój. Nie zdziwiło go, że Raia nie musiał długo prosić, by przeniosły się do innego pokoju. A może po prostu Bion gapił się w ich stronę za długo.

Raia odzyskał panowanie nad sobą, zaprosił Biona do stołu i poczęstował go chlebem. Bion zrewanżował mu się, wyciągając medalion, który znalazł przy Emsafie. Pozwolił ozdobie wypaść z jego dłoni na blat. W oczach Raii pojawił się błysk, a jego dłonie wystrzeliły do przodu, podniosły blaszkę i obróciły na drugą stronę. Przyglądał się, jakby miał nadzieję, że znajdzie

ślady krwi. Po chwili na jego twarz wypłynęła surowa mina.

– Tylko jeden? – spytał i upuścił medalion na stół, po czym wbił w Biona karcące spojrzenie, które mówiło, że nie uważa jednego trofeum za dostateczny powód, by łamać protokół.

– Jak dotąd.

– To dlaczego tu jesteś? – drążył Raia. – Czyż nie zaplanowaliśmy, że wydobędziesz potrzebne informacje od rodziny Emsafa? Przecież dlatego właśnie wysłałem ciebie, Bionie. To jest dla ciebie banalne zadanie. A przynajmniej powinno być.

– Ktoś ostrzegł Emsafa.

– Może wyszedłeś z wprawy.

Bion spoglądał na Raię, starając się zachować cierpliwość.

– Ci ludzie są niebezpieczni, komendancie. Nie przypominają tych, z którymi walczyliśmy dawniej. To nie są zniewoleni chłopci czy robotnicy walczący o lepsze traktowanie ze strony posiadaczy ziemskich.

Choć mogło się wydawać, że zabójstwo Emsafa przyszło Bionowi z łatwością, w rzeczywistości było inaczej. Bion napracował się, żeby wytropić Medzaja. Musiał użyć podstępów, by zbliżyć się na odległość pozwalającą zadać śmiertelny cios. Jego cel wykazał się dużą kompetencją, a wszystko poszło zgodnie z planem tylko dlatego, że Bion był bardzo dobry w tym, co robił.

Raia wzruszył ramionami.

– Są ludźmi z poczuciem misji. Dla ciebie nic nowego.

– Mają nie tylko poczucie misji, ale i dobre przeszkolenie oraz wiele umiejętności. W niczym nie ustępują nam tym tutaj – Bion popukał się w czoło – i sądzę, że mają od nas więcej tego tu – przyłożył dłoń do piersi.

Raia zaśmiał się przez zamknięte usta.

– Myślę, mój drogi, że się nie doceniasz – oznajmił i po przyjacielsku

szturchnął Biona pięścią w ramię. Nie zwrócił uwagi na to, jak jego rozmówca stęzał w odpowiedzi. – Jeśli ktokolwiek może sobie z nimi poradzić, to ty.

– Nie byłoby rozsądnie zrobić z tego misję dwu–, może nawet trzyosobową?

Raia stanowczo pokręcił głową, a uśmiech opuścił jego twarz.

– W żadnym razie.

Oczywiście. Raia miał pewność, że Bion nie puści pary z gęby. Nikt inny nie dawał takiej gwarancji. Bion odnotował to spostrzeżenie w pamięci – a nuż się przyda.

– Ale jeśli ci ludzie stanowią tak wielkie zagrożenie dla Zakonu, jak twierdzisz, panie...

Naciskał głównie dlatego, że interesowała go reakcja Raii.

– Choć rzeczywiście są zagrożeniem dla Zakonu – odparł Raia – dla mężczyzn takich jak ty i ja – zamachał dłońmi, umieszczając ich obu w jego teoretycznym świecie – stanowią ledwie ucieleśnienie dawnego ładu. Masz jak najbardziej rację, stary druhu, że nie wolno nam lekceważyć wroga, jednak również nie powinniśmy dać się wciągnąć w pułapkę polegającą na okazywaniu mu nadmiernego respektu. Jestem absolutnie przekonany, że to jest zadanie, któremu podołamy bez niczyjej pomocy: ty i ja. Poza tym, nawet jeśli sam o tym zapomniałeś, ja dobrze wiem, że najlepiej pracuje ci się w pojedynkę. A teraz powiedz, jak możemy wykurzyć ostatniego z tych szczurów?

Bion poświęcił mu kolejne spojrzenie. Czy to nie było oczywiste?

– Masz przeciek, panie. Wykryj go, a znajdzie się i ostatni Medżaj.

– Jesteś pewien? – spytał Raia.

Jego spojrzenie posurowiało. Obaj doskonale zdawali sobie sprawę, że to Raia tłumaczył Bionowi, jak ważne w tej akcji było dochowanie tajemnicy i

że Raia ponosi odpowiedzialność za wyciek. Bion nie zdradzał sekretów.

– Mówiłeś panie, że Teotym nie był w stanie dokończyć tłumaczenia. Kto je wykonał?

– Tłumacz. Zatrudniłem ucznia z biblioteki.

Dureń. Bion oparł dłoń o pas i dotknął palcami głowicy sztyletu.

– W takim razie pójdę porozmawiać z tym tłumaczem.

Bion wszedł do domu, nie czekając na zaproszenie, i wspiął się na dach, gdzie znalazł historyka Rashidiego i jego żonę. Spali pod gwiazdami na materacach z sitowia.

Bion przyglądał im się przez chwilę, analizując możliwości. Zwyczajne podejście powinno się sprawdzić, to w końcu byli cywile, których wystarczyło trochę nastraszyć, by spełnili jego polecenia. Przełożył przez ramię końcówkę chusty, którą miał na sobie, wyciągnął nóż i przyłożył go do szyi Rashidiego, jednocześnie nakrywając mu usta dłonią. Poruszył ręką, żeby go obudzić.

Po chwili obaj mężczyźni byli w środku. Bion nakazał Rashidemu, żeby usiadł na stercie poduszek, po czym do niego dołączył. Nierówne oświetlenie wnętrza działało na jego korzyść, nadając mu jeszcze bardziej złowrogi wygląd. Jego słabo widoczna sylwetka działała lepiej niż wszelkie groźby.

Przerażenie zupełnie sparaliżowało Rashidiego. Nie mógł skupić myśli, zaschło mu gardle i całą uwagę skupił na nożu w dłoni Biona. Wreszcie odnalazł język: – Czego chcesz?

– Informacji o Medżajach.

– Cóż, oni nie istnieją – wybełkotał Rashidi. – W każdym razie od pewnego czasu, zniknęli setki lat temu. Ich miejsce zajęli Łowcy.

– Ale znasz się na Medżajach, prawda? – spytał Bion głosem niewyrażającym żadnych emocji. – Medżajowie, ci... – Wzruszył ramionami.

– ...obrońcy, zwiadowcy, żołnierze Starego Królestwa: są twoją specjalnością, tak czy nie?

– Tak.

– Miałeś ostatnio do czynienia z jakimiś dokumentami na ich temat?

Rashidi zamrugał oczami. Przełknął. W pokoju zapadła cisza, którą zakłócało jedynie posykiwanie dopalającej się świecy.

– W mojej pracy każdego dnia widzę różne dokumenty.

Bion nachylił się w jego stronę.

– Sądzę, że wiesz, o czym mówię. Chodzi mi dokumenty, które mogłeś widzieć niedawno – położył nacisk na ostatnie słowo. – Coś nowego. Może wyjątkowo interesującego? Widzisz, tak się składa, że wczoraj wieczorem rozmawiałem z pewnym tłumaczem. Wyjawiał mi, że miał trudność z wykonaniem otrzymanego zadania i poprosił cię o poradę. Tak było?

– Nie – odparł Rashidi.

Skłamał, rzecz jasna. Tłumacz opowiedział mu ze szczegółami, co się zdarzyło. Mimo to postanowił spróbować przez chwilę innego podejścia.

– Powszechnie uważa się, że Medzajowie wyginęli wieki temu – zaczął. – Jednak w rzeczywistości tak nie jest, prawda?

– Są ludzie, którzy deklarują im lojalność.

Bion uniósł dłoń, żeby mu przerwać.

– Nie o nich mi chodzi. Mówię o tych prawdziwych. O tych, którym niedawno przesłałeś wiadomość.

Rashidi panicznie odchylił się do tyłu, jakby miał nadzieję, że uda mu się uciec w bezpieczniejsze miejsce. Jedyłą odpowiedzią, której udzielił, był cichy jęk przerażenia w obawie, co się stanie.

Uzyskawszy potrzebne informacje, Bion przydusił Rashidiego do ściany, chwycił sztylet jak do pchnięcia znad głowy i wbił mu go przez lewe oko do mózgu, a następnie pozwolił ciału osunąć się na ziemię. Wytarł klingę do czysta o włosy historyka.

Zajrzał do szamba z myślą, żeby zatopić w nim zwłoki, ale okazało się

zbyt małe. Za to na tyłach posiadłości odkrył otoczony ścianami fragment ogrodu, który służył za kuchnię. Na widok zmagazynowanych tam smukłych dzbanów pełnych oliwy z oliwek uznał, że znalazł rozwiązanie swojego problemu.

W następnej kolejności wszedł z powrotem na dach, gdzie pod gołym niebem wciąż spała żona Rashidiego. Obietnica, którą złożył Rashidemu, była rzecz jasna pusta, jednak ulga, którą historyk odczuł na myśl, że zapewnił żonie bezpieczeństwo, pozwoliła Bionowi wydobyć informacje, które w przeciwnym razie Rashidi zabrałby ze sobą do grobu. Ludzie robili się bezmyślnie ufni, kiedy wydawało im się, że mogą uratować najbliższych.

Bion nachylił się nad kobietą, która obudziła się i wbiła w niego przerażony wzrok, gdy tylko nakrył jej usta dłonią. Wsunął klingę sztyletu w głąb jej czaszki. Powieka jej oka trzepotała, póki jej ciała nie opuściło życie.

Bion zawlókł zwłoki na skraj dachu i dźwignął je przez podwyższoną krawędź. Następnie zszedł po schodach, wyciągnął ciało historyka na zewnątrz i zaciągnął obie ofiary do strefy kuchennej, gdzie polał oliwą z oliwek i podpalił zarówno je same, jak i wszystko dookoła. Poczekał chwilę, by się upewnić, że ogień nie zgaśnie, a następnie wycofał się w cień i ruszył w stronę domu.

W zaciszu wynajmowanego pokoju poświęcił chwilę, by rozważyć swoją sytuację. Spakował się starannie. Chciał być gotów do wyjazdu z samego rana.

Kiedy wszedł na dach i rozejrzał się po panoramie miasta, dostrzegł w oddali słup dymu. Ludzie bili na alarm, a nad budynkami niósł się zgiełk. On sam udał się na spoczynek. Spał dobrze, ze świadomością, że wie, gdzie musi się teraz udać.

Dziś wstyd mi to przyznać, ale kiedy Tuta wrócił i oznajmił, że „ją znalazł”, w pierwszej kolejności pomyślałem, że chodzi o Kensę.

Ale nie. Znalazł miejsce, w którym mogliśmy się zatrzymać, i należało ono do jego matki i siostry. Rodzina Tuty znów była w komplecie.

Udaliśmy się do miasta i podczas jazdy przez rynek poczułem znajome mi już wrażenie bycia atakowanym przez niezliczone widoki i dźwięki metropolii. Słońce nad naszymi głowami świeciło równie jasno, co zawsze, całkiem obojętne na różnicę pomiędzy prosperującym Sauti a napiętnowanymi przez wojnę Tebami, jednak nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że ludzie są tu jakby brudniejsi i rzadziej się uśmiechają. Jedno było pewne: nasza trójka w wymiętych i umorusanych strojach podróźnych wyróżniała się dużo mniej niż w Sauti.

Skierowaliśmy się do dzielnicy biedoty, gdzie domy stykały się ścianami, a w powietrzu nieustannie unosił się smród. Zgadywałem, że mógł pochodzić od rzeki, ale równie dobrze od ścieków, które płynęły ulicami.

– To są ci ludzie, o których ci mówiłem, *mouti* – powiedział Tuta matce, kiedy dotarliśmy do jego domu.

Z zewnątrz obskurny budynek nie wyróżniał się na tle pozostałych, wewnątrz jednak był idealnie zadbane i wypełniała go miłość tak namacalna, że przekraczając drzwi, odnosiło się wrażenie, jakby w jego progach płonęło drugie słońce.

Matka Tuty była solidnie zbudowaną, budzącą respekt kobietą o szerokim uśmiechu i oczach, w których jarzyły się te same szelmowskie ogniki co u

syna. Tuliła się do niej dziewczynka, której wiek oceniłem na pięć wiosen – trochę za dużo, by wciąż szukać schronienia w matczynej sukni, jednak mając świadomość, co musiała widzieć, kiedy jeszcze mieszkał z nimi ojciec, nie mogłem się dziwić. Przyglądała się nam czujnie, ale z zainteresowaniem, bez strachu. Tuta stanął obok matki i siostry. Patrząc na nich, nie mogłem wyjść z podziwu, że mieli cokolwiek wspólnego z pijanym oprychem, którego poznałem w Sauti. Wyglądali jak całkiem normalna rodzina, i dopiero po dłuższej chwili zacząłem dostrzegać drobne szczegóły zdradzające, że mam do czynienia z ludźmi, którzy uciekli przed demonami przeszłości.

– Nazywam się Bayek i jestem synem Sabu z Siwy – przedstawiłem się, ponaglany gestami przez Tutę.

– A ja jestem Aya, z Aleksandrii i Siwy.

Matka Tuty skinęła z powagą i przedstawiła siebie samą jako Imi, a dziewczynkę jako swoją córkę, Kiyę.

– Dziękuję za ocalenie życia mojemu synowi. Uratowałeś go, panie, przed tym koszmarnym człowiekiem – oznajmiła.

Uśmiechnąłem się do Ayi i szybko wyjaśniłem, że w ratowaniu Tuty brały udział dwie osoby. Kiedy zaś opisaliśmy, w jaki sposób Aya pozbawiła przytomności ojca Tuty – dowiedzieliśmy się przy okazji, że miał na imię Paneb – Imi skierowała wzrok na Ayę i przyjrzała się jej badawczo, jakby ważyła coś w myślach.

– Nasze drogi skrzyżowały się z łaski Wepwaweta, który trzyma pieczę nad Sauti, a teraz mam nadzieję, że bogowie Teb okażą nam równie wielką sympatię i dopomogą nam w naszej misji – powiedziałem.

– Słyszałam, że szukacie starej znajomej z Siwy, Nubijki, która mieszka w mieście wraz z członkami swojego plemienia, prawda?

– Tak – odparliśmy jednym głosem.

Matka Tuty pokiwała stanowczo głową, jakby podjęła jakąś decyzję.

– W takim razie będziemy was gościć, aż ją znajdziecie. A jeśli ktokolwiek może w tym pomóc, to Tuta. Jego umiejętność nawiązywania kontaktów z członkami świątka przestępczego na pewno bardzo się przyda.

Rzuciła żartobliwie karcące spojrzenie synowi, który uśmiechnął się krzywo i nieco spłoszył.

– Radziłabym jednak również – kontynuowała – byście udali się do świątyni w Karnaku i poprosili o audiencję u kapłanki. Jestem przekonana, że będzie mogła wam pomóc. Nie obiecuję jednak, że uda się wam z nią porozmawiać.

Uniosłem brwi, a Imi wzięła głęboki oddech i przybrała poważny, odrobinę zmartwiony wyraz twarzy.

– Jak być może zauważyliście po wyglądzie naszego miasta, Teby nie przedą najlepiej. Grecy od dłuższego czasu obchodzą się z nami brutalnie, a serca mieszkańców przepełnia żal i zazdrość. Proszę mieć to na uwadze, podróżując po mieście.

Następnego dnia Tuta pożegnał się z nami. Było po nim widać, że pragnie jak najszybciej zatopić się w tebańskim półświatku, ale zdążył wskazać nam kierunek, w którym powinniśmy podążać, by dotrzeć do świątyni.

– Z tego, co słyszałem, ta kapłanka jest bardzo inteligentną kobietą. Myślę, że jeśli komukolwiek mogłoby się udać przekonać ją, żeby pomogła, to właśnie wam. – Uśmiechnął się jeszcze szeroko i ruszył w swoją stronę, a Aya i ja zabraliśmy się za poznawanie Teb.

Nie spieszyliśmy się, bo zależało nam, by wczuć się w atmosferę tego dziwnego, zaniedbanego miasta i przyjrzeć się ludziom, którzy w nim mieszkali. Ponownie zdumiało nas, jak wypłukana była tutejsza paleta kolorów. Zewsząd otaczały nas dowody, że Teby nigdy nie tętniły barwami.

Dostrzegaliśmy resztki dawnej świetności w malunkach na kolumnach, filarach i ścianach. Działanie czasu, słońca i ogólnego zaniedbania było jednak nieubłagane w skutkach, a pobladła farba złuszczała się z rzeźbionych figurek ozdabiających nasady kolumn stanowiąca smutną pamiątkę dawniejszych, dostatniejszych czasów.

Tylko przyroda pozostawała niezłomna. Głównym źródłem kolorów w Tebach były liście i widoczna tu i ówdzie połyskująca woda. Mieszkańcy za to sprawiali wrażenie równie wyeksploatowanych, co budynki.

– Też to zauważyłeś? – spytała Aya, idąc obok mnie ulicą.

– A co konkretnie?

– Imi miała rację. – Ściszyła głos. – Faktycznie czuć jakieś takie napięcie.

– Chodzi ci o stan miasta? – Wskazałem na mijanych ścianach kilka miejsc pobazgranych wyrazami niezadowolenia w łacinie i grece. Wulgarny charakter napisów potęgował obskurność okolicy.

– Nie tylko o wygląd, ale... – potarła palcami, jakby sprawdzała jakość ziół – o tę atmosferę, czy jak to nazwać. Jakby całe miasto było nerwowe.

Jak gdyby na potwierdzenie jej słów minęliśmy kilku Greków, za którymi ciągnęli się zniewoleni egipscy służący, a później napotkaliśmy Greka z wyższych sfer otoczonego wianuszkami strażników pochodzenia egipskiego, najwyraźniej niezdającego sobie sprawy z niechęci bijącej od obserwujących go mieszkańców albo nieprzejmującego się nią.

W końcu dotarliśmy do Alei Sfinksów, którą podążyliśmy, mając po obu stronach rząd wielkich kocich ciał zwieńczonych baraniami głowami, ku świątyni w Karnaku. W połowie drogi zatrzymaliśmy się na chwilę, urzeczeni ogromem konstrukcji, którą mieliśmy przed sobą. Jak wszystko w Tebach, kompleks świątynny – pełen budynków i placów tworzących kilka odrębnych dzielnic – widział lepsze czasy. Mimo to stanowił ucztę dla oczu. Gigantyczne kolumny sięgały co najmniej dwa razy wyżej w niebo i były

trzy razy masywniejsze niż największe, które dotychczas widzieliśmy w Tebach. Dodatkowo pokrywały je wyjątkowo kunsztowne płaskorzeźby i inne zdobienia.

Wspięliśmy się po schodach i weszliśmy do środka. Pracownicy świątyni patrzyli na nas z lekkim zaciekawieniem, kiedy pytaliśmy o kapłankę, ale zaraz odpowiadali machnięciem ręki, wskazując, by iść w głąb, w stronę głównego sanktuarium.

Posuwaliśmy się do przodu wśród wysokich kolumn i wyblakłych marmurów, aż natknęliśmy się na pracownika ubranego dostojniej niż pozostali.

– Jeśli jest taka możliwość, chcielibyśmy porozmawiać z kapłanką – poprosiła słodkim głosem Aya.

Wsparłem jej prośbę, stojąc z nieudawanym wyrazem religijnego oddania na twarzy. Świątynia bardzo na mnie podziałała.

Mężczyzna zmierzył nas od stóp do głów i spojrzał na nas wzrokiem wyrażającym pogardę. Doprowadziliśmy się do ładu po podróży, ale mimo wszystko uznał nas za niegodnych audiencji. Pokręcił głową i właśnie otwierał usta, żeby powiedzieć nie, kiedy do naszych uszu dobiegł inny głos: – Proszę poczekać.

Unieśliśmy głowy i zobaczyliśmy jego właścicielkę, która wyłoniła się z cienia po drugiej stronie sali.

W pierwszej kolejności ujrzałem jedwab, złoto i piękno – prawie odebrało mi mowę. Olśniło mnie wrażenie przepychu wywołane przez feerię bogactwa i barw. Po chwili jednak kapłanka podeszła bliżej i zwróciłem uwagę, że jej szata była postrzępiona, a złota folia ozdabiająca jej laskę i wysokie nakrycie głowy łuszczyła się tu i ówdzie. Zdałem sobie sprawę, że kobieta ta na wiele sposobów uosabia podupadającą świątynię i całe Teby. Zacząłem się zastanawiać, jak jej obecność wpływa na miasto. Mimo zaniedbanego ubioru roztaczała wokół siebie szczególną aurę. W jej sylwetce i kroku, w opanowanym, wyćwiczonym spojrzeniu, które na nas skierowała, nie było cienia porażki. Jej głos nie pozostawiał wątpliwości, że polecenie, by poczekać, adresowała nie tylko do nas, ale również do swojego służącego.

– Jestem Nitokris, boska małżonka Amona, najwyższa kapłanka Teb i strażniczka świątyni w Karnaku. Powiedzcie, cóż was tu sprowadza? – spytała.

Skłoniłem głowę.

– Nazywam się Bayek i pochodzę z Siwy – odparłem – a to moja towarzyszka, Aya z Aleksandrii.

Wymieniliśmy się z Ayą spojrzeniami, po czym stanąłem w sposób, który dawał do zrozumienia, że przekazuję jej wodze w tej rozmowie. Skinęła głową. Jako bywalczyni aleksandryjskich świątyń była zdecydowanie lepiej obeznana w takich sytuacjach.

– Przyjechaliśmy z Siwy... – zaczęła tłumaczyć, ale zaraz przestała na widok sposobu, w jaki kapłanka pokiwała głową na potwierdzenie, jakby

posiadała już tę informację. – Poszukujemy obrońcy Siwy, mężczyzny imieniem Sabu. – Teraz Aya wskazała na mnie. – To jest Bayek, jego syn. Ja jestem Aya. Sabu prawdopodobnie nie ma w Tebach, ale mamy nadzieję znaleźć Nubijkę o imieniu Kensa, która być może mieszka gdzieś w okolicy ze swoim plemieniem. Kensa może wiedzieć, gdzie znaleźć Sabu.

– Owszem – stwierdziła Nitokris.

Odprawiła podwładnego i poprowadziła nas ku ławie stojącej pod ścianą.

– Czyli jesteś synem obrońcy miasta – wymruczała.

Było to stwierdzenie, nie pytanie. I tak skinąłem głową na potwierdzenie.

– I masz nadzieję sam kiedyś zostać obrońcą?

Kąciki jej ust przesunęły się lekko w górę, zanim zdążyłem odpowiedzieć. Pewnie zdradził mnie wyraz twarzy.

– Tak – oznajmiłem. – Ojciec trenuje mnie, żebym mógł przejąć jego rolę.

– Czyli nie powiedział ci nic poza tym, że pewnego dnia zostaniesz obrońcą Siwy?

Wypowiedziała pytanie tonem, w którym nie było ani insynuacji, ani oceny zachowania ojca. A mimo to natychmiast zaczęła zżerać mnie ciekawość.

– Czy jest coś jeszcze, co powinienem wiedzieć?

Na jej usta wrócił uśmiech, choć wzrok wciąż miała poważny. Skupiony.

– Tak – odparła. – Bardzo wiele.

Teoretycznie każdy mógł mi tak odpowiedzieć, czy to na pytanie o sens życia, czy o jakąkolwiek inną rzecz, ale ona miała na myśli coś konkretnego. Wyczułem to po jej bezpretensjonalności, po zupełnym braku kapłańskiego nadęcia.

– Owa Kensa, może ona udzieli ci odpowiedzi na pytania, które cię nurtują. Jeśli tak się stanie, wróć tu, bo chciałabym kontynuować tę

rozmowę.

Czy miałem rozumieć, że to koniec audiencji? Miałem ochotę spędzić więcej czasu w towarzystwie tej kobiety, fascynowało mnie, ile wartościowej wiedzy musi mieć do przekazania osoba o tak silnej osobowości. Nagle, jakby wyczuła moją potrzebę, skierowała na mnie wzrok.

– Jestem boską małżonką Amona – oznajmiła, odpowiadając na pytanie, którego nie zadałem, z nutą rozbawienia, które szybko ustąpiło miejsca powadze – i mam nadzieję doczekać dnia, w którym Teby odzyskają świetność i dawne znaczenie.

– Dochowujesz, pani, wierności dawnemu porządkowi, regułom ustalonym przez faraonów? – spytała Aya, której jak zwykle nie wystarczyło to, co już usłyszała.

– Ustalonym przez bogów dla dobra ludzi – odpowiedziała skromnie Nitokris. – Jestem wierna Amonowi, który rządzi, słuchając najbiedniejszych, a nie ich wykorzystując. Który działa z pożytkiem dla ludzi, zamiast domagać się służby z ich strony.

– Ale teraz mamy nowy porządek – odparła Aya. Widziałem, że zainteresowały ją słowa kapłanki, choć zwykle upolitycznione argumenty religijne przegrywały u niej z logiką filozofów. – Z Aleksandrii dochodzą głosy, że Ptolemeusz Auletes utrzymuje się u władzy, sprzedając Egipt Rzymianom.

Nitokris zaśmiała się gardłowo, pewna siebie.

– Ach, a to Egipt nigdy wcześniej nie był najeżdżany? Persowie, Nubijczycy, Grecy, niby wygrali, ale to nasz kraj odmienił ich, a nie na odwrót. Nasz naród jest twardy. Przekujemy Rzymian na nasze podobieństwo tak samo, jak zrobiliśmy to z Aleksandrem. Ale musimy wziąć odpowiedzialność za to, by Egipt nie stracił tej mocy.

– Musimy? My? – spytałem.

– O tak, synu obrońcy. – Raz jeszcze spoważniała i na najkrótszą z możliwych chwil delikatnie oparła dłoń na moim ramieniu. – Nie zdziw się, jeśli niedługo staniesz się odpowiedzialny za coś więcej niż tylko świątynie w Siwie.

Wstała z ławy, sygnalizując koniec spotkania. Wychodząc, zdałem sobie sprawę, że już wyczekuję dnia, kiedy przyjdziemy tu jeszcze raz i otrzymam odpowiedzi na pytania, które dopiero uformują się w mojej głowie. Aya szła obok mnie, też wyraźnie pogrążona w myślach.

Tuta tymczasem kontynuował poszukiwania Kensy. Minęło kilka tygodni, podczas których zapoznaliśmy się lepiej z Tebami, odbywając z Tutą wycieczki w celu nawiązywania kontaktów i zadawania pytań, a pozostały czas spędziliśmy na obrzeżach miasta, ćwicząc szermierkę przy pomocy drewnianych mieczy, które sami wystrugaliśmy.

Nocami gromadziliśmy się wszyscy w domu Tuty i przesiadywaliśmy przy ogniu, a w szczególnie ciepłe noce popijaliśmy mleko, piwo albo wino. Siostrzyczka Tuty, Kiya, nabrała sympatii do Ayi, a Imi nie miała nic przeciwko temu, by spędzała z nią czas. Widziałem więc często, jak mała siedziała obok Ayi z kolanami podciągniętymi pod szyję i głową wtuloną w jej tunikę.

Dzięki powrotowi Tuty rodzina znów była w komplecie. My zaś, choć obcy, byliśmy traktowani przez Imi niczym członkowie rodziny faraona i dobrze wiedziałem, że Ayi podoba się tu tak bardzo jak mnie.

Byłem szczęśliwy. Nie żebym nie chciał odnaleźć Kensy i ojca, dowiedzieć się, co jeszcze miała mi do przekazania kapłanka, podobała mi się jednak prostota i radosna codzienność tego nowego życia. Dzień w dzień Tuta wracał z poszukiwań i informował nas, że wciąż nie wie, gdzie jest Kensa, po czym dodawał: – Ale, panie, z pewnością ją znajdę, proszę się nie martwić. Jeśli jest w Tebach, jeśli kiedykolwiek tu była, znajdę ją.

Od czasu do czasu zastanawiałem się, ile Tuta powiedział matce i Kiyi o okolicznościach, w jakich się poznaliśmy. Sprawa wyjaśniła się pewnego wieczora. Siedzieliśmy wtedy w ogrodzie otoczeni przepętniającymi powietrze odgłosami dzielnicy, popijaliśmy wino i rozmawialiśmy. W pewnej chwili rozmowa przestała się kleić i zwróciliśmy uwagę, że matka Tuty znów wpatruje się w Ayę w ten dziwny sposób, na który zwróciłem uwagę w dniu przyjazdu.

Kiya, która jak zwykle wtulała się w Ayę z kciukiem w ustach, zwróciła uwagę na niezręczną ciszę, zaczęła się zastanawiać, co jest nie tak, i usiadła prosto.

Po chwili matka Tuty wyszła z tematem, zwracając się do Ayi:

– Czyli zdzieliłaś mojego męża porządnie przez głowę, pani?

Aya zaczęła się wiercić. Wzrok, którym drążyła ją Imi, wprawiał ją w wyraźne zakłopotanie.

– Tak. To było... to znaczy, oni walczyli...

– No tak, jak ci mówiłem, mamie – wtrącił się Tuta, ale umilkł, kiedy jego matka przyłożyła palec do ust.

– Wiem, pamiętam, kochanie, ale chciałam po prostu, żeby Aya powiedziała mi to własnymi słowami. Chciałam usłyszeć to z jej ust.

Aya nie wiedziała, jak zareagować, i rzuciła mi speszzone spojrzenie.

– Mogłaś go zabić – kontynuowała matka Tuty.

Tym razem Aya przełknęła ślinę. Po jej wyrazie twarzy poznałem, że nie ma wyrzutów sumienia, ale na pewno nie chce też sprawić Imi przykrości.

– Chciałam po prostu uratować Bayeka – wyjaśniła. – A on starał się uratować Tutę.

Imi roześmiała się głośno i serdecznie. Kołysała się w przód i w tył, opierając dłonie o kolana.

– Dziewczyno, ja mam na myśli, że powinnaś była go zabić – wyjaśniła,

stawiając akcent na „powinnaś”.

– Cóż następnego ranka na pewno okropnie bolała go głowa – Aya uśmiechnęła się od ucha do ucha, z ulgi, ale i trochę z dumy.

– Dla niego to żadna nowość. Może bolała go tak bardzo, że przekonała go do zmiany postępowania, choć wątpię.

Tuta smutno pokręcił głową.

– U niego nie ma co liczyć na przemianę, mammo.

– Pewnie masz rację. U takich brutalni się to nie zdarza.

– On już nie jest tylko okrutny, mammo – nalegał Tuta. – Zmienił się w coś jeszcze gorszego.

Matka rzuciła Tucie wyrozumiałe spojrzenie.

– Cóż, ale nie ma go tu, prawda? Nic nam nie zrobi.

Kontynuowaliśmy z Ayą trening, aż pewnego dnia Tuta wrócił z miasta i powiedział: „Znalazłem ją”, tym razem mając na myśli Kensę.

Kensa się znalazła, a ja nagle stanąłem przed koniecznością ponownego spotkania się z moją przyjaciółką z lat dziecięcych. Co oczywiste, zacząłem się zastanawiać, jakie budzi to we mnie emocje.

Nie byłem pewien. Kiedy widzieliśmy się ostatni raz, mieszkała wraz z członkami swojego plemienia w wielobarwnych namiotach rozbitych na rzeźbionych palach. Połączenie trwałych elementów z tymczasowymi – to pasowało do ludu kojarzonego w naszej okolicy z koczowniczym trybem życia. Pewnego dnia, kiedy przyjechałem tam, gdzie zawsze, odkryłem, że obozu już nie ma. Nie podobało mi się, że straciłem przyjaciółkę, ale nie zdziwił mnie ten obrót sprawy, bo Nubijczycy byli wędrowcami, nie czuli się przywiązani do jednego miejsca.

Tęskniłem, wiadomo. W końcu od Kensy nauczyłem się praktycznie wszystkiego, co wiedziałem o przetrwaniu na pustyni. Nasza znajomość była... cóż, nie powiedziałbym, że dziwna, ale normalna też nie. Kto widział, żeby dziewczyna z koczowniczego plemienia uczyła chłopaka z małego miasteczka radzić sobie na pustkowiu i jeszcze się z nim zaprzyjaźniła? Myśląc o tym z perspektywy czasu, musiałem przyznać, że Kensa na wiele sposobów ukształtowała mnie jako człowieka i stało się to na długo, zanim ojciec nareszcie zajął się moim treningiem.

– Tak jak mówiłem wcześniej, wydawało mi się, że to zwykłe plotki – wyjaśnił Tuta, prowadząc nas drogą wiodącą z Teb nad rzekę. – Wiele osób słyszało o grupie Nubijczyków w Tebach, ale mało kto rzeczywiście ich widział. Miałem dobry powód sądzić, że jakieś plemię naprawdę tu

mieszkało. Tego byłem prawie pewien. Tylko czy wciąż tu byli? Tego nikt nie wiedział. Ale opowiadam to wam, byście wiedzieli, dlaczego potrzebowiałem tyle czasu.

– Dobrze sobie poradziłeś, Tuta – zapewniła Aya, nagradzając go dodatkowo uśmiechem.

– Ach, taką pochwałę to rozumiem – chłopak się rozpromienił, świadom, że Aya nigdy nie chwaliła na wyrost.

Podążając za Tutą, cały czas wyobrażaliśmy sobie z Aya, że niedługo naszym oczom ukaze się obóz Nubijczyków. Nasz mały przewodnik wyprowadził nas tymczasem za granice miasta, a potem powiódł przez nabrzeżne szuwary ku pomostowi, przy którym cumował przewoźnik. Sposób, w jaki Tuta przywitał się z mężczyzną, wskazywał, że dobrze się znają.

Chwilę później siedzieliśmy w łodzi, a przewoźnik popychał nas ku drugiemu brzegowi przy pomocy długiego kija. Po zejściu na ląd weszliśmy na teren nekropolii, z której dusze zmarłych podróżowały do podziemnej krainy Duat.

Tuta zrobił nerwową minę. Dla niego też było to nowe terytorium. Ruszyliśmy przed siebie i po pewnym czasie dotarliśmy do grobowca, którego wejście prowadziło pod ziemię.

Tuta wskazał gestem, że jesteśmy na miejscu, i odsunął się na bok, przygryzając wargę, jakby oczekiwał, że przeskoczmy z Aya próg i popędzimy do środka.

Spojrzeliliśmy na niego z niedowierzaniem.

– Tam? W środku? – spytałem.

Skinął głową.

– Ale... przecież to niemożliwe.

– Są tam – nalegał Tuta.

– Skąd wiesz? – spytała Aya.

Rozejrzałem się. Grobowiec, przy którym staliśmy, nie różnił się od pozostałych tworzących nekropolię, też sprawiał wrażenie wtopionego w krajobraz, a jedynym, co sugerowało, że stanowi przejaw ludzkiej działalności, było prostokątne wejście.

Chociaż nie – wbrew temu, co mi się wydawało, było coś jeszcze, i na to właśnie Tuta skierował naszą uwagę. W pewnej odległości za wejściem w ziemi znajdowało się coś w rodzaju wywietrznika, a kiedy podprowadził nas tam, dostrzegliśmy, że z otworu wydostaje się dym.

– Przysłuchałem się – wyszeptał Tuta. – Jestem absolutnie pewien, że tam są. I to niejeden.

Wciąż nie mogłem się otrząsnąć.

– Ale jak oni mogli? – wybełkotałem. – Jak mogli tam zamieszkać? To... to nie w porządku.

– Okropne zachowanie, bez dwóch zdań – przyznał mi smętnie rację.

– Przestańcie opowiadać te głupoty – wtrąciła się Aya. – Tuta, czyj to jest grobowiec?

– Niestety nie mam pojęcia – odparł, ale to Aya pytała, więc skwapliwie usiłował znaleźć jakąś odpowiedź. – Jest możliwość, że...

– Niczyj, prawda? Nie urządziliby obozowiska w czyimś grobowcu, to chyba oczywiste?

Wpatrywałem się w otaczające nas ściany wejścia, poszukując ukrytych oznakowań, ale jak dotąd nieskutecznie. Wciąż czułem się okropnie.

– Nawet jeśli – prychnąłem – to mieszkanie tutaj jest...

Aya mi przerwała i z lekkim uśmiechem rozejrzała się po okolicy. Podchodziła do tej sytuacji z dużo większym dystansem niż ja. Jak zwykle.

– Czym? Świątokradztwem? Nie, moim zdaniem to bardzo rozsądny pomysł. Właśnie dlatego, że nikt nie wpadłby na to, żeby ich tu szukać. Nikt,

najwyraźniej poza Tutą.

Aya uznała temat za zamknięty. Wyglądało na to, że z uczuciami, które to wszystko we mnie budziło, będę musiał poradzić sobie sam.

Tuta z kolei tylko się szczerzył i rumienił. Wystarczyło mu, że znów usłyszał pochwały od Ayi.

Podeszliśmy ponownie do wejścia i spytałem:

– Co teraz? – Czyżby naprawdę tam byli? Czy istniała możliwość, że wewnątrz krył się też mój ojciec?

– Nie wiem – przyznał Tuta.

– Mogą nas nie wpuścić – stwierdziłem.

– A nawet jeśli, to dlaczego zakładasz, że nie zaszlachtują nas, kiedy tylko przekroczymy próg? – spytała Aya.

Tuta się zaniepokoił. Było oczywiste, że nie przewidział takiego rozwoju sytuacji.

– Chwila. Przecież powiedzieliście mi, że tych Nubijczyków jeszcze niedawno łączyła z Bayekiem wielka przyjaźń.

Wyjaśniliśmy mu, że niedawno w tym konkretnym przypadku oznaczało dziesięć wiosen temu i że ludzie się zmieniają. Oba te czynniki sprawiały, że pojawienie się bez zapowiedzi we wnętrzu podziemnej kryjówki, której lokalizację jej użytkownicy ewidentnie chcieli zachować dla siebie, było bardzo złym pomysłem.

Z drugiej strony, co Tuta zresztą skwapliwie nam wytknął, czego się spodziewaliśmy? Mieliśmy jakikolwiek wybór?

Ostatecznie decyzja podjęła się sama, bo w czasie, gdy staliśmy niedaleko wejścia i dywagowaliśmy, co zrobić, na progu pojawiła się jakaś postać. Kobieta trzymająca w dłoni włócznię spoglądała na nas z ciemnego wnętrza, mrużąc powieki.

– Witaj, Bayeku – oznajmiła.

Natychmiast rozpoznałem te szelmowskie ogniki w oczach.

Zarumieniłem się i powoli uniosłem dłoń w geście speszzonego powitania. Przypomniałem sobie wszystkie razy, kiedy Kensa opowiadała mi tym, jak daleko szept niesie się w miejscach ogrodzonych ścianami.

Wygramoliła się, żeby nas przywitać, i w pierwszej chwili pomyślałem, że w ogóle się nie zmieniła. Włosy przetkane kolorowymi warkoczami, pióra, plemienne blizny, a do tego ta sama postura, ciemne, głęboko osadzone oczy i władcze spojrzenie.

Ale była starsza. Wiekiem, ale też na inne sposoby. Jako mała dziewczynka nosiła naszyjnik ozdobiony kośćmi i drobne trofea wplecione we włosy. A teraz?

– Witaj, Kenso – odparłem, wskazując na naszyjnik z lwich zębów oraz wpleciony we włosy wielki kiel, który musiał po chodzić od hipopotama. – Widzę, że wiele osiągnęłaś, od kiedy się widzieliśmy, i awansowałaś.

Podziękowała za komplement skinieniem głowy i w tej samej chwili wyczułem, że nie jest już tą samą osobą, którą znałem w Siwie. Wydawała się tylko częściowo obecna, jakby dźwigała na barkach ciężar całego świata. Uśmiech, którym mnie obdarzyła, nie objął oczu.

Mimo to powitała mnie wylewnie, wykrzykując:

– Przyjacielu! Bracie! – Po czym sama skomplementowała mój wygląd. Powiedziała, że urosłem. Nabrałem mięśni – które zbadała palcem, podobnie jak pasy opinające moją pierś. Zrobiła minę wskazującą, że jest pod wrażeniem. Kiedy widziała mnie ostatni raz, byłem chłopcem. Teraz miała przed sobą dojrzałego wojownika.

Przedstawiłem Tutę i Ayę. Dziewczęta zmierzyły się wzrokiem. Pod względem charakteru były podobne, wręcz identyczne, ale spojrzeniem na świat różniły się tak, że bardziej chyba się nie dało.

– Kontaktował się z tobą? – spytałem z nadzieją, kiedy tylko skończyliśmy się witać.

Wbiła we mnie wzrok.

– Kto?

– Mój ojciec.

Zrobiła zaskoczoną minę.

– Nie. Dlaczego sądzisz, że... chwila, to dlatego tu jesteś? Postarałem się ukryć uczucie zawodu, które mnie opanowało.

– Jesteś pewna? – upewniałem się, choć brzmiało to naprawdę głupio. – Nie dostałaś od niego żadnej wiadomości? Nie ma go tu?

Kensa pokręciła głową zdezorientowana.

– Bayeku, gdyby nas odwiedził, tobym o tym wiedziała. Utkwiłoby mi to w głowie. Przede wszystkim przyjechałby tu wyłącznie wtedy, gdybym go poprosiła, a tego nie robiłam. Nie zatwierdzałam też żadnych wiadomości do niego. Może lepiej opowiedz mi, co się dzieje. – Odsunęła się na bok od wejścia do grobowca i wskazała je dłonią. – Chodźcie – zaprosiła. – Napijmy się.

– Naprawdę tam mieszkasz? – spytałem.

Skinęła głową. Widziałem, jak unosi się kącik jej ust, ale mimo że było dla mnie jasne, że bawi ją moja reakcja, musiałem wyrazić swoje zdanie.

– Ale to jest grobowiec. Święte miejsce.

Potrząsnęła głową i ruszyła przed siebie, ciągnąc jedną dłonią po murze.

– Obrabowany grobowiec – uściśliła Kensa – już nie święty. Nikt już nie szanuje grobowców. Chodź.

Nie jestem pewien, czego się spodziewałem, kiedy zostawiliśmy słońce za plecami i zeszliśmy w głąbiny grobowca. Myślę, że czegoś ciemnego, zatęchłego i ciasnego. W rzeczywistości zastaliśmy zupełnie przeciwieństwo tego, jak wyobrażałem sobie grobowce. Sufit był niski, jednak nie aż tak

bardzo, by trzeba było się garbić. Pokrywały go płachty materiału, które natychmiast skojarzyły mi się z markizami ozdabiającymi stragany na rynku w Siwie i sprawiły, że poczułem nagły przypływ tęsknoty za domem. Powietrze wypełniające wnętrze miało przyjemną temperaturę. Ognisko płonące po przeciwnej stronie od wejścia tworzyło niemal domową atmosferę, jakkolwiek dziwnie by to nie brzmiało. Nie było też jedynym źródłem światła – z uchwyków na ścianach po obu stronach sali sterczały liczne pochodnie. Łatwo było zapomnieć, że jesteśmy w grobowcu.

Z miejsca dostrzegłem, że liczba Nubijczyków mocno spadła w porównaniu z tym, co pamiętałem. Owinięty w chustę starszy mężczyzna o smagłej, pokrytej bliznami twarzy siedział, pokaszując, a kiedy weszliśmy, uniósł głowę i przyjrzał się nam bez większego zainteresowania. Inny mężczyzna, co najwyżej kilka lat starszy od Kensa, siedział obok ciężarnej kobiety w swoim wieku. Na drugim końcu groty starsza kobieta oddawała się jakiemuś zajęciu. Ktoś jeszcze?

– To wszyscy – oznajmiła Kensa na widok mojej załamanej miny.

Kaszlący mężczyzna, wyjaśniła, był jej dziadkiem, starszym plemienia. Starsza kobieta była jej matką. Młody mężczyzna miał na imię Seti i był wojownikiem, a ciężarna kobieta była jego żoną. W skład plemienia wchodził jeszcze zwiadowca – Neka –ale poza tym nie został nikt więcej.

Próbowałem nie okazywać szoku, ale chyba mi to nie wychodziło. Jako dziecko nie znałem nikogo więcej z jej plemienia, a nasze spotkania zwykle odbywały się w taki sposób, że przechadzałem się po obrzeżach obozu, aż Kensa się pojawiła. Jednak nawet z tej odległości dostrzegałem, że grupa liczyła kilkanaście osób, a obozowisko tętniło życiem, światłem i barwą. Część tej atmosfery przetrwała pod postacią płacht rozwieszonych pod sufitem, ale z ludźmi stało się coś dziwnego, jakby byli cieniami dawnych siebie.

– Gdzie się wszyscy podziali? – spytałem, rozglądając się.

Nie potrafiłem ukryć konsternacji.

– Część nie żyje, inni poszli swoją drogą – wyjaśniła rzeczowo Kensa.

– Jak to się stało?

Na jej twarz wypłynął wyraz zmęczenia.

– Najprościej to wyjaśnić jednym słowem: wojna. Wojna, której końca nie widać. Chodź, usiądziemy, opowiemy sobie, co się u nas działo. Chcę wiedzieć, co tu robisz i dlaczego pytasz o Sabu.

Snuliśmy nasze opowieści przy ogniu, popijając herbatę. Pierwszy mówiłem ja, a zacząłem od zapewnienia Kensy, że od dnia, w którym wraz ze swoim plemieniem opuściła Siwę, w miasteczku prawie nic się nie zmieniło.

– Czy ojciec zaczął cię trenować? – spytała.

– Tak – odparłem, po czym dodałem – ale zrobiliśmy niewielkie postępy. Od samego początku jakby się wymigiwał. Powtarzał, że nie jestem gotowy. Rabia twierdzi, że od dnia, w którym zaatakował Menna, miał wątpliwości, czy powinien mnie szkolić. Obawiał się, że pójdę w jego ślady.

W następnej kolejności opowiedziałem Kensie o wyjeździe ojca i chaosie, który wywołało to w Siwie, o tym, że Rabia nie miała pojęcia o przyczynie wyjazdu, o mojej decyzji, by udać się w pościg, i o tym, że niczego nie chciałem bardziej niż zostać w przyszłości obrońcą Siwy.

– Naprawdę wciąż chcesz pewnego dnia zająć miejsce ojca? – spytała bez ogródek.

– Tak – potwierdziłem rozedrganym głosem, z którego biło przekonanie. Nareszcie pogodziłem się z prawdą, byłem gotów przyjąć na siebie odpowiedzialność i wyzbyłem się wszelkiego zwątpienia. – Chyba się zmieniłem. Myślę, że wcześniej nie traktowałem tego poważnie, ale teraz mam pewność. Chcę być obrońcą Siwy, pójść w ślady ojca.

– Czyli sądzisz, że znasz swoje przeznaczenie? – powiedziała Kensa w taki sposób, że nie umiałem ocenić, czy było to stwierdzenie, czy pytanie, wiedziałem tylko, że czuję się oceniany.

Nie zachwiało to moim postanowieniem.

– Wiem, jaką ścieżką podążę – powiedziałem Kensie i spojrzałem prosto w oczy, które wbijała we mnie od dłuższego czasu. – Będę się szkolił pod okiem mojego ojca, a później pełnił służbę jako obrońca Siwy. To wszystko, czego chcę od życia.

To – pomyślałem – i Aya.

– Co wiesz o Medżajach? – spytała Kensa.

W ogóle nie spodziewałem się takiego pytania. Podczas gdy gapiałem się na Kensę z wyrazem zdumienia na twarzy, Aya w porę zainterweniowała i odpowiedziała za mnie: – A jaki to ma związek? – Poczulem wdzięczność, ale i lekkie zaskoczenie.

Kensa powoli skinęła głową, sygnalizując Ayi, że ją słyszała, jednak nie spuściła ze mnie wzroku.

– Związek ma taki, Bayeku, że jeśli nie wiesz nic o Medżajach, to nie wiesz też nic o przyszłości, która cię czeka. Wszystko, w co dotychczas wierzyłeś... cóż, przesadziłabym, mówiąc, że było kłamstwem, ale z pewnością nie było całą prawdą.

Musiałem zwalczyć narastającą we mnie irytację, która groziła wybuchem złości.

– To może mnie oświecisz? Zrobiła, jak prosiłem.

Wszystko stało się jasne.

– Twój ojciec jest Medżajem.

Przełknąłem ślinę. Nie miałem pojęcia, co to oznacza, że ktoś jest Medżajem, ale odruchowo, zdeorientowanym głosem odparłem: – Niemożliwe.

– A jednak – upierała się przy swoim Kensa.

– Przecież oni już nie istnieją – odparła szybko Aya. – Medżajowie wymarli lata temu.

Przynajmniej Aya coś z tego rozumiała. Ta świadomość dodała mi otuchy i chwyciłem się jej, żeby odzyskać spokój. Zanim jednak uporządkowałem myśli, Kensa znów zabrała głos.

– Nie, nie do końca.

– Chwila – wtrąciłem. Musiałem się tego dowiedzieć, zanim zaczną mówić o kolejnej rzeczy, o której nie miałem pojęcia. – Kim konkretnie jest taki Medżaj? Jakimś wojownikiem? Obrońcą?

Kensa skinęła na potwierdzenie.

– Obrońcą, owszem. To dzięki ich wysiłkom ludzie szanują na przykład grobowce... w każdym razie kiedyś szanowali. Medżajowie zajmowali się ochroną takich miejsc. Twój ojciec złożył przysięgę, że będzie bronił świątyń w Siwie, a co za tym idzie również reszty wioski, przed wszelkimi siłami, które mogły jej zagrozić albo miały zamiary sprzeczne z planami Medżajów. Ale musisz zrozumieć, że jego rola była w rzeczywistości dużo bardziej złożona. Jako Medżaj twój ojciec był nie tyle stróżem, ile opiekunem. Obrońcą nie samej Siwy, ale całej filozofii. Obrońcą Egiptu.

Na twarz Ayi wypłynął wyraz zwątpienia.

– Jakiej filozofii?

– Tej, którą nasi przeciwnicy lubią nazywać dawną, jakby to było coś złego, jakby stary znaczyło to samo, co przestarzały.

Cienie rzucane przez pochodnie podrygiwały na ścianie, odgrywając pantomimę, której przekazu nie potrafiłem zrozumieć. Spojrzałem kątem oka na Ayę, ale siedziałem cicho, żeby mogła zadawać własne pytania. Ta sytuacja dotyczyła jej w tym samym stopniu co mnie.

– Cóż, w takim razie może mają rację – skwitowała słowa Kensy i wyprostowała plecy.

Choć jej słowa zabrzmiały tak bezceremonialne, nie usłyszałem w nich zaczepki.

Kensa pokręciła głową, niewzruszona.

– Każdy system, nowy czy stary, ma jakieś wady. – Jak wiele innych rzeczy odczytywanie i wczuwanie się w cudze myśli przychodziło jej bez trudu, więc kontynuowała swój wykład, a ze sposobu, w jaki mówiła, wyzierała niezmacona pewność siebie. – Niewątpliwie dawne tradycje wymagały przekształceń, pewne sposoby myślenia należało poddać krytycznej ocenie... – Tu uniosła palec – co nie zmienia faktu, że przetrwały tysiące lat, a ich fundamentem było przekonanie, że istniejemy na tej ziemi, żeby pracować wspólnymi siłami ku chwale bogów, a nie wojować o osobisty majątek i prestiż. Wiem, co myślisz – mówiąc to, skierowała wzrok na Ayę. – Uważasz się za oświeconą. Może nawet straciłaś zaufanie do bogów.

– Nie straciłam – odparła błyskawicznie Aya.

Oboje wiedzieliśmy, że trochę rozminęła się z prawdą, co zresztą było słychać w jej głosie. Nawet Tuta rzucił jej zaskoczone spojrzenie.

Kensa jednak tylko się uśmiechnęła.

– Dobrze jest mieć głowę pełną pytań. Wiem, że uważasz swoje z wątpienie za objaw inteligencji i oświecenia, a do tego doskonale cię rozumiem.

Wpatrzyłem się w nią, unosząc obie brwi, bo przypomniałem sobie wszystkie bury, które zebrałem za natrętne zadawanie pytań, kiedy szkoliliła mnie z umiejętności potrzebnych do przetrwania. Kensa przewróciła w moim kierunku oczami, po czym wprawnym ruchem trąciła kamyk, który odbił się od mojej stopy i wpadł do ogniska.

– Cicho bądź – nakazała matczynym tonem jak wiele razy w moim dzieciństwie. Na dźwięk tych słów uśmiechnąłem się szeroko, bezwstydnie i poczułem, że znalazłem się z powrotem na znajomym terenie.

– Moi pobratymcy też kwestionują to i owo. Jak każdy. Zmiana to rozwój. To jedyny sposób, żeby przetrwać. Ale to nie znaczy, że musimy odrzucać wszystko, co znamy. – Zwróciła twarz ku ogniewi i odpłynęła wzrokiem. – Dzięki rytuałom, dzięki tradycji spływa na mój lud łaska bogów. One sprawiają, że utrzymujemy się przy życiu. Polegamy na nich. Tym, do czego nie wolno nam dopuścić, to żeby te tradycje stały się jarzmem, które będzie nas spowalniać i pogrązać. – Zagięła palce dłoni i wykonała ruch, jakiego powożący używali do hamowania zaprzęgu wołów. – Już samo przebywanie w mieście, pozostawanie w nim, jest na swój sposób rodzajem stagnacji. Sprawia, że jeszcze łatwiej ulec egoizmowi, pożądaniu, korupcji. Miasta są piękne. – Uśmiechnęła się krzywo do Aya, a w jej oczach rozbłysł szczery podziw. – Ale niewiele trzeba, by zaczęło fermentować w nich zło. Szybko zmieniają się w świat, w którym bogaci i potężni pędzą żywot ku chwale samych siebie; w którym stawiają pomniki swojej próżności.

– To nie bogowie nas zawiedli. – Stwierdziła Aya przygaszonym głosem i westchnęła. Nigdy nie dzieliła się ze mną tym przemyśleniem, ale widać było, że bije się z nim od dawna. – Tylko ludzie.

Kensa na chwilę zawiesiła na niej współczujące spojrzenie, po czym przeniosła wzrok na mnie.

– Bayeku, ta sama myśl kieruje twoim ojcem jako Medżajem, i tego samego zdania jest moje plemię. Wciąż jest na świecie wiele osób, które chcą żyć zgodnie z dawnymi tradycjami. Mój zwiadowca Neka doniósł mi o mężczyźnie uwięzionym na Elefantynie, który deklaruje przynależność do Medżajów. Po całym Egipcie rozsiane są grupki takich jak my, ogniska oporu. Jednak ci, do których przemawiają tradycje Medżajów, potrzebują prze wodnika, i nieważne, czy zdają sobie z tego sprawę, przewodnikiem tym musi być ktoś, w kogo żyłach płynie medżajska krew. Oni potrzebują, by wskazać im drogę. Być może to ty, Bayeku, będziesz kiedyś tym, który to dla nich zrobi.

Przypomniałem sobie wtedy, co powiedziała kapłanka: „Nie zdziw się, jeśli niedługo staniesz się odpowiedzialny za coś więcej niż tylko świątynie w Siwie”, i nagle poczułem, jak wypełnia mnie poczucie celu.

– Ale ja nie jestem gotowy.

– Żaden wybitny przywódca nie czuł się gotowy. – Przechyliła głowę na bok i przyjrzała mi się oceniająco – Poza tym przyznałam już, że czeka cię dużo nauki.

Kensa rozsiadła się wygodniej. Na jej twarzy oświetlanej przez tańczące języki ognia dostrzegłem wyraz, który przekonał mnie, że dobrze zrobiłem, nadając nazwę ścieżce, którą zamierzałem podążać przez życie. Odzwierciedlał coś więcej niż emocje, z którymi siłujemy się każdego dnia; więcej niż nasze banalne ludzkie niedomagania, bóle i skargi – wyrażał coś głębszego, prastarego. Tym, co malowało się na jej twarzy, było przekonanie. Sam wyczuwałem w sobie coś podobnego – choć niepewność wciąż próbowała podciąć mi nogi, wiedziałem, że odkryłem coś, czego pragnę. Chciałem dowiedzieć się więcej o Medżajach. Chciałem pomagać ludziom,

wszystkim mieszkańcom Egiptu. Myśl o tym sprawiała mi przyjemność. Budziła zapal i determinację. Niezlomną wiarę w to, że odnalazłem cel w życiu. Musiałem tylko nie przestawać się uczyć. Stać się kimś więcej.

– Ty też jesteś Medżajem? – spytałem.

Potrząsnęła głową i prychnęła rozbawiona.

– Oczywiście, że nie. Ja i mój klan jesteśmy niezależni. Ale wiele wieków temu odkryliśmy, że nasze reguły są w dużej mierze zbieżne z tymi Medżajów, że mamy podobne ideologie.

– A mój ojciec?

– Jest naszym sprzymierzeńcem.

– Chyba już rozumiem, dlaczego Sabu tak niechętnie na mnie patrzył – oznajmiła nagle Aya. – O to chodziło, prawda? Dla niego byłam ucieleśnieniem nowego sposobu na życie. Tego, który zniszczył Medżajów. Czy dlatego Sabu nie dokończył treningu Bayeka...?

– Nie – wtrąciła się Kensa – chociaż długo mi zajęło, zanim zrozumiałam, w czym rzecz. – Na moment objęła mnie zagadkowym spojrzeniem, po czym wzruszyła ramionami. – Ty, ja... to nie miało znaczenia. W byciu Medżajem chodzi o coś więcej, o dobro ogółu, o wybieganie rozumem w przyszłość, ale nie taką jutro, za tydzień albo nawet za miesiąc, tylko o zadawanie sobie pytań, co będzie za dziesięć albo za pięćdziesiąt lat. Bycie Medżajem to wyznawanie pewnej filozofii życia. To pewien sposób postępowania, wyrażanie braku poparcia dla wartości narzucanych przez społeczeństwo, którego reguł już się nie popiera. To też wyjątkowo dobra metoda, by żyć w jedności ze światem i zamieszkującymi go ludźmi. To założenie, że w razie konieczności odda się... poświęci się... wszystko. – Zamilkła na chwilę i wzruszyła ramionami. – Myślę, że to dlatego Sabu zwlekał z treningiem.

Aya uważnie słuchała i zwróciłem uwagę na jej oczy, w których odmalowywały się zaczątki zrozumienia. Choć Kensa od młodości była

wyjątkowo uzdolnioną łowczynią, a ja miałem szczęście, że trafiłem na taką nauczycielkę, to w największy podziw zawsze wprawiała mnie u niej umiejętność czytania w innych ludziach. Teraz jednak nie rozumiałem, co usiłuje mi przekazać. Nie poprosiłem też, żeby wyłożyła mi to bardziej jasno – tylko by się zdenerwowała, że mam taki zakuty łeb.

– To dlaczego nas opuścił? – usłyszałem własny głos. – Dlaczego mój ojciec wyjechał z Siwy?

– Nie umiem na to odpowiedzieć. Domyślam się, dlaczego Rabia przysłała cię do mnie, ale jeśli chodzi o to, dlaczego twój ojciec zostawił Siwę bez obrony, nie mam pojęcia. Znajdź go, a się dowiesz. Może przy okazji zechce kontynuować twoją inicjację.

– Myślisz, że jest mi pisane zostać Medżajem? – zapytałem z nieco zapartym tchem, ale zależało mi na jej opinii.

Jakby na to nie patrzeć, była moją mentorką tak samo jak ojciec. I moją pierwszą prawdziwą nauczycielką.

Kensa się rozeźmiała. Musiałem przyznać, że pewnie sobie zasłużyłem.

– Wiem, że ojciec zaczął cię szkolić w technikach Medżajów, mimo że się niepokoił. Ale widzisz, tu nie chodzi tylko o to, żeby nauczyć cię walczyć albo prowadzić zwiad i sabotaż. Nie wystarczy, że, tak jak kiedyś pod moim okiem w Siwie, opanujesz szereg nowych umiejętności. Żeby stać się Medżajem, trzeba obrać nową drogę życia. Zmienić sposób myślenia. To nie coś, co możesz sobie wybrać, jak rodzaj posiłku. To jest powołanie, któremu musisz się oddać w całości. – Poklepała się pięścią po piersi, co w grocie, w której siedzieli, zabrzmiało, jakby ktoś bił w bęben. – To coś, co tylko ty sam będziesz mógł zdefiniować, Bayeku. Czy tego chcesz, czy nie, jesteś synem Sabu. W tej kwestii nie masz wyboru i musisz ją zaakceptować ze wszystkimi konsekwencjami. Zaś jeśli chodzi o zostanie Medżajem? Cóż, wbrew temu, co uważa Sabu, obecnie zależy to wyłącznie od ciebie, prawda?

Co czułem, decydując się wkroczyć na drogę, która doprowadzi mnie do stania się Medżajem?

Prawdę mówiąc, wydawało mi się, że z perspektywy przyszłego obrońcy Siwy to tylko jeden krok więcej. Co ciekawe, dlatego właśnie nie doprowadzono do końca mojego szkolenia. Ojciec nauczył mnie wprawdzie, jak chronić miasto, ale zapewne targały nim wątpliwości i niepokój w związku z tym wszystkim, co musiałbym umieć, żeby w razie potrzeby bronić etosu Medżajów.

Z drugiej strony, gdybym odrzucił dziedzictwo Medżajów, jak to zrobił Egipt, jakie by to miało znaczenie? Przecież pomimo wszystkiego, co Kensa opowiadała o krwi Medżajów w moich żyłach, nie mogłem w magiczny sposób z dnia na dzień zacząć ucieleśniać ich ideałów.

Wiary nie dziedziczymy z krwią.

Przekonania są częścią naszej duszy i ideologii, tego byłem pewien. I wiedziałem, że Aya zgodziłaby się ze mną – w końcu to ona zapoznała mnie ze współczesnymi filozofami i poetami. W każdym razie musiałem jeszcze dużo się nauczyć.

– Co teraz zrobisz? – zainteresowała się Kensa.

Wzruszyłem ramionami.

– Będę robić to, co dotąd. Dalej się uczyć wszystkiego, co się da, i szukać ojca.

Wręcz poczułem aprobujący uśmiech Ayi, a kiedy szybko rzuciłem okiem w jej stronę, okazało się, że miałem rację.

– A co z tym Medżajem na Elefantynie? – spytała Aya. – Czy on mógłby nam pomóc?

Na twarzy Kensy pojawiła się niepewność.

– Mało prawdopodobne, żeby ten więzień był autentycznym Medżajem. To na pewno naśladowca. Mieni się Medżajem i przyjął ich obyczaje, ale nie ma pojęcia o ich prawdziwej historii. A poza tym, jak zamierzacie do niego dotrzeć?

– Z twoją pomocą.

W zamyśleniu pokiwała głową. Nie wyglądała na zaskoczoną moją bezczelnością.

– Pomyśleliśmy, że wyjazd Sabu mógł mieć coś wspólnego z twoim pobytem tutaj – zasugerowała Aya.

– Przykro mi, że muszę was rozczarować.

– Ale jesteś tu z powodu mojego ojca, tak? – naciskałem. – Czy to prawda, że twoi ludzie postanowili ścigać Menę?

Kensa skinęła głową.

– To gdzie on jest? Nie żyje? Jest gdzieś w okolicy? Gdzie?

– Jest w pobliżu – przytaknęła Kensa. – Był w tym samym miejscu od niemal sześciu lat, ale sądzimy, że teraz mógł ruszyć w drogę. Neka, mój zwiadowca, sprawdza to właśnie.

– Nie możecie go zgubić – powiedziałem szybko, być może zbyt gwałtownie, i natychmiast się skrzywiłem. Nie miałem prawa odzywać się do niej tak apodyktycznie.

Zrobiła kwaśną minę, najwyraźniej myśląc to samo.

– Powinam cię spoliczkować już za samo takie przypuszczenie. Kiedy ty wygrzewałeś się na słońcu, rozmyślając, dlaczego ojciec nie uczy cię walczyć mieczem, ja byłam tu i patrzyłam, jak ludzie Menny wyrzynają moją rodzinę. To my toczyliśmy tę wojnę na wyniszczenie, Bayeku. Nie mam najmniejszego

zamiaru pozwolić mu się wymknąć, a jeśli myślisz, że możesz tu sobie przyjeżdżać i mówić mi, co mam robić...

– Przepraszam – powiedziałem.

I mówiłem to szczerze. Nawet biorąc pod uwagę wszystko, co rzuciło długi cień na moje życie, oraz mężczyznę z zezem, który zakradł się przez moje okno w noc ataku... dla niej konsekwencje były bardziej dotkliwe.

– To on jednak istnieje? – odezwałem się w końcu.

– Menna?

– To znaczy... to nie jest jakieś wyobrażenie czy grupa ludzi? Straszak na dzieci, żeby położyły się spać?

– O, nie, nic z tych rzeczy – odparła Kensa. Nastąpiła dłuższa chwila ciszy. Widać było, że nad czymś rozmyśla, jednocześnie rozgarniając patykiem ognisko, które w odpowiedzi strzelało wyżej płomieniami. – Znalazłeś tu drogę – odezwała się w końcu, kierując te słowa do Tuty. – Myślisz, że uda ci się znaleźć konia i wóz?

Tuta z zapalem pokiwał głową.

Dwa dni później mieliśmy już konia i wóz.

Zanim wyruszyliśmy, razem z Ayą wybraliśmy się do świątyni w Karnaku, by jeszcze raz spotkać się z Nitokris. Po dotarciu do świątyni kierowani przez strażników i pracowników trafiliśmy do wewnętrznego sanktuarium, gdzie Nitokris powitała nas tak, jakby spodziewała się tej wizyty, i posadziła w tym samym miejscu, co poprzednio.

– Zatem – odezwała się, obdarzając nas łagodnym uśmiechem i przenosząc wzrok ze mnie na Ayę i z powrotem – wróciliście.

– Kiedy powiedziałaś, pani, że tu chodzi o znacznie więcej... – Przerwałem pod jej porozumiewawczym spojrzeniem, a potem uśmiechnąłem się z pewnym przymusem. – Teraz już rozumiem. Wiemy już o Medżajach i że droga, którą mam przed sobą, to znacznie więcej niż bycie obrońcą Siwy.

– I decydujesz się wstąpić na tę drogę, tak? – spytała kapłanka.

– Szkoda, że nie wiedziałem wcześniej – odparłem. Cień panujący w świątyni działał kojąco, a wietrzyk przelatujący korytarzami chłodził nam skórę. Mimo całej urazy, jaką odczuwałem z powodu ukrywania przede mną prawdy, to miejsce z chwili na chwilę mnie uspokajało. Potrzebowałem celu w życiu.

– Wkroczenie na drogę Medżaja to ogromna odpowiedzialność – powiedziała. – Medżaj to nie jest zwykły strażnik czy obrońca. Z pewnością ci powiedzą, że Medżaj kultywuje starożytną ideologię, ale twoje obowiązki wykraczają poza to. Twoim zadaniem jest nie tylko chronienie dawnych obyczajów, ale zapewnianie harmonii, równowagi i sprawiedliwości. Jako Medżaj będziesz czcić Amona. Będziesz żywym ucieleśnieniem Maat,

starożytnej wiary w prawdę i harmonię.

Zdałem sobie sprawę, że wstrzymuję oddech, więc zmusiłem się, by wypuścić powietrze, a potem oddychać regularnie i powoli. Wreszcie. Proste, rzetelne informacje. Coś, na czym mogę polegać.

– Dawno, dawno temu każdy Egipcjanin stosował zasady Maat do swojego życia i ich przestrzegał. Ale w pędzie do nowoczesności zatraciliśmy i to, i wiele innych rzeczy. Tych rzeczy, które sprawiały, że byliśmy dobrzy, Bayeku, synu Sabu. A jako Medżaj będziesz nie tylko chronił tych zasad i krzewił je, ale sam nimi będziesz. Rozumiesz?

Kiwnąłem potakująco głową. Tego mogłem się trzymać. To były informacje, które mogłem sobie przyswoić i wyciągnąć z nich wnioski. Coś, do czego warto aspirować, na podstawie czego można ukształtować całe życie. Być dobrym. Chronić niewinnych. Niszczyć zepsutych. Skupiać się na dniu dzisiejszym, ale też patrzeć w przyszłość.

– Wiem, że tak – rzekła Nitokris. Powiedziała to z pełnym przekonaniem, a mnie natychmiast przyszła na myśl Kensa i jej niesamowita zdolność odgadywania, co naprawdę kimś kieruje.

Nitokris skłoniła lekko głowę, po czym wstała, dając sygnał, że spotkanie dobiegło końca. – Czy wiesz, co jest symbolem Maat? – spytała.

Potrząsnąłem przecząco głową.

– Strusie pióro.

Kiedy wyszła, sięgnąłem do torby i wyciągnąłem przedmioty, które zbierałem podczas swych podróży. W dłoni miałem pióra. Białe pióra.

*

Kensa zabrała nas w podróż, która miała potrwać wiele dni. Jechał z nami Seti, a zwiadowca Neka jeszcze nie wrócił. Nasza piątka musiała stanowić osobliwy widok, wciśnięta pomiędzy zapasy na wozie, który toczył się powoli, oddalając się od Teb na zachód.

Obraliśmy okrężną trasę, bo Kensa i Seti stwierdzili, że podejście od zachodu będzie zbyt niebezpieczne. Dlatego po dotarciu do niskiej góry, która najwyraźniej była naszym celem, zaczęliśmy ją okrążyć, żeby znaleźć się od wschodniej strony.

Zostawiliśmy wóz u podnóża góry i dalej wspinaliśmy się pieszo, aż dotarliśmy do dogodnego punktu obserwacyjnego – płaskowyzu, z którego mieliśmy widok na migocące morze dalej na wschodzie oraz na coś, co wyglądało na początek dużej rozpadliny biegnącej przez środek góry.

Tam zebraliśmy się w kręgu, kucając. Kensa już wcześniej nas ostrzegła, że po dotarciu na szczyt musimy być cicho, a kiedy do niej dołączyliśmy, przycisnęła jeszcze palec do ust i obrzuciła każde z nas groźnym spojrzeniem, w czym była tak dobra. Szczególnie intensywnie wpatrywała się w Tutę, który jak na jej gust podczas naszej podróży zbyt się ekscytował.

Kazała nam położyć się na brzuchach, po czym podczołgaliśmy się do krawędzi płaskowyzu. Poniżej widzieliśmy ni to rozpadlinę, ni to dolinę – niemal okrągłe wycięcie w górze opadające do kotliny w dole. Na jej dnie widniała grupa budynków osłoniętych ze wszystkich stron zboczami góry, do których wiodła tylko jedna droga ze wschodu. Wzniesiono je byle jak, ale jednak były czymś trwałym.

Leżałem pomiędzy Ayą a Kensą, która w pewnej chwili odwróciła do mnie głowę i powiedziała cicho, ale nie szeptem, który mógłby się nieść daleko w powietrzu:

– I to właśnie jest miejsce, w którym Menna ukrywa się od... – Zastanowiła się. – Teraz już piąte lato. Długo, ale jest ostrożny. Na razie. Patrzcie...

Wskazała na znajdującą się bezpośrednio pod nami półkę skalną, gdzie strażnik z łukiem przewieszonym przez plecy pełnił wartę, maszerując w jedną i drugą stronę. W czasie, gdy na niego patrzyliśmy, zatrzymał się i

obrócił twarzą w kierunku budynków. Potem przyłożył dłonie do ust i wydał z siebie głośny wrzask, nieco przypominający krzyk jastrzębia, lecz wyraźnie ludzki.

W odpowiedzi z dołu dobiegł podobny dźwięk.

– To strażnik z drugiej strony góry – wyjaśniła Kensa. – W nocy krzyczą do siebie, żeby nie zasnąć, a w dzień, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku. – Wskazała na budynki. – Ten mniejszy to jakiś magazyn. – Nadal mówiła bardzo cicho, tak że Aya i Tuta musieli się wysilać, żeby ją usłyszeć. Seti gdzieś zniknął, szukając innych przejść. – Obok, w tym większym budynku, zakwaterowani są ludzie Menny, sześciu, licząc z ty mi dwoma strażnikami – ciągnęła. – W trzecim jest kwatery Menny. Mieszka ze swoim zastępcą, który, jak sądzimy, ma na imię Maxta. Większości z nich nie rozpoznaję, ale Maxta był tam tamtej nocy. Prawdopodobnie go widziałeś. Ma zeza.

Nagle poczułem, jakby złapała mnie ogromna dłoń i przez chwilę nie mogłem się ruszyć, obezwładniony przez straszne wspomnienie. Ten sam mężczyzna, który zakradł się do mojego pokoju w noc ataku? To musiał być on.

Kensa zabrała nas znad krawędzi i ukucnęliśmy w kręgu na zboczu góry, rozmawiając przyciszonymi głosami.

– A co z tym Menną? – spytałem. – Naprawdę jest taki straszny, jak opowiadają? Widziałeś go z bliska?

Zachichotała, w jej śmiechu pobrzmiała ironia.

– Tylko mi nie mów, że uwierzyłeś w te bujdy o zastrzonych zębach?

Potrząsnąłem przecząco głową, ale zdradził mnie rumieniec na policzkach. Nie musiałem patrzeć na Ayę, żeby wiedzieć, że na jej twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Po chwili poczułem, jak żartobliwie szturcha mnie palcem. Rzuciłem jej spojrzenie, na które odpowiedziała uśmiechem, a

mnie zaląła fala ciepła.

– Niestety – ciągnęła Kensa – przykro mi niszczyć dziecięce mity, ale Menna ma normalne zęby. Mimo to jest potężny, choć jego wpływy już osłabły. Dziesięć lat temu miał do dyspozycji trzy razy więcej ludzi, nie mówiąc o poplecznikach w całym kraju. A tego lata? Tego lata go zabijemy. Już wkrótce.

Wstrzymała na chwilę oddech, ale w końcu wypuściła powietrze, powoli i rytmicznie. Widać było, że odbija się już na niej narzucona sobie misja, ale parła dalej. Zdecydowana. Nieugięta.

– Menna być może żyje w pamięci mieszkańców Siwy, ale dziś to już cień dawnego siebie, i to dzięki moim ludziom. Ty le że mnóstwo nas to kosztowało. Żyje nadal tylko dlatego, że choć jego i nasze siły są zdziesiątkowane, to ich wciąż jest więcej. I tyle. Ale cały czas go obserwujemy i czekamy na dogodny moment, żeby uderzyć. A jedną z rzeczy, które powiedział nam Neka, jest to, że Menna i jego ludzie mogą niebawem stąd wyruszyć...

Przerwała i wsłuchiwała się w coś w napięciu. Z dołu dał się słyszeć hałas nadjeżdżającego rydwanu. Potem dobiegły nas dźwięki szamotaniny i w końcu krzyk, który wzleciał w górę, jakby szukając naszych uszu. W następnej chwili Kensa błyskawicznie podpełzła do krawędzi rozpadliny, żeby sprawdzić, co się dzieje w obozie, a my oczywiście ruszyliśmy za nią.

Zobaczyliśmy, że dwóch mężczyzn ciągnie trzeciego – Nubijczyka – do najmniejszego z trzech budynków. Głowa zwisała mu do tyłu i nawet stąd było widać, że jest w kiepskim stanie.

– To Neka! – syknęła Kensa. – O, bogowie, oni mają Nekę. – Zaciśnęła dłoń w pięść, wbijając ją w udo. Przez chwilę widziałem, jak drży z wściekłości i frustracji, ale szybko się opanowała. – Torturowali go – powiedziała, a w jej głosie dały się słyszeć gniew i bezsilność.

Właśnie wtedy wrócił Seti. Poszedł inną drogą, żeby sprawdzić, gdzie są strażę. Kensa rzuciła się ku niemu. Natychmiast się zorientował, że coś jest nie w porządku. Przechylił głowę i spojrzał na nią pytająco.

– O co chodzi, Kenso? Co się stało?

Kensa nie owijała w bawełnę.

– Mają Nekę i trzymają go w jednym z tych budynków. Już go torturowali i pewnie jeszcze będą.

Na Setim zrobiło to piorunujące wrażenie. Wzburzony, przez chwilę wyglądał, jakby chciał popędzić w dolinę. Opamiętał się i odwrócił, żeby zacząć schodzić po zboczu.

– Dalej, ruszajmy – ponaglił. – Idziemy go ratować.

– Jeszcze nie – odparła stanowczo Kensa.

Była młodsza od niego – uświadomiłem sobie, że z naszej grupy tylko Tuta jest od niej młodszy – ale miała posłuch i te słowa wystarczyły, żeby uciszyć Setiego, przynajmniej na razie.

Kiedy umilkł, zwróciła się do nas:

– Dobrze, pójdziemy na dół i tam przedyskutujemy, co dalej, bo tu za chwilę zwrócimy na siebie uwagę. A ty – wskazała na Setiego – nie rób niczego pochopnie, bo wszyscy zginiemy.

Przyszło mu to z trudem, ale się zgodził. Obróciliśmy się i zaczęliśmy schodzić.

Po zejściu do stóp góry Aya, Tuta i ja usunęliśmy się na bok, a oboje Nubijczyków stanęło naprzeciw siebie i żadne nie zamierzało ustąpić.

– Idę tam! – ryknął Seti. Emocje aż się w nim gotowały od dłuższej chwili, teraz musiały znaleźć ujście. – Neka to mój brat. I to nie tylko w sensie współplemieńca. Jesteśmy jednej krwi. Pamiętasz swoje słowa przy ognisku? Pamiętasz, jak mówiłaś o znaczeniu więzów krwi i że nie można ich się wyprzeć? To nie każ mi teraz ich ignorować.

Kensa położyła dłonie na jego ramionach i było widać, jak się trzęsą od jego furii.

– Ale nie bez planu. Z pewnością cię załatwią. Jest strażnik przy drodze wjazdowej. Drugi nad twoją głową. I jeszcze ludzie zakwaterowani w obozie. Jesteś najlepszym łucznikiem, jakiego widziałam i, na bogów, z pewnością zabrałbyś kilku z nich ze sobą, ale to nie zmienia faktu, że jesteś jeden. Zabiją cię, twoje dziecko straci ojca, a Neka też umrze. Więc jaki to ma sens? Menna znów urośnie w siłę.

Wyrwał się jej.

– To co proponujesz? Zostawić tam Nekę? A może powinniśmy wrócić do Teb i poprosić twojego chorego dziadka i moją ciężarną żonę, żeby przyłączyli się do nas? Nie jestem sam, nie zapominaj o tym. A co z tobą? Co z twoimi przyjaciółmi z Teb?

Kensa wbiła drzewce włóczni w ziemię i okręciła się na nim, żeby na nas spojrzeć. Patrzyła, jakby widziała nas po raz pierwszy, więc już otwierałem usta, żeby zapewnić, że możemy im się przydać, gdy zdążyła się odezwać

Aya: – Poradzimy sobie. Pozwól nam to udowodnić.

Kensa potrząsnęła głową, wyciągając w moją stronę palec.

– Pozostało tak niewielu Medżajów. Myślisz, że chcę być odpowiedzialna za śmierć tego, który może być ostatnim? Nie, dziękuję.

– Będiesz odpowiedzialna za pomoc w jego przemianie w Medżaja – nalegała Aya.

Zaskoczyły mnie jej słowa, ale zrobiło mi się ciepło na sercu. Nie sądziłem, by miało dla niej znaczenie to, co reprezentuje Medżaj. Ale może wystarczył jej fakt, że dla mnie to ważne.

– To samobójstwo. Z naszej piątki tylko dwoje...

– Co takiego? – naciskała Aya.

Kensa zaczerpnęła powietrza i wbiła w nią twarde spojrzenie.

– Dobrze. Czy zabiliście już kogoś? Czy on zabił?

Aya potrząsnęła głową i odetchnęła głęboko. Wiedziałem, co się dzieje. Wiedziałem, że szykuje się do dyskusji, w której nie zamierza ustąpić.

– To co, na tym tylko polega bycie Medżajem? Na zabijaniu ludzi? To są kwalifikacje, których szukasz?

Mówiła to dobitnie, ale bez gniewu. Było to szczere, uczciwe pytanie.

– Nie – odparowała Kensa i widziałem, że słucha Ayi. – Ale kiedy zabicie kogoś jest konieczne, Medżaj musi to zrobić bez wzdragania się, bez wątpliwości i wiedząc z całą pewnością, że ten sposób działania jest jedynym możliwym w danej sytuacji. Czy potrafisz to zrobić, Bayeku? – Podeszła bliżej i położyła dłoń na mojej piersi. – Czy tam jest to, co potrzebne, by to zrobić?

Pomyślałem o mężczyźnie z zezem, któremu teraz mogłem już przypisać imię – Maxta. Pomyślałem o Mennie, o swoim ojcu i byciu Medżajem. Pomyślałem o ojcu Tuty, który przez tyle czasu terroryzował własną rodzinę. A jeszcze jakiś czas temu widziałem tę rodzinę szczęśliwą i bezpieczną.

Wyprostowałem się odrobinę – znałem już odpowiedź. A Kensa, jak to Kensa, dostrzegła to, zanim zdążyłem się odezwać. Rzuciła mi spojrzenie, w którym rozpoznałem uznanie i odrobinę ulgi, ale nie miała szansy nic powiedzieć, bo wtrącił się Seti, głosem skrzekliwym od tłumionych emocji: – Wiesz, co oni będą robić, Kenso, wiesz, prawda? Wiesz, co mu będą robić?

– Tak – odparła cicho. – Ale nasz brat nie będzie mówił. Neka raczej umrze, niż im powie, gdzie się schroniliśmy.

– Umrze? – wybuchnął Seti. – Nie mam zamiaru do tego dopuścić, a ty też nie powinnaś.

Kensa zacisnęła obie ręce na drzewcu włóczni i oparła o nie czoło. Jej plemienne pióra kołysały się jak pierzaste liście palmy, rzemyki zwisające z karwaszy powiewały na lekkim wietrze, a ona rozmyślała. Potem nagle podniosła głowę, podeszła do naszego wozu i ku mojemu zaskoczeniu wyszarpnęła z niego mój łuk. Otworzyłem usta, żeby zaprotestować, gdy rzuciła go Setiemu.

– Obejrzyj go – warknęła. – Sprawdź naciąg.

Kiedy Nubijczyk badał mój łuk, poczułem, że na twarz wypływa mi rumieniec.

– Całkiem niezły – stwierdził w końcu, choć widziałem, że go nie zachwyił. Oddał go jej. – Trzeba poprawić naciąg, i to wszystko. Siostró, ale jedyne, co tu się liczy... Czy ufasz tym ludziom?

Skinęła potakująco głową.

– To zaufaj im, że zrobią to dla nas.

Kensa zbierała się do odpowiedzi, gdy usłyszeliśmy hałas dobiegający z za góry.

Dźwięk, który zamknął nam usta.

Dźwięk, który natychmiast zakończył kłótnię.

Krzyk.

Czekaliśmy na zapadnięcie nocy. Akurat była pełnia. Kensa i Seti na krótko zniknęli, a kiedy wrócili, mieli twarze pomalowane na biało kredą. Zrobiłem pytającą minę.

– To na cześć naszych bogów – wyjaśniła Kensa, a potem z szerokim uśmiechem dodała – i żeby wzbudzić strach we wrogach. Teraz się rozdzieliliśmy. Seti zaczął piąć się w górę, bo jego zadaniem było uciszenie strażnika na półce skalnej. Reszta miała przejść u podnóża góry na wschód i zająć się drugim strażnikiem.

Potem mieliśmy cicho czekać, aż ludzie Menny porządnie się najedzą i napiją – szczególnie to drugie – i zasną kamiennym snem, żebyśmy mogli przystąpić do działania.

Całą czwórką skradaliśmy się dookoła góry, aż dotarliśmy do miejsca, gdzie skała ustępowała miejsca traktowi biegnącemu do obozu. Kiedy zbliżyliśmy się do celu, Kensa machnęła ręką, pokazując nam, że mamy iść gęsiego. Musieliśmy być jak najmniej widoczni, wtopić się w skalny krajobraz, przesuając powoli i cicho coraz bliżej wejścia do doliny. Kensa zamrugła oczami i zdałem sobie sprawę, że nadal liczy w myślach.

W końcu nie ośmieliliśmy się już dalej iść. Znajdowaliśmy się jakieś trzydzieści łokci od strażnika opierającego się o występ skalny. Łuk miał przewieszony przez plecy i był odwrócony do nas plecami. Wcześniej, kiedy się zbliżaliśmy, słyszeliśmy krzyk jastrzębia, ale od dłuższego czasu trwała cisza, więc zastanawiałem się, czy nie zasnął.

Ale nie.

W końcu nadleciał. Miało się wrażenie, że spada z niebios i odbija się echem w przepastnej czerni pustyni rozciągającej się za górą – dźwięk brzmiący bardzo samotnie, dopóki strażnik koło nas nie wyprostował się i nie odpowiedział.

Spojrzałem na Kensę. Skoncentrowana, z półprzymkniętymi oczyma nadal najwyraźniej liczyła, ale ostatnia wymiana krzyków była tym, na co czekała. Zobaczyłem, jak przełyka ślinę. Była gotowa. Spojrzała na nas i skinęła głową przytakująco. Przygotujcie się. Zostańcie tutaj. Wydawała komendy bez słów.

Potem ujęła włócznię i ruszyła biegiem. Jej stopy nie robiły najmniejszego hałasu na twardym gruncie, pędziła przez noc jak duch, jednocześnie cofając rękę z włócznią, żeby rzucić nią jeszcze w biegu.

Strażnik nie mógł jej usłyszeć. W żadnym wypadku. A jednak jakiś szósty zmysł sprawił, że podniósł się i obrócił – a wówczas w świetle księżyca wyraźnie dojrzał nadbiegającą Kensę. Otworzył usta, może żeby ostrzec drugiego strażnika, a może by zawołać coś do niej. Zresztą to i tak nie miało znaczenia.

W następnej chwili jedynym dźwiękiem, który nas dobiegał, było jego charkotanie, przedśmiertne rżenie dobywające się z miejsca, gdzie włócznia Kensy utkwiała w jego szyi. Upadł, wierzgając nogami, akurat gdy Kensa dobiegła i przy nim uklękła. Zasłoniła nam widok, ale zdołałem dostrzec nóż, a potem rżenie ucichło.

Nasłuchiwaliśmy w napięciu, niepewni, czy Seti wykonał swoją część zadania. Każdy z nas bał się, że usłyszy krzyk jastrzębia, ale nic nie zakłóciło ciszy. W końcu Kensa zdecydowała się ruszyć. Zabrała strażnikowi łuk i strzały i wręczyła je Ayi, wymieniając z nią porozumiewawcze spojrzenia.

Po chwili posuwaliśmy się szybko, lecz cicho, w stronę obozu, świadomi, że jasny księżyc rzuca nasze długie cienie na drogę. Trakt wkrótce się

rozszerzył i dostrzegliśmy budynki, które po południu obserwowaliśmy z góry. Były już naprawdę blisko. Spali w nich nasi wrogowie – i mieliśmy ogromną nadzieję, że na tyle mocno, że nikogo nie obudzimy.

Po lewej stronie znajdowały się stajnie, a w nich konie i rydwany. Kensa gwizdnęła cicho, na co Tuta i Aya podeszli do niej, po czym ruszyli ku stajniom okrężną drogą, trzymając się brzegów niecki.

Kensa dotknęła lekko mojej ręki.

– Dobrze mieć cię tutaj, Bayeku – szepnęła.

Zaskoczyła mnie, bo stale pamiętałem o jej wcześniejszych zastrzeżeniach.

– Naprawdę tak myślisz?

– Tak.

Spojrzeliliśmy w górę i dostrzegliśmy, że Seti zajął już swoje miejsce na półce skalnej po drugiej stronie dolinki. Widok Nubijczyka z łukiem w jednej i strzałą w drugiej dłoni dodał mi pewności siebie. Kencie chyba też, bo wskazała mi gestem kierunek i ruszyliśmy ku grupie budynków w środku niecki.

Znaleźliśmy się teraz na zupełnie otwartej przestrzeni. Biegając w kierunku magazynu, czuliśmy się boleśnie widoczni i bezbronni. Rzuciłem przelotnie wzrokiem w lewo, gdzie Tuta i Aya zaczęli już zaprzęgać konia do jednego z rydwanów. Musieliśmy zabrać rydwan, bo inaczej trudno byłoby przewieźć rannego Nekę. Poza tym chcieliśmy pozbawić Mennę i jego ludzi środków transportu, by nie mieli jak wrócić do Teb.

Dopadliśmy do magazynu i stanęliśmy, patrząc na siebie w oczekiwaniu, czy nie podniesie się krzyk. Na szczęście nic nie zakłóciło ciszy, więc odetchnęliśmy i zabraliśmy się za oglądanie drzwi. Były zamknięte drewnianym szpikulcem wbitym w pętlę z twardego drewna. Bez słowa zaczęliśmy go poluzniać, delikatnie poruszając w jedną i drugą stronę, i już

po chwili udało się go wyjąć. Uradowani pociągnęliśmy za drzwi. Otworzyły się ze skrzypieniem, które dla nas zabrzmiało tak głośno, jakby piorun uderzył w dolinę.

Kiedy wchodziliśmy do środka, po raz pierwszy byliśmy zadowoleni, że księżyc świeci tak mocno, bo od razu dostrzegliśmy, gdzie znajduje się Neka.

Wyglądałby jak jego brat Seti, gdyby nie ogromny, nabrzmiały siniak, w którym ginęło jedno oko, oraz otarcia na policzkach i czole. Na piersi widniał szereg ran od noża, jakby ktoś, komu zależało na sprawieniu jak największej udręki, metodycznie rozcinał mu skórę.

A mimo to, kiedy nas zobaczył, otworzył szeroko zdrowe oko, a na spierzchniętych ustach pojawił się uśmiech. Na ten widok zalała nas fala ulgi. Ręce i nogi miał skrępowane, ale zdołał usiąść.

– Seti? – szepnął.

– Osłania nas z góry – odparła Kensa, padając na kolana, wyciągając nóż i przecinając mu więzy, wszystko jednym płynnym ruchem.

Rozmasował dłonie, dotknął oka i się skrzywił.

– Bardzo źle? – spytała Kensa.

Z wahaniem wyciągnęła palec ku jego ranom na piersi, ale złapał jej rękę i przytrzymał.

– Tak – przyznał, a zdrowe oko mu się zamgliło – poranili mnie, ale to był dopiero początek. Jak powiedzieli: dopiero jutro miała się zacząć prawdziwa zabawa. – Wskazał na mnie. – Kto to jest?

– Bayek, syn Sabu – odpowiedziała szybko, pomagając mu wstać na nogi. – On i jego przyjaciele nam pomagają. Dalej, pora stąd się zbierać.

– O, z pewnością tu nie zostanę – odparł Neka, a twarz mu się zachmurzyła. – Ale nie opuszczę tego obozu inaczej niż z głową Menny zatkniętą na twojej włóczni.

Kensa szybko i zdecydowanie potrząsnęła głową.

– Nic z tego – powiedziała stanowczo. – Jest nas za mało. Ty jesteś ranny. Naszą misją było bezpiecznie cię stąd wyciągnąć, i to właśnie zamierzam zrobić.

– A jak sądzisz, co powiedziała by mój brat?

Kensa zacisnęła usta. Wszyscy dokładnie wiedzieliśmy, co powiedziała by jego brat, gdyby tu był.

– Od dawna czekamy na okazję, żeby w niego uderzyć... – naciskał Neka.

– Ale ta jest mało sprzyjająca... – przerwała i widać było, że zaczyna nad tym myśleć.

Mimo ryzyka, jakie to stwarzało dla pozostałej jej garstki ludzi, ona poważnie to rozważała.

– Kenso, mamy to na wyciągnięcie dłoni. Mamy na wyciąg niemieckiej dłoni okazję, żeby rozprawić się z Menną raz na zawsze. Sprowadziłaś posiłki. – Kiwnął w moją stronę głową, czując, że może ją przekonać. – Jesteśmy już w środku obozu. Stróże nie żyją, tak?

– Tak.

– To zostało ich jeszcze siedmiu. Pięciu w tamtym budynku, a Menna i jego prawa ręka w drugim. Jesteśmy osłaniani z góry. Mamy tu wojowników. Do tego element zaskoczenia. Teraz jest właściwa pora, Kenso. Skończymy to.

Kensa uniosła podbródek. Nie trzeba było już więcej jej przekonywać.

– Ty chcesz zabić Mennę za to, co ci zrobił, tak? – stwierdziła, przesuając palcami po jego ranach.

Wzdrygnął się.

– Tak, siostrze moja, chcę.

Wpatrywała się w niego przez chwilę przesywającym, nieruchomym spojrzeniem. I potrząsnęła głową, choć było to ledwie zauważalne.

– Na to się nie zgadzam. Mennę zabiję ja. Takie są moje warunki.

Przyjmujesz je albo nie, twój wybór.

Uśmiechnął się nieznacznie. Kiwnął głową i nieco ustąpił, ufając jej osądowi.

– Twardo się targujesz. Zgadzam się. Daj mi swój łuk i chodźmy.

Zrobiła, o co prosił, a kiedy Neka po kilku chwiejnych krokach zaczął iść pewniej, opuściliśmy magazyn.

Niezbyt długo cieszyliśmy się łatwym sukcesem. A wszystko przez człowieka, któremu zachciało się sikać. Plany Kensy i Neki mogłyby się powieść, gdyby nie pęcherz, który rozsadzało wypite przez jego właściciela piwo.

Zaczęliśmy przekradać się pod ścianą magazynu z powrotem do niecki, gdzie po drugiej stronie Tuta i Aya kucali w stajni.

Machali do nas. Przez chwilę nie mogłem pojąć, co robią, bo moje oczy dopiero przyzwyczajały się do mroku, a może nie mogłem uwierzyć w to, co widzę. Ale nie, z pewnością machali. Wytężyłem wzrok, starając się zrozumieć dlaczego.

Machali i pokazywali na...

Mój wzrok powędrował w tym kierunku, ku pozostałym budynkom obozu – a tam, przy większej z dwóch chat zobaczyłem jednego z ludzi Menny, jak opróżnia pęcherz na boczną ścianę. Na półce skalnej dostrzegłem Setiego stojącego w gotowości z naciągniętym łukiem, ale na razie ten człowiek znajdował się po złej stronie budynku. Wybrał na załatwienie potrzeby jedno z nielicznych miejsc pozostających poza zasięgiem Setiego. Na dodatek, gdyby spojrział w prawo, zobaczyłby Tutę i Ayę, a obracając się w lewo, ujrzyłby Kensę, Nekę i mnie.

Niech to szlag!

Kensa zaczęła szaleńczo sygnalizować, żebyśmy schronili się z powrotem w magazynie. Jedynym dźwiękiem był szelest moczu oddawanego na ścianę chaty.

Dostałoby mu się za to, pomyślałem idiotycznie. Pewnie mają rozkaz chodzić gdzieś z dala od budynków, ale był zbyt zmęczony, żeby go to obchodziło.

Widać było unoszącą się parę. Przestał.

A potem znów zaczął.

Znów skończył, opuścił tunikę i cofnął się chwiejnie, nie wiadomo, czy tak pijany, czy śpiący.

Zamarliśmy w miejscu, z jednej strony przerażeni, że każdy ruch może zwrócić jego uwagę, a z drugiej, że zauważy nas na otwartej przestrzeni. Nawet Kensa zaprzestała prób zapędzenia nas z powrotem do środka i po prostu kucnęła nieruchomo. Podobnie po drugiej stronie Tuta i Aya ani drgnęli. Nie ośmieliłem się obrócić głowy, żeby zobaczyć, co robi Seti.

Wszystkich nas sparaliżowała myśl, że możemy zostać zauważeni, i tylko modliliśmy się w duchu, żeby ten człowiek po prostu wrócił do swojej kwatery.

Ale tak się nie stało.

Zatrzymał się, nadstawił ucha, a potem przyłożył dłonie do ust i wydał z siebie krzyk jastrzębia, a przynajmniej jego pijacką wersję.

Wstrzymaliśmy oddechy, obserwując, jak znowu nasłuchuje, czekając na odpowiedź, a kiedy nie nadeszła, zaczął się irytować. Najwyraźniej postanowił zorientować się w sytuacji i z uniesionym podbródkiem oraz wypiętą piersią począł rozglądać się dookoła jak pijany władca lustrujący swoje królestwo. Jego wzrok przesunął się po stajni, ale się nie zatrzymał, bo Tutę i Ayę dobrze skrywał cień. Ale potem skierował oczy tam, gdzie nasza trójka kucała przed drzwiami magazynu, i nagle poczułem się kompletnie odsłonięty. *To koniec, Bayek*, pomyślałem. Przyjazny mu księżyc świecił prosto na nas, jakby wskazywał: tam są.

Z pewnością nas zauważył.

Kensa też doszła do tego wniosku. Poderwała gestem Nękę. Obydwoje zaczęli posuwać się w stronę bandyty, trzymając broń w pogotowiu.

I wówczas nastąpiło niewyobrażalne. Mężczyzna w końcu podjął decyzję i krzyknął, żeby podnieść alarm. Kensa rozmyśla się w cieniu, ale Neka stał, dobrze teraz widoczny. Mężczyzna dostrzegł go i rzucił się do przodu, wydając drugi, znacznie głośniejszy i bardziej nagły krzyk. Dopadł drzwi swojej kwatery i walił w nie z całej siły obiema dłońmi.

Nic mu to nie pomogło. Dochodząc do drzwi koszar, znalazł się w polu widzenia Setiego, który natychmiast zwolnił cięciwę. Strzała przeszła policzek wroga i utkwiała w poprzek przełyku, skutecznie uciszając krzyki i łomot.

Ale było już za późno. Drzwi gwałtownie się otworzyły, a ze środka dobiegło wołanie:

– Co jest!?! – W głosie, początkowo sennym, po chwili rozbrzmiało przerażenie, gdy wołający dostrzegł ciało towarzysza rozciągnięte na ziemi.

Rzucił się naprzód. Bardzo lekkomyślnie, bo niemal natychmiast padł, ugodzony włócznią Kensy. Gładko i szybko. Trzymałem nóż w dłoni i obserwowałem z napiętą uwagą. Usłyszałem z boku jakiś ruch, a gdy się obróciłem, ujrzałem Ayę i Tutę czających się w pobliżu i uśmiechających do mnie.

Po drugiej stronie obozu Seti wykorzystał przerwę w walce, żeby zeskoczyć z półki skalnej. Nubijczycy, znowu razem, na krótko się objęli, ale niemal natychmiast dało się odczuć dziwne niezdecydowanie: co dalej? W tym budynku było jeszcze czterech czy pięciu mężczyzn. A w drugim...

Menna.

Miałem wrażenie, że wszyscy ocknęliśmy się jednocześnie. To nie był koniec walki. Kensa pokazywała gestami Nece: „Idź tam. Pilnuj drzwi”. Jednocześnie Aya założyła strzałę na cięciwę łuku, który przejęła od

strażnika.

– Seti – szepnęła Kensa chrypliwie – sprawdź z tyłu. Upewnij się, że nie ma tam innego wyjścia.

Nubijczycy najwyraźniej mieli wyćwiczone, co należy robić, ale nasza trójka była zielona. I tak nie byliśmy odpowiednio przygotowani, a tu sprawy jeszcze przyspieszyły przez tego sikającego mężczyznę. Teraz desperacko staraliśmy się dorównać wytrawnym myśliwym.

A to nie był koniec problemów. Nadejście kolejnych uświadomiły nam dźwięki dochodzące ze stajni. Rzut oka wystarczył, by zobaczyć, że Menna z zastępcą gramolą się do rydwanu.

Odruchowo krzyknąłem:

– Nie!

Za późno...

Już wyjeżdżali z turkotem kół i grzmotem podków, a ja po raz pierwszy miałem okazję dokładniej zobaczyć prawą rękę Menny.

To był on. Człowiek, który wszedł przez okno do mojej sypialni lata temu, mężczyzna, który sprawił, że sparaliżował mnie strach. Zobaczyłem zezujące oko. Zobaczyłem okropny krzywy uśmiech świadczący, że nadal dobrze się bawi mimo tak niekorzystnego położenia.

W porównaniu z nim stojący obok niego Menna wydawał się nikim. Mały człowieczek. Chudy i zniszczony, ze skórą w kolorze pasów przecinających jego pierś.

Neka wymierzył z łuku, ale najwyraźniej nie był zadowolony, bo popędził, żeby znaleźć lepszą pozycję i jeszcze w biegu wystrzelił. Przeszkodziło mu jednak chore oko i strzała z trzaskiem trafiła w bok rydwanu, przebijając kosz. Utkwiła w nim, nie wyrządzając nikomu krzywdy, gdy tymczasem rydwan skręcił i popędził w stronę traktu wychodzącego z obozu.

Zamarłem w napięciu, mając nadzieję, nie, modląc się, by Seti zdążył naprawić ten błąd, ale wtedy z drugiej strony zabudowań dobiegł mnie krzyk bólu i zrozumiałem, że jest zajęty gdzie indziej. A po chwili było już za późno.

Bogowie! Cholera!

Kensa wyrwała Nece swój łuk i strzały.

– Zostań tu! – krzyknęła do Ayi. – Zadbajcie, żeby nie wyszli. Jednocześnie skierowała się w stronę stajni.

– Bayek, ze mną! – rozkazała.

Ruszyłem błyskawicznie i pobiegłem tuż za nią do rydwanu. Kiedy się obejrzałem, zobaczyłem, że Aya celuje z łuku w chatę. Zza zabudowań wyłonił się Seti, który nakładał w biegu strzałę na cięciwę, żeby spróbować trafić w rydwan Menny znikający już prawie z widoku, po czym płynnie się obrócił, chcąc osłaniać tylne wejście. Mieli ręce pełne roboty, ale poradzą sobie. W końcu było to dwóch doświadczonych Nubijczyków, Aya, wprawdzie nowicjuszka, ale bystra i pewna siebie, oraz Tuta, który niewątpliwie miał w zanadrzu niejedną sztuczkę.

– Potrafisz tym kierować!?! – krzyknęła Kensa, wskazując do rydwanu.

Złapałem lejce i tylko potrząsnąłem nimi w odpowiedzi, po czym popędziłem konia i wypadliśmy ze stajni. Zatoczyliśmy łuk, kierując się do wylotu doliny, a koła zostawiały w miękkim gruncie głębokie ślady.

Jedną z niewielu rzeczy, których ojciec niezmordowanie mnie uczył, było właśnie powożenie.

Zostaliśmy w tyle za Menną, to prawda. Ale mieliśmy jedną ogromną przewagę.

Kensę.

Nasz koń parskął, grzywa powiewała mu w pędzie. Mocno ścisnąłem lejce, świadom, że minęło już dużo czasu, od kiedy po raz ostatni kierowałem

rydwanem – w Siwie, oczywiście, a to wydawało się teraz wieki temu – a także, że jest tak ciemno.

Zabawne, że księżyc był na zmianę naszym wrogiem lub sojusznikiem. Teraz przynajmniej oświetlał nam Mennę i Maxtę. Maxta kierował i często oglądał się za siebie, a Menna kucał w koszu, kurczowo trzymając się jego krawędzi.

Potrząsnąłem lejcami i użyłem bata. Czy zbliżaliśmy się do nich? W tamtej chwili to nie miało dla mnie znaczenia. Zęby miałem odsłonięte, dziąsła wyschnięte od wiatru, który rozwiewał mi też włosy. Ale czułem, jak zalewa mnie niesamowite uniesienie. Jeśli jeszcze się nie zbliżyliśmy, to wkrótce to nastąpi. Czułem to w kościach, a poza tym...

Obok mnie Kensa kucała podobnie jak Menna, starając się utrzymać równowagę, bo każdy dołek i wznórek nierównego terenu mógł przerzucić nas na jedną stronę platformy i spowodować zwichrowanie koła i połamanie jego drewnianych szprych. Te stare pojazdy były dobre do spokojnych wycieczek na targ, nawet do Teb i z powrotem, ale nie do nocnych pościgów na pustyni.

Przed nami rozległo się trzaśnięcie bata i głos Maxty ponaglącego konia. Ja zrobiłem to samo. Kensa zdecydowała się wstać. Rozstawiła szeroko nogi, jedną stawiając za moją, tak że dotykaliśmy się udami i nawzajem podtrzymywaliśmy. Wzięła łuk, a prawą ręką strzałę, którą założyła na cięciwę. Widziałem, jak napinają jej się mięśnie, kiedy naciągnęła broń. Zaparła się o mnie i o krawędź kosza, robiąc wszystko, co mogła, by utrzymać się nieruchomo na podskakującej platformie rydwanu i pewnie wycelować.

Ale to nie wystarczyło.

Pierwsza strzała przeleciała obok uciekinierów. Spojrzała na mnie, ja na nią. Nie było krzyków ani przekleństw, tylko milczące wzajemne

zapewnienie się, że cokolwiek się zdarzy, wykonamy swoje zadanie.

– Następna! – zawołała, przekrzykując dudnienie kół rydwanu, i założyła drugą strzałę, po czym napinając mięśnie, odciągnęła cięciwę.

Aż jęczała z wysiłku, a ręka trzęsła jej się ze zmęczenia, kiedy w końcu strzeliła. Ta strzała była celna. Utkwiła głęboko w lewym barku Maxty, którym zarzuciło wskutek impetu uderzenia.

Upadł, szarpiąc lejce, na co koń gwałtownie zahamował i stanął dęba. Rydwanem zarzuciło, po czym oderwał się od ziemi, przekręcił do góry nogami i roztrzaskał o ziemię wraz z pasażerami.

Zatrzymaliśmy się obok. Kensa założyła na łuk następną strzałę, ja wziąłem do ręki sztylet, po czym zesliśmy z naszego pojazdu, żeby zbadać sytuację.

Rydwan leżał podłogą do góry. Jedno koło było zgruchotane, drugie kręciło się w powietrzu, z każdą chwilą coraz wolniej. Wrak przygniatał obu mężczyzn, a koń rżał boleśnie, usiłując podnieść się na nogi. Kensa stanęła z łukiem wycelowanym w rydwan, a ja szybko podszedłem do zwierzęcia i przeciąłem skórzane paski uprzęży, żeby je uwolnić. Potem przeszedłem na tył pojazdu i ukucnąłem, żeby zajrzeć do środka. Aż wzdrygnąłem się na widok, który mnie przywitał. Wszędzie było pełno krwi.

Początkowo wydawało mi się, że żyją oboje. Mieli otwarte oczy i przyglądali mi się beznamietnie. Moją uwagę przyciągnął Menna, który patrzył jednak jakoś dziwnie. Dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że nie mruga, a jego głowa jest wygięta pod dziwnym kątem w stosunku do reszty ciała, jakby przyklejona do ścianki kosza.

W pewnej chwili opadła mu szczęka i w zakrwawionych ustach dostrzegłem jakiś przedmiot. Zrozumiałem wtedy, że patrzę na głowę przyszpiloną do kosza. Kiedy rydwan się wywracał, Menna wpadł na grot strzały Neki, który tkwił teraz wbity w jego twarz. Czy to go zabiło? Czy

skręcił kark? Trudno było zgadnąć, ale w każdym razie nie żył.

W Maxcie natomiast jeszcze tliło się życie. I wpatrywał się we mnie widzącymi oczyma.

– Kim jesteś? – spytał, ale choć zabrzmiało to napastliwie, jego głos był słaby i wysiłony. Z ust wypływał mu strumień krwi, plamiąc brodę.

– Nieważne – odparłem, nadal kucając. – Zostałeś w końcu pokonany. I to przez syna Medzaja.

Oczy rozszerzyły mu się w wyrazie przerażenia połączonego ze zrozumieniem. Zakasłał po raz ostatni, na jego ustach pojawił się krwawy pęcherzyk, który po chwili pękł, i Maxta wyzionął ducha.

Przed opuszczeniem Aleksandrii Bion jeszcze raz spotkał się z Raia, tym razem w miejscu, gdzie ten ostatni czuł się swobodniej. Wybrali opuszczony gaj figowy, w którym jedynymi żywymi istotami były chmary owadów. Usiedli na kamiennej ławce otoczonej opadłymi liśćmi i w końcu mogli swobodnie porozmawiać bez obawy, że ktoś ich podsłucha. Raia zaś nie musiał się denerwować obecnością Biona w swoim codziennym życiu – z wszystkimi tego konsekwencjami.

Bion wdychał słodki zapach fig i obserwował owady latające wśród drzew, a jednocześnie relacjonował Rai swoje spotkanie z uczonym Rashidim i to, czego się dowiedział na temat Hemoni i Sabesteta, ślepego chłopaka i jego pana mieszkających w Dżerti.

– Staruch, co? – prychnął pogardliwie Raia, a Bion był zadowolony, że siedzą bokiem do siebie, bo z pewnością z jego twarzy wyraźnie można było odczytać odrazę do komendanta.

Swoją drogą to dziwne, pomyślał. Komendant, jakiego znał przed laty, był ambitny i zadufany w sobie, ale nie głupi. Z pewnością nie był człowiekiem, który ślepo i bezkrytycznie by się w coś angażował. Mężczyzna, którego widział obecnie, szczególnie w jego domowym otoczeniu w Aleksandrii, który siedział przy nim, od czasu do czasu przymykając oczy i wystawiając twarz na ostatnie promienie popołudniowego słońca, to ktoś zupełnie inny.

– Zatem niedługo wyjeżdżasz do Dżerti – stwierdził Raia – żeby kontynuować naszą misję?

Bion przez moment się zastanawiał, która część tej misji jest ich wspólna.

– O świcie – odparł w końcu, jednocześnie myśląc o zadaniu, które zamierzał wykonać wcześniej.

– Dobrze, dobrze. Będę niecierpliwie czekał na wieści, że ten staruch i jego ślepy pomocnik zginęli z twojej ręki.

– Tak – odparł krótko Bion.

Tak, wkrótce umrą. To jest tak nieuniknione jak kolejny wschód słońca. Umrą niedługo, a wtedy, był pewien, Raia będzie miał dla niego kolejną misję. A potem następną. Zawsze jakąś znajdzie.

Uświadomił sobie, że ta myśl wcale nie sprawia mu przykrości.

To jego dziedzictwo. Jego dar dla świata. Śmierć. W końcu po wojnach dokonywało się zmartwychwstanie. A jeśli on trochę przyspieszy termin, to co z tego? Śmierć czeka każdego, wcześniej czy później. Jego ofiary zyskiwały spokój. Czy to naprawdę taki straszny los znaleźć wytchnienie od tego życia i przejść do następnego?

– Ale nam się trafiło, nie sądzisz? – mówił dalej Raia, a Bion porzucił swe rozmyślenia, żeby móc się skupić na jego gadani nie. – Żeby tak szybko znaleźć przywódcę, ledwo zaczęliśmy naszą misję? To jak odcięcie korzeni przed powaleniem drzewa. – Raia odchylił się na oparcie ławki i wystawił twarz do słońca, najwyraźniej bardzo dumy ze swego porównania.

Bion poczuł, jak odzywają się jego blizny. Że też musi tu z nim siedzieć.

– Tak – powiedział beznamiętnie.

Nastała chwila milczenia trwająca na tyle długo, by wkradło się między nich skrepowanie i dało o sobie znać.

– Chyba nie wyczuwam, że straciłeś ducha, Bionie, zabójco ludzi? Wiesz, jak ważna jest dla mnie ta misja. Wiesz, jaki będę wdzięczny, kiedy zostanie wykonana.

– Dostałeś już jeden medalion, panie – odparł Bion, zastanawiając się, jak

Raia może nie rozumieć, że dla niego nagrody nie mają znaczenia, że zupełnie wystarczy samo zabijanie. – Wkrótce będziesz miał jeszcze kilka.

– Tylko mnie nie zawieź, Bionie – powiedział Raia, a jego oczy przybrały stalowy wyraz.

Biona to rozbawiło, ale nic po sobie nie pokazał.

– Nie zawiodę, komendancie.

Raia błysnął zębami w uśmiechu, który znów wrócił na jego twarz; uśmiech mówiący: „Życie traktuje mnie dobrze i niech tak zostanie”, i rzekł:

– Dobrze, dobrze.

Siedzieli tak jakiś czas obok siebie, aż w końcu Raia znów się odezwał:

– Pamiętasz Naukratis?

Przypomniałeś mi o tym w Fajum, pomyślał Bion, ale tego nie powiedział, tylko kiwnął głową.

– Pamiętasz Wakare, właściciela ziemskiego?

– Tak.

– Krótco potem został zamordowany. Zamordowany we własnym domu.

Wiedziałeś o tym?

Bion nie odpowiedział. To nie miało wpływu na dzień dzisiejszy.

Raia podniósł się, żeby już odejść, ale jeszcze przez chwilę wpatrywał się w Biona dalej siedzącego na ławce.

– Ciekawe – odezwał się w końcu – czy gdyby trochę w tym pogrzebać, nie odkryłbym, że Wakare zabito nożem wbitym przez oczodół w mózg.

Ciekawe, pomyślał Bion, ale nie odpowiedział i patrzył tylko, jak Raia odchodzi, dopóki ten nie zniknął mu z pola widzenia, a potem nasłuchiwał, aż przestał słyszeć jego kroki.

Tej samej nocy przed powrotem do swojej kwatery Bion dłuższy czas chodził po mieście, zachwycając się jego nowością i greckim kolorytem. Tak, Aleksandria przypomniła mu jego pobyt w Naukratis, bo panowała w niej

taka sama arogancka atmosfera, tylko jeszcze silniejsza, jeśli to możliwe. Tutaj trzeba było dobrze się naszukać, żeby zobaczyć jakiegoś chłopca, *sechety*, czy biedaka, *shouaou*. Brudna twarz była tu rzadkością. Ulice i wąskie zaułki Aleksandrii przemierzali ludzie zamożni i przekonani o własnej ważności, zadowoleni i czujący się bezpiecznie przy istniejącym stanie rzeczy. To byli bogacze, przeciwieństwo *sechety*, ludzie, którzy mogli liczyć na uśmiech fortuny. Kiedyś zabijał na ich życzenie, a teraz, choć sądził, że zostawił już za sobą to życie, robił to znowu.

Spacer, który miał określony cel, doprowadził go pod drzwi zadbanego domu kryjącego się pomiędzy rezydencjami bogaczy, których wcześniej obserwował. Zapukał, otworzył mu służący. Bion zapytał o pana domu lub, jeśli go nie ma – o czym wiedział – o panią. Służący odsunął się na bok, gdy wyszła starsza, lecz dobrze ubrana kobieta, i obrzuciła go podejrzliwym spojrzeniem.

– Tak?

– Zastanawiałem się, czy mógłbym porozmawiać z mężem.

Kobieta nosiła się godnie i jeśli nawet przestraszyło ją pojawienie się Biona, nie dała tego po sobie poznać. Zanim się odezwała, spojrzała na niego z góry.

– Mój mąż nie żyje – odpowiedziała po prostu, jedynie z nieznacznym śladem emocji.

– Rozumiem – odparł Bion, a kiedy zorientował się, że kobieta czeka na kondolencje, dodał: – Bardzo mi przykro to słyszeć.

Zrobił ruch, jakby chciał wyjść, po czym zatrzymał się, obrócił i nachylił, żeby spojrzeć kobiecie w oczy.

– Jak zmarł? – spytał.

– Został napadnięty przez bandę złodziei.

– I co ukradli ci złodzieje?

– Nic. – Potrząsnęła ze smutkiem głową. – Tylko parę zwojów.

Zanim historyk Rashidi zginął, wyjawiał, że Hemon i Sabesteta należało szukać w Dżerti. Bion podążył tym tropem, a po dotarciu do miasta za pewną kwotę pieniędzy uzyskał dalsze informacje.

Udało mu się dowiedzieć, że Hemon oraz jego podopieczny mieszkają poza miastem. Odkrył też, że starzec jest postrzegany przez mieszkańców jako pewnego rodzaju mistyk, i że przyjął Sabesteta pod swoje skrzydła, kiedy ten jeszcze był dzieckiem. Młody sierota akurat zebrał, wykonując sztuczki z kubkami, kiedy jego przyszyły opiekun przechodził obok. Hemon był pod wrażeniem jego umiejętności, szczególnie od chwili, gdy zdał sobie sprawę, że chłopak nie widzi.

Nawiązała się między nimi znajomość i pewnego dnia Hemon zaproponował chłopcu, żeby zamieszkał z nim w jego domu na wschód od miasta. Sabestet miał obecnie dwadzieścia kilka lat, ale choć doskonale radził sobie w życiu mimo ślepoty, ani razu nie obudziła się w nim jakże typowa dla młodych mężczyzn chęć, by przenieść się do miasta w poszukiwaniu wielkich przygód.

Ciekawa rzecz – pomyślał Bion – ta wieź między nimi. Nie rozumiał.

Kupił na rynku pasek, niedużą klatkę, kosz oraz miedzianą misę z dwoma uchwytnymi, do której przypiął pas. W klatce umieścił przynętę, złapał szczura i przełożył go do kosza. Począł, aż zapadnie noc. Pojechał pod gospodarstwo Hemon i czaił się w ciemnościach, aż nabrał pewności, że obaj mieszkańcy domu śpią, i mógł wziąć się do dzieła.

Chwycił szczura w klatce i miskę, zakradł się do frontowych drzwi,

odłożył bagaż na ziemię, wyciągnął nóż i zaczął nasłuchiwać. W oddali dało się słyszeć krakanie padlinożernego ptaka, ale poza tym było cicho. Z wnętrza domu nie dobiegały żadne dźwięki, nawet najmniejszy szmer. Cisza.

Bion uchylił drzwi i wślizgnął się do środka niczym chmura dymu. Zatrzymał się zaraz za progiem, znów wyężdżając słuch. Czekał, aż jego oczy dostosują się do absolutnej ciemności, zbierając siłę woli do kolejnego posunięcia.

Jego szyi dotknęło ostrze noża.

– Jestem ślepy – młody głos dobiegł zza jego pleców. – Mój świat jest równie ciemny, co twój, ale mam przewagę w postaci noża przystawionego do twojej szyi. I w odróżnieniu od ciebie znam rozkład tego domu.

Bion znieruchomiał. Wyczuwał, że młodzieniec, który przystawił mu nóż do gardła, w razie konieczności nie zawaha się go użyć, ale wiedział też, że jeśli pozwoli się rozbroić, umrze. Jego misja zakończy się niepowodzeniem, a jego dziedzictwo śmierci legnie w gruzach za sprawą jednej porażki. Nie mógł do tego dopuścić.

Był przecież Bionem, zabójcą ludzi. Jeśli wierzyć Raii.

Wyczuł, że stanęła przed nim jeszcze jedna postać. Z ciemności dobiegł do niego głos starszego mężczyzny: – Sabestecie, odbierz mu nóż.

Żadnych nagłych ruchów, podpowiadało ukłucie bólu, które towarzyszyło zwiększeniu nacisku klingi na szyję i zręcznemu ruchowi dłoni, która pojawiła się przed nim i sięgnęła po jego broń.

– To już zabierzemy – powiedział mu Sabestet prawie do ucha.

Oczy Biona zdążyły już przyzwyczaić się do ciemności. Rozpoznał Hemoną. Starzec stał przy stole, który najwyraźniej został przestawiony i pełnił funkcję barykady. Było jasne, że ta dwójka spodziewała się go. Najwyraźniej utrzymywali w Dżerti dużo lepsze kontakty, niż mu się wydawało, i ewidentnie ktoś ich ostrzegł. On sam z kolei nie zachował

ostrożności, zbierając informacje. Zwrócił uwagę, że starzec coś trzyma. Lampę, którą zamierzał zapalić, kiedy rozbiją Biona.

Nie wiedział, że do tego nie dojdzie.

Bion nie mógł do tego dopuścić.

Pozwolił ślepemu chłopakowi zabrać nóż i rozluźnił nadgarstek, żeby pętla zabezpieczająca zsunęła się bez oporu. Uniósł przy tym lekko rękę, jakby zamierzał współpracować.

I wtedy zaatakował.

Błyskawicznym ruchem dłoni nasunął skórzaną pętlę na nadgarstek Sabesteta, zaciągnął ją ciasno, wiedząc, że będzie to koszmarnie bolesne, i pociągnął z całej siły. Chłopak zawył, ale docisnął nóż do szyi Biona. Ten szybko zlikwidował zagrożenie, odchylając się, po czym przeciągnął Sabesteta tak, że ten znalazł się na wprost niego.

Hemon krzyknął. Sabestet wymachiwał desperacko nożem trzymanym w sprawnej ręce, ale nie miał już kontroli nad swoją pozycją. Bion wykorzystał to i ruszył z impetem w stronę stołu, który miał pomóc go powstrzymać, pchając przed sobą wijącego się chłopaka. Schwycił miotającą się dłoń trzymającą nóż w tej samej chwili, w której plecy Sabesteta zderzyły się z kaniem blatu.

Kolejny ryk ze strony chłopaka, najpierw frustracji i natychmiast potem bólu. Starzec otrząsnął się tymczasem i ruszył do ataku, trzymając zakrzywiony miecz, w którym odbijało się szare światło księżyca. Bion miał tylko chwilę. Przyszpilił górną część ciała Sabesteta do blatu i zaczął o niego tłuc – raz, drugi – dłonią, w której chłopak trzymał nóż, a potem, nie czekając, aż wypuszczone ostrze spadnie z brzękiem na ziemię, zajął się drugą ręką, skrępowaną przez pętlę rzemienia przymocowaną do jego gwardyjskiego sztyletu.

Sabestet był tak osłabiony z szoku i bólu, że nie miał siły oponować,

kiedy Bion wykręcił mu rękę wciąż ściskającą nóż w poprzek klatki piersiowej i wbił ostrze w ramię, przyszpilając go do stołu.

Starzec wypadł z za narożnika blatu, dostrzegł, że nie zdąży wyprowadzić planowanego ataku i przyjął inną pozycję.

Bionowi zaimponowała zwinność Hemon, ale choć poruszał się bardzo szybko jak na swój wiek, Bion był szybszy. Kiedy starzec wyprowadził pchnięcie z wykroku, Bion z łatwością go uniknął, zanurkował pod świszczącym ostrzem, po czym chwycił starego mistrza za nogi i pociągnął w górę najmocniej, jak potrafił. Hemon wywrócił się całym ciężarem ciała na plecy i stracił przytomność, kiedy jego potylicą z obrzydliwym łupnięciem zderzyła się z ziemią.

Starcie dobiegło końca. Bion pomacał szyję, szukając krwi, ale odkrył tylko niegroźne draśnięcie. Chłopak leżał tułowiem na blacie i jęczał przygwożdżony do stołu. Przez chwilę jeszcze, zanim stracił przytomność, szurał zwisającymi nogami.

Doskonale.

Bion przyklęknął przy starcu i poszukał pulsu. Żył, idealnie. Do tego, co zaplanował, potrzebował obu przy życiu. Upewnił się, że chłopak się nie uwolni, po czym wyszedł na chwilę, żeby przynieść kosz ze szczurem. Zapalił latarnię i zamknął drzwi.

Miał przed sobą trochę pracy.

– Wiesz, kim jestem? – spytał Bion.

Siedzieli w pomieszczeniu oświetlonym przez latarnie i ogień płonący leniwie w wolnostojącym koszu na węgiel drzewny. W pokoju stały tylko dwa krzesła. Na jednym z nich starzec siedział z rękami skrepowanymi na plecach. Jego twarz i białą brodę oblepiała zaschnięta krew z rany na głowie.

– Wiem, czym jesteś – odparł Hemon półprzytomnym głosem. Napał na sznur, którym był przywiązany do krzesła, po czym zmierzył Biona beznamiętnym spojrzeniem. – Jesteś zakończeniem życia. Przybyłeś tu odebrać nam wszystko, czym jesteśmy.

Tak, jestem śmiercią – Bion zgodził się w myślach. Lubił, kiedy jego ofiary rozumiały. Odpowiedział Hemonowi skinieniem głowy.

– Tak, ale jestem też kimś więcej.

– On ci nic nie powie – oznajmił Hemon, pochylając głowę w stronę stołu, na którego blacie, rozłożony na plecach niczym ofiara dla bogów, leżał Sabestet.

Bion wcześniej wyjął nóż z ramienia chłopaka i przywiązał jego ciało do blatu sznurami przytroczonymi do nóg stołu. Na koniec rozciął tunikę, odsłaniając brzuch i klatkę piersiową, i na nagiej skórze ułożył szczura, którego nakrył odwróconą do góry nogami misą przypiętą pasem do tułowia Sabesteta.

Słyszeli, jak zwierzę porusza się pod misą, drapiąc i szukając wyjścia.

Sabestet, który od czasu do czasu unosił głowę, starał się być dzielny, ale nie potrafił się powstrzymać przed wydawaniem nerwowych odgłosów. Czuł,

jak uwięziony szczur drepcze po jego nagiej skórze. Prawdopodobnie domyślał się, co planuje Bion.

– Wiem, że nic mi nie powie – wyjaśnił Bion Hemonowi. –Oczekuję raczej, że to, co trzeba, usłyszę od ciebie.

– Ja też będę milczał – mistrz potrząsnął głową.

– Myślę, że jednak nie – odparł Bion. – A teraz powiedz mi, gdzie są pozostali Medżajowie? Ci ostatni.

Hemon gorzko pokręcił głową. Zdawał sobie sprawę, że ani on, ani jego podopieczny nie przeżyją tej nocy.

– Nie ma żadnych pozostałych. Jest tylko to, co widzisz. Opuszczając to miejsce, będziesz mógł sobie pogratulować, że doprowadziłeś do wymarcia Medżajów.

– Nie jestem tego taki pewien – odparł Bion bez cienia emocji. – Z tego, co wiem, wielu Egipcjan, którzy podzielają wasze poglądy, nazywa się Medżajami. – Podeszedł do kosza na węgiel i podmuchał na jego gorącą zawartość, która rozżarzyła się w odpowiedzi.

– Ci ludzie nie są prawdziwymi Medżajami, lecz samozwańcami, idealistami, marginesem społecznym, który lubi się stawiać w opozycji do powszechnie panujących obyczajów. – Hemon splunął z obrzydzeniem. – Przyznaję, że takie osoby istnieją, ale to nie są prawdziwi wyznawcy naszych zasad.

– Masz na myśli, że w ich żyłach nie płynie medżajska krew?

Hemon skinął na potwierdzenie.

– Nasz ród wymarł. Jestem ostatni. Przypieczętowała to wiele lat temu śmierć mojej żony i nowo narodzonego syna. Zabij mnie, zduś ostatni wątyły płomień naszej organizacji i będziesz mógł uznać zadanie za wykonane.

Bion westchnął. W duchu był pełen podziwu dla odwagi starca, dla uporu, z jakim trwał przy swojej historii, choć znalazł się w tak zupełnie

beznadziejnej sytuacji. W praktyce jednak musiał się upewnić, a poza tym...

– Masz rację, Medżajowie są bliscy zniknięcia z powierzchni ziemi – odparł – ale moi pracodawcy odkryli w Aleksandrii dokumenty wskazujące na to, że twój ród ma plan odbudować siły, że przygotowujecie nowe pokolenie wojowników, które zajmie miejsce starej gwardii. Twierdzisz, że spośród tych, którzy mają prawo nazywać się Medżajami, zostałeś tylko ty. Rzecz w tym, że zdobyłem już jeden medalion, który zada je kłam twoim słowom. Więc proszę, zanim będę zmuszony posunąć się do drastyczniejszych metod, powiedz mi, gdzie znajdę pozostałych.

Hemon pokręcił głową i Bion zrozumiał, że jego przygotowania nie pójdą na marne.

– Cóż, w takim razie oboje wiemy, co teraz się stanie. Ułożę gorące węgle na szczycie miedzianej misy. Misa się nagrzeje i szczur zamknięty w środku będzie chciał uciec. Najpierw będzie próbował gryźć metal, ale kiedy to nie odniesie skutku, podda się i wygryzie sobie drogę na zewnątrz drugą stroną. Jak myślisz, Hemonie, którą?

Sabestet zajęczał. Hemon pokręcił głową, zniesmaczony brutalnością tych tortur.

– To bardzo bolesne, Hemonie – kontynuował Bion jakby nigdy nic. – Koszmarny ból, który może trwać niewiarygodnie długo w zależności od trasy, którą obierze szczur. Widziałem, jak to się odbywa. Sam też stosowałem już tę metodę. Takiej śmierci nie życzyłbym nikomu.

Zamilkł na chwilę, przypomniawszy sobie, że w gruncie rzeczy cierpienie jest mu obojętne, ale lata praktyki – zabójstw – nauczyły go, że z jakiegoś powodu udawana sympatia sprawiała, że ofiary robiły się jeszcze bardziej nerwowe.

– A teraz powiedz mi – spróbował znów, zastanawiając się, czego dotyczyły w tej chwili najbardziej osobiste myśli Hemonia – gdzie się

chowają ostatni Medzajowie.

Starzec potrząsnął głową. Powoli tracił opanowanie.

– Nie musisz się posuwać do takich barbarzyńskich rozwiązań. Nie ma żadnych więcej Medzajów. Powiedziałem ci już. Ostatniego masz przed oczami.

Bion chwycił szczypce i przełożył jedną bryłkę rozgrzanego węgla na wierzch miedzianej misy. Szczur zareagował natychmiast i odgłosy przebierania łapami i węszenia przybrały na intensywności. Sabestet jęknął. Bion dołożył jeszcze jedną bryłkę węgla i potem kolejną.

– Niestety – oznajmił beznamiętnie – moim zdaniem kłamiesz.

Szczur coraz bardziej rozpaczliwie szamotał się wewnątrz misy. Miedź zaczęła się żarzyć, na co Sabestet zareagował kolejnymi jękami, jednak dotyk gorącego metalu nie mógł się równać z tym, co go czekało. Bion miał okazję obserwować, jak szczury wygryzały się na wolność. Słyszeć wrzaski torturowanych. Widział kiedyś szczura usiłującego wygramolić się z klatki piersiowej przez otwór pomiędzy żebrami. Na czoło starca wystąpił pot.

– To ja jestem tym, którego szukasz – wydusił, ale Bion tylko potrząsnął głową, nachylił się nad misą i podmuchał na węgle, które na tle podrygującej poświaty wypełniającej pokój rozblysnęły rażącą wręcz czerwienią.

Szczur piszczał już z bólu. Jeszcze chwila, a zacznie tarosić skórę, gryźć ciało. Sabestet przygotowywał się na tę chwilę naj–odważniej, jak potrafił. Bionowi imponowałaby jego postawa, gdyby przejmował się takimi rzeczami.

Przestań się opierać. W końcu i tak mi powiesz, jak wszyscy. Po co walczyć? – rozmyślał Bion.

– Masz niewiele czasu – ostrzegł starca. – Niedługo zacznie gryźć i wtedy nic już nie poradzę.

– Dobrze, już, dobrze – wybełkotał Hemon – wszystko powiem, tylko

proszę, zabierz te węgle.

Bion spojrzał mu w oczy i uznał, że mówi szczerze. Sięgnął po szczypce i zdjął z misy dwie z trzech bryłek węgla.

– Proszę...

– Już prawie – przerwał mu Bion. – Powiedz mi to, co chcę wiedzieć, ocenię, czy mówisz prawdę, i zobaczymy, co da się zrobić.

– Jest poza mną jeszcze jeden Medzaj. – Starzec przełknął ślinę. – Taki prawdziwy. Ostatni z tych, którzy mieli stanowić forpocztę naszego, jak to nazwałś, odrodzenia.

Bion pokręcił głową.

– Postaraj się bardziej.

Szczur wciąż usiłował się wydostać.

– O co ci chodzi? – zająknął się Hemon.

Czoło miał zupełnie zlane potem. Nadal słychać było odgłosy szurania dochodzące pod misy.

– Wasza krew płynie w pewnej rodzinie... – naciskał Bion.

– Tak, jest ich dwóch – przyznał Hemon, żarliwie potakując głową. – Ojciec i syn.

Bion spojrzał starcowi w oczy i dostrzegł, że mówi prawdę.

– Właśnie, właśnie – odparł. – I...?

Rozwarł szczypce i upuścił drugą bryłkę węgla z powrotem do kosza, po czym podniósł ostatnią. Zawiesił rękę nad misą. Sabestet od dłuższego czasu wstrzymywał oddech i wyginał plecy w łuk, oczekując chwili, w której szczur zacznie drążyć otwór. Wszystkie ścięgna w jego ciele napięły się w przygotowaniu na koszmarny ból, teraz jednak trochę się rozluźnił. Szczur we wnętrzu misy, której wierzch był wcześniej rozgrzany do czerwoności, też jakby się uspokoił.

– Imiona? – spytał Bion.

– Sabu i jego syn, Bayek.

Starzec spuścił głowę w geście porażki. Bion podejrzewał, że uczuciem, które widzi w jego zmęczonych oczach, jest wstyd. Wstyd za samego siebie, za niedochowanie przysięgi, by oszczędzić bólu podopiecznemu, którego życie i tak miało się skończyć, kiedy tylko zabójca dowie się, gdzie szukać ostatnich Medzajów.

Minęło kilka tygodni od bitwy w kryjówce Menny, ale odnosiłem wrażenie, że żadne z nas nie wróciło do siebie w pełni. Z wyjątkiem Neki, który ucierpiał najbardziej, zagoiły się nasze drobne rany i obtłuczenia, dużo gorzej jednak wyglądało to, co się działo w naszych głowach. Nasza trójka – Aya, Tuta i ja – wróciła po starciu do domu mamy Tuty w Tebach. Kiedy przestąpiliśmy próg, Imi przybiegła z kuchni i wzięła syna w ramiona.

– Bogowie! Tuta, synu, gdzieżeś się podziewał tyle czasu! Tak bardzo się martwiłam. Prawie pochorowałam się ze strachu o ciebie. – Objęła go tak mocno, że widziałem tylko jego ściśniętą twarz, w której błyszczały oczy wypełnione na nowo radością życia.

Widok Tuty w ramionach matki, kącika jego ust wygiętych w uśmiechu skierowanym do mnie, przypomniawszy mi słowa, które usłyszałem do Tuty, kiedy odciągnął mnie na stronę w drodze powrotnej z obozowiska Menny.

– To była chyba najbardziej ekscytująca rzecz, jaką zrobiłem w życiu – przyznał mi się, po czym się oddalił, kręcąc głową z niedowierzaniem.

Rzecz w tym, że nie musiał mówić nic więcej. Sam czułem się podobnie. Coś obudziło się we mnie, kiedy pędziłem rydwanem po pustynnym piachu, pewne uczucie, które narastało we mnie przed ostatnich kilka miesięcy, może wręcz od chwili, gdy opuściłem Siwę.

Wiedziałem więc, co czuje. Wiedziałem dokładnie, o co chodzi.

To było poczucie celu.

I Tuta miał rację, że przyjemnie było je mieć. Dzięki niemu życie wydawało się lepsze.

Ciała Menny i Maxty zostawiliśmy na pustyni do pożarcia padlinożercom. Resztę ludzi bandziora zabarykadowaliśmy w magazynie, po czym rozpędziliśmy ich konie i ruszyliśmy w drogę powrotną. Wiedzieliśmy, że dość szybko się uwolnią, ale nie potrzebowaliśmy dużo czasu, żeby oddalić się na bezpieczną odległość, a poza tym było mało prawdopodobne, że rzucają się w pościg, skoro nie miał im kto zapłacić.

Moją radość przyćmił dziwny marazm, który zaczął dopadać Kensę i Setiego już w dniu, w którym stoczyliśmy bitwę. Spodziewałem się, że zakończenie ciągnącego się latami konfliktu z Menną wprowadzi Nubijczyków w triumfalny nastrój, tymczasem nic podobnego nie miało miejsca. Przyszło mi do głowy, że skoro Menna nie żyje, a przysięga złożona mojemu ojcu i Medżajom została spełniona, Kensa i Seti mogą nie wiedzieć, co ze sobą dalej począć. Może stracili cel w życiu.

Drogę powrotną Kensa spędziła pogrążona w myślach. Obiecała mi, że kiedy Neka odzyska siły, dowie się czegoś więcej na temat Medżaja uwięzionego w forcie na Elefantynie. Miało to sens, bo mężczyzna ten był jedynym tropem, który pozostał nam do dyspozycji, ale nie było odpowiedzią na pytanie, czym mieli się teraz zająć jej ludzie. Poczekać, aż Neka wróci do zdrowia i zbada plotki na temat rzekomo pojmanego Medżaja, a potem wrócić do koczowniczego trybu życia? Pewnie tak. Coś mi podpowiadało, że niedługo czeka mnie przyjacielskie pożegnanie z Kensą.

Tymczasem nasze życie zaczęło z grubsza toczyć się dawnym torem. Neka ogłosił, że jest gotów do służby i wyruszył na południe. Czekaliśmy na wieści od niego, mając wrażenie, że czas stoi w miejscu.

Teraz jednak Neka wrócił i Kensa pojawiła się pod drzwiami Tuty. Kiedy za jej prośbą wyszliśmy porozmawiać przed dom, dostrzegłem zmianę w jej postawie. Ospalność i melancholia, które dopadły ją po bitwie w kryjówce Menny, w dużej mierze zniknęły. Z jej oczu biła świeża energia, ożywiony

duch.

Spojrzała na mnie w sposób, który dobrze znałem. Miała do przekazania coś ważnego.

– Neka wrócił z wieściami na temat Medzaja uwięzionego na Elefantynie – zaczęła. Zanim wypowiedziała następne zdanie, wzięła głęboki oddech. – Wygląda na to, że się myliłam. Całkiem możliwe, że uwięziony Medzaj nie jest zwykłym lojalistą. Nece udało się zdobyć informacje wskazujące, że jest potomkiem autentycznego medzajskiego rodu. Mężczyzna ten znajduje się aktualnie w celi pod pylonem świątyni Chnuma w południowej części wyspy.

Wyczułem, że zaraz stanie się coś ważnego. Prawie nie śmiałem robić sobie nadziei, kiedy swoimi na nowo rozpromienionymi oczami odnalazła moje, by ocenić reakcję na słowa, które zamierzała wypowiedzieć.

– Bayeku, jeśli Neka się nie myli... ten więzień to twój ojciec.

Tuta nie miał pojęcia, że ktoś go śledzi. Był tego nieświadom aż do chwili, gdy w połowie wąskiej alejki prowadzącej ku dzielnicy biedoty jakaś postać zatarasowała mu drogę.

Zanim to się stało, był podekscytowany. Dlaczego? Bo cieszył się na kolejną przygodę z Ayą, Bayekiem i Nubijczykami. Tym razem miała to być ekspedycja na Elefantynę z zamiarem wydostania ojca Bayeka z więzienia.

Dlaczego tata Bayeka był za kratami? Tuta nie wiedział i szczerze mówiąc, nie obchodziło go to. Wysłuchał, rzecz jasna, wszystkiego, co jego towarzysze opowiadali o Medżajach, i wyrobił sobie opinię, że muszą to być ważni i fascynujący ludzie, ale nie zamierzał udawać, że rozumie, o co w tym wszystkim chodzi. Dla niego liczyło się tylko to, że temat Medżajów bardzo zajmuje i fascynuje Bayeka i Ayę, których uczucia lojalnie podzielał. Ostatnimi czasy czuł się częścią czegoś większego, jakby mógł dołożyć od siebie coś wartościowego. Jakby nie był bez znaczenia.

Uczucie to nie równało się jednak z dreszczem emocji, który towarzyszył mu podczas bitwy. Czy wolno mu było myśleć w ten sposób o zdarzeniu, w którym niektórzy stracili życie? Nieważne. Zginęli tylko ci, co trzeba. Dla Tuty wyłącznie to się liczyło, zależało mu na uczuciu, że nie tylko dobrze sobie radzi i inni mogą na nim polegać, ale też że dokonuje czegoś ważnego. Że pożegnał się z chłopakiem, który grasował po Sauti, szukając sposobów, jak pozbawić podróżnych pieniędzy i towarów, że nie musiał już grzebać w miejskim brudzie za jedzeniem i okazjonalną monetą z brązu. Jego miejsce zajął nowy Tuta, który lada dzień miał wyruszyć na świeżą przygodę.

Teraz jednak drogę zastąpiła mu postać, której widok sprawił, że wyobrażenia o lepszym życiu legły w gruzach.

Oczy wwiercił w niego wzrok zmętniały od picia, goryczy i nienawiści do siebie samego oraz syna. Spojrzenie to nie wyrażało niczego poza obietnicą bólu i rozpacz.

– Proszę, mam cię – Paneb uśmiechnął się oblesnie, podczas gdy umysł Tuty szaleńczo usiłował znaleźć wytłumaczenie, ja kim cudem ojciec znalazł go w tym wielkim mieście. Starał się wypracować najlepszą reakcję.

Zachował się więc tak, jak zawsze. Jego twarz rozciął szeroki uśmiech.

– Cieszę się, że cię widzę, tato. Naprawdę za tobą tęskniłem.

Paneb prychnął i beknął.

– Tęskniłeś, co? Dobrze. To może trzeba było nie uciekać.

– Oj, tato, dobrze wiesz, że gdybym tamtego dnia został w domu, tobyś mnie zabił. Nie byłoby mnie tutaj. Wziąłem nogi za pas, żeby się ratować, co kto jak kto, ale ty powinieneś doskonale rozumieć. Poza tym wiedziałeś, że pojedę do Teb. Gdzie indziej miałem się podziać? Znam tylko Sauti i Teby, a z Sauti musiałem uciekać. Wiedziałem, że jak się uspokoisz, to tu przyjedziesz i mnie znajdziesz.

Ojciec nachylił się ku niemu.

– I pewnie od kiedy tu przyjechałeś, radzisz sobie po staremu?

Tuta przytaknął i szybko zmusił się do uśmiechu, jakby byli z ojcem najlepszymi kumplami.

Paneb jednak nie dał się nabrać. Wystrzelił w stronę syna i chwycił go za ramię, zmiażdżył jego ciało w żelaznym uścisku, który Tuta w swoim nowym, radosnym życiu zdążył już zapomnieć, po czym popchnął go mocno na ścianę.

– Gdzie się chowa ta suka? – zacharczał mu do ucha.

Nos Tuty wypełnił znajomy smród.

Dzięki bogom za przytomność umysłu.

– Sam chciałbym to wiedzieć – odparł chłopak. – Udało mi się dowiedzieć, że matka i ta mała gówniara wyjechały kilka miesięcy temu. Nikt nie wie dokąd.

– Lepiej, żebym nie odkrył, że mnie okłamujesz, szczeniaku. To co robiłeś cały ten czas? Gdzie twoi znajomi? Chętnie zamieniłbym z nimi słowo.

– Robisz mi krzywdę...

Uścisk zelżał.

– Dalej, mów.

– Tej dwójki z Sauti więcej nie widziałem. Nie są moimi znajomymi, a jeśli chodzi o mnie, to starałem się przeżyć na ulicy, jak zawsze, dokładnie tak jak w Sauti. A co myślałeś?

– Co myślałem? Na moje oko to jesteś za czysty i za dobrze najedzony na kogoś, kto rzekomo ciuła na życie w tym syfie.

– Mam coś w rodzaju mieszkania. – Tuta wpadł na pewien pomysł i postanowił zaryzykować.

– Ach tak? I gdzież ono jest?

– Po drugiej stronie rzeki, na terenie nekropolii. Stary grobowiec.

Policzek otrzymał dopiero po chwili, kiedy ojciec otrząsnął się z obrzydzenia, ale był siarczasty i równie znajomy Tucie, co uścisk i oddech cuchnący piwem.

– On nie należy do nikogo! – zawył boleśnie Tuta. – Zrabowany albo nigdy nieużyty, nie zbecześciłem go, naprawdę. W środku jest sucho, a nocami, kiedy zimno dokucza, daje ciepłe schronienie. Czego więcej chcieć od życia? Mówię ci, tato, to dobre miejsce. Właściwie to dlaczego nie pójdziesz ze mną? Moglibyśmy znów zamieszkać razem.

Ojciec nareszcie go puścił. Niestety wciąż barykadował mu drogę, więc

jak dotąd nie było możliwości, by dać nogi za pas.

– Ach, to bardzo miłe z twojej strony, synu – stwierdził Paneb, zataczając głową po pijanemu. W Tucie obudziła się nadzieja, że może ojca zamrocy i da mu to okazję, żeby się wymknąć, ten jednak kontynuował: – Ale twój stary ojciec ma gdzie mieszkać, a poza tym nie zamierzam długo zostawać w tym rynsztoku.

Tuta spojrział mu w oczy i zmusił się, żeby przywołać na twarz grymas, jakby był tym zawiedziony. Paneb w odpowiedzi zrobił niedowierzającą minę.

– Nie wysilaj się – splunął. – Gdybyś mnie chociaż trochę kochał, nie zostawiłbyś mnie w Sauti z rozbitą głową, prawda?

– Nikt cię nie zostawił, tato. Wrzeszczałeś, że nas wszystkich pozabijasz. Gdybym został, sam skończyłbym jako trup i dobrze o tym wiesz.

Ojciec pokiwał głową.

– Nieważne – stwierdził. – Chcę, żebyś coś dla mnie zrobił. – Przekazał Tucie adres miejsca, w którym się zatrzymał, godzinę, o której chciał go widzieć, i szczegóły zaplanowanej kradzieży, do której „potrzebowali takiego kurdupla” jak on, „żeby się do stał w pewne miejsce”. Na koniec pogroził: – Nie spóźnij się – i ruszył na poszukiwania kolejnej butelki piwa albo wina.

Tuta za jego plecami zmrużył mocno oczy i stał tak przez chwilę, usiłując nie popłakać się na środku miasta.

Następny wieczór rozpoczął się od krzyku, na dźwięk którego Tuta gwałtownie wciągnął powietrze. Znajdował się na obrzeżach dzielnicy biedoty, właśnie miał wracać do domu, kiedy usłyszał znajomy ryk i natychmiast poczuł, jak skręca go w żołądku. Ojciec.

I nie chodziło o sam głos, o nie. Tuta rozpoznał też ton. Wiedział, co oznacza. Ojciec był pijany i rozsierdzony, a to oznaczało, że poprzedniego dnia Tuta się przeliczył.

– Wiem, że się tu kręcisz, kłamliwy gówniarzu – zagrzmiało gdzieś spomiędzy domów.

Mieszkańcy wystawiali głowy przez okna, ciekawi, co się dzieje. Tuta usłyszał, jak ktoś prosi ojca, żeby się uspokoił – jakby to mogło coś dać. Doświadczył dziwnego poczucia winy, jakby to przez niego spokój (spokój, dobre sobie) dzielnicy został zakłócony. Jakby osoby gapiące się na ulicę z wnętrza swoich domów skupiały na nim wzrok, dobrze wiedząc, że to on, Tuta, odpowiada za całe to zamieszanie.

Niemal natychmiast jego myśli powędrowały ku matce i Kiyi. Poprzedniej nocy po konfrontacji w alejce popędził do domu, a pierwszą rzeczą, którą powiedział do mamy, było: – On tu jest.

– O co ci chodzi, kochanie? Kto jest? – spytała bez cienia niepokoju.

Nie zmartwiła się, nawet kiedy jej powiedział, bo pamiętała innego mężczyznę, pijanego, łatwo wybuchającego złością i skłonного posuwać się do rękoczynów, żeby dowieść swojej racji, ale mimo wszystko lepszego. Od kiedy Tuta wrócił do Teb, próbował wszystkiego, by uświadomić matce

zmianę, która zaszła w ojcu, ale bez powodzenia.

– Mamo, on jest niebezpieczny.

– Och, przecież mi nie musisz tego tłumaczyć.

– Nie, mamo, nie jest taki, jak pamiętasz, nie jest już zwykłym szczurem, zmienił się na gorsze. Jest zły. A nawet jeśli nie zły, to niebezpieczny, bez dwóch zdań. Chyba nie powinienem wyjeżdżać. Lepiej tu zostanę, żeby mieć pewność, że nie stanie się wam nic złego.

Matka energicznie pokręciła głową. Upierała się, że całe lata radziła sobie z wybuchami Paneba i jeśli jej mąż znów pojawi się w domu, to, cóż, poradzi sobie z nim jeszcze raz.

Tuta zaś, choć wiedział, że mama nie pojmuje skali zagrożenia i nie był pewien, czy sobie poradzi, tak bardzo chciał jechać na Elefantynę, że pozwolił sobie na coś, czego w tej chwili zaczynał bardzo żałować. Pozwolił sobie uwierzyć, że wszystko będzie dobrze. Teraz płacił cenę za swoje urojenia: Paneb, pijany i wściekły, że syn nie stawił się na umówione spotkanie, robił raban w slumsach. Nie było szans, że puści płazem taką zniewagę.

Dobra. Weź się w garść, nakazał sobie w myślach. *Zastanów się.* Jedynym sposobem, żeby to rozwiązać, było wziąć byka za rogi. Ale jakoś tak, żeby trzymać go z daleka od domu.

Choć... u mamy byli Bayek i Aya. We dwójkę z pewnością poradziliby sobie z ojcem?

Gorączkowo starał się przemyśleć wszystkie możliwości. Nie. Jeśli zwabi ojca pod dom, zdradzi, gdzie mieszkają mama i Kiya. Będą musiały się wyprowadzić, zmarnować całą pracę, którą włożyły w to miejsce.

Tuta postąpił więc w jedyny rozsądny sposób, który przyszedł mu do głowy, choć bardzo się bał. Zamiast uciekać, ruszył w stronę, z której dobiegały krzyki ojca.

Znalazł go kilka chwil później. Paneb tłukł pięścią w ścianę jakiegoś domu, wołając syna. Czegóż Tuta by nie oddał, żeby na ulicę wybiegł wściekły właściciel. Najlepiej wściekły i solidnie zbudowany. Wściekły, solidnie zbudowany i w wyjątkowo podłym humorze.

Niestety zbawiciel się nie pojawił. Był tylko ojciec. Pijany. Przez chwilę opierał się o budynek, a potem wyprostował się, żeby wznowić nawoływania, i w tej chwili dostrzegł obserwującego go syna.

Tuta przełknął ślinę, ale powitał ojca z uśmiechem przyklejonym do twarzy, siląc się na jowialny ton.

– I czemuż to robisz taki hałas, tato?

Paneb w odpowiedzi przeciągnął się w ramionach i z teatralnie wyolbrzymionym obrzydzeniem, jakby był człowiekiem o wyszukanym guście, przywykłym do luksusów, zmierzył wzrokiem otaczające ich sypiące się mury, łuszczącą się farbę i wystrzępione markizy. Tuta na sam jego widok poczuł, jak żółć podchodzi mu do gardła.

Tylko nie przestawaj się uśmiechać – nakazał sobie. *Nie przestawaj.* Dzielnica może i była zapyziała, ale miały tu dom jego mama i Kiya, a następne kilka chwil zadecyduje o tym, czy tak pozostanie.

– Gdzie się podziewałeś? – warknął Paneb.

Tuta, wciąż z uśmiechem na twarzy, próbował blefować:

– Przyszedłem pod miejsce, w którym się zatrzymałeś, gotów do pracy, z nadzieją na zarobek, ale cię nie było. Dzięki bogom, że się pojawiłeś. Nie jest jeszcze za późno?

Ojciec od razu go przejrzał.

– I jakże wygląda to miejsce, w którym się zatrzymałem?

Tuta się nie poddawał.

– Lepiej niż zasługujesz, staruszk. Chodź, wynieśmy się do jakiejś porządniejszej części miasta. Wyglądasz, jakbyś potrzebował się napić.

Słyszając to, ojciec wbił w niego podłe spojrzenie. Brodę miał tak zapluta, że lśniła w słońcu.

– One tu są, prawda? Twoja kłamliwa matka. Moja Kiya. Są tu, dobrze mówię? Znajdę je. Są moje. Nie miały prawa odejść – wycharczał przez zaślinione usta.

Tucie prawie stanęło serce. Było źle. Najgorzej, jak się dało. Poczował, jak dreszcz strachu pnie się w górę jego kręgosłupa, ale kiedy się odezwał, wciąż uśmiechał się serdecznie. Urzekająco.

– Nie, tato, tak jak ci mówiłem, od dawna ich tu nie ma, i my też powinniśmy już zniknąć. Chodź. Coś mi podpowiada, że masz wiele ciekawych historii do opowiedzenia.

Przez twarz Paneba przemknęło coś niemożliwego do odczytania.

Ułamek sekundy później zrobił krok w przód i uderzył Tutę w brzuch.

Tuta krzyknął, jęknął i zataczając się w tył, objął dłońmi podbrzusze. Spojrzał w dół i zobaczył krew – na dłoniach, na tunice. Dostrzegł nóż w ręce ojca, ociekający czerwienią, i zdał sobie sprawę, że krew jest jego. Ojciec potrząsał głową, jakby oszołomiony, jakby nie potrafił wybrać pomiędzy złością, strachem i żalem, po czym zerwał się do ucieczki, jeszcze zanim osoba, która wystawiła głowę przez jedno z okien na piętrze, zaczęła wzywać straż.

Tuta opadł na kolana. Rozdziawił usta. Z jego głowy wyparowały wszystkie myśli poza jedną: *Muszę wrócić do domu. Muszę je ostrzec, zanim umrę.*

– Gdzie on się podział? – dopytywała się Aya. W jej głosie pobrzmiwały czułość i rozbawienie. – Gdzie jest ten urwis?

– Nie mam pojęcia – odparłem. Tuta ustalał własne zasady, to właśnie w nim lubiliśmy. Inaczej nie byłby sobą. – Wiesz co, pójdę się rozejrzeć – oznajmiłem i nachyliłem się w jej stronę.

Pocałowaliśmy się i Aya poszła z powrotem do ogródka, gdzie Kiya i jej mama korzystały z ostatnich promieni wieczornego słońca.

Stałem przed domem i rozejrzałem się w lewo i prawo. Z jednej strony ulica wychodziła na plac, którego środek zajmowała nieużywana, zarośnięta roślinnością fontanna. W drugim kierunku prowadziła w głąb dzielnicy i to stamtąd dobiegał zgiełk oraz powtarzający się krzyk: – On umiera!

Pokaźny wóz i stos skrzyń częściowo blokujące ulicę uniemożliwiały mi dostrzeżenie, co się dzieje.

Ruszyłem w tamtą stronę. Nabierając prędkości, wystukiwałem podszwami butów rytm na brudnym, mokrym bruku.

– On umiera! On umiera!

Kiedy minąłem wóz, moim oczom ukazał się tłum. Jakaś kobieta wyciągała przed siebie ręce, jej dłonie pokrywała krew, a ktoś inny, mężczyzna z kolei, spojrzał na mnie w taki sposób, jakby uważał, że będę potrafił coś zdziałać.

A ja wiedziałem, jeszcze zanim dobiegłem na miejsce i przepchnąłem się przez zgromadzonych ludzi, żeby zobaczyć, o kim mowa, że krew należy do Tuty.

Instynktownie wyczułem, że to on leży umierający na ziemi.

Upadłem przy nim na kolana. Miał rozbiegany wzrok, ale skupił go na mnie i szeroko rozwarł powieki, kiedy mnie dostrzegł. Widziałem, że próbuje się uśmiechać, ale kiedy jego usta rozchyliły się i odsłoniły zęby umazane krwią, poczułem, jak strach ściska mi żołądek. Uczucia, których nie umiałem nazwać, przejęły kontrolę nad koniuszkami moich palców i przez szaloną chwilę miałem wrażenie, że gdybym po prostu dotknął Tuty i przekazał mu całą miłość, którą do niego czułem, mógłbym go uzdrowić.

Moje dłonie powędrowały jednak ku jego twarzy, do rozpalonych policzków, i nie popłynęła z nich lecząca moc, lecz potwierdzenie nadchodzącej śmierci – śmierci, której źródło znajdowało się w jego brzuchu. Przyciskał dłonie do rany. Jego koszula była na przedzie tak przesiąknięta krwią, że można ją było wyżymać. Krwawy szlak ciągnął się za nim w głąb dzielnicy. O wiele za dużo krwi. Jego twarz bladła na moich oczach, w miarę jak życiodajna siła wysączała się z jego ciała.

Uratowałem go raz, ale drugi raz nie potrafiłem.

Błagam, nie.

– Na bogów, Tuta, proszę, nie poddawaj się.

Jego powieki wciąż drżały, ale odciągnąłem je w górę kciukami na tyle bezceremonialnie, że niejeden członek tłumu nerwowo wciągnął powietrze. Nie obchodziło mnie to, bo wiedziałem tylko jedno: nie mogłem pozwolić mu zasnąć, bo sen był bratem śmierci, i jeśli zamknie oczy, może już nigdy się nie obudzić, a w tej chwili na niczym – absolutnie niczym – nie zależało mi bardziej, niż żeby Tuta nie umarł.

– Tuta, kto to zrobił? – spytałem, po części dlatego, żeby dać mu powód do skupienia się. Nie myślałem jeszcze o zemście, tylko o ratowaniu jego życia.

Słowo, które z trudem wyszeptał, było jak policzek.

– Tata.

– Na bogów, nie – splunąłem.

Tuta podniósł dłonie z brzucha i w niespodziewanym przypływie siły chwycił za skórzane pasy opinające moją klatkę piersiową, żeby przyciągnąć mnie bliżej.

– Nie pozwól mu znaleźć mamy i Kiyi – błagał. – Proszę, nieważne, co będziesz musiał zrobić, zadbaj, żeby nic im się nie stało. – Z trudem wypychając ostatnie słowa z ust, powiedział mi, gdzie szukać Paneba.

– Tuta, nie odchodź – prosiłem i chyba nigdy wcześniej w życiu nie pragnąłem czegoś tak żarliwie i dogłębnie, ale to płomienne uczucie nie wystarczyło.

Zobaczyłem, jak światło odpływa z jego oczu, i najbardziej zależało mi, by zabrał wszystkie moje uczucia, całą miłość, którą do niego żywiłem, w swoją podróż do zaświatów. Chciałem, żeby teraz już był bezpieczny – żeby człowiek, który go zabił, więcej go nie prześladował.

Jego dłonie osunęły się z mojej twarzy. Powieki zatrzepotały po raz ostatni i się zamknęły. Głowa opadła na bok.

Wyciągnąłem z torby białe pióro. Tuta je uwielbiał, widział w nich coś fascynującego, ale nie myślałem o tym teraz. To była instynktowna reakcja. Pióro pojawiło się w mojej dłoni i przycisnąłem je do jego przesiąkniętej krwią koszuli, wypowiadając szeptem słowa przysięgi, obiecując odchodzącej duszy Tuty, że jego krew wkrótce zmiesza się z krwią ojca.

– Hej! – zawołał jeden z gapiów, gdy wstałem i ruszyłem biegiem.

Przemknęło mi przez myśl, by wrócić do domu i przekazać wiadomość o tym, co się stało, i być może powinienem był postawić uczucia najbliższej rodziny Tuty ponad swoją przysięgę, ale zamiast tego popędziłem w stronę domu wynajmowanego przez Paneba, mając za drogowskaz ślady krwi Tuty, których widok rozdzierał mi serce.

Mknąc ulicami, dziękowałem bogom za to, że miasto było tak zapuszczone. Przyciągnąłem kilka spojrzeń, tu i ówdzie ktoś zareagował obrzydzeniem na widok mojej zakrwawionej twarzy, jedna czy dwie osoby coś za mną wołały, ale nikt nie próbował interweniować, nikt mnie nie zatrzymał.

Aż w pewnej chwili pojawił się przede mną. Nie dotarł jeszcze do domu, wciąż człapał ulicą. Czy nadal miał przy sobie nóż? Nie widziałem. Od tyłu wyglądał jak zwyczajny stary, zaniedbany pijak. Dostrzegłem jednak ciemne, świeże plamy na wysokości pasa. Być może krew Tuty, którą musiał gdzieś wytrzeć.

Znak mordercy.

Podszedłem bliżej i zatrzymałem się, wciąż będąc za jego plecami. Mając go przed oczami, zacząłem się zastanawiać, czy będę zdolny to zrobić. Nóż ciążył mi u pasa. Wiedziałem, że zadanie, które mnie czekało, jeśli wyciągnę broń, było nie do porównania z tym, czego dokonałem podczas bitwy z Menną. To nie ja zabiłem Maxtę. Nie miałem pojęcia, czy bym umiał, czy podjąłbym decyzję, którą podjęto za mnie.

Tymczasem podkradałem się do człowieka – na dodatek pijanego – którego miałem uśmiercić.

Nie, to nie jest zwykły pijany mężczyzna – tłumaczyłem sobie, przygotowując się do czynu. – Jest kimś więcej, kimś gorszym. Zabójcą.

A ja obiecałem zemstę. Czy tak postępowali Medzajowie? Nie wiedziałem. Miałem do spłacenia dług. Musiałem ochronić rodzinę brata. Nic więcej się nie liczyło.

Wyprostowałem się. Paneb zatrzymał się na rogu, wyciągnął rękę w stronę obłupionej ściany z piaskowca, żeby złapać oparcie. Skręcił w uliczkę, powłócząc nogami, potrącił przy okazji dzbany ustawione przy murze, które przewróciły się, robiąc wielki hałas. Podążyłem za nim. Kiedy minąłem

narożnik, zobaczyłem, jak się schyla i usiłuje z powrotem poustawiać naczynia. Byliśmy sami, otoczeni przez nieruchome powietrze.

– Stań twarzą w twarz z człowiekiem, który cię zabije – zażądałem.

Kiedy zamknąłem usta, nastąpiła absolutna cisza.

Paneb na chwilę zamarł, po czym wrócił do poprzedniego zajęcia. Machał ręką opuszczoną na wysokość kolan, usiłując dosięgnąć dzbana.

Dosłyszałem jakiś dźwięk. Smarkanie. Szloch.

Zrobiłem krok w jego stronę.

– Przyszedłem pomścić twojego syna.

– No, dalej – dobiegło z jego zaślinionych ust. – Podejdz i skończ, co zacząłeś.

– Stań twarzą do mnie. – Ścisnąłem nóż i zbliżyłem się o kolejny krok.

Chciałem to zakończyć, ale wiedziałem, że mimo otchłani nienawiści, którą do niego czułem, nie dźgnę go w plecy, nie w ten sposób. Przypomniałem sobie, co mówiły Kensa i kapłanka. Zastanawiałem się, czy wbicie człowiekowi noża w plecy przystoi Medzajowi. Zastanawiałem się, czy to ma znaczenie.

Chciałem, żeby Paneb wiedział. Żeby zobaczył. Żeby zrozumiał, co się działo i kto za to odpowiadał.

– Nie potrafisz, prawda? – stwierdził. Łkanie ucichło. – Nie potrafisz odebrać mi życia, nie patrząc mi w oczy. Rozumiem to, chłopcze, i szanuję.

– Stań twarzą do mnie – wysyczałem przez zęby.

Rękojeść noża parzyła mnie w dłoń, jakbym trzymał rozgrzany do czerwoności pogrzebacz, ścisnąłem ją tak mocno, że bolały mnie kości palców. *Człowiek zdolny zabić dziecko nie był zdolny rozumieć, co do niego mówię* – pomyślałem.

– Dobrze, już dobrze – oznajmił. – Odwrócę się.

Powoli zaczął obracać tułów i twarz w moją stronę. Dostrzegłem głęboko

osadzone oczy, zmierzwioną brodę, twarz, która przywiodła mi na myśl Tutę, choć jej widok tylko spotęgował moją odrazę.

I nagle zaatakował. Niczym wąż.

Dostrzegłem, co się dzieje, dopiero w ostatniej chwili. Luźno opuszczona ręka, szyjka dzbana w zaciśniętej dłoni, a potem stęknięcie, z którym zerwał naczynie z ziemi i posłał w stronę mojej głowy.

Zareagowałem w porę, żeby się zasłonić, i słój roztrzaskał się o moje przedramię. Krzyknąłem z bólu, czując, jak fala odrętwienia rozlewa się po ręce. Paneb natychmiast ruszył w moją stronę z nożem, który pojawił się w jego drugiej dłoni.

Wszystkie te godziny spędzone z Ayą na treningu szermierki, powtarzanie do upadłego tych samych ruchów przy akompaniamencie klekotu drewnianych mieczy. Śmiałyśmy się, całowaliśmy i wygłupialiśmy, zupełnie jak dawniej w Siwie, ale ani na chwilę nie przestawialiśmy się szkolić, pracować nad sobą.

Co śmieszne, ojciec Tuty nie schodził wtedy z naszych ust. To on pełnił funkcję niewidocznego przeciwnika, z którym trenowaliśmy; mężczyzny, którego ruchy wyobrażaliśmy sobie, ćwicząc kroki i cięcia. Od czasu mojej pierwszej konfrontacji z Panebem w Sauti nie potrafiłem uwolnić się od myśli o nim.

A teraz miałem go przed sobą, atakującego z doskoku nie drewnianym mieczem, lecz prawdziwym nożem, i zamiast z trwogą, którą odczuwałem, walcząc o życie w Sauti, stawiałem mu czoła z przekonaniem, że jestem zdolny go pokonać, a wszelki strach, który mnie przepełniał, nie wynika z pragnienia ucieczki, lecz ze świadomości kierunków, w jakich mogły potoczyć się następne wydarzenia. Podszkoliłem się. Byłem gotów. Moje przeszkolenie składało się z podstaw, których trochę nieudolnie nauczyłem się sam, ale to wystarczyło, instynktownie odparowałem jego atak, uderzając

kantem dłoni, w której trzymałem nóż, w wierzch jego nadgarstka tak mocno, że broń wypadła mu z ręki i z brzękiem potoczyła się po bruku.

Niczego więcej nie potrzebowałem. Wykorzystując przewagę, błyskawicznie przystąpiłem w przód i celnie pchnąłem we wgłębienie pod mostkiem. Paneb jęknął z bólu, ale zaraz ucichł, kiedy napałem na ostrze mocniej i dosięgnąłem serca.

Ułożył usta w kształt litery „o”. Wybałuszył oczy i wbił we mnie wzrok, ostatnim wysiłkiem człowieka skazanego na spotkanie z bogami unosząc dłonie w obronnym odruchu, próbując drapać mnie po twarzy. W końcu czucie opuściło jego ciało i załamały się pod nim nogi. Upadł na plecy, pociągając mnie za sobą.

Nachyliłem się nad nim, wciąż trzymając rękojeść noża zatopionego w jego klatce piersiowej.

– To za Tutę – wysyczałem i przekręciłem ostrze.

Paneb się wzdrygnął, wydał ostatnie stęknienie i było po wszystkim. Zabiłem go.

Później długo i poważnie o tym rozmyślałem. Uśmierciłem człowieka. Wspominałem chwilę, w której zobaczyłem, jak światło życia gaśnie w oczach Paneba, a potem wyciągnąłem pióro przesiąknięte ciemną krwią Tuty i zamoczyłem je w krwi jego ojca, szepcząc pod nosem, że wypełniłem złożoną przysięgę.

W niejedną noc zrywałem się ze snu, a pewnego razu nawet obudziłem się, trzymając ręce wyciągnięte przed siebie, jakbym nie dowierzał, że mogły się dopuścić czegoś tak obrzydliwego.

Aya mnie wspierała, rzecz jasna. Dyskutowaliśmy na temat tego, co się stało. Wiedziałem, że dotrzymałem obietnicy. Że obroniłem rodzinę. Aya pomagała mi uporać się z myślami, a kiedy pewnej nocy obudziłem się, mając w głowie obraz światła gasnącego w oczach umierającego człowieka,

spytała mnie: – To on? Śniłeś o Panebie?

– Nie – odparłem. – O Tucie. Śniłem o moim przyjacielu i bracie, Tucie.

Odłożyliśmy w czasie naszą wyprawę, bo uznaliśmy za oczywiste, że powinniśmy pomóc Imi i Kiyi poradzić sobie ze śmiercią Tuty. Jedynym jednak, co tak naprawdę mogliśmy zrobić, było towarzyszenie im w żałobie, i wydaje mi się, że matka Tuty to widziała.

W końcu przyszła porozmawiać z Ayą.

– Powinnaś zabrać Bayeka i jechać, przecież macie zadanie do wykonania. Wiesz, że tego właśnie chciałby Tuta.

Miała rację, rzecz jasna, więc udaliśmy się na drugą stronę rzeki, do nekropolii, i dołączyliśmy do Kensy i Neki. Kiedy pożegnali się z Setim, który zostawał opiekować się ciężarną żoną, rozpoczęliśmy podróż ku Asuanowi i Elefantynie. Planowaliśmy, że zajmie nam ona pięć albo sześć dni.

Nie zapomniałem o Tucie. Nigdy nie zapomnę. Nocami, siedząc przy ognisku, wyciągałem z plecaka pióro i wspominałem. Mimo to, choć Tuta nie opuszczał i nigdy nie opuści moich myśli, im bardziej oddalaliśmy się od Teb, tym mocniej skupiałem się na naszej misji.

Czego dowiedzieliśmy się od Neki na temat Medzaja uwięzionego na Elefantynie? Niewiele. Włodarze wyspy odwołali się do starożytnych praw, które pomagały niegdyś skorumpowanym urzędnikom prześladować Medzajów i przedstawiać ich jako autentyczne, namacalne zagrożenie dla społeczeństwa.

Wzięli pewnie mojego ojca za naśladowcę, kolejnego fałszywego Medzaja, którego należało ukarać za samo odwoływanie się do zakazanych

doktryn, by nikomu nie przyszło do głowy iść w jego ślady.

Ciekawiło mnie, jak by się poczuli, gdyby im powiedzieć, że cały ten czas mają w rękach jednego z ostatnich prawdziwych obrońców Egiptu?

Podążaliśmy w górę rzeki, aż dotarliśmy do Asuanu. Minęliśmy kryte strzechą dachy i sznury pełne prania, przekroczyliśmy plac, który znajdował się pośrodku wsi, i wkroczyliśmy na teren przystani, skąd widać było Elefantynę. Zapłaciliśmy za przewiezienie na wyspę, gdzie niedaleko od brzegu znaleźliśmy dobrze ukryte wgłębienie terenu, w którym rozłożyliśmy obóz. Nie rozpalaliśmy ognia, by niepotrzebnie nie przyciągać uwagi.

Świątynia Chnuma znajdowała się na południowym wybrzeżu. To tam, według Neki, przetrzymywano mojego ojca, w naprędce przygotowanym dole pod pylonem, czyli budynkiem bramnym świątyni.

Pierwszego dnia Seti wyruszył potwierdzić słowa Neki. Wrócił po południu i usiedliśmy razem w małym kole, żeby opracować plan działania. Rzeką przepływały feluki, trzepocząc żaglami na wietrze, i przy akompaniamencie okrzyków ich załóg czekaliśmy, aż Seti naszkicuje kijkiem na piasku schemat wielkiej świątyni Chnuma, która górowała nad południową częścią wyspy.

– Tu – oznajmił, wskazując na budynek bramny. – W środku jest dół, w którym trzymają więźniów. Nie ma w nim nikogo poza twoim ojcem.

– Czy on cierpi? – spytałem.

– Z pewnością nie traktowali go dobrze – Neka wzruszył ramionami. – Ale jest Medżajem. Poradzi sobie.

Poczułem dłoń na ramieniu.

– Ale jak to możliwe? – spytała Aya. – Jak go pojмали?

Aya знаła się na Medżajach lepiej ode mnie. W trakcie podróży podzieliła się posiadaną wiedzą, zdawała sobie też sprawę, że w całym kraju Medżajowie byli prześladowani na różne sposoby. Choć tylko przelotnie

znała mojego ojca, zauważyłem, że z chwilą, gdy odkryła, że jest Medżajem, zmieniła sposób wyrażania się o nim. Nie powiedziałbym, że nabrała do niego sympatii, ale szacunku na pewno.

Teraz zaś zachodziła w głowę, dlaczego ojciec pozwolił się pojmać.

– Medżajowie są legendarnymi obrońcami Egiptu i jego ludności – argumentowała. – Doskonale wyszkolonymi, elitarnymi wojownikami. Nie potrafię sobie wyobrazić, jak ktoś taki wpadł w sidła urzędników przyzwyczajonych do rozprawiania się z samozwańcami, którzy tytułują się Medżajami w ramach protestu, nie rozumiejąc ogromu znaczenia tej nazwy. Poza tym nawet jeśli założymy, że naprawdę go przechytrzyli, jak wydobyli jego tajemnicę? Bayek, przecież ty z nim mieszkałeś piętnaście lat i nie miałeś pojęcia. A teraz mamy uwierzyć, że przypadkiem zdradził się, podróżując przez wrogie terytorium? To nie ma sensu. Czyż nie jest tak, że celem Medżajów jest po zostawać w ukryciu i wywierać wpływ niepostrzeżenie?

Kensa wzruszyła ramionami.

– Może postąpił nierozważnie albo...

– Czy Medżajom zdarza się postępować nierozważnie? – powątpiewała Aya.

– ...miał pecha. Każdy może mieć pecha, nawet Medżaj.

– Ale jak to się łączy z jego wyjazdem z Siwy? – spytała Aya.

– Może wcale? – odparłem, wiedząc dobrze, że to mało prawdopodobne.

Aya pokręciła głową i przeniosła wzrok z powrotem na szkic Neki.

Niedługo miało się okazać, że nie słuchając jej, popełniłem – wszyscy popełniliśmy – wielki błąd.

Nocą kolejny raz przyśnił mi się koszmar. Ale nie ten, w którym wydaje mi się, że zabijam Paneba, a kiedy jest już za późno, dostrzegam, że ciało, w które wbilem nóż, należy do Tuty. Nie, inny. O wiele starszy. Ten z jaskinią pełną wygłodniałych szczurów.

Siedzieliśmy w naszych schronieniach. Aya i ja w jednym, Kensa i Neka w drugim. Wcześniej ustaliliśmy bez słów, że zbudują je Kensa i Neka, a my w tym czasie wykonamy różne inne drobne prace. *Ciekawe*, pomyślałem, przyglądając się Nubijczykom. Nauczyłem się budować schronienia od Kensy, a następnie przekazałem tę wiedzę Ayi, ale było widać jak na dłoni, że nasze umiejętności uległy przytępieniu, niczym kamień porośnięty bluszczem zachowały tylko ogólny kształt. Obserwując, jak Kensa i Neka przygotowują szkielety namiotów, szybko, precyzyjnie docinając i obrabiając znalezione gałęzie, spaszując je ze sobą, mieliśmy wrażenie, jakbyśmy drugi raz odbierali tę samą lekcję.

Nasi przyjaciele żwawo posuwali się do przodu, mamrocząc między sobą na temat pogody i konieczności zadbania, by nasze schronienia były jak najwytrzymalsze. Od czasu do czasu przerywali pracę, żeby się posprzeczać, czyje rozwiązanie jest lepsze. Po niedługim czasie mieliśmy gdzie się schronić. Jedząc kupioną we wsi rybę, doszliśmy do porozumienia w kwestii tego, że będziemy musieli poświęcić jeszcze jeden dzień na pozyskanie informacji. Później położyliśmy się spać. Po jednej stronie mieliśmy rzekę posrebrzoną światłem księżyca, z drugiej otaczała nas roślinność porastająca wyspę, zaś powietrze wypełniała energia zwiastująca nadchodzącą burzę.

I owszem, śniłem. O szczurach. Tylko tym razem wziąłem nogi za pas, zerwałem się w desperackiej próbie wydostania się z jaskini pełnej tego miotającego się plugastwa, moje kroki dudniły po nierównej nawierzchni – tak wolno, o wiele za wolno – aż zdałem sobie sprawę, że to, co brałem za trzęsienie ziemi, było próbami obudzenia mnie przez Ayę. Klęczała nade mną, potrząsając mnie za ramię i powtarzając szeptem: – Bayek. Bayek, wstawaj.

Ocknąłem się w końcu i zerwałem do pozycji siedzącej z takim impetem, że Aya prawie się przewróciła. Moje uszy od razu zarejestrowały odgłos burzy szalejącej na zewnątrz. Dostrzegłem drżenie powłoki smaganej wiatrem. Jęzory piachu skrobały materiał niczym pazury jakiegoś potwora usiłującego wdrzeć się do środka.

– Wszystko w porządku? – spytała, spoglądając na mnie dziwnie.

Przeczesałem włosy dłonią, zwracając przy tym uwagę, jakie są długie i brudne, potem podrapałem się po klatce piersiowej, usiłując ocucić się do końca.

– A, tak. Zły sen.

– O ojcu Tuty?

– Nie. O szczurach. Słuchaj, po co mnie budzisz?

– Bo jest burza – odparła, jakby to wszystko wyjaśniało.

Wbiłem w nią wzrok. Moje usta poruszały się bezgłośnie, bez powodzenia szukając odpowiednich słów. W końcu się poddałem.

– Przejdzie – jęknąłem. Opadłem z powrotem na matę i pod ciągnąłem chustę do podbródka. – Nie przejmuj się. Wracaj spać.

Zaśmiała się cicho, nie otwierając ust. Jej oczy świeciły w mroku.

– Wpadłam na pewien pomysł.

Na dźwięk tych słów nareszcie się przebudziłem, moje ciało nasiąknęło aż po kości gotowością do działania.

– Mów.

– Popatrz na kierunek, w którym wieje wiatr...

Chwilę później potrząsaliśmy Nubijczykami i przyglądaliśmy się, jak półprzytomni usiłują zrozumieć, co się dzieje, zupełnie jak ja przed chwilą.

– Jest burza piaskowa – oznajmiła Aya.

Kensa skupiła myśli. Na jej twarz wypełził uśmiech.

– Masz jakiś pomysł. Opowiedz – poprosiła.

W miarę, jak Aya tłumaczyła, uśmiech Kensity się poszerzał.

Bion stał w opustoszałym domu Hemonia i Sabesteta, których ciała ułożył przy drzwiach frontowych.

Znalazł medalion Mistrza ukryty pod skórzaną opaską na jego ramieniu. Szczura udusił, po czym zaniósł kosz, pułapkę, pas i misę w miejsce, w którym czekał jego koń.

Tam rozpalił ogień, upiekł szczura i go zjadł. Spalił klatkę. Miedzianą misę i pas zakopał.

Przyniósł z domu dwa dzbany wina i miskę do picia. Rozsiadł się i popijając blade wino, odtworzył w myślach wyznanie starca.

Poznał imiona. Mógł kontynuować misję.

Skierował się ku Elefantynie, bo stary Mistrz powiedział, że tam znajdzie Sabu i jego syna.

Kiedy dotarł w okolice wyspy, przypomniał sobie, że w tej części kraju szczególnie mocno nienawidzono i prześladowano Medżajów. Historia nie była tu po stronie dawnych stróżów Egiptu, co czyniło wybór tego akurat miejsca na kryjówkę dość niecodziennym.

Dlatego właśnie Biona nie zdziwiła informacja, którą uzyskał, spędziwszy dzień w Asuanie, a mianowicie, że w świątyni Chnuma na Elefantynie więziono Medżaja o imieniu Sabu. O Bayeku nikt nie słyszał. Przyszło mu do głowy, że jest coś osobliwego w tym, że ludzie wiedzieli o Medżaju zamkniętym w świątyni, ale wpatrywali się w niego bez zrozumienia, kiedy pytał o jego syna. Interesujące.

– Dobrze, staruszkule – powiedział sam do siebie. – W co chciałeś mnie

wciągnąć?

– Co my robimy? – spytał Neka.

Całą czwórką kucaliśmy w opuszczonym budynku gospodarczym oddzielonym szerokim pasem jałowej ziemi od głównego wejścia do wielkiej świątyni Chnuma. W normalnych warunkach z tej odległości dorzucilibyśmy kamieniem do fasady świątyni. Ale warunki nie były normalne. Świątyni nie było widać, a gdybyśmy rzucili kamień, porwałby go ryczący wiatr.

Wszyscy byliśmy poranieni ostrym piaskiem, atakującym nas, gdy mozolnie parliśmy z naszego obozu do świątyni. Była to wyprawa, na którą nie zdecydowałby się nikt przy zdrowych zmysłach. Wiatr przy każdym kroku chłostał nas i szarpał. Owinęliśmy się od stóp do głów, żeby choć częściowo się osłonić przed jego napastliwością. Grubo opatulonymi dłońmi zakrywaliśmy oczy i trzymaliśmy się plecami do burzy. W końcu udało nam się dotrzeć do schronienia, o którym powiedział nam Neka.

W takich warunkach nie było mowy o żadnych pogawędkach podczas drogi, tak że również Neka nie mógł dzielić się swoimi zastrzeżeniami. A miał ich mnóstwo i zasypywał nas nimi teraz.

Kensa uśmiechnęła się do mnie.

– Nie przejmuj się nim. To zwiadowca i musi być ostrożny. Ma to we krwi.

– To szaleństwo – Neka nie ustawał w narzekaniach. – Szaleństwo, żeby być na zewnątrz przy takiej pogodzie, i szaleństwo, żeby próbować zrobić coś takiego.

Oczy Kensy zaświeciły w szparze pomiędzy zwojami niebieskiego szala,

którym owinęła głowę. Przypomniałem sobie, jak wyglądała kilka tygodni temu, zupełnie bez ducha po bitwie w bazie Menny – choć oczywiście tego nie przyznała. Energia zaczęła jej wracać, gdy zdecydowaliśmy się na wyprawę na Elefantyń. Z entuzjazmem przyjęła pomysł Ayi, żeby wykorzystać burzę piaskową jako osłonę i wyruszyć natychmiast. Kierunek wiatru był dla nas korzystny, więc najwyraźniej bogowie sprzyjali naszemu przedsięwzięciu. Kensa wtedy chwyciła za swoją włócznię, zanim Neka zdążył na dobre się rozbudzić. Chwilę potem miała już twarz pokrytą kredą, jakby potrzebowała potwierdzić swoje odrodzenie.

Neka natomiast nie pomalował sobie twarzy, demonstrując sprzeciw wobec naszego planu.

Teraz usiłował wytrześć sobie piasek z ubrania i marudził dalej:

– Wszyscy strażnicy będą na nogach.

– Czyżby? – zmarszczyła nos Kensa. – My nie byliśmy, do póki tych dwoje nas nie obudziło. A poza tym wszyscy tam będą zajęci burzą. Wiesz co, Neka, coś ci powiem. Kiedy cię uwięzili w bazie Menny, to ja chciałam czekać, a Seti mnie przekonał, że to kiepski pomysł. Możesz sobie wyobrazić, jakie tortury byś znosił, gdybyśmy czekali na lepszy moment? Wiele zawdzięczasz impulsywnym decyzjom. Więc teraz się zdecyduj. Albo towarzyszysz nam w tej misji i razem z nami będziesz cieszyć się chwałą, albo wracaj do domu i obserwuj z daleka. Co wybierasz?

Przewrócił oczami.

– Zapomniałaś o trzeciej opcji.

– Czyli? – Głos Kensity był cierpki, ale na jej ustach pojawił się uśmiech, jakby wiedziała, co powie.

– Albo zginę tu z wami – burknął, zdecydowany dalej prezentować zły humor.

– A nie chcesz tego? – Uśmiechnęła się.

Neka jeszcze przez chwilę wytrzymał, ale w końcu na jego twarz też zaczął wypływać cień uśmiechu. Widząc, że jej ustępuje, Kensa potarła dłońmi twarz i przeniosła część kredy na jego skórę.

– Niczego bardziej nie pragnę – westchnął, trochę zbyt dramatycznie, i sięgnął po łuk.

Niewiele wiedzieliśmy. Prawdę mówiąc, tylko tyle, że mój ojciec jest trzymany w jamie pod pylonem – a i to, jak wytknął nam Neka, było starą informacją, którą należało sprawdzić przed wyruszeniem.

Nasz plan był zatem prosty: przypuścić szturm na pylon w sile dwojga Nubijczyków, dwojga siwan i burzy piaskowej.

Cóż mogłoby pójść nie tak?

Wyszliśmy z budynku gospodarczego, pocieszając się, że przynajmniej nie trzeba się skradać. Już przy pierwszych krokach zaatakowały nas tumany piasku przesłaniającego widok. Strażnicy świątynni nie mieli szans nas zobaczyć. Nawet gdyby dostrzegli zarysy zbliżających się sylwetek, nie potrafiliby odróżnić, czy to ludzie, czy zwierzęta. Jak słusznie stwierdziła Aya, naszą prawdziwą przewagę stanowił element zaskoczenia. W końcu kto byłby na tyle głupi, żeby w taką pogodę gdzieś wychodzić?

Tak jak się spodziewałem, wiatr wciąż wył jak wściekły, a piasek chłostał nas bezlitośnie.

Kiedy zbliżaliśmy się do świątyni, przez cały czas towarzyszyła nam świadomość obecności strażnika na murze obronnym budynku bramnego. Według informacji Neki łucznik stał tam dzień i noc. Dopóki wichura z taką siłą ciskała piaskiem w mury świątyni, każdy strażnik z odrobiną instynktu samozachowawczego kryłby się za osłoną muru, a gdyby nawet zebrał się na odwagę i wyjrzał zza niego, nic by nie zobaczył.

Ale przecież nie wiedzieliśmy, kiedy burza zacznie cichnąć. Jeśli wiatr osłabłby na tyle, że piasek by opadł, a strażnik zacząłby wykonywać swoje

obowiązki i wyrzał, to co wtedy?

Była to myśl dominująca w naszych głowach, tak że choć z jednej strony przeklinaliśmy szarpiące nas podmuchy, z drugiej je błogosławiliśmy. A kiedy wreszcie dotarliśmy do budynku, przez chwilę napawaliśmy się poczuciem ulgi.

Pomimo osłon twarze nas paliły. Przyjrzelśmy się sobie nawzajem. Neka mimo wątpliwości był teraz w pełni skupiony. Kensa emanowała przejęciem i koncentracją. Aya wyglądała na tak zdecydowaną jak nigdy w życiu.

Przeszliśmy pod murem do bramy budynku. Były to ogromne drewniane podwójne wrota, które otwierano dla wozów i rydwanów, ale dodatkowo znajdowała się w nich mała furtka. W tym miejscu odgłosy burzy brzmiały inaczej, bo piasek grzechotał o drewno wierzei. Kensa spojrzała na nas pytająco, sprawdzając, czy jesteśmy gotowi. Widziała wprawdzie tylko oczy, ale wyczytała z nich, że tak – że dajemy jej pozwolenie na zrobienie tego, co planuje.

Czyli sprawdzenie, czy ktoś jest w domu.

Podniosła pięść i zapukała. Czekaliśmy w napięciu. Czy w łoskocie burzy w ogóle usłyszą to wezwanie?

Usłyszeli. Zza wrót dobiegło polecenie:

– Przedstaw się.

Głos był niewyraźny, stłumiony.

– Na litość boską, proszę otworzyć, bo będziesz miał krew dziecka na rękach, panie – odparła Kensa żalonym głosem.

– W takiej burzy! Zwariowałaś?

Kensa przewróciła oczami, ale grała dalej.

– Dlatego właśnie potrzebuję schronienia, panie. Proszę, czy pozwolicie mi się tu zatrzymać? Wślizgnę się przez tę furtkę tak, że nawet nie poczujecie impetu burzy. Naprawdę.

Jakby dla podkreślenia grozy sytuacji wiatr się wzmógł i gwałtowny podmuch uderzył w drewniane wrota, aż zatrzęśły się w zawiasach.

– Dobrze, dobrze. – Głos z drugiej strony zabrzmiał zrzędliwie, jakby Kensa miała wpływ na siłę wiatru.

Usłyszałem dźwięk odsuwanej zasuw. Przechwyciłem wzrok Ayi. Zastanowiłem się, czy wie, o czym myślę, i doszedłem do wniosku, że tak. Bo oczywiście myślałem o tym, że tylko chwile dzielą mnie od spotkania z ojcem. I aż trudno to sobie wyobrazić, ale go uratuję.

A może wcale o tym nie myślała. Może rozważała, dlaczego Sabu dał się schwytać i uwięzić ofermom z Elefantyny. Albo nadal zastanawiała się nad tym, co tu nie gra.

I wtedy furtka się otworzyła.

Natychmiast wdarliśmy się do środka – nas czworo i burza piaskowa. Kensa jako pierwsza z całej siły pchnęła furtką człowieka z drugiej strony. Zatoczył się do tyłu, młócąc rękami dla utrzymania równowagi. Nie trzymał broni i wpatrywał się w nas zdumiony i przerażony, podczas gdy wiatr zatrasnął furtkę z powrotem.

Tuż za Kensą znajdował się Neka, który już się obracał, jednocześnie płynnym ruchem wyciągając strzałę z kołczanu, zakładając ją na cięciwę, celując i strzelając do wartownika wypatrzonego w górze. Chwilę później mężczyzna z nieprzyjemnym plaśnięciem wylądował przed nami, plamiąc bruk krwią.

Aya i ja otworzyliśmy wielkie wrota, żeby wiatr niosący piasek mógł swobodnie hulać po dziedzińcu, na którym się znaleźliśmy. Wichura warta była dziesięciu wojowników walczących po naszej stronie. Jednak ten wzmożony hałas wywabił kolejnego wartownika, który pędził teraz na nas z wyciągniętą bronią.

Kensa zdążyła już się rozprawić z człowiekiem przy bramie i zanim nowy wróg nas dopadł, powaliła go błyskawicznie rzuconą włócznią. Neka kiwał na nas, żebyśmy szli naprzód, i przekrzykując wicherę, przypominał nam o ostrożności, bo w każdej chwili mogliśmy się natknąć na krawędź dołu. Dlatego po omacku badaliśmy teren, powoli się posuwając – nawet kiedy z wirującego w powietrzu piasku nadleciała ze świstem strzala. Z pewnością wystrzelono ją bez celowania z nadzieją, że w coś trafi, ale przeleciała daleko. Padliśmy na brzuchy i pełzając, szukaliśmy jamy, odkrywając przy

okazji, że przy ziemi znajduje się pas względnego spokoju.

Słyszeliśmy jakieś krzyki, zapewne strażników, którzy zaczęli się zbiegać i próbowali odgadnąć, co się dzieje. Spomiędzy tumanów piasku wyfrunęła kolejna strzała. Staraliśmy się robić jak najwięcej hałasu – żeby nieprzyjaciel myślał, że są nas dziesiątki – w czym wichura wydatnie nam pomagała.

W końcu natrafiliśmy na poszukiwaną jamę. Podczołgałem się jak najbliżej do krawędzi, żeby spróbować cokolwiek zobaczyć, choć miałem wrażenie, że patrzę w otchłań.

– Ojcze! – zawołałem i byłem pewien, że w odpowiedzi coś poruszyło się na dole.

Dostrzegłem oczy świecące w ciemności. Na dół nie dochodziły podmuchy burzy, którą wpuściliśmy na dziedziniec i która teraz wokół nas szalała.

Neka, ostrożnie obchodząc otwór, zbliżał się do mnie ze zwojem liny w objęciach.

– Ładnie z ich strony, że ją tu dla nas zostawili. – Błysnął zębami w uśmiechu.

W pobliżu zauważyliśmy kołek wbity w grunt, a widoczne na nim rowki nie pozostawiały wątpliwości co do jego przeznaczenia. Chwilę później obwiązaliśmy linę wokół palika i zrzuciliśmy w dół.

– Będę cię osłaniał – rzucił Neka, odsuwając się na bok.

– Złap ją, ojczy! – wrzasnąłem w czarny otwór, przekrzykując tumult bitwy, która rozgorzała dookoła.

Nie mieliśmy wiele czasu. Neka brał strzałę za strzałę i wystrzeliwał w stronę strażników. Słyszałem brzęk cięciwy i widziałem przez pył jego twarz, na której malowały się determinacja i wysiłek. W istocie walczył za nas wszystkich, bo Kensa, Aya i ja z piętami wbitymi w ziemię z całej siły ciągnęliśmy linę. Dłonie nas piekły, gdy cofaliśmy się krok po kroku,

pociągając i wrzeszcząc z triumfu i wysiłku, ze świadomością, że pomyślny koniec naszej misji jest tak blisko. Aż trudno nam było uwierzyć, że tylko w czwórkę zdołaliśmy doprowadzić do końca tak zuchwałą wyprawę ratunkową.

Później, kiedy było po wszystkim, Aya powiedziała mi, że zajrzała do dziury i widziała, jak więzień sobie pomagał, wspinając się po linie i zapierając nogami o ściany jamy.

Ja go nie widziałem. Nie zdawałem sobie sprawy.

Ale Aya tak.

Wiedziała, zanim głowa więźnia pojawiła się nad krawędzią dziury.

To nie był mój ojciec.

W tym momencie burza zaczęła słabnąć, jakby osłupiała podobnie jak my, gdy spoglądaliśmy na siebie nawzajem i na więźnia. Zupełnie nas zamurowało, tak że nie spytaliśmy, kim jest, jak trafił do tej dziury i czy naprawdę jest Medżajem. Ogarnęło mnie odrętwienie i ważne było dla mnie jedynie, że to nie jest Sabu z Siwy, to nie mój ojciec.

Neka podbiegł do nas i wyhamował, żeby nas ostrzec, że wraz z cichnięciem burzy strażnicy nabiorą większej odwagi.

– Dalej, chodźmy, wynośmy się stąd – zawołał, po czym spojrzął na uratowanego więźnia. – Witaj, Sabu – powiedział i się przedstawił.

– To nie Sabu. – Kensa w końcu zdołała wydobyć z siebie głos. – To przynęta. – Złapała mocno nieznanego za brudną tunikę na piersi. – Powinnam cię wrzucić z powrotem, prosto na twarz. Kim jesteś?

Przerażony mężczyzna potrząsał głową i poruszał ustami, ale nie wydobywał się z nich żaden dźwięk. Był stary i siwiejący, z wilgotnymi ustami i szaleńczo biegającymi na wszystkie strony oczami.

– Co? – Neka na chwilę zapomniał o wrogach, zaskoczony obrotem zdarzeń. – Co takiego? Powiedziano mi, że to Sabu. Medżaj z Siwy imieniem Sabu.

Odciągnąłem Ayę na bok.

– Wiedziałaś. – Przeszyłem ją oskarżycielskim spojrzeniem. – Wiedziałaś, prawda?

Wyszarpnęła rękę.

– Oczywiście, że nie wiedziałam. Tylko podejrzewałam.

– To powinnaś była...

– Próbowałam – przypomniała.

Rzeczywiście próbowała. Odetchnąłem głęboko i stłumiłem w zarodku rodzącą się urazę. To nie była jej wina.

– Ale kto to jest? Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem – odparła, a potem przeniosła wzrok na przerażonego więźnia, którego Kensa nadal mocno trzymała. – Jak cię zwą?

– Sabu, Sabu – bełkotał żałośnie, śliniąc się. – Medżaj, Medżaj.

Westchnęliśmy zgodnie. Jasne było, że wypytywanie tego obłąkanego człowieka donikąd nas nie zaprowadzi.

– Musimy wiać – ponaglił Neka stojący kawałek dalej.

Burza piaskowa coraz bardziej cichła i było jasne, że niedługo przestanie nas osłaniać. Neka wypuścił dwie strzały w przestrzeń za dziurą i został nagrodzony okrzykiem bólu lub zdumienia. Mieliśmy nadzieję, że to jeszcze przez chwile utrzyma nieprzyjaciela z dala.

– Musimy się stąd wynosić, słyszycie? Później sobie porozmawiacie.

Oczywiście miał rację.

Z ciemności wyleciała strzała i wbiła się w grunt tuż przy nodze Neki. Po chwili jedna za drugą zaczęły pojawiać się kolejne. Widząc to, natychmiast zerwaliśmy się na nogi. Burza cichła, widok się przejaśniał i wyraźnie słyszeliśmy odgłosy świadczące, że strażę się przegrupowują. Ktoś krzyknął do nas:

– Kim jesteście!?! – najpierw niepewnie, a potem bardziej władczym głosem, ale nie mieliśmy zamiaru odpowiadać.

Nasz ochotniczy oddział – rozczarowany i zmęczony walką – przebiegł przez bramę i pomknął dalej przed siebie w burzę, która choć już mniej gwałtowna, i tak nas chłostała, jakby chciała ukarać za głupotę.

Zerknąłem na Ayę i dostrzegłem w jej oczach ból z powodu tego, że

miała rację. Przed nami rozciągało się pustkowie, na którym podmuchy wiatru podrywały wiry piasku, ale moją uwagę przyciągnęła jakaś wrzawa. Rozległy się bojowe okrzyki i zza pylonu wyłoniła się grupa strażników – część biegła z wyciągniętymi mieczami, a pozostali składali się do strzału.

– Stać! – wrzeszczeli, ale jeśli sądzili, że to nas zatrzyma, bardzo się pomylili.

Po pierwszej chwili zawahania na ich widok krew nam zawrzała i z całą mocą obudził się w nas instynkt samozachowawczy.

Neka wyciągnął strzałę z kołczanu, okręcił się i wystrzelił, wszystko jednym szybkim ruchem. Strzał był celny i powalił jednego z łuczników. W tym samym czasie wojownik z mieczem próbował powstrzymać Kense, ta jednak zamachnęła się włócznią i przebiła go pchnięciem od dołu.

Kątem oka dostrzegłem, że inny łucznik celuje w Ayę. Mój ostrzegawczy okrzyk został porwany przez wiatr, więc rzuciłem się w jej kierunku, myśląc *Nie!* i jednocześnie wrzeszcząc: – Aya, padnij!

Nagle strażnik puścił łuk i złapał się za szyję, z której sterczała strzała. Kto strzelił? Bo nie Neka ani nie Kensa. Nie miałem pojęcia. Biegłem więc dalej, krzycząc do pozostałych, żeby przyspieszyli, i w końcu udało nam się pozostawić ostatnich ścigających z tyłu.

Podbiegłem do Ayi.

– Jest tu ktoś poza nami. I właśnie ocalił ci życie. – Spojrzała na mnie i ciekaw byłem, czy myśli o tym samym co ja.

Biegliśmy dalej przed siebie, wpatrując się z natężeniem w ponury, wirujący mrok, ale nigdzie nie dostrzegliśmy śladu tajemniczego łucznika.

Przed nami znajdowali się Kensa, Neka i więzień, za nami świątynia oraz strażnicy, których okrzyki stopniowo cichły w oddali. Księżyc oświetlał nam drogę, więc dołączyliśmy do reszty i biegliśmy wszyscy w równym tempie, dopóki Kensa nie pokazała nam, że mamy skręcić pomiędzy drzewa rosnące

na obrzeżach wyspy. Dalej przedzieraliśmy się z trzaskiem przez rosnące między drzewami suche zarośla, aż grunt pod naszymi stopami zaczął robić się grząski i w końcu dotarliśmy do brzegu rzeki.

Tam Kensa zatrzymała nas pięścią uniesioną w górę, kucnęła i dała znak, że mamy zebrać się koło niej. Oddychała ciężko i z przerwami, a jej oczy błyszczały z podniecenia.

– Jesteśmy śledzeni – powiedziała, a potem aż podskoczyła i złapała za broń, gdy z ciemności dobiegł męski głos.

– To żadna sztuka przy hałasie, który robicie – oznajmiła tajemnicza postać, która wyłoniła się z mroku.

Zerwaliśmy się na równe nogi.

Pozostała trójka sięgnęła po broń, ale ja nie. Znałem ten głos, podobnie jak sylwetkę osoby, która właśnie wchodziła na polankę, rozdrażnionymi ruchami rozgarniając krzaki i posyłając każdemu po kolei wściekłe spojrzenie.

– Jesteście martwi. Wszyscy – stwierdził mój ojciec.

Kiedy wmaszerował na polanę, wyglądał niemal tak samo jak wtedy, kiedy po raz ostatni go widziałem – no, może mniej zadbany, bo musiał sobie radzić bez dbałości mamy. Długie włosy miał zebrane z tyłu, brodę nieco zmierzwioną, a twarz odrobinę bardziej pobrużdżoną niż dawniej.

I niezadowoloną. Ojciec nie był wybuchowy i uczucia raczej tliły się w nim w środku. Mama mawiała, że je skrywał, że był jak powoli płynąca woda, gładka na powierzchni, ale z niebezpiecznymi prądami w głębi. Teraz jednak powierzchnia też była wzburzona – na policzki wystąpiły mu rumieńce i wodził po nas pałającym wzrokiem.

– Sabu – odezwała się nieco cierpkim głosem Kensa, schylając głowę w powitaniu, w którym zawarła milcząca zgodę na to, byśmy przedyskutowali z ojcem pewne sprawy jej niedotyczące.

Neka też odsunął się na bok, nie chcąc zakłócać spotkania ojca z synem.
Rozgniewanego ojca.

Bogowie!, pomyślałem, kiedy zwrócił się ku mnie, przesywając mnie spojrzeniem. W niczym to nie przypominało sceny, jaką sobie wyobrażałem. Marzenia chłopczyka, który nadal tkwił w głębi mnie. Ależ byłem naiwny. Nie było żadnego uścisku. Żadnego powitania. Żadnej wdzięczności. Tylko...

– Na demony, co wy tu robicie? – warknął.

– Przybyliśmy, żeby cię uratować... – odparłem zbyt mocno. Wyrzucił w górę rękę, jedną z łukiem.

– Czy wyglądam, jakby trzeba było mnie ratować?

– Ty nie – wtrąciła się beznamiętnym głosem Aya, a potem wskazała na

biedaka, który kuczał u naszych stóp i wpatrywał się w nas, zlany strachem i zdezorientowany, jakby kulił się w obliczu nadciągającej kamiennej lawiny.

– Ale on tak.

Ojciec klęknął przy uwolnionym starcu, a jego głos i zachowanie złagodniały.

– Dobrze się spisałeś, Bes, i przykro mi, że przeze mnie cierpiełeś. Bardzo dziękuję tobie i twojej rodzinie i mam nadzieję, że wszyscy będziecie się cieszyć twoją nagrodą.

– Dziękuję, Sabu, dziękuję – zdołał wykrztusić Bes, kiwając gwałtownie głową.

Rozszerzonymi oczami szybko rozglądał się dookoła i choć nie można powiedzieć, że się uspokoił, to w każdym razie się pozbierał.

– Po co? – spytałem. – Po co był ci potrzebny?

Ojciec westchnął i wyprostował się zrezygnowany.

– Mówiąc krótko, musiałem zastawić pułapkę i potrzebowałem przynęty.

– Pułapkę na kogo? – spytała Aya.

– Na zabójcę, zabójcę polującego na Medżajów. – Przerwał. – Zakładam, że już wiecie o Medżajach, skoro tu dotarliście? – Skinąłem głową i wymieniliśmy spojrzenia.

– I to dlatego wyjechałeś z Siwy? – naciskała Aya. – Nie miało to nic wspólnego z Menną?

– Z Menną... – Ojciec jakby musiał sobie przypomnieć, o kim mowa, po czym spojrzął na Kensę, która stała kilka kroków dalej. Skinęła potakująco głową.

– Menna nie żyje, Sabu.

– Dziękuję, Kenso, bardzo dziękuję. To wiele znaczy. – Zwrócił się ponownie do Ayi. – Nie, nie miało to związku z Menną, tylko z wiadomością, że Medżajowie są zagrożeni.

– Zabójca? – zapytałem.

Ojciec kiwnął głową.

– I jest to człowiek, który zna się na swoim fachu, Bayeku. Pokonał Emsafa, doświadczonego i utalentowanego Medzaja, świetnego wojownika, zwiadowcę i tropiciela. Ten zabójca jest metodyczny i bezlitosny. Dlatego zamierzałem go wywabić.

– Przykro mi, ojciec – powiedziałem.

Mina mi zrzedła i opuściłem głowę, ale on położył mi ręce na ramionach.

– Będzie jeszcze mnóstwo czasu na reprimendy później. I nie myśl, że ich unikniecie. – Przerwał. – Ale na razie powiem tylko, że cieszy mnie widok was wszystkich i jestem zadowolony, że twoje umiejętności się poprawiły od czasu, gdy opuściłem Siwę. Pozostało parę złych nawyków, którymi należy się zająć, ale...

– Chwila... – szepnęła Kensa, podniesioną ręką nakazując nam ciszę.

– Co? – spytał ojciec.

– Ktoś jest blisko. Twoja pułapka być może zadziałała. Ktoś nadchodzi. – Zmrużyła oczy i pokiwała powoli głową. – I wie, co robi.

– To musi być on. Skończymy to, tu i teraz – stwierdził ojciec, podnosząc łuk.

W pierwszych promieniach słońca widać było jego ponury i zdecydowany wyraz twarzy. Wskazał Kensie i Nece, żeby zajęli miejsca na flankach, dzięki czemu będą mogli z trzech stron zaatakować osobę, która nas tropi. Aya i ja też czekaliśmy na polecenia. W końcu skinął głową.

– Zostańcie tuż za nami. Bądźcie czujni, na wypadek gdyby starał się nas podejść od tyłu.

– Nie będzie w stanie tego zrobić – zaczął Neka, ale ojciec mu przerwał: – Dotarł za mną aż tutaj. Emsaf go nie docenił, a ja nie popełnię tego samego błędu.

Rozstawiliśmy się zgodnie z ustaleniami i w tym szyku zaczęliśmy się oddalać od brzegu rzeki, zostawiając Besa na polance.

Po lewej stronie widziałem spiętą Ayę, której namokła spódnica przykleiła się do nóg. Przede mną rój much tańczył w chłodzie wczesnego poranka.

Nie było nic słyhać. Ojciec i Nubijczycy zniknęli nam z pola widzenia. Strażnicy świątynni najwyraźniej postanowili zrezygnować z pościgu. Jeśli ten łowca Medzajów jest tak dobry, jak mówi ojciec, to czy dałby tak łatwo wciągnąć się w pułapkę? Wątpiłem.

Szliśmy dalej wśród leśnego podszycia, wyczuleni do granic możliwości na wszelkie trzaski i chlupoty. Odczuwałem takie samo podekscytowanie jak w bazie Menny, wynikające ze świadomości, że jestem częścią czegoś – czegoś ważnego. Chciałbym umieć przekazać jakoś te uczucia ojcu, żeby mu udowodnić, że dojrzałem, że podejmuję własne decyzje i jestem gotów je realizować. A potem porzuciłem te rozmyślenia i skupiłem się na zadaniu, które mieliśmy do wykonania. Posuwaliśmy się krok po kroku, wstrzymując oddech. Zauważyłem, że roślinności pod naszymi stopami robiło się coraz mniej. Srebrne światło, które wcześniej tylko w niektórych miejscach przebijało się przez korony drzew, teraz malowało teren przed nami, a grunt zrobił się twardszy.

I nagle gdzieś przed nami rozległ się hałas. Zaledwie kilka miesięcy temu podskoczyłbym przerażony, a teraz tylko okręciłem się w miejscu, żeby stawić czoło zagrożeniu. Słyhać było jakiś ruch, szelesty, potem krzyk, którego nie potrafiłem rozpoznać, i w końcu charakterystyczny świst wystrzeliwanych strzał, a po nim okrzyk bólu.

Aya i ja czym prędzej kucnęliśmy, trzymając miecze w pogotowiu. Usłyszeliśmy odgłos kilku kolejnych strzałów z łuku, aż w końcu rozległ się głos mojego ojca wołający: – Pokaż się, zabójco! Staw mi czoła!

Zawołanie pozostało bez odpowiedzi.

Nie podnosiliśmy się. Ponownie zapadł spokój wczesnego poranka. Chciałem zawołać do pozostałych, ale powstrzymałem się w obawie przed zdradzeniem naszych pozycji. Nie mogłem pojąć, dlaczego – mimo że nas jest pięcioro, a on jeden – mam wrażenie, iż nie jesteśmy łowcami, tylko zwierzyną.

Dźwięk, który rozległ się w pobliżu, postawił nas w stan gotowości, ale po chwili usłyszałem cichy głos ojca: – Bayeku.

– Ojczy?

– Nic wam nie jest?

– Nie. A wam?

Ojciec wyszedł z mroku, a Kensa i Neka tuż za nim.

– Myślałem, że go załatwiłem, ale nie ma ciała – powiedział.

Kensa tymczasem przykucnęła z włócznią w jednej ręce, a drugą płasko rozpostarła, opierając na ziemi. Przechyliła głowę, jakby nasłuchiwała koniuszkami palców. Ojciec dał znać ruchem podbródka, żebyśmy do nich dołączyli.

– Dobra robota – mruknął i jestem pewien, że Aya poczuła taką samą dumę jak ja. Potem zwrócił się do Kensy. – Nadal jest w pobliżu?

– Nie wiem – odparła, krzywiąc się, bo nie miała ochoty się przyznawać, że nie potrafi go wyśledzić. – Nie wiem, gdzie jest, ani nawet czy tutaj.

– Był tu – stwierdził mój ojciec – tego jestem pewien. – Zrobił niezadowoloną minę. – Mógłbym przysiąc, że jedna z moich strzał dosięgnęła celu. Cokolwiek to znaczy, wiemy przynajmniej jedno. Znamy słabe strony wroga.

A co do nich należy?, chciałem spytać, ale ugryzłem się w język.

– Poza tym to człowiek, który umie ocenić, jakie ma szanse – dodała Kensa.

I właśnie wtedy przez zamglone powietrze poranka dobiegło nas wołanie.

– Medżaju! – Zamarliśmy, a Kensa usiłowała ustalić, skąd dochodzi głos.

– Medżaju, wkrótce się spotkamy i urządzimy sobie dzień rozrachunku.

Potem rozległ się skrzekliwy krzyk Besa, w kółko powtarzającego: – Sabu, Sabu, Sabu.

Zerwaliśmy się do biegu i popędziliśmy przez chaszczę z wyciągniętą bronią – ojciec, Kensa i Neka z przodu, a my z Ayą za nimi, przygotowani na atak i wypatrując ewentualnej zasadzki. Znaleźliśmy Besa w takiej samej pozycji, jak go zostawiliśmy. Tylko że znów cały trząśł się z przerażenia, spoglądał na nas szeroko rozwartymi oczami i powtarzał: – Sabu, Sabu. Potem przyłożył dłonie do policzków i zawodził: – Demon, demon, demon...

Nigdy nie widziałem tak przerażonego człowieka. A jednak...

– Krew – odezwała się Kensa, wskazując na jego tunikę.

– Jesteś ranny, Bes? – spytał ojciec i uklęknął przy nim, szukając ran.

– Nie, Sabu – wybełkotał – to demon jest ranny.

Ojciec wstał i westchnął.

– W takim razie demon krwawi – stwierdził.

CZEŚĆ III

Wiele lat później

Na przestrzeni lat Bion wielokrotnie wracał myślami do nocy, w której rozpętała się burza piaskowa. Miał okazję doprowadzić swoją misję do końca, ale udany strzał Sabu zmusił go do odwrotu i poświęcenia wielu miesięcy na rekonwalescencję. Wszystko przez to, że preferował walkę wręcz. Że miernie posługiwał się łukiem.

Nieprawda, skarcił się w myślach. Pod wieloma względami burza okazała się źródłem przewagi nie do przewyciężenia. Dała im możliwość przegrupowania się, zwarcia szyków. Łuk na niewiele by się zdał. Po prostu nie zaplanował takiego rozwoju wypadków – znając siebie, nie zrobiłby tego, nawet gdyby przewidział złą pogodę. Tak podejrzewał. Ale co, jeśli się mylił odnośnie do łuku? Może gdyby był sprawnym łucznikiem, wykonałby tamtej nocy swoje zadanie mimo rany? Kto wie. Może faktycznie pomogłoby, gdyby zamiast skupiać się na podejściu do celu, otworzył się na rozwiązania uwzględniające walkę z dystansu?

A może jednak naprawdę wszystkiemu były winne wiatr i burza? Bion uciekał się do najróżniejszych wymówek, ale żadna nie mogła zatuszować faktu, że Medzaj posłał swoją strzałę z nadzwyczajną biegłością, zaś jego, Biona, umiejętności w tym zakresie pozostawiały wiele do życzenia. Rozważania więc zawsze prowadziły go do wniosku, że sam był sobie winien.

Raia uwielbiał dogryzać mu z tego powodu. Jego dawny dowódca był,

rzecz jasna, doskonałym łucznikiem.

– To dlatego, że za bardzo lubisz zabijać – powiedział mu kiedyś, uśmiechając się, jakby byli bliskimi przyjaciółmi i doskonale go rozumiał. – Lubisz patrzeć, jak życie opuszcza twoje ofiary. Lubisz się przyglądać, jak płomień gaśnie w ich oczach. Nie wyobrażasz sobie robić tego inaczej niż twarzą w twarz, prawda?

Bion, który zawsze czerpał dumę ze swojej enigmatyczności, zaczął się zastanawiać, czy jest tak nieprzenikniony, jak mu się wydawało. Wiedział, że jest potworem. Od małego. Sądził jednak, że nauczył się to ukrywać. Że na tyle, na ile należało, potrafił wmieszać się w tłum. Inna sprawa, że Raia znał go lepiej niż ktokolwiek inny, wszak służyli wspólnie wiele lat. Nigdy też go nie oceniał. Ktoś inny, podejrzewał Bion, mógłby nie być tak tolerancyjny.

W każdym razie cecha, dzięki której doskonale sprawdzał się jako zabójca na usługach Raii, tamtej nocy na Elefantynie okazała się słabością. W połączeniu z burzą i raną zmusiła go do odwrotu i ponownej oceny sytuacji. Rozmyślając, czy kiedykolwiek jeszcze zobaczy dom, zamieszkał w opuszczonej chatce pasterskiej na Czerwonej Pustyni, gdzie zamierzał poczekać, aż wyzdrowieje i będzie mógł zacząć polowanie od nowa. Jego noga odzyskała sprawność. Wznowił treningi, żeby wrócić do formy przed przymusowej rekonwalescencji. Doprowadził też swoje umiejętności łucznicze do tego samego poziomu co pozostałe elementy techniki zadawania śmierci, ćwicząc sumiennie do osiągnięcia absolutnej biegłości.

Pewnego dnia podjął z powrotem swoje dochodzenie. Zaprowadziło go do Teb, gdzie przeprowił się na drugi brzeg Nilu, na teren nekropolii, i odszukał grobowiec, co do którego był pewien, że jest tym właściwym. W środku nie znalazł jednak najmniejszego śladu wskazującego na to, że kiedyś gościli tam Nubijczycy.

Na zewnątrz dostrzegł starszego mężczyznę. Zawołał do niego i poszedł

porozmawiać. Słońce jasno świeciło z błękitnego nieba i nad ramieniem starca Bion widział panoramę miasta – zrujnowanego i zgnębnego przez wojnę, wciąż jednak na swój sposób znaczącego i pięknego, jakby bogowie nie zgadzali się, by brzydota bezcześciła świat, który stworzyli.

Wszystko, co brzydkie, pochodziło od ludzi. Bion był tego świadom lepiej niż ktokolwiek. Wszak nieraz przyłożył do tej brzydoty swą rękę.

Starzec pamiętał Nubijczyków.

– Wynieśli się – powiedział.

– Wiesz dokąd? – spytał Bion.

Mężczyzna pokręcił głową. Nie był pewien. Wydawało mu się, że część wyjechała na południe, jednak nie wszyscy.

– Rozdzielili się?

– O, tak. Urodziło się dziecko. Rodzice wyjechali, może założyć nowe plemię w innym miejscu. Kto to wie?

Bion uznał, że więcej nie musi wiedzieć. Ruszając w drogę, pomyślał, że Nubijczycy pewnie byliby godnymi przeciwnikami, ale jak dotąd nie miał dla nich czasu. Nie mieli związku z jego misją. Jego celem byli Medżajowie.

Jeździec na wielbłądzie pojawił się w zasięgu wzroku niedługo po tym, jak Bion przybył na miejsce. Przyglądał się sylwetce, która wyłoniła się spośród fal rozgrzanego powietrza, rozmazanej kresce, coraz bardziej z każdą mijającą chwilą przypominającej człowieka.

Jego posłaniec. Bion zatrudnił Sumiego po raz pierwszy kilka lat temu, kiedy ten był jeszcze chłopcem. Wysłał go do Raii, który wciąż rezydował w Aleksandrii, z medalionem Hemoną i dodatkową informacją, że Bion podąża tropem ostatnich Medżajów.

Wiadomość zwrotna, z którą Sumi przybył do jego spartańsko urządzonej chatki, brzmiała: „Dlaczego to trwa tak długo?”.

Bion wyobraził sobie swojego dawnego komendanta w jego aleksandryjskiej willi z centralnym atrium, którego ściany porastał bluszcz, jak wścieka się na Sumiego, niezdolny pojąć, dlaczego nie panuje nad poczynaniami swojego krnąbrnego zabójcy. Rozbawiła go na krótką chwilę wizja sceny, w której zadufany w sobie Raia, wciąż mający się za żołnierza, gotuje się ze złości na myśl, że stał się równie bezradny, co uczeni, z których tak chętnie drwił.

Niedawno Bion wysłał więc Sumiego, który stał się już młodym mężczyzną, by przypomnieć Raii, że misja tak się skomplikowała, ponieważ Medżajowie dowiedzieli się o niej. I że Raia ponosi za to pełną odpowiedzialność. Wszak to zatrudniony przez niego uczeni zgłosił się ze swoim problemem do Rashidiego, który ostrzegł Medżajów o zakusach Zakonu. Gdyby nie to, Bion dawno wykonałby swoje zadanie. Raia zaś

miałby w swojej kolekcji wszystkie medaliony.

Sumi wrócił z wiadomością, którą powtórzył na stojąco, wyraźnie zdenerwowany:

– Raia nakazuje ci, panie, wrócić do Aleksandrii w celu... żebym to dobrze ujął... „omówienia strategii”. Chce, żebyś przyjechał natychmiast.

– Przekaż Raii, że mam plan – polecił Bion. – Poinformuj go, że najmocniej jak mogę, proszę, by mi zaufał. Niedługo poinformuję go o rozwoju sytuacji.

A teraz przyszła odpowiedź.

Przyglądał się, jak jego posłaniec zbliża się niepewnym krokiem, i nalał im obu wody. Sumi usiadł naprzeciw niego ze skrzyżowanymi nogami.

– On ma naprawdę ładny dom, zgodzisz się, panie? – Sumi rozejrzał się, jakby porównywał dwa diametralnie odmienne style życia.

Nerwowa pogawędka o niczym. Mocno zaciskał dłonie na glinianym kubku. Bion skinął głową.

– Tak – odparł beznamietnie. – Mój dawny komendant zawsze wyznawał zasadę, że należy korzystać ze wszystkich luksusów, które ma się w zasięgu ręki.

– Między innymi przekazywać ci, panie, zadania, których sam nie potrafi wykonać?

– Można tak powiedzieć.

– On się ciebie boi, panie – wyrwało się Sumiemu i Bion dostrzegł w jego oczach strach.

Podobało mu się to. Uważał za ważne, by ludzie dostrzegali w nim uosobienie śmierci. Jego młody pomagier miał dobry instynkt samozachowawczy.

– Umawialiśmy się, że nie będziesz zadawał pytań – odparł Bion. – Zajmijmy się waszą rozmową. Rozumiem, że przekazałeś mu moją

wiadomość?

Sumi pokiwał głową tak szybko, że Bionowi wydało się, że słyszy, jak mózg grzechocze mu w czaszce. Chłopak miał oczy szeroko otwarte ze strachu, a jego ręce i nogi nerwowo podrygiwały.

– Przekazałem. Był niezbyt zadowolony. – Sumi potarł po liczek i zmarszczył brwi na wspomnienie tego, co zaszło. – Od noszę wrażenie, że tylko cudem wyszedłem stamtąd żywy. – Zamilkł na chwilę.

Bion wiedział, że zastanawia się, czy to spotkanie również będzie dane mu przeżyć.

– Chciał wiedzieć, gdzie mnie znaleźć?

– Powiedział, że nie będzie pytał, bo wie, że to nie ma sensu. – Ulga, wyraźna i szczerą.

– Jaką odpowiedź podyktował?

– Powiedział, że minęło wiele lat. Chciałby usłyszeć, że wykonałeś zadanie, panie. – Sumi zabrzmiał niemal przeprasząco, a Bion nie miał najmniejszej wątpliwości, że Raia w rzeczywistości wyraził się bardziej dosadnie.

Oczywiście, że chcesz, żebym wykonał zadanie, zadrwił w myślach Bion. Dlaczego mnie to nie dziwi?

– Nie powiedziałeś mi nic więcej?

Posłaniec potrząsnął głową. Mieli z Bionem umowę: Sumi podróżował po regionie i werbował napotkane dzieci ulicy – małych nicponiów, hultajów i urwisów – które zaprzęgały do pracy swoich znajomych, i tak dalej, i cała ta czereda rozglądała się za Sabu, Baykiem i dziewczyną. Każdy mały zwiadowca składał raporty swojemu kontaktowi, ten następnemu, a ten z kolei przekazywał informacje wiecznie uśmiechniętemu Sumiemu, który zdawał raport Bionowi.

Bionowi, który nauczył się posługiwać łukiem. Który wrócił do zdrowia

po otrzymaniu rany, która okulałaby pośledniejszą istotę. Który zamierzał dokończyć swoją misję niezależnie od tego, czego naprawdę chciał Raia. Odesłał chłopaka.

Bion wiedział, że los wynagrodzi jego cierpliwość.

Aż pewnego dnia, po upływie jeszcze dłuższego czasu, Sumi rzeczywiście odwiedził Biona jeszcze raz i tym razem była to wizyta, której Bion się nie spodziewał. Przyglądając się wielbłądowi, którego sylwetka rosła na horyzoncie, Bion pozwolił sobie mieć nadzieję, że po latach nareszcie udało się znaleźć Medżajów. Owszem.

– Przynoszę wieści – oznajmił Sumi, kiedy jak zwykle usiedli naprzeciw siebie. Tym razem popijali gęste, osobliwie pachnące piwo. – Myślę, że ci się spodoba, panie. – Jego oczy wyrażały szacunek, ale nie potrafił się powstrzymać przed zerknięciem na sakiewkę Biona.

To pieniądze przywabiły go z powrotem. Przyjechał dla nich, choć bał się o życie.

– W takim razie słucham – odparł Bion.

– Wiem, gdzie oni są, ta trójka, której pan szuka.

– Naprawdę? Wszyscy troje?

Sumi pokiwał głową w sposób mówiący, że nie ma wątpliwości.

– Aha. Cała trójka. Założyli obozowisko i nie ruszają się od jakichś dwóch miesięcy.

– Jak się dowiedziałeś?

– Z wiadomości, którą wysłali.

Bion pokręcił głową, jakby go to zaskoczyło.

– Niemożliwe. Na pewno nie byliby tak nieostrożni, żeby korzystać z usług osób trzecich.

– I to więcej niż jednej – odparł Sumi i pociągnął łyczek piwa. – Wiadomość przekazali chłopakowi, który zaniósł ją kolejnemu. To ten

pierwszy jest moim kontaktem.

– Czyli wiesz, skąd pochodziła wiadomość, ale nie dokąd miała trafić?

– Mniej więcej. Ale mogę się dowiedzieć, jeśli zechcesz, panie – Sumi rozwarł wargi w uśmiechu i uniósł dłoń, przestraszony, lecz zdeterminowany, oczekując zapłaty.

– Będziesz musiał, tak – odparł Bion automatycznie, pogrążony w myślach, które podpowiadały mu: *Nieemożliwe. Coś tu się nie zgadza.*

Nachylił się i nakazał Sumiemu gestem dłoni, żeby zrobił to samo. Chłopak się wzdrygnął, ale spełnił polecenie.

– Jesteś pewien, że to nie jest jakaś zasadzka? Bo jeśli wiesz coś jeszcze, to gwarantuję ci, że na dłuższą metę lepiej zrobisz, mówiąc mi to od razu.

Sumi usiadł z powrotem prosto, przyjął poważny wyraz twarzy i energicznie pokręcił głową.

– Nie, nie, dobrze mi płacisz, panie. Od początku ciężko dla ciebie pracuję i nie zamierzam przestawać. – Zawahał się na chwilę, po czym rzucił się na głęboką wodę: – Jesteś, panie, najbardziej przerażającą osobą, jaką znam. Nie oszukałbym cię.

Bion skinął głową. Wiedział, że Sumi mówi prawdę, więc w ciszy dopili wspólnie piwo. Niedługo później Sumi zaczął przygotowywać się do powrotu i Bion wręczył mu sakiewkę nabitą monetami. Młodzieniec wpatrzył się w nią, ważąc ją w dłoni, nie dowierzając, co trzyma. Uniósł wzrok, zapominając na chwilę, że miał się bać.

– Już tu nie wrócisz, panie, prawda? – spytał.

– Jeśli informacje, które mi przekazałeś, są prawdziwe, nie będę miał takiej potrzeby.

Sumi skinął głową.

– Dziękuję – powiedział.

Pewien czas później Bion spakował się i opuścił miejsce, które tyle lat

służyło mu za bazę. Nareszcie miał wszystko, czego potrzebował, by dokończyć swoją misję.

– Chciałbym pojąć Ayę za żonę.

Ojciec opuścił miecz. Choć jeszcze przed chwilą uważny i skoncentrowany uczył mnie, jak przejść od postawy obronnej z lewą nogą wykroczną do kontrataku, teraz w jego oczach pojawiła się troska.

– Rozumiem. – Zmarszczył brwi, a ja przygotowałem się na dyskusję, która jednak nie nastąpiła. – Więc to zrób – odparł po prostu.

Kilka dni wcześniej odłączyliśmy się od karawany wielbłądów i założyliśmy obóz na skraju pustyni. Tego poranka wyszedłem z namiotu, który dzieliłem z Ayą, spojrzałem na namiot ojca, skąd dobiegało delikatne chrapanie, i stanąłem, przyglądając się połaciom piasku, drzewom i miastu mającemu na horyzoncie. Powietrze przesycił słonawy zapach znad morza i czuć było wilgoć poranka przygotowującego się na palący atak słońca. Wszystko wyglądało tak samo jak każdego ranka. Świat, w którym się znajdowałem, trwał niezmienny.

A jeśli chodzi o mnie?

Ja się zmieniłem. Zmieniłem się tak bardzo, że zupełnie nie przypomniałem piętnastolatka, który opuścił Siwę wiele lat temu.

Byłem teraz kimś innym. Znałem swoją drogę życiową. Szkoliłem się, żeby zostać Medżajem.

– Musisz więcej trenować.

Te słowa zawsze słyszałem od ojca, ilekroć ośmieliłem się wspomnieć, że może dotychczasowe lata nauki nadały mi już upragniony status. Ojciec nigdy mi nie powiedział, kiedy będę gotowy. Twierdził, że rozpozna, kiedy

nadejście ten moment, a wówczas mnie pierwszego poinformuje.

Po wyprawie ratunkowej na Elefantynę pożegnaliśmy się z Kensä i Nęką, którzy mieli wrócić do Teb do swojego plemienia. Ojciec, Aya i ja nie mogliśmy zatrzymać się dłużej w jednym miejscu, żeby nie wytropił nas zabójca, „demon”, który – mimo że ranny – wciąż niepokoił ojca.

Pierwszym zadaniem, które sobie wyznaczaliśmy, było porozmawianie z Mistrzem imieniem Hemon i jego podopiecznym, Sabestetem. Mieszkali pod Dżerti, więc podróż zajęła nam kilka miesięcy. Kiedy po dotarciu na miejsce zastaliśmy ich domostwo opuszczone i zaniedbane, ojciec tylko rzucił okiem i wykrzyknął: – Bogowie, oni też?

Udaliśmy się do samego Dżerti i tam niestety potwierdziliśmy swoje obawy – Hemon i Sabestet zostali zamordowani.

Ojciec źle zniósł te wieści. Na pewien czas zamknął się w sobie, jakby oczekiwał, że jego własny umysł doradzi mu, co robić. W tym okresie Aya i ja zajmowaliśmy się sobą i w miarę możliwości zapewnialiśmy mu wsparcie.

Zajęło to nieco czasu, ale w końcu wrócił do siebie i pewnego poranka, gdy wyszliśmy na polowanie, oznajmił mi niespodziewanie: – Jutro zaczynasz się uczyć, jak być Medżajem.

Można to było od biedy uznać za przyznanie się, że wcześniej nie szkolił mnie należycie. Teraz w pierwszym etapie zajął się oduczaniem – czyli wykorzenianiem złych nawyków, które u mnie wypatrzył. Przypomniałem sobie pobyt w Tebach, kiedy Aya i ja wspólnie trenowaliśmy. Jak się teraz okazało, według ojca większość rzeczy robiliśmy źle, choć uznał, że i tak nie jest najgorzej, skoro improwizowaliśmy i uczyliśmy się sami.

Przez cały ten czas podróżowaliśmy. Całe lata ucieczki, jak to określiła Aya. Trenowałem chyba w każdym mieście i wiosce w tym regionie, doskonaląc umiejętności władania mieczem i strzelania z łuku. Powoli atakowanie i obrona stawały się moim fachem.

Ojciec uczył mnie również zasad postępowania i historii Medżajów. W dawnych czasach ci dumni wojownicy, w których szeregi pragnąłem wstąpić, mieli status identyczny z tym, jaki przysługiwał obecnie Gwardii Królewskiej i Łowcom. Byli obrońcami ludu i miast, świątyń i grobowców, posągów i bóstw. Byli strażnikami codziennego życia, ale też i ludzi – utrzymującymi z dala zewnętrzne siły, które nam zagrażały.

Podobnie jak kapłanka Nitokris ojciec zwracał moją uwagę na to, że choć Medżajowie nadal chronili grobowce i świątynie w Siwie, to w minionych dekadach ich moc i wpływy bardzo zmalały. Przestali być dumnymi strażnikami w dosłownym sensie, czyli broniącymi cegieł i ludzi z krwi i kości. Teraz chronili coś ważniejszego – ideologię definiującą sposób życia. Jednak ojciec miał odmienny pogląd niż Nitokris w jednej ważnej kwestii. Uważał, że Egipcjowie inne narody narzuciły własne przekonania. Najpierw dotarła do nas ideologia Aleksandra Wielkiego, a teraz Rzymianie starają się krzewić własne zwyczaje. Przez ten cały czas nasi ziomkowie z radością, ba, wręcz z entuzjazmem, przyjmują te zmiany. Aleksandria, którą Aya tak kocha, została nawet zbudowana zgodnie z życzeniami naszego zwycięzcy.

– Nie prosiliśmy o wprowadzanie nam takiego stylu życia. Został on nam narzucony – mawiał mój ojciec. – Oczekuje się od nas, żebyśmy czcili status, władzę i złoto i wszystko to wypiera nasza dawne zwyczaje, wypiera naszych bogów, Bayeku. Ale Medżajowie znów powstaną i przywrócą zasady, według których żyliśmy w dawnych, mniej zepsutych czasach. Jesteśmy częścią tego, Bayeku. Ty pewnego dnia będziesz przewodził przywracaniu naszego credo. Powstaniemy ponownie, mój synu. Hemon przewidywał nasze odrodzenie. Miał plany, w których ty i ja odgrywaliśmy kluczową rolę. Los Medżajów spoczywa na naszych barkach.

Oczywiście była jeszcze Aya. Niby nic się między nami nie zmieniło, a jednak miałem wrażenie, jakby zmieniło się wszystko. Ona nigdy nie

przepadała za moim ojcem, a on odwzajemniał te uczucia. Znosili się nawzajem głównie ze względu na mnie. On nie ukrywał, że jego zdaniem ona nigdy nie będzie Medżajem – w każdym razie prawdziwym Medżajem – a ona nie przejawiała żadnego zainteresowania tym braterstwem w jego obecności. O wszystko, czego chciała się dowiedzieć, wypytywała mnie w nocy, z tym że na ogół nie zdradzała, co o tym sądzi, tylko mnie słuchała. Mimo wszystko wyczuwałem w niej wątpliwości. Oczywiście widziała, ile dla mnie znaczą nauki ojca, ale nie byłem pewien, czy zasady Medżajów są zbieżne z jej własnymi. W końcu uwielbiała Aleksandrię i z pewnością doskonale sobie przyswoiła tamtejszy sposób myślenia. Zapewne dotyczyło to również popierania postępowych ideologii.

Może powinniśmy byli więcej rozmawiać na ten temat.

Co do jednego Aya i mój ojciec byli zgodni – że powinienem ją uczyć, tak jak ojciec uczył mnie. Pewne nauki przyswajamy sobie w akcie nauczania, stwierdziła Aya, a ojciec natychmiast się z nią zgodził. W rezultacie rankami trenowałem z ojcem, a popołudniami z Aya, zmieniając się z ucznia w nauczyciela.

Był to szczęśliwy okres. Przynajmniej dla mnie, a myślę, że dla niej też, bo najbardziej przypominał nasze dzieciństwo w Siwie oraz miesiące spędzone w Tebach, kiedy to najbardziej byliśmy. ., razem. Szkolenie się i po wykonaniu zadań cieszenie się sobą nawzajem. W jej ramionach znajdowałem pociechę, z jej ust spijałem rozkosz. Był to upojny czas pełen miłości i wspólnego odkrywania w sobie wojowników.

Niestety, jak wszystko, i to musiało się skończyć – i pod wieloma względami, a może nawet wszystkimi – z mojej winy. Początkowo, a właściwie przez wiele lat, byłem przekonany, że Aya jest zadowolona z naszego wspólnego życia. Stale się przemieszczaliśmy, lecz to była przygoda, która jej odpowiadała, bo uwielbiała się uczyć.

Ja również, i kiedy moje nauki trwały już jakiś czas, wydarzyło się coś, czemu w zasadzie nie mogłem zapobiec. Zaczęło coraz bardziej ciągnąć mnie do ojca. Wreszcie miałem okazję zobaczyć prawdziwego człowieka kryjącego się za jego maską i sprawiało mi to ogromną radość. Cieszyłem się, że w końcu rodzi się między nami rodzinna więź. Ale dostrzegłem też, jaki to ma wpływ na moje stosunki z Ayą i dlatego podjąłem decyzję, która, jak miałem nadzieję, przywróci równowagę. Postanowiłem, że powinniśmy zostać mężem i żoną.

Zgoda ojca bardzo mnie zaskoczyła.

Najtrudniejsze miałem zatem za sobą, bo byłem pewien, że Aya przyjmie moje oświadczenia.

– Nie – odparła.

Stała naprzeciw mnie, z opuszczonym mieczem, w pozycji przypominającej tę, którą przyjął ojciec dzisiejszego poranka.

– Co? Dlaczego? Porozmawiałem o tym z ojcem i on się cieszy. – Zauważyłem, że twarz jej się chmurzy i natychmiast spróbowałem się poprawić. – Chodzi mi o to, no, wiesz, że to mogłoby być dla nas trudne. Ale on jest zadowolony, jest dumny. Chce, żebyśmy byli razem. – Potrząsała głową, ale ja brnąłem dalej: – A kiedy zakończy się moje szkolenie, wrócimy do Siwy, żebym mógł podjąć obowiązki *mekety*, oprócz tego, że będę Medżajem.

– Nie – odparła stanowczo. – Przykro mi, Bayeku, ale nie przyjmuję tej propozycji.

Zamrugalem oczami.

– Możemy mieć dom. Rodzinę. Poproszę o zgodę twoją ciotkę. – Skrzywiła się, w jej oczach pojawiło się przygnębienie, ale dopiero później miałem zdać sobie sprawę ze znaczenia tych sygnałów. Na razie ciągnąłem:.. – Mój ojciec w końcu ustąpi ze stanowiska i wtedy do mnie będzie należała obrona Siwy. Będę jej strażnikiem, Ayu, i będę robić wszystko, żeby przetrwały zasady Medżajów... Ale najważniejsze, że ty i ja będziemy razem. Czy nie pragniesz tego? Czy nie chcesz spędzić ze mną reszty życia?

Podniosła głowę, cofnęła ramiona i z całej siły wbiła miecz w ziemię, tak że przez chwilę jeszcze się kołysał. Z płonącymi oczami odpowiedziała:

– Bayeku, nie wiem, od czego zacząć. Naprawdę nie wiem. Żona obrońcy

Siwy. Żona Medżaja. Czy choć przez chwilę się zastanowiłeś, czy ja szczerze wierzę w sposób życia Medżajów?

– Cóż... A nie?

– Może tak, może nie. Nie o to pytam. Pytam cię, czy głębiej zastanowiłeś się nad tym.

– Cóż, nie, ale...

– Oczywiście, że nie. Oczywiście, że nie, bo on napchał ci głowę wszystkimi tymi... – Machała rękami wokół głowy, jakby próbowała odpędzić chmarę much. – ... ideałami, a ty nie masz ochoty ich kwestionować. – Westchnęła głośno. – Bayeku, on cię ogranicza!

Słyszając to, poczułem gniew. Przez te wszystkie lata zostawiała mi przestrzeń, żebym mógł pracować nad swoimi relacjami z ojcem. Ale jakaś częśćka mnie przez cały ten czas miała wątpliwości. Jednak nie chciałem wtedy tego zauważyć. I teraz też nie byłem gotowy. Stłumiłem je i dalej starałem się ją przekonać.

Wyciągnąłem do niej rękę, jakbym chciał przerzucić pomost nad dzielącą nas przepaścią, która poszerzała się z każdą sekundą.

– Mam ciebie – tłumaczyłem. – Mam ciebie, żebyś mi pomagała kwestionować różne sprawy. Żebym się uczył wszystkiego, co możliwe. Ty nie pozwolisz mi spocząć na laurach. On też o tym wie.

Potrząsała głową, gdy mówiłem.

– Czy zastanowiłeś się kiedyś, czego ja mogę pragnąć? – Po czułem się niepewnie. Pytanie było uczciwe. Ale dalej wrzała we mnie złość. Na wcześniejszym etapie treningu próbowałem z nią o tym rozmawiać, ale wtedy nie chciała, tłumacząc, że szanuje moje starania o zbudowanie więzi z ojcem. – I coś jeszcze. Po wiedziałeś, że chętnie spytasz moją ciotkę. A co z moimi matką i ojcem w Aleksandrii?

– Przecież od lat z nimi nie rozmawiasz, od czasu, gdy byłaś małą

dziewczynką – broniłem się, ale w duchu myślałem, że ma rację.

Gdyby nawet przeszło mi przez myśl, żeby pojechać do Aleksandrii i udowodnić jej ojcu, że nadaję się na jej męża, jak to było w zwyczaju, to z pewnością odrzuciłbym ten pomysł. O, miałem czym go przekonać: byłem potomkiem Medżajów mającym stać się obrońcą Siwy, który będzie mieszkać w okazałym domu i należeć do najbardziej poważanych mieszkańców miasta. Miałem wiele do zaoferowania swojej wybrance i pod tym względem nie żywiłem obaw. A jednak myśl o tym, że miałbym pojechać do Aleksandrii i to zrobić, przerażała mnie bardziej niż perspektywa walki z jakimkolwiek człowiekiem. A w dużej części był to skutek nieustannego wbijania mi przez ojca do głowy – co uświadomiłem sobie podczas tej rozmowy – jak ważna powinna być dla mnie Siwa. Że najważniejsze powinno być dla mnie chronienie mego rodzinnego miasta i ludu Egiptu.

I ona to wiedziała. Potrafiła odczytać moje myśli, więc sama sobie odpowiedziała.

– Nie, miałeś nadzieję, że nie trzeba będzie w to mieszać moich rodziców, aleksandryjczyków, prawda? Przecież oni reprezentują wszystko, co tak niepokoi twojego ojca. Jego syn w wielkim świecie. Potencjalny cel dla każdego bez wyjątku ze względu na jego sekretne dziedzictwo.

– Sama jesteś siwanką.

Był to nieudolny argument i dobrze o tym wiedziałem.

– Z urodzenia jestem aleksandryjką. To wspaniałe miasto było moim domem i mam nadzieję, że pewnego dnia znów będzie. Zapomniałeś o tym, Bayeku, synu Sabu? Zapomniałeś o moim marzeniu, by pewnego dnia zacząć studiować w wielkiej bibliotece w Aleksandrii? Czy też założyłeś, że po prostu z tego zrezygnuję, żeby stać u twego boku i zostawać sama w domu jak twoja matka Ahmose?

Zacząłem gubić się w tym wszystkim i nie miałem pojęcia, co odpowiedzieć. Zdawałem sobie tylko sprawę, że sytuacja błyskawicznie wymyka mi się z rąk. Wyobrażając sobie wcześniej przebieg tej sceny, nie przewidziałem, że wypadki zaczną gnać w złym kierunku jak przerażone zwierzę.

A na dodatek miała rację. Nieraz martwiłem się o matkę zostawioną samą w domu. Wiele razy prawie spytałem o nią ojca, ale rezygnowałem, zanim jej imię pojawiło się na moich ustach, obawiając się, że jeszcze bardziej pogłębi to rozdźwięk między nami.

– Czy rozważając swoją drogę życiową, kiedykolwiek się zastanowiłeś, że ja też mogę mieć plany co do swojej? – ciągnęła.

– Oczywiście – odparłem, gardząc sobą za desperację, którą usłyszałem w swoim głosie, i wiedząc, jak to musi brzmieć w jej uszach.

Ale mimo wszystko nie mogłem pozwolić, żeby tak to się potoczyło. Musiałem ją przekonać.

– Wcale nie – mówiła właśnie. – Po prostu dostrzegłeś sposobność sprawienia przyjemności swojemu ojcu.

– Sprawienia przyjemności ojcu? W jaki sposób? On pochwała nasz związek, jeśli o to ci chodzi.

Chwyliła miecz, wyciągnęła go z ziemi i wbiła ponownie z jeszcze większym impetem. Ale to nie rozładowało jej wściekłości, bo kiedy się odezwała, wprost pluła jadem.

– Twój ojciec nigdy mnie nie lubił.

– Ale właśnie powiedziałaś...

– Na bogów, Bayeku, naprawdę nie rozumiesz? Co cały czas mi powtarzasz? Co twój ojciec stale ci mówi? Opowiada o utrzymaniu linii rodu, prawda? Jakie to ważne, żeby trwał. Dlatego zgodził się na ten związek. To nie ma nic wspólnego z jego zdaniem o mnie. Nic go nie obchodzi, że się

szkolę. Ważne to dla niego tylko w takim stopniu, żebym umiała obronić siebie i twoich potomków. Doskonale wie, że jestem najlepszą szansą dla kontynuacji rodu. W tej chwili wy dwaj jesteście jedynymi ocalałymi prawdziwymi Medżajami, być może w całym Egipcie. Chce sobie wychować kolejnego i wykorzysta każdego, kto będzie odpowiedni do tego celu.

Poczułem, że wzbiera we mnie gniew. Nie z powodu jej słów, bo wiedziałem, że ma rację. Ale miałem nadzieję, że to nie będzie miało znaczenia, bo się kochamy.

Najwyraźniej jednak dla Ayi miało – i to ogromne.

Uniosłem ręce w górę. Usiłowałem znaleźć odpowiednie słowa – nie żeby ją uspokoić, lecz by wyrazić, co oboje czujemy. Ale udało mi się wpaść tylko na pytanie: – Dlaczego nigdy mi nie powiedziałaś o swoich uczuciach? Zaskoczyłem ją i choć była przygotowana, by gniewnie odpowiedzieć, zawahała się, wyraźnie nie wiedząc co.

– Ja... byłam głupia. – Skłoniła głowę, zaczerpnęła głęboko powietrza i obdarzyła mnie bolesnym uśmiechem. – Chciałam ci dać możliwość ponownego poznania się z ojcem, dlatego się usunęłam. Ale przy tym wszystkim przestałam z tobą rozmawiać. – To wyjaśniało, dlaczego nigdy nie odpowiedziała na moje pytanie dotyczące jej zdania na temat przekazywanej mi przez ojca ideologii Medżajów. – To nie twoja wina – ciągnęła. – Próbowałeś się dowiedzieć. Ja po prostu... Nie chciałam wchodzić pomiędzy was. Powinnam była ci powiedzieć – stwierdziła z godnością, ale i smutkiem.

– Nie dałem ci ku temu zbyt wielu okazji – wymruczałem i otworzyłem ramiona.

Chętnie się w nie wtuliła i oboje zamilkliśmy, myśląc o tym, jak pod wieloma względami się zbliżyliśmy, ale pod innymi oddaliliśmy. Mieliśmy mnóstwo do obgadania.

– Porozmawiamy o moich oświadczeniach kiedy indziej –

zapropnowałem. – Teraz postarajmy się tylko naprawić sytuację między nami. – Mimo że była ciasno przytulona, wiedziałem, że się uśmiecha, i poczułem się spokojniejszy. – Będziemy kontynuować szkolenie. Nie będziemy się spieszyć.

Potrząsnęła przecząco głową i wyzwoliła się delikatnie z moich objęć. Potem odsunęła się, zbierając siły do tego, co chciała mi oznajmić.

– Nie możemy. Muszę ci coś powiedzieć.

– Co znowu? – Byłem zaskoczony, ale złość mnie już opuściła.

Czułem się zdezorientowany, lecz chętny, by rozmawiać, by otwarcie dyskutować, czego zaprzestaliśmy w ostatnich latach.

– Nie będzie dalszego szkolenia. Postanowiłam wrócić do domu.

Wiedziałem, co ma na myśli, rzecz jasna, ale naprawdę bałem się przyznać na głos, ponieważ w ten sposób stałoby się to faktem, a tego nie chciałem.

– Wracasz do obozu? – spytałem więc.

Delikatnie pokręciła głową.

– Nie, Bayeku. Do Siwy.

– Wszyscy wrócimy już niedługo, kiedy...

Westchnęła. Kiedy odezwała się ponownie, w jej głosie znów pobrzmiwała irytacja:

– Masz na myśli, kiedy ojciec skończy cię kształcić, kiedy nabierze pewności, że w pełni cię zindoktrynował, kiedy zaczniesz się wyrażać takimi samymi zagadkami co on. Kiedy nareszcie przestanie się o ciebie bać. Tego właśnie chcesz, prawda? Wrócimy do Siwy, kiedy twój ojciec uzna, że to odpowiedni czas. Kiedy nam pozwoli.

– Nie zapominaj, że ktoś na nas poluje.

Nie miałem pojęcia, skąd u niej ta pilna potrzeba powrotu, ale kiedy się uważnie przyjrzałem, zwróciłem uwagę, że wyraża ją cały język jej ciała.

Wbiła wzrok w przestrzeń, po czym z rękami wciąż skrzyżowanymi na piersi i z uniesionym podbródkiem odparła: – Nie zapomnę. Nie dano mi okazji, żeby zapomnieć. A tym czasem po naszym prześladowcy nie ma ani śladu. Od lat. Od lat, Bayeku.

– To jak mrugnięcie okiem.

Uderzyła się dłonią w pierś.

– Nie dla mnie. Dla mnie to był bardzo długi czas, bo w odróżnieniu od

niektórych nie podążam za swoim przeznaczeniem, pamiętasz?

– I dlatego chcesz wrócić do domu?

Jej postawa zupełnie zbiła mnie z tropu, ale przynajmniej rozmawialiśmy. Poczułem, że Aya też się rozluźnia, że wyczuwa wartość tej próby porozumienia się, nawet jeśli temat, którego dotyczyła, był... trudny.

– Nie.

– To... – przerwałem, bo właściwie nie wiedziałem, co powiedzieć. – W takim razie dlaczego? Dlaczego chcesz wrócić do domu?

Czy jej oczy już wcześniej były wilgotne i tego nie widziałem? W każdym razie dostrzegłem to teraz i ten widok sprawił, że zakręciło mi się w głowie. Aya naprawdę rzadko płakała i poczułem się dziwnie niekomfortowo, jakby na świecie było jeszcze więcej przykrości, niż sądziłem.

I, rzecz jasna, intuicja dobrze mi podpowiedziała.

– Moja ciocia Herit jest chora – wyjaśniła Aya.

Czyli o to chodziło. To było powodem. Potrzebowałem jednak kilku chwil, by to przetworzyć, by dotarły do mnie jej słowa, i dopiero wtedy zalała mnie fala współczucia. Wiedziałem przecież lepiej niż ktokolwiek inny, jak bardzo Aya kocha swoją ciocię. Herit wychowywała ją od najmłodszych lat. Przejęła ją, kiedy była malutka. Aya wielbiła swoich uczonych rodziców, ale jedynym opiekunem, z którym miała naprawdę bliski kontakt, była właśnie ciocia. Stosunki między nimi zawsze były pełnym przeciwieństwem mojej relacji z ojcem, którą, cóż... myślę, że należałoby nazwać „skomplikowaną”. Herit hołubiła śliczną wychowanicę, która przyjechała do niej z Aleksandrii. Aya zaś raz za razem dawała jej powody do dumy. Wystarczyło zerknąć na twarz Herit, kiedy odwracała się ku Ayi, by zrozumieć, w czym rzecz, dostrzec to oddanie przemieszane z fascynacją. Uczucie, które znałem i ja.

Aya ze swojej strony kochała ciocię i zupełnie inaczej niż swoim rówieśnikom z Siwy, którym nierzadko dawała odczuć, że uważa się za mądrzejszą od nich, okazywała Herit nabożny szacunek. W życiu nie powiedziała na nią złego słowa. Nawet jeśli irytowało ją czy wręcz żenowało, że ciocia nie zajmuje się niczym poza domem i plotkami, nigdy nie dała tego po sobie poznać. Jeśli ciocia zachorowała, Aya musiała być zdruzgotana. Nic dziwnego, że chciała wracać do domu.

Pytanie, czy mogła. Czy istniała taka możliwość, skoro czuliśmy na plecach oddech zabójcy?

Czy mój ojciec w ogóle by się zgodził? A poza tym...

Kiedy nareszcie to do mnie dotarło, było jak cios pięścią w klatkę piersiową.

– Chwila, skąd wiesz? Skąd wiesz, że jest chora? O nie, chyba nie...

Buńczucznie pokiwała głową.

– Musiałam. Musiałam się dowiedzieć, co u niej. Chciałam po prostu przekazać wiadomość, że mamy się dobrze, i usłyszeć to samo w odpowiedzi. W życiu nie spodziewałabym się usłyszeć, że jest chora. To była najgorsza możliwa informacja.

Kręciło mi się w głowie. Zawisło nade mną widmo ojca i choć nienawidziłem się za tę myśl, zaniepokoiłem się, co powie. Jak zareaguje. Jak wściekły będzie, jeśli odkryje, że Aya ryzykowała bezpieczeństwo naszej kryjówki, wysyłając wiadomości. Wolałem sobie tego nie wyobrazić. W gruncie rzeczy jednak sam też miałem powód do złości, prawda? Niezależnie od ojca jeden z moich zarzutów był bardzo zasadny i aktualny.

– To było niebezpieczne! – wybuchłem. – Jak mogłaś zrobić coś tak...? – złapałem się za język, zanim rozkrzyczałem się na dobre, i opanowałem oddech. Chciałem to rozwiązać jak osoba dorosła.

Aya odstąpiła o krok i zobaczyłem odmalowujące się na jej twarzy

skonfliktowane emocje – bunt, determinację, troskę o mnie. Ostatecznie zwyciężył bunt.

– Wracam do domu. – Mówiła spokojnie, choć w cieniu jej głosu kryła się złość. Czułem się zdradzony i zagubiony, przerażony na myśl, że zabójca nas znajdzie i być może zabije ojca, mnie albo ją.

– Jak mogłaś? Przecież wiesz, jak niebezpieczny jest człowiek, który na nas poluje!

– Chcesz, żeby ojciec cię usłyszał? – odparowała.

Najwyraźniej nie kontrolowałem natężenia głosu tak dobrze, jak mi się wydawało.

– I tak się dowie – warknąłem urażony.

– Dlaczego? Bo mu powiesz? – syknęła w odpowiedzi. Zdałem sobie sprawę, że myśl o reakcji ojca napawała mnie trwogą i konsternacją. Rozzłościłem się na samego siebie, ale nawet bardziej na Ayę, za ten strach, bo sprawił, że zacząłem się zastanawiać, czy Aya nie ma racji. Te wątpliwości co do intencji ojca mogły zniweczyć całą ciężką pracę, którą włożyłem, żeby zbliżyć się do niego. W innym świecie, w innych okolicznościach, w jakiejś lepszej przyszłości być może pośmialibyśmy się, Aya przeprosiłaby i przyznała, że za bardzo naciskała, nie dość dobrze wyjaśniła, o co jej chodzi. Na to ja odpowiedziałbym, że sam przesadziłem, bałem się, byłem zaślepiony, że należało mi się. I wszystko dobrze by się skończyło.

Ale nie teraz. Teraz moją głowę przepęniało dezorientujące wrażenie, że nagle wszystko koszmarnie wyrwało mi się spod kontroli. Że marzenia, które pielęgnowałem, przelatują mi przez palce.

– Będę musiał mu powiedzieć.

– Dlaczego?

– Chociażby dlatego, że będzie chciał wiedzieć, dlaczego musimy się

przenieść.

Aya zrobiła nerwową minę.

– Pomyślałeś, że może nikt na nas nie poluje? – Wykonała ręką gest obejmujący wzgórze, na którym staliśmy, nasze obozowisko, pustynię otaczającą nas ze wszystkich stron i leżące nieopodal miasteczko. – Widzisz, żeby zbliżał się jakiś zabójca?

– I co z tego? To tylko znaczy, że na razie tu nie dotarł.

– Nikt tu nie dotrze, Bayeku. To z tego. O to mi chodzi. W każdym razie jeśli chcesz, powiedz Sabu. I tak zniknę stąd, zanim będzie miał okazję znów krzywić się na mnie. A poza tym wiedz, że wysłałam tę wiadomość miesiąc temu. Teraz dostałam odpowiedź. Wyjeżdżam jutro rano.

Aya kochała swoją ciocię. Tak bardzo. Co bym zrobił, gdyby chodziło o moją matkę? Wziąłem głęboki oddech, odepchnąłem na bok wszystkie myśli i skinąłem głową potakująco. Dotarło do mnie, że niezależnie od konsekwencji, Aya nie mogła podjąć innej decyzji.

– Dobrze.

Zawiesiła na mnie wzrok i widać było, że łagodnieje.

– Wyjeżdżam z samego rana. To nie znaczy nic poza tym, że jakiś czas mnie nie będzie. Nie znikam na zawsze.

Odpowiedziałem uśmiechem, spokojniejszy, ale niewyobrażalnie zmęczony.

– Powiem ojcu rano. Kiedy już cię nie będzie – oznajmiłem.

– Doskonale.

Następnego dnia po przebudzeniu wygrzebałem się z namiotu i natychmiast skierowałem wzrok w stronę, gdzie pasły się nasze wierzchowce. Jej koń zniknął. Aya wyjechała. Po drugiej stronie obozowiska trzepotała lekko powłoka pustego namiotu ojca. Przeczesalem wzrokiem wzgórze, na którym codziennie trenowaliśmy, i dostrzegłem go. Ćwiczył wypady i obroty, plecami do mnie. Wiatr wydymał jego koszulę. Ubrałem się i dołączyłem do niego.

– Gdzie jest Aya? – spytał.

Rzadko nazywał nas po imieniu, w każdym razie podczas treningów. Uważał to za wyraz słabości. Tego ranka jego zachowanie podziałało mi na nerwy bardziej niż zwykle.

– Jest na polowaniu? – drążył.

– Nie, wyjechała.

Poderwał głowę.

– Wyjechała?

– Do domu – wyjaśniłem. – Pojechała do domu. Do Siwy.

– Dlaczego nikt mi nie powiedział?

Tak jak poprzedniego wieczora bardzo chciałem zająć jego stronę, przez noc moje wątpliwości przerodziły się w spokojną refleksję. Świt nappełnił moje serce krytycznym nastawieniem wobec ojca i o wiele silniejszą niż kiedykolwiek, zaskakująca wręcz potrzebą buntu. Nie poznawałem siebie.

– A jak sądzisz? Zabroniłbyś jej.

– Owszem.

– To masz odpowiedź.

Koncentracja, którą widziałem, kiedy ćwiczył sam, wyparowała, zastąpiona przez wybuch złości. Ojciec postąpił do przodu, wyprowadzając cięcie, które sparowałem. Klingi zderzyły się z brzękiem, który przeszył leniwy poranek niczym odgłos dzwona obwieszczającego świt. Szybkim ruchem nadgarstka wyprowadził kolejny atak od dołu, bardzo szybki – za szybki dla mnie – przed którym ledwo zdążyłem się zasłonić. Odrobinę wytrącił mnie tym z równowagi, na tyle, bym ustawił się w łatwy do przewidzenia sposób, do którego się dopasowałem, i uderzył ponownie, tym razem płaską częścią głowni, w moją skroń. Drobną szczerbiną na końcu miecza rozcięła mi skórę i poczułem, jak po policzku do kącika ust ścieka mi maleńka strużka krwi. Ojciec dostawił lewą nogę i stanął z szeroko rozstawionymi stopami, trzymając dłonie na rękojeści miecza, którego czubek oparł o ziemię.

Przetarłem draśnięcie rękawem, ale zachowałem niewzruszoną minę.

– Jesteś wściekły – stwierdziłem bez sensu.

Ojciec odwrócił wzrok i wypchnął podbródek do przodu. Po raz pierwszy w całym życiu poczułem, że żywię do niego urazę z powodu, który nie miał nic wspólnego ze mną. Zaatakował mnie ze złości, łamiąc najważniejszą zasadę, którą wpajał mi od lat.

– Nie zdenerwowałeś mnie – oznajmił po chwili milczenia – tylko mnie zawiodłeś. Możliwe, że przez ciebie wróg dowie się, że tu jesteśmy.

– Naprawdę? Naprawdę sądzisz, że wciąż ktoś na nas poluje? Ten Zakon, o którym ciągle mówisz? Dlaczego nie wysłali przeciwko nam całej armii, skoro tak bardzo im zależy na naszej śmierci? Czy nie mogło być tak, że chodziło im o Hemonę? – Słowa, które popłynęły z moich ust, były echem wypowiedzi Ayi. Słyszając to, poczułem, jak uchodzi ze mnie złość na nią, zastępowana przez coraz bardziej rzeczywistą wściekłość na ojca.

Ojciec piorunował mnie wzrokiem, ale zignorowałem jego rozdęte nozdrza i pełne ognia spojrzenie. Zamiast tego kontynuowałem. Nie zapalczywie, jak zwykle, lecz spokojnie, metodycznie. Wyglądało na to, że jednak czegoś nauczyłem się od Ayi.

– Przyszło ci do głowy, że może po śmierci Hemonia Zakon przestał widzieć w nas zagrożenie? Albo że mężczyzna, który zaatakował nas pod świątynią Chnuma, okłamał pracodawców, żeby odebrać nagrodę? Skąd mamy wiedzieć, czy sumiennie traktował swoje obowiązki? Nie wzięliśmy pod uwagę tysiąca i jednej rzeczy, ojcze. Nie ma możliwości, żeby on wciąż deptał nam po piętach.

– Był dobry – stwierdził ojciec, niemal sam do siebie. Wziął głęboki oddech, potem następny. Usiłował stłamsić złość. Słuchał, co do niego mówię, nareszcie, po raz pierwszy. – Posiadał nadzwyczajne umiejętności. – Przez twarz ojca przetoczyła się szczególna mina, jakby cień. Wtedy nie potrafiłem jej odszyfrować. Dopiero później zrozumiałem, co wyrażała.

– A jednak więcej go nie widzieliśmy – naciskałem.

– Jest cierpliwy.

A my nie? Trzymamy się z dala od Siwy, spędziliśmy całe lata, trenując na wygnaniu.

– Ojcze, czas na nas. Powinniśmy wrócić do Siwy. – Zaparłem się. Miałem cel. Wiedziałem, że robię dobrze.

Ojciec stał nieruchomo, pogrążony w myślach.

– Potrzeba ci więcej szkolenia.

Powtarzał to bezmyślnie, z nawyku. Umiałem już naprawdę wiele, a przynajmniej tak mi się wydawało. Jedynym powodem, dla którego przestało mnie to denerwować, było pewne przekonanie, którego nabrałem, przebywając z Kensą i Ayą, czyli że choćbym nie wiadomo, jak wiele umiał, zawsze znajdzie się coś nowego. Że będę się szkolił całe życie.

– Możemy się tym zająć na miejscu, w Siwie – odparłem, całkowicie przekonany o swojej racji. – Kiedy znajdę się z powrotem u boku Ayi.

– Nie, to nie przystoi, by ludzie, którzy powierzają ci swoje bezpieczeństwo, widzieli, że nie jesteś w pełni przeszkolony.

– To możemy kontynuować nauki z dala od cudzych oczu – wzruszyłem ramionami. I tak nikt nie miał pojęcia, że jestem Medżajem. Nawet o prawdziwej tożsamości ojca miała pojęcie ledwie garstka ludzi. Mogliśmy spokojnie powiedzieć, że po prostu wciąż uczę się, jak być *mekety*. – Siwa została bez obrony – przyznałem się do czegoś, co zaprzętało mi myśli od wielu lat. – Matka martwi się o nas i o wiele za długo już mieszka sama.

– Dobrze o tym wiem – zachnął się, ale było słyhać, że traci wolę walki. – Mimo to nie powinieneś wracać do Siwy, póki nie zostaniesz pełnoprawnym Medżajem. – Już nie tyle protestowałem, co przeciwstawiał się z nawyku i uporą. Nagle dostrzegłem w nim, o wiele czytelniej niż kiedykolwiek, to, o czym mówiła Kensa. Miała rację. Kochał mnie. Całym sercem, choć sposób, w jaki o tym mówił i mi to okazywał, był okropny. Zacząłem podejrzewać, że choć przez cały ten czas ani słowem nie odezwał się na temat matki, niczego nie pragnął bardziej, niż znów ją zobaczyć.

I tak bardzo się bałem tego, co mogło mi się stać, kiedy podejmę obowiązki Medżaja. Aya na swój sposób miała rację. Ojciec mnie ograniczał, w ten sposób ograniczając nas wszystkich.

– To zrób to, ojczu. Mianuj mnie Medżajem.

Spojrzał mi prosto w oczy. Szczerze, pozwalając mi dostrzec więcej niż kiedykolwiek wcześniej. Z jego spojrzenia wycierały wiek i zmęczenie, ale i, zdałem sobie sprawę, duma.

– Już niedługo, synu. Tak niewiele ci brakuje. Rozumiem, ile ona dla ciebie znaczy. Byłem uparty i nie dostrzegłem, co tobą... – Przerwał i pokręcił głową ze smutkiem. – Trenujmy. Pozwól mi pomyśleć, a później

zastanowimy się nad powrotem.

Tamtego poranka, trenując w promieniach słońca, zastanawiałem się, czy wysilam się, żeby zostać Medżajem, czy żeby szybciej zobaczyć Ayę. Czyżby mogło mi tak samo zależeć na obu tych rzeczach? Czyżby były to cele bardziej zbieżne, niż wydawało się ojcu? Nie byłem jeszcze pewien, ale coś mi podpowiadało, że być może kiedyś znajdę złoty środek.

Trenowałem z większym zapalem niż kiedykolwiek.

Aya chlubiła się swoją spostrzegawczością, ale miała też wiele na głowie. Dlatego nie zwróciła większej uwagi na grupkę mężczyzn, których zastała u wodopoju.

Zauważyła ich, owszem, powinna była jednak natychmiast dostrzec, że mogą być niebezpieczni. Widziała ich sylwetki, ale nie to, kim są. Nie zwróciła uwagi na blizny i posępne miny. Przegapiła momenty, w których zerkali ukradkiem w stronę jej konia, nie zarejestrowała prowadzonych szeptem rozmów, oblizywania ust i wyrachowanych spojrzeń...

Bo naprawdę miała wiele na głowie. Czuła się dziwnie nieswojo, martwiła się, czy się nie odwodniła. Rozpraszało ją też wzdychanie. Nieustannie odtwarzała w głowie rozmowę z Bayekiem; wszystko, czego teraz żałowała. Tyle rzeczy, które powinna była mu powiedzieć w ostatnich latach, póki trenowali, zamiast dusić je w sobie.

Dziwne, przyszło jej do głowy, że choć zbliżyli się z Bayekiem jeszcze bardziej, niemal zapomniała, jak z nim po ludzku rozmawiać. Odnosiła też wrażenie, że gdyby Bayek był tu z nią, pewnie powiedziałby: „Dlaczego tyle wzdychasz? Jakoś to rozwiążemy, jak zawsze. Będzie dobrze”. A potem wywołałby w niej poczucie, że nie ma najmniejszego powodu, by zachowywać się w ten sposób. Zwróciłby jej uwagę na coś uroczonego: najnowszy plan, który dojrzewał w ich głowach, technikę walki, której uczyli się rano, czy nawet jakiś banał, na przykład na ptaka krążącego na niebie – Bayek potrafił sprawić, że nawet najprostsze rzeczy wydawały się cudowne. Jak mogła wzdychać, kiedy otaczający świat krył tyle skarbów? Kiedy byli

razem?

Rzecz w tym, że w tej chwili nie miała Bayeka u boku, nie jechał przy niej na koniu, podążając za rytmem pustyni. Nie stał naprzeciw niej z uniesionym mieczem, nalegając, żeby nie przestawała ćwiczyć. Nie siedział po drugiej stronie ogniska, jedząc to, co udało im się złapać danego dnia, i uśmiechając się od ucha do ucha między kęsami. A ponieważ go nie było, nie mógł sprawić, by przestała zamartwiać się ciocią, nie mógł dać jej nadziei, której tak bardzo potrzebowała, że kiedy dotrze do Siwy, zastanie ciocię żywą, a może nawet zupełnie zdrową.

Mówiąc krótko, brakowało jej Bayeka pod każdym względem. Dlatego wzdychała.

Inna sprawa, że może dzięki wzdychaniu nie wpadła na to, by wrócić albo zrobić coś równie niemądrego. Tęsknota za Bayekiem i zmartwienie stanem cioci sprawiały, że jej uwagę przyciągała każda scena przywodząca na myśl więź między dwiema istotami. Niewinna twarz dziecka niezdarnie płynącego w stronę matki. Hipopotamica z młodym. Całująca się para, stary mężczyzna o serdecznej, pomarszczonej twarzy, jadący na wielbłądzie, śmiejący się z dowcipu, który opowiedział mu młodzieniec powożący zaprzęgiem wołów.

Oddała się więc jedynemu, co jej pozostało. Kontynuowała podróż, podążając drogą biegnącą równolegle do brzegu Nilu. Mijała chłopów uprawiających pola, robotników, którzy czasami przerywali pracę, żeby się jej przyjrzeć, ciekawi, dokąd może zmierzać ta kobieta w zakurczonym ubraniu, o włosach splecionych w warkocze i zasmuconej twarzy.

Dotarła w ten sposób do wodopoju, gdzie zatrzymała się, spragniona i wdzięczna za możliwość odpoczynku.

W trakcie podróży nabrała zwyczaju rozmawiać ze swoim koniem – uroczym białym wałachem o cudownym charakterze, którego traktowała jak

przyjaciela. Nie miała wątpliwości, że tu, na pustyni, był najlepszym możliwym kompanem. Zaczęła go szkolić jeszcze przed wyjazdem, co teraz zwracało się z nawiązką, bo koń podbiegał na zawołanie i nie oddalał się samowolnie. Był piękny i mądry.

Aya podprowadziła go do krawędzi wodopoju umocnionego murkiem z piaskowca. Wodę otaczały rośliny, wszystkie pochylone do środka, jakby oddawały hołd drogocennej cieczy.

Po raz któryś z kolei, od kiedy tu dotarła, Aya wróciła pamięcią od oazy w Siwie, do bryzy, która wiała znad wody i dawała wytchnienie od przytłaczającego upału pustyni. Samo przebywanie w tym miejscu przypominało jej o domu i celu. O cici i Bayeku – na myśl o których znów westchnęła.

Aya usiadła na murku i zanurzyła ręce prawie do dna, gdzie woda była najzimniejsza. Nabierała ją w dłonie i polewała sobie twarz, szyję i ramiona.

Mężczyźni stojący na lewo od niej wciąż rzucali ukradkiem chciwe spojrzenia na jej konia i dużo bardziej pogardliwe w stronę jej samej. Wszystko to umknęło uwadze Ayi, która była zmęczona po podróży i potrafiła myśleć tylko o wodzie.

W oddali pojawił się jeździec. Niewiele więcej niż czarna plamka na horyzoncie.

Napełniając bukłak, Aya nie zauważyła, że mężczyźni przemieścili się bliżej.

Nie zwróciła też uwagi, że miejsce odgłosów ściszonej rozmowy zajęły konspiracyjne szepty. Była zbyt zajęta zaspokajaniem pragnienia i uwalnianiem się od upału. Pozwoliła wałachowi odejść od wodopoju i schować się w cieniu pod rosnącym nieopodal cisem.

Zdjęła z bioder czerwoną chustę, namoczyła ją w zimnej wodzie i najpierw przetarła, a potem nakryła twarz. Mokry materiał wpasował się w

kontury jej twarzy. Kiedy uznała, że ma dość, zdjęła chustkę i upuściła ją, wciąż moką, na murek. W tej samej chwili padł na nią cień.

– Cześć, dziewczynko – usłyszała zza pleców.

Aya skojarzyła głos z jednym z mężczyzn z grupy, którą widziała wcześniej, i instynktownie wyczuła, że zmienił się jego ton.

To już nie był spokojny głos służący mężczyznom do przekomarzanek z kolegami.

Nie był to też uprzejmy, pełen szacunku ton, którego mógłby użyć kupiec, dostrzegłszy okazję do sprzedaży, albo przypadkowo napotkany osobnik spragniony miłosnych uniesień. Podróżując, musiała się regularnie opędzać od natrętów wszystkich tych rodzajów.

To było coś zupełnie innego. Wychwyciła w głosie mężczyzny szorstkość, której dźwięk – nareszcie – sprawił, że się wyprostowała, zwróciła uwagę, co się działo, i z wielkim opóźnieniem zdała sobie sprawę z niebezpieczeństwa.

Tunikę miała ciasno związaną. Pod fałdami materiału czekał krótki miecz, którym od tylu lat uczyła się posługiwać. Nie była pewna, czy mężczyźni mogli go dostrzec, kiedy klęczała przy wodzie. Jakby od niechcienia pomacała miejsce, pod którym się znajdował, by się upewnić, że wciąż jest na miejscu, i poczuła nerwowy skurcz w prawej dłoni. Zastanawiała się, jak najlepiej postąpić. Wyciągnąć miecz już teraz, pokazać, że jest niebezpieczna, i mieć nadzieję, że ich to odstraszy? Nie. Potraktują to jako wyzwanie. Nie miała wyboru. Musiała poczekać na ich ruch i dopiero wtedy sięgnąć po broń.

Coś już wiedziała. Mężczyźni mieli przywódcę – tego, który się do niej odezwał, z nosem wyglądającym, jakby nie został poprawnie nastawiony po złamaniu. Podeszedł bliżej i powtórzył powitanie:

– Cześć, dziewczynko.

Wstała i stanęła naprzeciw niego.

– Słucham? – odparła, nie spoglądając mu w oczy, lecz nad jego ramieniem, w stronę trzech typów, którzy zostali z tyłu i chciwie gapili się na jej wałacha.

Złodzieje koni. A żeby ich otchłań pochłonęła.

Przywódca uniósł dłoń, podetknął jeden palec pod głowę Ayi i obrócił ją tak, żeby na niego spojrzała. Pozwoliła mu na to i ich oczy na chwilę się spotkały. Przyjrzała mu się uważnie przez chwilę, po czym z powrotem przeniosła wzrok gdzie indziej.

– Nie dotykaj mnie więcej – ostrzegła go cicho.

– Cóż, w takim razie załatwimy to prosto – wychrypiał. – Nie awanturuj się. Weźmiemy tego ładnego konia. I może na tym poprzestaniemy.

Jeśli pozwoli im zabrać wałacha, na pewno nie wróci do Siwy dość szybko, by spotkać się z ciocią.

– Nie oddam wam mojego konia.

Przywódca gestykułował już tak, jakby uważał rozmowę za zakończoną.

– Może lepiej zrób, o co prosimy? Nie podskakuj. Zapewnimy twojemu wierzchowcowi należyłą opiekę.

Aya pogładziła podbródek palcem, jakby rozważała tę serdeczną propozycję, ale w rzeczywistości intensywnie myślała. Stała plecami do wodopoju. Wiedziała, że jest głęboki. Uciec nie miała szans, a poza tym...

Zależało jej na czasie.

Chociaż nie, zdała sobie sprawę, przede wszystkim nie chciała uciekać. Przecież odebrała szkolenie. I to nie byle jakie, lecz na podstawie nauk Medżajów. To jej dawało wybór.

Chciała walczyć.

– Ach tak? – skwitowała. – A może postąpicie jak każda banda koniokradów i po prostu sprzedacie biedaka?

Mężczyzna odsłonił brudne zęby.

– To było niegrzeczne. – Jego dłoń drgnęła w stronę broni zawieszanej u boku.

Zachowaj coś w odwodzie, przypomniała sobie. *Nie ujawniaj wszystkiego od razu*. Postanowiła nie tykać miecza, który wciąż czekał schowany pod szatą.

– No to proszę – rzuciła wyzwanie. – Przekonajmy się. Zobaczmy, czy będziecie potrafili odebrać mi konia.

Uśmiechnął się od ucha do ucha. Poczowała jego śmierzący oddech.

– Doskonale. Zobaczmy.

I ruszył do przodu.

Przywódca bandytów wyciągnął rękę w stronę Ayi, która zrobiła krok w tył, ale zamiast się odsunąć, napała na niego. Chwyciła i wykręciła wysuniętą rękę, wydobywając z napastnika satysfakcjonujący ją krzyk bólu, po czym wykonała obrót w miejscu i ciągnąc bandytę za sobą, posłała go twarzą w wodę.

Idealna technika. *Szkoda, że Bayek tego nie widział.* Zagwizdała krótko, przenikliwie. Wałach mimo strachu zareagował tak, jak go szkoliła, i błyskawicznie odsunął się o kilka kroków, kładąc uszy po sobie. Kawalek dalej stanął i odwrócił się gotów do walki, ostrzegawczo kłapiąc zębami na jednego ze złodziei, który próbował podkraść się bliżej. Aya wiedziała, że ktokolwiek będzie chciał zrobić mu krzywdę, skończy marnie. Uśmiechnęła się z satysfakcją.

Złodzieje nie podzielali jej entuzjazmu.

Sekundę później przywódca krzyknął:

– Brać ją! – i pozostała trójka rzuciła się do ataku.

Aya odbiegła kawalek w bok i przeliczyła w myślach swoje szanse. Na jeźdźca, którego dostrzegła w oddali, pewnie nie miała co liczyć. Napastnicy byli za blisko. Nadszedł czas, żeby pokazać im miecz.

Odwróciła się, ale zanim zdążyła sięgnąć do tuniki, jeden z mężczyzn, szybszy niż się spodziewała, znalazł się z nią twarzą w twarz. Miał obnażone brzydkie zęby i wściekle warczał, a z podobieństwa do pierwszego napastnika wywnioskowała, że prawdopodobnie był bratem mężczyzny, którego właśnie wpakowała do wody, i najwyraźniej bardzo mu zależało na

odzyskaniu rodzinnego honoru. O ile pojęcie honoru było znane rodzinom koniokradów.

Wybił się w jej stronę, wyciągając do przodu dłonie z palcami wygiętymi w pazury, ale stała w poprawnej pozycji, z dobrze ułożonym środkiem ciężkości, i bez trudu zanurkowała pod jego rękami. Korzystając z obu pięści, posłała serię ciosów w miękki, uległy brzuch – raz, dwa, raz, dwa – i odwinęła się przez plecy, żeby zejść mu z drogi. Napastnik upadł, z trudem łapiąc oddech. W tej samej chwili do akcji włączył się kolejny, a Aya, wciąż nisko przy ziemi, podparła się dłonią i kontynuując obrotowy ruch, wyprowadziła kopnięcie, którym podcięła mu nogi.

Nic wielkiego – działała zgodnie z instynktem. Jej trening nie polegał na nauce serii ciosów, lecz sposobu myślenia. Czuła się pewnie. Stabilnie i potężnie. Po raz pierwszy w życiu była przekonana, że jej zręczność i umiejętności fizyczne dorównują jej intelektowi. Czuła się silna.

Napastnik przewrócił się na ziemię z wyrazem wielkiego zaskoczenia na twarzy. Nie zdziałała jednak wiele ponad to, że utrudniła mu atak, bo błyskawicznie podpełzł i chwycił ją za nogę, zanim zdążyła wyprostować kolana. Obroniła się kopnięciem. Jej but zderzył się z jego twarzą. Bandzior krzyknął i ją puścił, co pozwoliło jej podnieść się na nogi, ale nie dość szybko, by uniknąć chwytu kolejnego napastnika. Dłonie otoczyły jej szyję.

Za plecami mężczyzny przywódca wywlekał się z wodopoju. Ubranie miał przesiąknięte wodą, a jego rysy wykrzywiała furia i nienawiść. Aya poczuła, jak kciuki wbijają się w jej tchawicę. Na twarz poleciały jej drobinki śliny. Odchyliła się od napastnika, jakby chciała przewrócić się na plecy i pociągnąć go za sobą, równocześnie mocno podciągając kolana do klatki piersiowej.

Oparła stopy na klatce piersiowej mężczyzny i odsprężynowała do tyłu, posyłając ich obu na ziemię. Poskutkowało – napastnik stracił chwyt, Aya

szybko dokonała zemsty, zadając dwa krótkie ciosy prosto w gardło bandziora, po czym odturlała się poza zasięg jego rąk.

Mgnienie oka później była już na nogach i pędziła w stronę wałacha, mając nadzieję, że ostrożność, niezdecydowanie i stary, dobry ból, które mieszały się w umysłach bandytów, spowolnią ich dostatecznie, by dopadła konia na czas.

I prawie jej się udało, prawie już przerzucała nogę przez bok wierzchowca, kiedy zza cisu wyłonił się wściekły przywódca. Wyszarpnął nóż zza pasa i zaklął, kiedy koń, który najpierw stanął dęba, a potem obrócił się w miejscu, obsypał go piachem. Jego odzież ociekała wodą, a ramiona dygotały ze złości i braku tchu, ale wyraźnie bawiła go ta odmiana losu. Przerzucał nóż z ręki do ręki i wykonywał w stronę Ayi zachęcające gesty.

– No, dalej, mała – powtarzał. – Dalej.

Aya zaryzykowała spojrzenie za plecy. Dwaj bandyci byli na nogach i czekali, żeby zobaczyć, jak się rozegra sytuacja pod drzewem. Widząc to, wróciła wzrokiem do przywódcy i uświadomiła sobie, że choć dotychczas nie wyciągnęła miecza, nadszedł na to ostateczny czas. Wiedziała, że będzie musiała zabić tego człowieka. I czyż nie to właśnie powtarzał jej uparcie Bayek? W takiej sytuacji należy zabić przywódcę, a jego ludzie się rozpierzchną.

Mimo to czuła wewnętrzny opór. Nie pomagało, że ćwiczyła, była przygotowana i miała przed sobą wroga, który z przyjemnością odbierze jej życie, jeśli da mu szansę. Postawiona po raz pierwszy w życiu przed koniecznością podjęcia walki, zawahała się. Nigdy nie wątpiła, że trenuje, żeby w razie czego walczyć, bronić siebie i swoich najbliższych. Rozumiała, że umiejętności, które zdobywa, służą zabijaniu. Jednak sama czynność odbierania życia... to było coś innego.

– Pewnego dnia być może nie będziesz miała wyboru – powiedział jej

Bayek i choć błagała w myślach, by ten dzień nie nastąpił, zdawała sobie sprawę, że przed pewnymi rzeczami nie ma ucieczki. Teraz stanęła przed prostym wyborem: nie miała zabić z powodów moralnych, z zemsty czy honoru. Musiała zabić tego mężczyznę, żeby przeżyć.

Wyciągnęła miecz.

Był dłuższy i wyglądał groźniej niż nóż jej przeciwnika, i całkiem prawdopodobne, że poświęciła więcej czasu na naukę władania nim.

– Umiem się tym posługiwać – ostrzegła, po raz ostatni usiłując zapobiec rozlewowi krwi.

Zarechotał.

– Jasne, mała.

Za jej plecami mężczyźni wciąż czekali, gotowi do działania, ale któż mógł odgadnąć, co sobie myśleli? Może chcieli zobaczyć, jak ich przywódca się z nią rozprawia. Może zależało im, żeby zobaczyć, jak pada twarzą na piach zhańbiony przez porażkę w walce z kobietą. A może po prostu byli ciekawi, jak to się rozwinie.

Zabije go, jeśli będzie musiała. Co do tego miała pewność. Uspokoili się, stosując technikę, którą omawiali z Bayekiem, przekuła strach i złe przeczucia w źródło siły.

– Zobaczmy, jak walczysz – oznajmił, wciąż przekładając nóż z dłoni do dłoni.

Przyjęła swoją ulubioną pozycję. I usłyszała dźwięk na sekundę przed tym, jak zobaczyła strzałę. Pocisk przeciął powietrze obok jej ucha i trafił w przywódcę bandytów, który zatoczył się w tył. W pierwszym odruchu Aya pomyślała, że strzała trafiła go w pierś, potem jednak zauważyła, że przebiła jego szaty pod pachą i przyszpiliła go do pnia. Prawie udało mu się wyswobodzić, kiedy kolejna strzała przebiła jego tunikę po drugiej stronie. Trzecia utkwiała w pniu pomiędzy jego nogami.

Aya odwróciła się zaskoczona i podobnie jak pozostała trójka złodziei wbiła oczy w mężczyznę na koniu, który pojawił się na skraju wodopaju. Jego głowę spowijała chusta chroniąca przed słońcem, odsłaniająca tylko ciemne oczy podkreślone kohlem. Wyglądał na doświadczonego wędrowca i niewątpliwie doskonale posługiwał się łukiem. Założył na cięciwę kolejną strzałę i powiódł łukiem po przywódcy i jego trzech podwładnych.

Przez chwilę nikt nic nie mówił.

– Wybawca kobiet się znalazł – zakpił przywódca, niezdarnie ciągnąc za materiał tuniki.

Nowo przybyły zaśmiał się oschle.

– Każdy głupiec by zauważył, że jeśli kogoś uratowałem, to ciebie.

Aya ze swojej strony nie wiedziała, co czuć. Wdzięczność, ulgę? Dzień, w którym będzie musiała zabić, trochę oddalił się w czasie. Czyżby jednak wyczuwała szczyptę zawodu? Jak by nie patrzeć, była gotowa to zrobić. Zamierzała podjąć ten krok.

– A teraz – oznajmił nowo przybyły – czas, żebyście podjęli decyzję. Możecie uciec albo zginąć, wybór należy do was.

Mężczyźni wybrali pierwszą możliwość i pierzchnęli z podwiniętymi ogonami. Aya wykorzystała tę chwilę, by lepiej przyjrzeć się tajemniczemu podróżnemu. Kiedy zdjął chustę z głowy, prawie skrzywiła się z zaskoczenia na widok blizn pokrywających jego twarz. Podczas gdy bandyci rozpływali się w falującym powietrzu, przyglądała się, jak jej wybawca zsiada z konia i wykonuje ten sam rytuał, co niedawno ona: poi zwierzę, obmywa się i pije, sprawiając przy tym wrażenie, jakby nie przeszkadzał mu jej badawczy wzrok.

– Zastanawiasz się, czy mi podziękować – powiedział w końcu. – Zastanawiasz się, czy masz taki obowiązek, czy nie będzie to w pewien sposób przyznaniem się, że masz wobec mnie dług, którego spłaty być może będę kiedyś oczekiwał.

Była to jedna z dziwniejszych rzeczy, jakie w życiu słyszała.

– Być może – odparła. – Nie znamy się. Jak ci na imię?

– Bion.

– Bion z...?

Uznała, że mężczyzna ten nie miał w zwyczaju zdradzać emocji. Kiedy otworzył usta, w jego twarzy nie drgnął ani jeden mięsień. Zastanawiało ją, czy to wyraz spokoju ducha, czy czegoś innego.

– Bion z Fajum, ale to dawno temu. Obecnie Bion, człowiek pustyni.

– Służyłeś w armii?

– Bystra jesteś. Tak, w Gwardii Królewskiej, Machairophoroi.

– To tam nabawiłeś się tych blizn i nauczyłeś się tak strzelać z łuku?

– Właśnie tak. – Złączył dłonie i postąpił dokładnie tak, jak ona wcześniej. Sięgnął w głąb, do chłodnej wody, napił się, a potem spryskał swoje przedramiona i twarz.

Chusta Ayi wciąż leżała na murku wodopoju. Widząc, jak Bion myje twarz dłońmi, przekazała mu ją. Nieważne, kim był, mogła się odwdzięczyć choć w ten sposób.

Podziękował skinieniem głowy i przetarł wilgotnym materiałem twarz.

– Byłem jednym z najlepszych łuczników w swojej kompanii – oznajmił.

– Ale twój łuk wygląda na nowy – odparła, kiedy skończył wycierać twarz.

Odsunął się od wodopoju i przykucnął. Uśmiechał się, ale sztucznie. Dziwnie pusto. Wykręcał szarfę, raz za razem skręcając ją w dłoniach, aż mocno się napięła.

– Spostrzegawcza z ciebie dziewczyna – oznajmił.

Krople wody spadały z materiału i rozpryskiwały się na murku. Bion przewiązał końcówki szarfy dookoła kłykci. Aya poczuła się dziwnie i zwróciła uwagę, że odruchowo się naprężyła, choć nie wiedziała dlaczego.

Wtedy Bion spojrzał jej w oczy.

Przenieśliśmy się, rzecz jasna. Nowy obóz założyliśmy między nadzwyczaj wartką na tym odcinku rzeką a dwoma wzgórzami, które zapewniały osłonę przed gorszą częścią pogody. Na wzgórze te udawałem się z ojcem każdego ranka pobierać nauki, podczas których bardzo starałem się nie myśleć o Ayi, bo wiedziałem, że rozmyślając o niej, nie potrafiłbym się skupić na tym, na czym najbardziej mi zależało, czyli na trenowaniu umiejętności, które musiałem osiąść, zanim będę mógł do niej wrócić.

Bogowie świadkami, jak bardzo za nią tęskniłem. Z każdym mijającym dniem ogarniała mnie coraz większa frustracja, bo odnosiłem wrażenie, że moment, w którym ją zobaczę, wcale się nie zbliża. Co ojciec sądził o moim nastroju, nie miałem pojęcia. Jakaśkolwiek opinię miał o tym, co zrobiła Aya, też zachował dla siebie. Nie odezwał się ani słowem na ten temat od czasu tamtej porannej rozmowy. Trenował mnie jednak bardziej zawzięcie niż wcześniej, bezlitośnie odsłaniał wszystkie moje niedociągnięcia.

Aż pewnego dnia sprawy stanęły na ostrzu noża. Zrezygnowałem z ataku i zrobiłem kilka kroków w tył, pokazując, że nie zamierzam parować. Koniec. Postanowiłem wrócić do Siwy. Z jego zgodą lub bez niej – nie obchodziło mnie to. Ojciec, zirytowany moim zachowaniem, opuścił rękę, w której trzymał miecz, i warknął:

– Bayeku, co się dzieje?

Chyba odruchowo zerknąłem w kierunku Siwy, bo zanim zdążyłem się odezwać, Sabu wściekle westchnął.

– Za wcześnie. Wciąż nie jesteś w pełni przeszkolony. Staram się uczyć

cię najszybciej, jak potrafię, ale...

– Wciąż nie jestem, ojcze? – syknąłem i wsunąłem miecz do pochwy. – Trenuję od lat, dzień w dzień, sterczę z tobą na wzgórzach, w słońcu, podążam za tobą z obozu do obozu, z bazy do bazy, z miejsca na miejsce, i ani razu nie dałem poznać, że chciałbym robić cokolwiek innego.

– Ale teraz dajesz.

Teraz rozumiałem, że nigdy nie osiągnę odpowiedniego poziomu wyszkolenia. I nie miało to związku ze mną. Mój ojciec się bał. Nie o siebie, o nie. O mnie.

– Muszę zobaczyć się z Aya i matką. – Postarałem się wyrazić to jak najprościej. Miałem nadzieję, że przebiję się przez mur jego zmartwień. Że zrozumie.

– Zobaczycie się, kiedy zostaniesz pełnoprawnym Medżajem.

– Czyli kiedy? Za kilka tygodni? Miesiący? Lat?

Wskazał na wciąż niezaleczone rozcięcie na mojej twarzy.

– Kiedy taki atak nie będzie stanowił dla ciebie zagrożenia. Prychnąłem.

– A wszystkie te razy, kiedy mi powtarzałeś, że Medżaj uczy się przez całe życie? – Nie zdradziłem, że Aya podzielała ten punkt widzenia i nawet wyraziła się dobrze o Sabu, kiedy pierwszy raz przekazałem jej słowa, którymi mnie raczył. – To, że przeciwnik potrafi rozciąć moją skórę, nie oznacza, że umiałby mi zadać śmiertelny cios. Chcę wrócić do Siwy, ojcze. Teraz. Chcę zobaczyć się z Aya, może nawet ją dogonić, jeśli mi się poszczęści.

Wyprostowałem się, wypiąłem klatkę piersiową i odwzajemniłem jego spojrzenie. Wiedziałem, że z moich oczu bije płomienna determinacja, która, miałem nadzieję, tuszowała inne uczucia, jakie targały moim sercem. Kochałem ojca, ale było mi go też żal.

Przewrócił oczami.

– Jesteś nierozważny. Porywczy. Za bardzo kierujesz się tym, a za mało tym – postukał się najpierw w klatkę piersiową, a potem w głowę.

Wysunąłem dolną szczękę.

– To prawda i mogę spróbować temu zaradzić. Ale czy nie jest prawdą również to, że dzięki tej porywczoci i brakowi rozwagi cię odnalazłem?

Ojciec zaśmiał się oszczędnie.

– Ale prawie zrujnowałeś mój plan.

– Twój plan zakłada podtrzymanie tradycji i rodu Medzajów, prawda? – Spojrzał na mnie wzrokiem, w którym nie dało się wyczytać ani potwierdzenia, ani zaprzeczenia, a ja brnąłem dalej: – Czyż nie to osiągnąłem właśnie dzięki swojemu nierozważnemu postępowaniu? Aya jest zdania, że tolerujesz nasz związek, ponieważ widzisz w niej najprawdopodobniejsze źródło potomka naszej linii, przyszłego Medzaja, którego będzie można wyszkolić. Mam rację? Czy dobrze rozumiem, że dlatego nie odesłałeś jej do domu?

Znów żadnego potwierdzenia. Ani zaprzeczenia. Tylko pozbawione wyrazu oczy, w które wpatrywałem się od bardzo długiego czasu. Uderzyło mnie wtedy, że Aya nas opuściła, ponieważ darzyła ciocię najczystsza z możliwych, niezbrukaną miłością. Moje uczucie wobec ojca, choć też uważałem je za miłość, było bardziej złożone. Układało się w moim sercu w dziwne, trudne do rozszyfrowania wzory, a ja dawno nie byłem dzieckiem. Szanowałem Sabu, ale moje życie nie kręciło się już wokół niego.

Kiedy Aya wyjechała, straciłem coś ważnego. Coś, co znaczyło dla mnie więcej niż uznanie ze strony ojca. Po prostu. Przekonałem się, jak wyglądają dni bez miłości, którą wniosła do mojego życia, i zdałem sobie sprawę, że znaczy ona dla mnie zbyt wiele, bym mógł z niej zrezygnować.

W chwili, w której to do mnie dotarło, opuściły mnie wszelkie wątpliwości co do mojej decyzji. Wracałem do domu. A nawet jeśli

faktycznie nie posiadałem wszystkich umiejętności potrzebnych Medżajowi, to co? W moich żyłach płynęła medżajska krew. Nikt nie mógł mi tego odebrać. Miałem za sobą lata szkolenia, a przed sobą całe życie, które mogłem poświęcić na trening i dalszą naukę. Być może – ale tylko być może – w ogóle nie potrzebowałem ojca, by sięgnąć po swoje dziedzictwo.

Oznajmiłem więc:

– Jadę. Jeśli chcesz, nazwij to porywczą i nierozważną decyzją. Powiedz mi, że nie jestem w pełni wyszkolony. Pewnie nawet ci uwierzę. Ale to... – machnąłem ręką, wskazując wzgórze, nasz obóz, rzekę i rozpościerającą się za wodą równinę – to mi nie wystarcza. Przykro mi, ojcze. Najbardziej ucieszyłbym się, gdybyś pojechał ze mną, ale jeśli nie, to trudno. Ja wracam.

Ruszył w moją stronę, a ja poczułem, jak moje ciało się napina. Nie wiedziałem, co zamierza, z jego oczu nie dało się niczego wyczytać. Kiedy podszedł bliżej, dostrzegłem w nich nareszcie pełne smutku zrozumienie, załazek szacunku wyrosłego w przestrzeni, która dzieliła nas od ostatniej kłótni, od poranka, kiedy wyjechała Aya.

– Owszem, nie jesteś gotowy – oznajmił – choć brakuje ci już mniej niż kiedyś. Ale umiem dostrzec w człowieku determinację. Pojedziemy do Siwy razem. Może rzeczywiście dogonimy Ayę, a jeśli nie, zobaczysz się z nią, kiedy dotrzemy na miejsce. Pogódźcie się. Nie będę się wtrącał ani was do czegokolwiek nakłaniał.

Zanim zdążyłem zareagować, odstąpił, a w jego języku ciała po raz pierwszy, od kiedy go znałem, pojawiła się swego rodzaju czułość.

– Proszę – powiedział, sięgając do torby, którą zawsze zabierał na szkolenie.

Zwykle wyciągał z niej bukłak i proponował, żebym trochę się napił, kiedy uznał, że dostatecznie się wysiliłem. Tym razem jednak zamiast wody w jego dłoni pojawiło się coś innego. Medalion. Nie przypominał niczego, co

widziałem w życiu, a jednocześnie miał w sobie coś znajomego, nawet ważył dokładnie tyle, ile bym oczekiwał, z czego zdałem sobie sprawę, kiedy ojciec chwycił mnie za przedramię i wcisnął mi go w dłoń.

– Wręczany tylko pełnoprawnym Medzajom – wyjaśnił. – Chcę, żebyś go wziął.

Trzymałem go w dłoni, oszołomiony. Lata urabiania się po łokcie, żeby zasłużyć na jego uznanie, a teraz, kiedy przestało mi być potrzebne...

– Ten należał do ciebie? – spytałem. – I chcesz, żebym to ja go wziął?

– Zasłużyłeś. Powinienem być dać ci wcześniej okazję, by na niego zapracować. Żałuję, że nie wierzyłem, że podołasz. Widzę w tobie to samo, co kiedyś w sobie. – Westchnął przeciągle. – Wciąż zbyt często postrzegam cię jako małego chłopca, a nie dorosłego mężczyznę.

Wyznanie sprawiło mu przykrość. Wpatrywałem się w medalion, który leżał w mojej dłoni. Rzeczywiście czułem się, jakbym na niego zapracował. Mimo to nie potrafiłem się zmusić, by zacisnąć na nim palce.

– A co z Aya? – spytałem.

– Nie potrzebujesz mojej zgody – odparł.

– A co, jeśli mi na niej zależy?

Ojciec westchnął.

– Chcecie od życia różnych rzeczy. Myślę, synu, że o tym wiesz. Całkiem prawdopodobne, że pewnego dnia będziesz musiał wybrać pomiędzy miłością do Ayi a obowiązkami Medzaja. Życzę ci z całego serca, żeby do tego nie doszło. Być może nawet Aya dołączy do walki po naszej stronie. Cokolwiek się stanie, dla dobra Egiptu mam nadzieję, że oboje podejmiecie mądry wy bór. Ale nie jest to decyzja, którą musisz zawracać sobie głowę tu i teraz. Na razie weź medalion, na który zasłużyłeś. Od tej chwili jesteś Medzajem.

Wepchnąłem medalion do torby. Zagnieździł się pomiędzy piórami, które

wciąż w niej trzymałem, i innymi pamiątkami z moich przygód.

Uniosłem wzrok, żeby coś odpowiedzieć, ale zanim się odezwałem, ojciec zadarł głowę niczym wężący pies.

Jego ciało stężało. Oczy rozwarły się szerzej. Otworzył usta. W powietrzu coś zawisło.

– On tu jest – stwierdził mój ojciec.

Dwie rzeczy stały się jednocześnie. Usłyszałem odgłos nadlatującej strzały i ojciec rzucił się na ziemię, pociągając mnie za sobą. Przeturlaliśmy się na szczyt wzgórza, gdzie ojciec chwycił mnie jak worek zboża i przepchnął na drugą stronę. Zauważyłem czerwień krwi i zdałem sobie sprawę, że został trafiony – rana znajdowała się w jego ramieniu i sterczał z niej ułamany promień strzały. Musiał pęknąć, kiedy upadaliśmy.

U stóp wzgórza ojciec stęknął, sięgnął ku złamanej strzale i spróbował wyciągnąć ją z ramienia, ale zaraz zawył z bólu i zrezygnował.

– Grot z zadziarami – skrzywił się, ale kiedy spojrzał na mnie, dostrzegłem w jego oczach coś, co widziałem wcześniej tylko dwa razy: w noc ataku ludzi Menny na nasz dom i tamtego wieczora, kiedy walczyliśmy z zabójcą Medżajów w Elefantynie. Był to wyraz podekscytowania. Działo się coś, do czego był przygotowany. W wirze akcji jego strach i zmartwienia schodziły na drugi plan.

– Cóż – stwierdził – wygląda na to, że nasz znajomy opanował łucznictwo. Ale pachnie wciąż tak samo.

– Wyczułeś go po zapachu?

Ojciec poklepał mnie po ramieniu.

– Widzisz, Bayeku, dlatego właśnie uważam, że musisz się jeszcze trochę nauczyć o byciu Medżajem – powiedział i uśmiechnął się szeroko, wyraźnie pewien siebie w obliczu niebezpieczeństwa.

– Możesz się ruszać? – spytałem szybko, świadom, że napastnik będzie próbował wykorzystać przewagę.

– Mogę i chodzić, i biegać, i machać mieczem.

Wskazał gestem dłoni na nasz obóz – dwa namioty rozpięte na palach, żadne wielkie koczowisko. W ich wnętrzach znajdowały się jednak nasze łuki.

Nie potrafiłem jeszcze rozpoznać zbliżającego się wroga po zapachu niesionym przez wiatr, ale w posługiwaniu się łukiem zrobiłem za to niesamowite postępy. Jak się okazało, miałem wrodzony talent – równie wielki co mój ojciec, może nawet większy. We dwójkę z pewnością damy odpór napastnikowi.

– Chodź – popędził mnie ojciec – musimy się tam dostać, zanim objedzie wzgórze.

Ruszyliśmy biegiem. Namioty kryjące nasze łuki i kołczany rosły nam w oczach niczym dwie nagrody za wygraną w wyścigu. W otoczeniu obozu rozgrywała się sielankowa scena. Cztery konie żuły spokojnie trawę porastającą wilgotną, wzbogaconą rzeczonym mułem ziemię. Nieopodal brzeg zapadał się pod ostrym kątem w głębinę wody.

Wszystko pięknie, ale wciąż nie mieliśmy w dłoniach naszych łuków.

Nie udało się nam. Zanim przemierzyliśmy sprintem odległość, która dzieliła podnóże wzgórza od obozu, usłyszeliśmy odgłos zbliżających się kopyt, a kiedy przekręciłem tułów, żeby obejrzeć się za siebie, dostrzegłem zabójcę.

Nareszcie. Miałem przed oczyma mężczyznę, który polował na nas przez tyle lat. Siedział prosto i stabilnie na koniu, pewnie trzymając łuk z naciągniętą strzałą, niczym najlepsi spośród nubijskich łuczników. Jeśli rzeczywiście nauczył się posługiwać łukiem od naszego ostatniego spotkania, to opanował tę sztukę do perfekcji. Zmroziła mnie ta myśl, bo oznaczała, że mężczyzna ten spędził wszystkie te lata, szukając nas. Że ojciec miał rację, a Aya się myliła.

Głowę miał nakrytą chustą, spod której przebierała wysmagana wiatrem, pokryta bliznami twarz. W niej zaś osadzona była para czujnych, surowych oczu, których widok natychmiast wydał mi się znajomy. Od wielu lat spoglądałem w niemal identyczne za każdym razem, kiedy stawałem naprzeciw ojca na naszym placu do ćwiczeń.

Wtedy zrozumiałem. Przypomniałem sobie wyraz twarzy, który zobaczyłem kiedyś na twarzy ojca, i nagle zdałem sobie sprawę, co oznaczał. Ojciec od początku wyczuwał, że nasz prześladowca jest ulepiony z tej samej gliny, co on. A powodem, dla którego był tak absolutnie przekonany, że zabójca nie poprzestanie, póki nie dopnie swego, było to, że on również nie poddałby się za żadne skarby. Wycofałby się, dokonał ponownej oceny sytuacji, a potem nauczyłby się korzystać z łuku, by zaskoczyć ofiarę, i ponowiłby poszukiwania. Dokończyłby zadanie, dokładnie tak, jak planował to zrobić człowiek, który niespodziewanie pojawił się w naszym obozie.

W następnej chwili dostrzegłem coś jeszcze: zabójca miał owiniętą wokół nadgarstka chustkę, która wyglądała znajomo.

Należała do Ayi.

Nie miałem czasu na to zareagować. Zabójca wypuścił strzałę spomiędzy palców. – Ojczy! – krzyknąłem na cały głos i być może w ten sposób uratowałem mu życie, bo wykręcił się szybko w lewo, a strzała zamiast ugodzić go w tułów, po raz kolejny zagłębiła się w jego ramieniu. Ojciec upadł na ziemię.

Bogowie! To już drugie trafienie. Kiedy do niego podbiegłem, dostrzegłem, że krew zaczęła odpływać mu z twarzy. Tunikę miał przesiąkniętą z przodu i z tyłu, i na ten widok dotarło do mnie, że ojciec być może spotkał równego sobie. Fala panicznego strachu przetoczyła się po mnie niczym wylew Nilu, doszczętnie zmywając moją młodzieńczą arogancję i pewność siebie, nie zostawiając w zamian nic poza świadomością

porażki.

Wciąż na kolanach, zauważyłem, jak jeździec zatacza łuk i zbliżając się do krawędzi rzeki, nakłada na cięciwę kolejną strzałę. Chwyciłem nóż, ten sam, który w poprzednim życiu kupiłem w Sauti, wstałem i rzuciłem techniką, którą miałem najlepiej opanowaną. Zważywszy na warunki, udało mi się doskonale. Nóż z głuchym odgłosem wbił się w chustę osłaniającą bok zabójcy, który nie opanował zaskoczenia i wciąż ściskając w dłoni łuk, odchylił się do tyłu i zwałił z konia.

Ojciec podniósł się na czworaki i próbował wstać. Chwyciłem go pod ramię i pociągnąłem w górę, a potem wyciągnąłem miecz i ruszyłem w stronę naszego przeciwnika, który teraz klęczał niedaleko namiotów. Zabójca zerknął w górę i zarejestrował, że się zbliżam, a niedaleko za mną ojciec. Objął dłonią rękojeść, która sterczała z jego tułowia. Gwałtownym ruchem wyswobodził mój nóż, po czym odrzucił chustę, wstał i wyciągnął miecz.

Ujrzałem blizny pokrywające jego twarz. Zobaczyłem odsłonięte zęby i lodowate, wyprane z emocji oczy. Światło spływało po klindze jego miecza. Za jego plecami pieniała się wzburzona rzeka. Chusta, którą tak dobrze znałem, trzepotała na jego nadgarstku.

– Odważny jesteś, Medżaju – skwitował bez cienia kpiny, wbijając we mnie oczy, zza których wyzierała pustka, po czym wyprowadził pierwsze cięcie.

Metal zderzył się z metalem i rozdzwoniło mi się w uszach. Odważyłem się uwierzyć, że zawziętość, z którą zaatakowałem, da mi przewagę, może nawet go zaskoczy. Ale nie. Odpowiedział mi z łatwością, którą, gdyby tylko nie był moim przeciwnikiem, uznałbym za imponującą.

– Gdzie ona jest?! – wrzasnąłem i jeszcze raz rzuciłem się do przodu, tnąc w stronę zabójcy i starając się pamiętać, że muszę trzymać emocje w ryzach, bo jeśli stracę panowanie nad sobą, przegram walkę. – Co jej zrobiłeś?

Zarejestrowałem kątem oka pojawienie się ojca i zwróciłem uwagę na zmieszanie, które odmalowywało się na jego pochmurnej twarzy. Nie dostrzegłem jeszcze tego, co ja: że nasz prześladowca obserwował nas od pewnego czasu, widział, jak Aya wyjeżdża, i podążył za nią.

Ale co dalej? Na bogów, co on jej zrobił?

– Gdzie ona jest? – powtórzyłem, ale już bez krzyku.

Niech sobie pomyśli, że ze zmartwienia straciłem wolę walki.

Zyskam przewagę, jeśli uwierzy, że jestem zdekoncentrowany.

– Bayeku, uspokój się – usłyszałem z boku ostrzegawczy głos ojca.

Znałem go dobrze z treningów, podczas których powtarzał go niczym mantrę za każdym razem, gdy odnosił wrażenie, że nerwy biorą nade mną górę. Nie chciało mi się odpowiadać. Ale cieszyło mnie, że choć ojciec broczył krwią, moje dotychczasowe wysiłki też zostały nagrodzone widokiem czerwieni na tunice zabójcy. Rana, którą mu zadałem, będzie mocno krwawić, i może jeśli uda mi się przeciągnąć walkę dostatecznie długo, zmęczy się i umiejętności szermiercze przestaną mu dawać tak wielką przewagę. Może istniała jakaś nikła szansa, że mu podołam.

A w następnej chwili nie byłem już sam. Mój ojciec włączył się do walki, wyszedł przede mnie i zwarł się z zabójcą. Ich miecze spotkały się – *brzęk, brzęk, brzęk* – byli bliźsi sobie umiejętnościami i obaj starali się znaleźć u drugiej strony słaby punkt, wyprowadzając badawcze ataki i parując próby przeciwnika.

Ojciec był zmęczony i podobnie jak zabójca krwawił. Obaj mieli ograniczoną ilość czasu, zanim utrata krwi powali ich na kolana, i na tym polegał mój i ojca niewypowiedziany plan – kiedy nadejdzie odpowiednia chwila, będę mógł wkroczyć do akcji i dokończyć dzieła.

Zabójca jednak, człowiek zaprawiony w bojach i opanowany, też to wiedział. Zdając sobie sprawę, że nie może sobie pozwolić, by przeciwnicy

dyktowali tempo walki, wciągnął mnie do niej, spychając ojca do obrony serią silnych pionowych uderzeń. Inny człowiek musiałby zaangażować całą siłę, by wyprowadzić takie cięcia, naszemu wrogowi jednak wystarczyły nieznaczące ruchy nadgarstka. W drugiej dłoni trzymał mój nóż umorusany jego własną krwią i za każdym razem, kiedy próbowałem podejść bliżej, obejść jego obronę, parował moje ataki przy jego pomocy.

Poczułem, jak wzbiera we mnie frustracja, ale bezlitośnie ją stłamsiłem. Byliśmy we dwoje, on był sam. Powinniśmy byli stoczyć krótką, brutalną walkę, a tymczasem nie potrafiliśmy sprostać jego sile, determinacji i nadzwyczajnym umiejętnościom. Byliśmy z ojcem obrońcami Egiptu, ale bezduszny zabójca, z którym walczyliśmy, należał do mistrzów swego fachu. Co do tego nie było wątpliwości.

Zerknąłem na ojca. Zobaczyłem wysiłek, który odmalowywał się na jego wymizerowanej, bladej twarzy. Dostrzegłem zwątpienie w jego oczach.

A potem stało się to, czego się bałem. Zabójca wykorzystał mój brak doświadczenia bojowego i zamarkował atak w sposób, na który dałem się nabrać pierwszy i ostatni raz. Kiedy doskoczyłem i wyprowadziłem cięcie, wyminął je i ręką trzymającą nóż sięgnął pod rozpędzonym ostrzem. Szybki ruch nadgarstka wystarczył mu, by rozciąć skórę na moim brzuchu. Odruchowo osłoniłem ciało wolną ręką i zatoczyłem się do tyłu, i w tej samej chwili jego miecz dosięgnął mojego ramienia. Dwa celne cięcia.

Nastąpiła przerwa w walce i przez chwilę wszyscy trzej staliśmy prawie nieruchomo, dysząc i brocząc krwią z naszych ran.

– Kto ci płaci? Zakon? – spytał ojciec naszego wroga. – Możemy zapłacić więcej.

Nie spodobało mi się to. Zabrzmiało, jakby ojciec przyznawał, że ten przeciwnik nas przerasta. Docierało do mnie jednak, że unosząc się dumą, czasami ryzykowało się zwycięstwo, a przekupienie wroga mogło stanowić

praktyczne wyjście z sytuacji. O ile, rzecz jasna, miało się pewność, że nie obudzi się potem ze sztyletem w piersi.

– Nie robię tego dla pieniędzy, Medżaju – odparł beznamiętnie zabójca.

– Czyli robisz to dla zasady. Może twoja ideologia jest bardziej, niż ci się wydaje, zbieżna z naszą.

– A może nie kieruję się ideologią – odparł zabójca.

Zerknął na mnie przelotnie, czym sprawił, że przypomniałem sobie o Ayi, i już otwierałem usta, kiedy ojciec mnie ubiegł.

– Masz za zadanie mnie zabić, tak?

– Mam za zadanie unicestwić twój ród, wytępić Medżajów.

Nie krył się z tym. Był pewien, że zbliża się do celu, że nie mamy szans.

– To ci się nie uda. Nie da się unicestwić idei.

– Mój pracodawca jest innego zdania – przystąpił do przodu, wyprowadzając kolejny atak – a więzy krwi są waszym słabym punktem. – Trudno było nie przyznać mu racji.

Podjęliśmy z powrotem walkę, wymieniając silne, szybkie cięcia. Koszula mojego ojca była przesiąknięta krwią. Był z nas trzech w najgorszym stanie, ale ja też czułem pod pasem swoją ciepłą krew, a kiedy przekręciłem biodra, odniosłem wrażenie, że rana na brzuchu rozwiera się niczym usta i wypluwa więcej krwi, która ścieka mi po nogach do butów i chlupocze pod podszewkami stóp.

Tymczasem mężczyzna, który stał naprzeciw nas, nie okazywał bólu, krył go za pustymi oczami i nie pozwalał mu się pokonać. Trudno było ocenić, jak poważnie jest ranny. Nieubłagane, bez wytchnienia wyprowadzał kolejne ataki. To był człowiek, który poświęcił całe lata, polując na nas, a teraz nie dopuszczał do głosu myśli, że mógłby nie doprowadzić sprawy do końca. Napierał nieustępliwie, nieprzejednane, bezdusznie, a kiedy kolejne z jego cięć dosięgnęło ojca, ogarnęło mnie przeświadczenie, że to już koniec.

Zobaczyłem, jak ojciec, który całe życie wydawał mi się nie do pokonania, słać się na nogach. Jego oczy, dopiero co rozświetlone przez dreszcz emocji na myśl o nadchodzącej walce, teraz wypełniała świadomość nieuniknionej przegranej, strach nie przed bólem czy śmiercią – choć czekało go i jedno, i drugie – lecz przed porażką. Stratą. Dopiero o wiele później zdałem sobie sprawę, że kiedy po raz kolejny uniósł rękę trzymającą miecz, jakby chciał wyprowadzić jeszcze jeden atak, nie łudził się już, że wygra. Chciał tylko zrobić jedyne, co mu pozostało – ocalić mnie.

Widok ojca w takim stanie w połączeniu z myślami o Ayi wywołał u mnie wybuch furii, która wyparła z umysłu wszystkie inne uczucia. Pragnąłem zemsty. Przesiąknęła mnie do kości żądza zadania temu śmiertelnościemu fantomowi takiego samego bólu, jaki zadawał mi, wywrócenia jego świata do góry nogami.

Ojciec to dostrzegł. Nawet tonąc w otchłani porażki, zdołał odczytać sytuację i zareagował, dokładnie w chwili, w której pchnąłem z wypadu, rozpoczynając nieuporządkowany, chaotyczny atak, który w nieunikniony sposób zakończyłby się moją śmiercią. Ojciec stęknął i w ostatnim przyływie sił staranował mnie ramieniem i popchnął w stronę rzeki. Zamachałem rękami. Uderzyłem w wodę z pląśnięciem, zanurzyłem się w całości, a po chwili wypłynąłem na powierzchnię, panicznie zaczerpując powietrza.

Rzeka płynęła wartko i była zaskakująco głęboka. Uczepiłem się sitowia, które jednak zostało mi w dłoni. Wyciągnąłem dłoń jeszcze raz i tym razem złapałem większą garść, ratując się przed porwaniem przez prąd, przynajmniej na chwilę. Zaraz jednak na moją świadomość opadła dusząca czarna mgła, a promieniujący z moich ran ból odezwał się z nową intensywnością. Kiedy uniosłem wzrok, żeby zobaczyć, co się dzieje na brzegu, ujrzałem zabójcę górującego nad klęczącym ojcem. Miecz opadł z

błyskiem i ojciec osunął się na kolana. Zanim pochłonęła mnie ciemność, dostrzegłem jeszcze, jak zabójca znów unosi swoją broń skierowaną klingą w dół i przyszpila ojca do ziemi.

Trzciny wyslizgnęły się spośród moich wiotczających palców, a woda poniosła mnie z dala od wszystkiego, czym kiedykolwiek byłem.

Ostatnią rzeczą, którą zobaczyłem, była czerwień krwi barwiącej wodę wokół mnie. Moja ostatnia myśl dotyczyła ojca, którego prawdziwe oblicze dopiero co zacząłem poznawać.

Aya zdawała sobie sprawę, że wszyscy mieszkańcy Siwy, których napotka, będą ją bacznie obserwować, dlatego zaplanowała powrót wieczorem. Zapadł już zmrok, kiedy w jej polu widzenia pojawiło się miejsce, które ostatnio widziała, jak jej się wydawało, wieki temu.

A jednak wszystko wyglądało niemal tak samo. Obserwując z grzbietu konia starą osadę, do której się zbliżała, Aya rozmyślała, jakie to dziwne. W całym Egipcie zachodziły ogromne zmiany. W istocie większość jej dyskusji z Bayekiem w jakimś stopniu ich dotyczyła. Tymczasem Siwa zdecydowanie im się opierała. Przed Aya rozciągała się teraz oaza zalana światłem księżyca, a za nią wznosiło się samo miasto: forteca, świątynie, wspomnienia...

Było to miejsce z jej przeszłości, związane z Bayekiem i ciotką Herit, a jednocześnie reprezentujące przyszłość, w której w głębi serca siebie nie widziała. Mogłaby tu zostać na parę lat z Bayekiem, to prawda. Ale na całe życie? Z pewnością nie.

Kiedy podjeżdżała drogą do miasta, wszędzie panowały cisza i spokój. Nie mogła się powstrzymać przed spojrzeniem na dom Bayeka, a to natychmiast przywiodło jej na myśl jego matkę, Ahmose. Z pewnością ją odwiedzi. Wybierze się też do Rabii, a to może być ciekawe spotkanie.

Ulice były ciemne i puste, a jedynym dźwiękiem, który słyszała, był stukot podków jej konia. Kiedy znalazła się przed domem ciotki – swoim starym domem – poczuła, że coś dławi ją w gardle. Pomyśleć, że to koniec podróży, że znów tu jest. Przez chwilę nie zsiadała z konia, starając się poradzić sobie z zalewającą ją falą wspomnień i tęsknoty. I lęku, że być może

już za późno, by zobaczyć ciocię.

Nagle poczuła się całkowicie wyczerpana. Ramiona jej opadły, głowa się pochyliła. Nawet warkocze smętnie zwisały, gdy starała się zebrać siły i tłumaczyła sobie, że musi to zrobić. Musi wejść do środka.

W końcu wzięła głęboki oddech, po czym zdecydowanie zeskoczyła z konia. Zarzuciła juki na ramię i ruszyła do frontowych drzwi swojego domu.

Od razu odniosła wrażenie, że coś tu się zmieniło.

Kwiaty, tak, to o to chodziło. Jej ciocia zawsze ustawiała na zewnątrz kwiaty. Widok cioci Herit wracającej z targu z koszem owoców i kwiatami tak wbił jej się w pamięć, że kiedy się odwróciła i spojrzała na ulicę, wydawało jej się, że pomimo ciemności widzi tę postać na tle znajomej scenerii.

Ale teraz przed drzwiami nie było kwiatów, a otoczenie domu wyglądało na nieco zaniedbane. Czy to tylko wytwór jej wyobraźni, że domek zawsze był pokryty idealnie położoną farbą i ozdobiony barwnymi kwiatami? Dotknęła ściany i oderwała paznokciem kawałek łuszczącej się farby. Czyżby pamięć płatała jej figle?

Inny był również zapach. I tym razem zdecydowanie nie miało to nic wspólnego z jej wyobraźnią. Nie był to również zapach kojarzący się jej z dzieciństwem. To był...

Na bogów, co to właściwie za zapach? Kiedy odsunęła matę zasłaniającą wejście i zrobiła krok do środka, uderzyła w nią tak silna fala smrodu, że odruchowo przyłożyła dłoń do ust i sięgnęła po chustę, żeby zasłonić nos. Dopiero wtedy przypomniała sobie, że dała ją Bionowi przy wodopoju.

Wspomnienie tego dziwnego spotkania zeszło jednak na dalszy plan w obliczu wszechobecnego fetoru. Starła się oddychać jak najpłycej i posuwała się dalej powoli i ostrożnie. Powiew powietrza rozżarzył węgle w kadzielniczkach, z których uniosły się smugi oleistego dymu. Zapach

przyprawiał o mdłości. Poza tym dom tchnął pustką.

Aya pogasiła kadzielnice, a jednocześnie próbowała pojąć, dlaczego je zapalono. Byłoby to bez sensu, gdyby Herit nie żyła, tłumaczyła sobie, jednocześnie starając się stłumić niepokój dający o sobie znać skurczami w brzuchu. Dawniej natychmiast wybiegłaby na ulicę, zaczęła walić w najbliższe drzwi i domagać się informacji, gdzie jest Herit. Zrobiłaby wrażenie spanikowanej idiotki, a sąsiedzi zaraz zaczęliby plotkować: „Widziałaś Ayę, tę od Herit? Dopiero co wróciła ze swoich podróży, a już wyrzaskuje na ulicy...”.

Ale to już przeszłość. Dzisiejsza Aya tak nie robi. Zamiast tego spokojnie wróciła na ulicę, szczęśliwa, że może się uwolnić od tego obezwładniającego zapachu. Skrzyła w prawo i udała się do sąsiadki, Nefru, najbliższej przyjaciółki jej ciotki.

– Jest tu ktoś? – zawołała przy drzwiach i natychmiast za toczyła się do tyłu.

Poczuła ten sam fetor, ale jeśli to możliwe, nawet ostrzejszy. Był niemal nie do zniesienia.

– Tak? – dobiegła ja odpowiedź Nefru. – Wejdz, kimkolwiek jesteś.

– Czy to... Nefru? – spytała Aya.

Zakryła dłonią usta i nos i przekroczyła próg domu właśnie w chwili, gdy Nefru ukazała się w drzwiach do części sypialnej. W ręku miała zapaloną lampę.

– Aya? To ty? – powiedziała, wchodząc do pokoju i podnosząc lampę, tak by oświetliła również ją samą.

Na widok tej znajomej twarzy niewidzianej od tylu lat Ayi niemal zaparło dech w piersiach. Było to jak otwarcie dostępu do świata dziecięcych wspomnień. Nefru, sąsiadka i przyjaciółka Herit. Niskiego wzrostu i pulchna, z rumianymi policzkami, które, jak Aya pamiętała, jeszcze bardziej się

zaokrągåły, gdy Nefru się uśmiechała – czyli praktycznie przez cały czas. Z Herit wiecznie się śmiały, co rusz dostrzegając coś zabawnego.

– Czy to naprawdę ty? – nie dowierzała Nefru.

Zawsze uwielbiała Ayę, a ona odwzajemniała to uczucie. Kiedy teraz stanęły naprzeciw siebie, spotkawszy się ponownie w tych smutnych okolicznościach, o władnęły nimi ogromne emocje, tak że Ayi łzy zamgłiły widok, gdy Nefru podeszła i ją przytuliła.

– Och, dziecinko, Herit będzie...

Ayi zaświtała nadzieja.

– To ona żyje? Gdzie jest?

– No, przecież! Jest tu z tyłu – Nefru wskazała na część sypialną. – Wzięłam ją do siebie, żeby się nią opiekować.

– I dobrze się czuje?

– Trzyma się, dziecko, jakoś się trzyma. Robimy, co możemy, ja i lekarz.

– A co jej dolega?

– Kaszle – odparła Nefru. – Lekarz twierdzi, że opanowały ją demony i zmuszają do takiego suchego kaszlu.

Aya rozejrzała się z powątpiewaniem.

– I to lekarz kazał porozstawiać te wszystkie kadzielnice? Nefru poważnie przytaknęła.

– Mówi, że to wypędzi demony. Obok też się palą, na wypadek gdyby demony również tam się czaiły.

Już się nie palą, pomyślała Aya, ale postanowiła o tym nie wspominać i zamiast tego spytała:

– Czy mogę ją zobaczyć?

– Możesz, oczywiście, że możesz, dziecko, ale w odpowiednim czasie. Teraz odpoczywa. Na szczęście zasnęła, a ma trudności ze spaniem, więc nie chciałabym jej teraz przeszkadzać. Ale możesz tam zerknąć, zobaczyć ją.

Aya zajrzała do ciotki i z radością przekonała się, że ta faktycznie po prostu śpi. Potem Nefru zaprowadziła ją do stołu, który ku jej zaskoczeniu był znacznie mniejszy niż we wspomnieniach.

– A ty dobrze się miewasz? – spytała Nefru, sadowiąc się na stołku i wskazując Ayi, że też ma usiąść. – Przywiozłaś ze sobą z powrotem tego swojego młodzieńca? Masz jakieś wieści o obrońcy miasta? O tyle rzeczy chciałabym cię zapytać. Jak dawno wróciłaś? Widziałaś się już z kimś? Wiele osób będzie miało do ciebie pytania, jestem tego pewna, więc lepiej się pogódź, że będziesz musiała na nie odpowiedzieć. – Trąciła Ayę łokciem. – I lepiej, żeby w twojej historii wszystko się zgadzało.

Kiedy Aya ostatnio siedziała z Nefru i popijały herbatę, była nastolatką. Teraz rozmawiały jako dorosłe kobiety. Wszystko, przez co przeszła – wszystkie „przygody”, jak nazywali to z Bayekiem – bardzo ją zmieniło. W rezultacie wróciła jako inna osoba niż ta, która stąd wyjechała. Rozmowa z Nefru pomogła jej jednak przypomnieć sobie dziewczynkę, którą niegdyś była, tę ciekawską, psotną chłopczycę, którą pamiętała starsza kobieta. I Aya opowiedziała jej swoją historię, a raczej pewną jej wersję, bez tych najbardziej drastycznych szczegółów. Nie wspomniała też o Medzajach ani Zakonie, choć opowiedziała, że Bayek został, żeby wraz z ojcem trenować umiejętności potrzebne obrońcy miasta.

– A nie może się uczyć swoich obowiązków tutaj?

Aya przygryzła usta, wiedząc, że nie może mówić o zabójcy, który zagrażał im przez te lata wędrówki, ani o uporze Sabu, żeby tu nie wracać, bo Nefru na pewno by się tym zaniepokoiła. Nie potrafiła wymyślić lepszej odpowiedzi niż:

– To dość skomplikowane.

Mimo przyciemnionego światła dostrzegła, że Nefru badawczo jej się przygląda.

– Czy wy dwoje przypadkiem się nie rozstaliście? – spytała w końcu.

Aya spuściła głowę. Wiedziała, że trudno jej będzie o tym mówić. Przez całą podróż tak się starała nie myśleć o Bayeku. Tyle sobie natłumaczyła, że on naprawdę to zrozumiał, że wszystko będzie dobrze, jak tylko będą mogli usiąść i należycie o tym porozmawiać. Po tym wszystkim nie mogła przecież teraz się rozplakać. Skinęła twierdząco głową, licząc, że to wystarczająca odpowiedź. Och, ale dolna warga zaczęła jej się trząść i już po chwili wtulała się w wyciągnięte ramiona Nefru.

– Tęsknię za nim, Nefru. Tak bardzo za nim tęsknię. – W rzeczywistości chciałaby powiedzieć: *Martwię się o niego. Boję się, że nie miałam racji i zabójca rzeczywiście go ściga.*

– Już dobrze, dziecko, już dobrze – uspokajała ją Nefru. – Już, już...

Po dłuższej chwili Ayi udało się opanować emocje. Odsunęła się od Nefru i odchrząknęła.

– W takim razie zatrzymam się obok, dopóki tu jestem. – Nie usłyszała pytania, jak długo zamierza zostać. – Kiedy spodziewasz się następnej wizyty lekarza? – spytała.

– Mówił, że wróci za parę dni – odparła Nefru.

– Rozumiem. Zatem na razie musimy przede wszystkim pozbyć się tych kadzielniczek.

– Ale, dziecko, jesteś pewna, że wiesz, co robisz?

– Ten zapach jest straszny. Jak ty w ogóle go wytrzymujesz?

Aya potrząsnęła głową i zmarszczyła nos, gdy tymczasem Nefru stała, nie bardzo wiedząc, co począć.

– Przecież lekarz powiedział, że one przepędzą to coś, co jej dokucza.

– Cóż, nie jestem lekarzem – stwierdziła Aya – ale ten fetor aż dławi i nie pojmuję, jak mógłby komukolwiek pomóc. Wynosimy te kadzielnice.

Zatoczyła się lekko, czując zawroty głowy po podróży i od tego zapachu, a Nefru szybko ruszyła, by ją podtrzymać. Na twarz starszej kobiety

wypłynął uśmiech.

– W jednej chwili łązy, a w następnej już mną zarządza. Nie ma wątpliwości, dziecko, że wciąż jesteś sobą.

Kiedy następnego ranka obudziła się Herit, nastąpiły kolejne pełne łoż powitania. Kilka godzin później Aya opowiedziała jej tę samą historię co jej przyjaciółce. Potem wysłała Nefru po zakupy, doskonale wiedząc, że dzięki jej plotkarskiej naturze wieści szybko się rozejdą po ulicach Siwy. Herit okazała się równie spostrzegawcza co Nefru i wychwyciła, że sytuacja pomiędzy siostrzenicą a Bayekiem nie wygląda dobrze. I znów Aya szukała pociechy w uścisku życzliwej jej osoby oraz w zapewnieniach ciotki, że wszyscy młodzi ludzie dramatyzują i wszystko dobrze się ułoży – w swoim czasie i przy odpowiednim podejściu. Widok tej znajomej, roztaczającej kojącą atmosferę postaci przeniósł ją z powrotem w czasy dzieciństwa nieskażonego przez zabójców i starodawne ideologie.

Doszła do wniosku, że to znacznie bardziej jej odpowiada. W tej chwili o wiele bardziej wolała przeszłość niż teraźniejszość.

Nefru niebawem wróciła i weszła do pomieszczenia, gdzie Herit leżała na macie. Aya zdążyła już pościągnąć z okien zasłony, zastanawiając się przy okazji, jak demony miały przez nie uciec. Do pokoju napłynęło świeże powietrze, wypychając resztki obrzydliwego zapachu olejku ziołowego zaleconego przez lekarza.

– Coś podobnego! – wykrzyknęła Nefru do Herit. – Już wyglądasz lepiej. – Potem zajęła się Aya, którą pociągnęła do okna, żeby przyrzeć się jej „w porządnym blasku słońca po raz pierwszy od bogowie wiedzą kiedy”. Ponieważ Herit czuła się nieco lepiej, podciągnęła się troszkę w górę, żeby również móc ją obejrzeć. I tak, chcąc nie chcąc, Aya musiała się poddać

drobiazgowej kontroli dwóch starszych dam.

– Czyż ona nie wygląda ślicznie, Herit – piała z zachwytu Nefru.

– Wygląda. Zupełnie jak jej matka...

– I jej ciotka – włączyła się ze śmiechem Aya.

– Zaraz, zaraz – odezwała się znów Nefru, która zbliżyła do dziewczyny twarz na tyle, że Aya widziała popękane żyłki na jej policzkach. – Wyglądasz odrobinę blado, dziecko. Pięknie ładnie, że udzielasz rad Herit i mnie, ale z tego, co widzę, musisz zacząć lepiej dbać także o siebie.

To była prawda. Podczas podróży przez pustynię Aya czuła się chora. Zbagatelizowała teraz obawy Nefru, ale w rzeczywistości nadal miała nudności, zapewne po tym obrzydliwym olejku, uznała.

Olejek to jedna przyczyna – pomyślała – a druga to nerwy. Zdała się wprawdzie na plotkarski talent Nefru, żeby osłabić wrażenie spowodowane swoim powrotem do Siwy i móc w miarę spokojnie wyjść na ulicę. Ale to oznaczało również, że matka Bayeka będzie oczekiwać jej wizyty. Nie może jej za długo odkładać, bo Ahmose poczyta to sobie za brak szacunku. Skoro trzeba to zrobić, to im prędzej, tym lepiej. Zrobi to od razu, Kiedy więc dwie przyjaciółki zakończyły jej oględziny, opuściła względne bezpieczeństwo domu Nefru i wyruszyła na ulice Siwy.

Zalewający miasto blask słoneczny nie wpłynął kojąco na jej nerwy. Na dodatek zauważyła, że ludzie się zatrzymują, żeby gapić się na nią. Ale w pewnej chwili spotkała ją miła niespodzianka – zobaczyła przed sobą Hepzefę, przyjaciela z dzieciństwa.

Herit i Nefru czas oszczędził i miała wrażenie, że minione lata je zakonserwowały, natomiast Hepzefa zdecydowanie dorósł – w końcu byli zaledwie nastolatkami, gdy opuszczała Siwę.

Stał teraz przed nią z szerokim uśmiechem i rozpostartymi ramionami, a jej przywiodło to na myśl Bayeka. Nagłe ukłucie bólu mogło zepsuć ich

spotkanie po latach, ale nie. Już po chwili padli sobie w ramiona, a Aya kolejny raz musiała walczyć ze łzami, tym razem radości.

Opowiedziała przyjacielowi pokrótce, co się z nią działo, obiecując szczegóły później.

– A co nowego w Siwie? – spytała, na co Hephzefa tylko wzruszył ramionami i się roześmiał, jakby chciał powiedzieć, że nic ciekawego, a życie toczy się dalej.

Wspomniał, że Sennefer zechce się z nią spotkać, a ona obiecała, że znajdzie czas dla nich obojgu. Ale najpierw ma do załatwienia pewną drobną sprawę.

Wskazała podbródkiem biegnącą dalej uliczkę, przy której dom, do którego zmierzała, rozłożył się jak lwica.

– A jak tam jej się wiedzie? Wiesz coś?

– Ahmose? – odparł Hephzefa. – Jak zawsze. W jednej chwili potrafi cię nieźle zbesztać, a w następnej trzyma się na uboczu. Jeśli masz jej do przekazania dobre wieści, to myślę, że nic ci nie grozi.

Ale Aya wcale nie była pewna, czy są dobre.

Obiecała staremu przyjacielowi, że spotkają się później, i ruszyła dalej, aż w końcu stanęła przed domem Bayeka.

Zabawne, że choć niemal wszystkie miejsca w Siwie budziły w niej wspomnienia, to było wyjątkiem. I nic dziwnego, bo rzadko tu bywała. Sabu nigdy w pełni nie zaakceptował jej związku z Bayekiem, więc jeśli nawet przychodziła pod dom, to tylko żeby gwizdnąć w umówiony sposób i poczekać, aż chłopak do niej wyjdzie. Ale Ahmose nigdy nie okazywała jej niechęci, przypomniawszy sobie. Zazwyczaj uśmiechała się i machała do niej, gdy czekała na jej syna.

Teraz stanęła przed domem Bayeka i przygotowała się do czegoś, co miała zrobić pierwszy raz w życiu – zapukania do jego drzwi.

– Wejdz – dobiegł ją ze środka głos. – Zastanawiałam się, ile czasu ci to zajmie.

Aya zebrała się w sobie i weszła do środka. Ahmose czekała na nią z zaciśniętymi ustami, siedząc sztywno na stołku. Dom był schludny i bardziej przestronny niż domy Herit i Nefru. Aya zwróciła uwagę, że czas obszedł się z Ahmose równie łagodnie, jak z ciotką i jej przyjaciółką.

– Zatem nie przywiozłaś ich z powrotem? – odezwała się matka Bayeka, nie proponując jej, żeby usiadła.

Zmierzyła gościa wzrokiem od stóp do głów, przy czym było to spojrzenie w pewnej mierze przyjazne, choć nie serdeczne.

– Nie – odparła Aya.

Ahmose trawiła przez chwilę tę informację, choć oczywiście nie było to dla niej niespodzianką. Może po prostu musiała to usłyszeć z ust Ayi.

– Jak się miewają? – spytała w końcu.

– Dobrze. Nic się nie zmienili.

Ahmose odchrząknęła.

– Doprawdy? Nie to chciałam usłyszeć. Mówisz mi coś, co sądzisz, że chciałabym usłyszeć, a tymczasem jest to dokładnie to, czego nie chcę słyszeć. A może po prostu powiesz prawdę?

Aya stała, nie bardzo wiedząc, co ma odrzec i jak zareagować. Pamiętała, że Ahmose była onieśmielająca, ale nie że aż tak bezpośrednia, więc zbiło ją to z tropu. Niemniej matka Bayeka miała rację. Nic dziwnego, że chciała prawdziwych wieści, skoro od tak dawna nie widziała swojej rodziny. Jednak ogrom tego zadania sprawił, że Aya nie potrafiła znaleźć słów.

Na szczęście w tej chwili na twarz Ahmose wypłynął uśmiech.

– Przepraszam – powiedziała. – Po prostu miałam nadzieję... cóż, wiesz na co. – Wstała, przeszła przez pokój i serdecznie uścisnęła dziewczynę. – Droga Ayu, jesteś jeszcze piękniejsza i silniejsza, niż gdy wyjeżdżałaś. Tak

się cieszę, że cię znów widzę po tych wszystkich latach.

Teraz zaproponowała jej stołek i poprosiła, by zaczęły tę rozmowę od nowa.

– Tylko nie mów mi, proszę, że są tacy sami jak dawniej.

– Nie są, Ahmose. Naprawdę nie są. Twój dwaj mężczyźni stali się w końcu ojcem i synem.

I to była prawda. A do tego dobra wiadomość.

– Czyli on w końcu dojrzał?

– Szkoli się, żeby zostać Medżajem.

Ahmose nie była zaskoczona, słysząc to słowo, czego zresztą Aya się spodziewała. Natomiast nie bardzo rozumiała, skąd się wziął wyraz rozbawienia w oczach starszej kobiety.

– Och, nie, kochanie. Nie miałam na myśli Bayeka...

No, proszę. I w ten sposób Aya znów musiała opowiedzieć swoją historię, ale tym razem mniej w niej opuściła.

Po wizycie u Ahmose zaplanowała odwiedzenie Rabii, więc znów ruszyła przez wieś, narażona na ciekawskie spojrzenia mieszkańców Siwy. Dobiegały ją szepty zza dłoni, którymi plotkarze zasłaniali usta, oraz pozdrowienia, na które się nie zatrzymywała, tłumacząc się ważną sprawą do załatwienia.

– Witaj, dziewczyno – odezwała się Rabia, kiedy Aya do niej weszła.

– Tylko nie mów, że spodziewałaś się mojej wizyty – odparła Aya, która zaczynała już być zmęczona rolą osoby powracającej po latach do Siwy, chociaż na ogół witano ją serdecznie. – Dlaczego sądziłaś, że do ciebie przyjdę?

Rabia wzruszyła ramionami.

– Bo z pewnością masz pytania.

Aya potrząsnęła przecząco głową.

– W zasadzie to nie. Odpowiedzi na swoje pytania znalazłam tam. – Wskazała kciukiem za siebie.

– Doprawdy?

– No, w porządku – ustąpiła Aya – może o parę rzeczy chciałabym cię jednak spytać. Na przykład, czy kiedykolwiek naprawdę myślałaś, że Sabu wyjechał z powodu Menny?

– Nie wiedziałam – odparła Rabia. – Wiedziałam, że jest niebezpiecznie. To wszystko, co Sabu mi powiedział.

Aya przyjrzała się jej uważnie i uznała, że mówi prawdę, czy raczej, że nie ukrywa żadnego dodatku do tej prawdy.

– Więc co – naciskała Rabia – czy Sabu został wezwany, by rozprawić się z Menną?

– Nie, ale Bayek i ja zrobiliśmy, co radziłaś, i odszukaliśmy Nubijczyków. Poradzili sobie z tym bandziorem.

Na te słowa Rabia odchyliła się lekko do tyłu na swoim siedzeniu i przechyliła głowę tak, że patrzyła w sufit. Oczy jej się zamgliły i sprawiała wrażenie, jakby wielki ciężar spadł jej z serca.

– Zatem to koniec.

– Jeśli chodzi o Mennę, to tak.

– A co z Nubijczykami? – spytała ostro Rabia, ponownie przenosząc uwagę na Ayę. I nagle przypomniała sobie o dobrych manierach, podobnie jak Ahmose. – Proszę, dziewczyno, siadaj. Chcesz może wody? Albo wina?

– Wypiłam już dość jak na jeden dzień. Dziękuję.

– To mów dalej. Co z Nubijczykami?

Uważnie słuchała opowieści Ayi na temat Kensy, Setiego, Neki i reszty plemienia. Na wieść, że wojna z Menną zdziesiątkowała ich szeregi, przybrała smutny wyraz twarzy, ale ożywiła się, słuchając o Kensie.

– Niewiele jest takich jak ona – stwierdziła.

– Tak, bardzo dużo jej zawdzięczamy.

– I co się z nimi stało... z Nubijczykami?

– Musieliśmy się rozdzielić. Wiem, że planowali opuścić swoją siedzibę w Tebach, i tylko bogowie wiedzą, jak bardzo musiało im na tym zależeć. Zapewne podróżują. Myślę, że w swoim czasie dowiemy się o nich czegoś więcej.

– Ale Menna zdecydowanie nie był powodem wyjazdu Sabu?

– Nie.

– To co było? – spytała ostrożnie Rabia. – Na czym polegało niebezpieczeństwo?

– Na zagrożeniu dla Medżajów – odparła Aya. – Wiesz coś o Zakonie z Aleksandrii?

– Słyszałam o nich – przyznała Rabia.

– Wygląda na to, że polują na Medżajów.

– Rozumiem.

– Nie masz nic do powiedzenia na ten temat?

Rabia wzruszyła ramionami.

– A co miałabym mieć?

Zirytowana Aya aż podniosła się z miejsca, zastanawiając się, jak zadać pytanie.

– Czy wiedziałaś o nich, Rabio? Czy wiedziałaś, że to się stanie? – Przewidywała, jaka będzie odpowiedź, i rozważała tylko, jak bardzo powinna być wściekła, że Rabia wykorzystała ją dla wyższych celów.

Rabia badawczo jej się przyjrzała, po czym nagle parsknęła krótkim śmiechem.

– Pod pewnymi względami przypominasz Ahmose. Ona też ciągle mnie oskarża, że wiem znacznie więcej niż w istocie. – Machnęła ręką. – Zupełnie jakbym miała jakieś nadprzyrodzone moce. – Aya uniosła brwi, zgadzając się w tej sprawie z Ahmose.

Ludzie mieli o Rabii takie zdanie, bo często wiedziała więcej niż inni.

– Myślisz, że umiem odczytywać przyszłość? – ciągnęła starsza kobieta. – Gdybyż tak było... Ale, niestety, nie mam takiego daru. Po prostu zależy mi na utrzymaniu sposobu życia Medżajów. I wiem, że to wymaga obrony tych świątyń.

– Świątynie są chronione.

– Ale nie przez Medżaja. To miasto potrzebuje swojego obrońcy. Potrzebuje Sabu. Potrzebuje Bayeka.

– No cóż, w tej chwili nie ma żadnego z nich. – Aya wiedziała, że

niepotrzebnie mówi to tak bezpośrednio, ale Rabia chyba była przyzwyczajona do bezceremonialności, skoro przyjaźniła się z Ahmose. Ten wybuch dawnego charakteru przypomniał jej o wszystkim, co widziała w podróży, o tym, jak bardzo dorosła i zmieniła się od czasu wyjazdu z Siwy.

Rabia skinęła potwierdzająco głową. Po czym dodała:

– Ale jeden lub obaj wrócą.

– Skąd jesteś tego taka pewna?

– Że Sabu wróci? Tego nie wiem. Ale Bayek to co innego. O, on wróci.

Przybędzie tu z twojego powodu.

– To znaczy, że jestem przynętą, o to ci chodzi?

Poirytowana Rabia uniosła ręce w górę.

– I znów to samo! A jak niby wpłynęłam na to, że się tu znalazłaś? Przyjechałaś tu z własnej woli. Miło mi, że uważasz mnie za jednego z bogów manipulujących wami wszystkimi, ale wiesz, niestety nim nie jestem.

– Czyli po prostu tak wyszło – podsumowała Aya, którą nagle ogarnęło zmęczenie.

Lata ucieczki zrobiły swoje, a poziom podejrzliwości, który tam wydawał się normalny, w niewielkiej i bezpiecznej Siwie był nieuzasadniony.

Ogarnęła ją mieszanka okropnych odczuć, których nawet nie potrafiła do końca rozpoznać: mdłości, obrzydzenie, oburzenie, frustracja i lęk. Pospiesznie ruszyła do wyjścia, nawet nie żegnając się należycie z gospodynią, i zataczając się, wypadła na ulicę. Zaniepokojona Rabia coś za nią krzyknęła, ale Aya tylko pomachała jej ręką na pożegnanie, usprawiedliwiając się zmęczeniem.

W drodze do domu poczuła się jeszcze gorzej. Przypomniał jej się napad w oazie i własne przekonanie, że potrafiłaby zabić w samoobronie. Odtwarzała sobie w myślach chwilę tuż przed tym, jak strzały jeźdźca trafiły do celu. W pewnej chwili zachwiała się i musiała się oprzeć o niski murek,

żeby nie upaść. Myśli jej wirowały. Miała wrażenie, że sprawy wymykają jej się spod kontroli, nawet tutaj, w Siwie. Zastanawiała się, czy to dlatego żołądek podchodzi jej do gardła i męczą ją takie zawroty głowy. Nie znosiła tak się czuć. Niewiele brakuje, żeby przewróciła się na ziemię. Usłyszała jakiś głos wołający jej imię. Spojrzała ponad murkiem i dostrzegła postać, którą przez chwilę uznała za zabójcę. Ale nie, to był jej dawny przyjaciel Sennefer. Nie miała sił z nim rozmawiać, więc tylko blado się uśmiechnęła, potrząsnęła głową i ruszyła dalej w stronę domu.

Wreszcie dotarła. Niemal bez sił wsunęła się do środka, marząc tylko o tym, żeby się położyć. Po burzy emocji, które wcześniej nią owładnęły, czuła słabość i drzenie w rękach i nogach. Nie potrafiła zebrać myśli, a w pomieszczeniu panował mrok, tak że trwało dłuższą chwilę, nim sobie uświadomiła, że w domu jest ktoś jeszcze. Mężczyzna.

– Bayek – powiedziała, ale to nie był on.

Zamiast niego stał przed nią Bion, mężczyzna spotkany przy wodopoju.

Zastanowiła się mgliście, co on tu robi, ale skręcało ją w żołądku, powietrze było przesycone dziwnym zapachem, a przed jej oczami pojawiła się mgła. Brakowało jej tchu, wszystko wokół powoli się obracało. Mężczyzna szedł w jej kierunku z czymś czerwonym w dłoni. *Moja chustka*, pomyślała. Całe szczęście, bo mi jej brakowało. A potem poczuła, że stopy odrywają jej się od posadzki, zobaczyła podłogę pędzącą jej na spotkanie i poczuła, jak chwytają ją silne ręce. A potem już nic.

Kiedy walka dobiegła końca, Bayek został porwany przez rzekę, a Sabu leżał pokonany na piasku, Bion przyklęknął z pochyloną głową, zdyszany, wyczerpany, obolały, i wyteżył słuch.

Nic.

Cisza. Nawet ptaki, które krążyły mu nad głową, nie skrzeczały. Szum krwi w uszach też ustał. Za to ciało Sabu leżało u jego stóp, co oznaczało, że misja dobiega końca.

A wraz z nią konieczność zabijania.

Nareszcie zazna spokoju.

Na tle ciszy dało się dosłyszeć jeden odgłos. Dochodził od Sabu, który z trudem oddychał. Z jego piersi wystawał miecz Biona, który wolał nie ryzykować i przyszpilił go do ziemi niczym motyla. Spomiędzy otwartych ust wypływała krwawa piana, a oczy Medzaja odmawiały posłuszeństwa, choć usiłował skupić wzrok na swoim zabójcy, zobaczyć jego twarz, zanim umrze.

Bion, który sam cierpiał z powodu rany w boku, obrócił się nieco i z grymasem bólu spojrział na pokonanego przeciwnika.

– Twoje imię? – wydusił Sabu.

Bion delikatnie skinął głową, jakby chciał okazać szacunek.

– Mam na imię Bion – wyjaśnił. – Zakon wysłał mnie, że bym zabił ciebie i twoich krewnych. Dokładniej, wysłał mnie członek Zakonu o imieniu Raia. Znasz go?

Sabu pokręcił głową, czym sprawił sobie ból. Zacisnął powieki, żeby

odzyskać panowanie nad sobą, a kiedy otworzył je ponownie, jego oczy z powrotem powędrowały ku Bionowi. Nie było w nich nienawiści ani złości, tylko niezmierny smutek. Bion dobrze znał to uczucie. Ciekawiło go, czy Sabu nosi rany w duszy i czy też był zmęczony zabijaniem, czy jakaś jego część nie cieszyła się, że odchodzi z tego świata.

– Gdzie on jest? – spytał Sabu.

– Twój chłopak? Gdzieś indziej.

– Nie żyje?

Zabójca rozłożył ręce.

– Kto wie?

– Jest silny – Sabu uśmiechnął się nieco melancholijnie.

– Dobrze go wyszkoliłeś, Medżaju – odparł Bion i sięgnął do twarzy Sabu, żeby odsunąć kosmyk włosów, który osunął mu się na oczy. – Obserwowałem was z daleka. Widziałem, jak podajesz mu medalion. Wiem więc, że uznałeś jego kształcenie za ukończone. Przekazałeś mu symbol Medżajów.

– Wydałem na niego wyrok śmierci, prawda? – spytał Sabu.

Bion pokręcił głową.

– Nie, wyrok został wydany dawno temu. Zakon z Aleksandrii postanowił, że Medżajowie i wszyscy, w których żyłach płynie ich krew, muszą zostać pozbawieni życia. Kiedy wykonam do końca swoje zadanie, nie będzie w Egipcie ani jednego prawdziwego Medżaja, tylko wyznawcy ideologii i naśladowcy. Zakon nie będzie miał się czego bać. Będzie mógł kontynuować epokę swojej dominacji.

– I to ci odpowiada?

Bion wzruszył ramionami, co było bolesne i sprawiło, że się skrzywił.

– Nie. Ja tylko spełniam wolę moich panów. Zabijam. Nic poza tym. Zabiłem twoich przyjaciół. Zabiłem twojego mistrza Hemoną i jego ucznia

Sabesteta. – Wskazał na miecz przyszpilający Sabu do ziemi. – Zadałem ci cios, od którego umrzesz, a niedługo zabiję twojego syna, by dokończyć powierzone mi zadanie. Ale nic z tego mi nie odpowiada. To po prostu coś, czym się zajmuję.

– Najpierw będziesz musiał go znaleźć – stwierdził Sabu i zmusił się do uśmiechu. – Nie zazdroszczę.

Bion zaobserwował, jak Bayek znika z nurtem rzeki, ale wiedział więcej, niż wydawało się Medżajowi. Zdawał sobie sprawę, że jeśli Bayek przeżył, wyruszy w stronę Siwy.

Nie widział jednak powodu, by mówić o tym Sabu. Po co odbierać złudną nadzieję człowiekowi, który miał za chwilę przejść na drugą stronę? Niech odda duszę w ręce bogów przepelniony wiarą. Nie zdradził więc, że będzie mógł przestać zabijać, dopiero gdy odzyska ostatni medalion i zawiezie go Raii na potwierdzenie wykonania misji. Uznał, że Sabu zwyczajnie ma dość na głowie. Miał do przeżycia swe ostatnie chwile.

Zamiast prawdy powiedział:

– Byłeś godnym przeciwnikiem, Medżaju. Pierwszorzędnym wojownikiem. Jestem pewien, że nie muszę ci tego mówić. Udaj się do bogów z tą świadomością. Wiedz, że spełniłeś powinność wobec swojego credo, swojej rodziny i swojego... – Prawie po wiedział „miasta”, ale powstrzymał się w porę. – Dobrze się spisałeś. Masz rację, może nie znajdę twojego syna. Może nie uda mi się dokończyć zadania. Jeśli cię to pocieszy, to możesz zabrać do zaświatów wiedzę, że przez ciebie musiałem włożyć w tę misję mnóstwo dodatkowej pracy. A teraz żegnaj. – Na tym skończył.

Przykucnął przy Sabu i na znak szacunku postanowił, że poczeka z opatrzeniem swoich ran, aż stary Medżaj wyzionie ducha.

Zajął to dłuższą chwilę, ale w końcu Sabu zamrugał powiekami po raz ostatni, wypuścił powietrze z delikatnym westchnieniem i jego głowa opadła

na bok.

Bion upewnił się, że Sabu nie żyje, zabrał swój miecz i zostawił ciało na pożarcie padlinożercom. Kiedy opatrzył swoje rany, dosiadł konia i ruszył w stronę Siwy.

Jak długo dryfowałem? Nie miałem pojęcia. Podobnie jak o tym, w jakim stanie byłem, kiedy starsze małżeństwo wyciągnęło mnie z wody. Wiedziałem tylko tyle, że choć pod plecami miałem matę do spania, podłoga, na której leżałem, wydawała się niestabilna, jakby... właśnie, jakby się poruszała.

Przez chwilę poczułem się zdezorientowany, zaraz jednak palący ból w ramieniu i brzuchu przypomniął mi o zabójcy i jego mieczu rzucającym refleksy światła. Wróciłem pamięcią do poczernionych kohlem martwych oczu, do blizn na twarzy, przypominających w blasku słońca świecące białe robaki. A potem przypominałem sobie o czerwonej chuście i spróbowałem się podnieść, zaraz jednak upadłem z powrotem na plecy powalony przez koszmarny ból, który przeszył mnie niczym włócznia.

Wspomnienie o Ayi zostało ze mną, jakby zakotwiczone u nasady czaszki, i towarzyszyło mi, kiedy walczyłem z otumanieniem, które uniemożliwiało mi skupienie myśli i zrozumienie, gdzie się znajduję. Aż nagle, z opóźnieniem, którego prawie się zawstydzilem, przypominałem sobie o ojcu. Przed moimi oczyma raz jeszcze pojawił się widok, który śledziłem wzrokiem, kiedy, krwawiąc, dałem się porwać wodzie z dala od placu bitwy – widok miecza roziskrzonego w świetle słońca, który najpierw się uniósł, a potem opadł i przebił ciało ojca.

Tego samego ojca, który martwił się o mnie, co wyraziło się poprzez wątpliwość, czy nadaję się na Medzaja. Wiedziałem, że chodziło o ojcowską troskę, której nie potrafił ubrać w słowa, ale jego postępowanie sprawiło, że

oddaliliśmy się od siebie. Przez ostatnie lata ciężko pracowałem, żeby zasypać przepaść między nami. Podejrzewam, że dlatego nie udało się nam zaprzyjaźnić, ale ostatecznie na swój sposób wypracowaliśmy prawdziwą więź – ojca z synem – i nauczyłem się od niego, jak być Medżajem. Planowaliśmy wspólnie wrócić do Siwy, gdzie z czasem przejąłbym funkcję obrońcy miasta, co w dłuższej perspektywie może zaowocowałoby przyjaźnią. A może nie. Któż mógł to wiedzieć?

Jedno było pewne: już się nie dowiem.

Gdzie jest medalion, który mi dał? Nie byłem pewien, ale uznałem, że i tak nie ma to znaczenia. Byłem teraz ostatnim Medżajem, chyba że zupełnie opacznie zrozumiałem, co chciał mi przekazać ojciec.

Kim Medżajowie będą od tej chwili, zależało wyłącznie ode mnie. Było w tej myśli coś, co sprowadziło mnie na ziemię, sprawiło, że otrzeźwiałem mimo żałoby spowijającej mój umysł.

Po pewnym czasie zdałem sobie sprawę z obecności innej osoby w... cóż, nie nazwałbym tego pomieszczeniem – bardziej przestrzenią, która mnie otaczała. W każdym razie uświadomiłem sobie, że nie jestem sam. Kiedy uniosłem głowę i zerknąłem w stronę drugiego końca maty do spania, dostrzegłem mężczyznę. Odezwał się: – Witaj.

Przemieścił się tak, by padało na niego światło i z ulgą dostrzegłem, że nie był to zabójca ojca, lecz mężczyzna o wiele starszy. Stał lekko przygarbiony, co chyba było normalne u osób, które mieszkały na łodziach. Ubrany był w białą tunikę i opaskę na czoło, która podtrzymywała zaczesane w tył włosy. Ramię w ramię z nim, po lewej stronie, stała kobieta o niespokojnym, ale zatroskanym wyrazie twarzy, którą trafnie uznałem za jego żonę. Na moich oczach delikatnie szturchnęła mężczyznę łokciem, co sprawiło, że podszedł i przedstawił ich jako Nehiego i Anę, męża i żonę, właścicieli i mieszkańców łodzi, na pokładzie której leżałem,

wykorzystywanej przez nich do połowu ryb oraz przewożenia towarów w górę i w dół rzeki.

– Czujesz się lepiej? – spytała kobieta głosem, który podobnie jak męża, miał w sobie coś łagodnego i dodającego otuchy.

Przypomniał mi ton, którym posługiwała się matka, kiedy bardzo jej zależało, by mnie pokrzepić, i ta myśl sprawiła, że przeszła mnie tęsknota za domem o wiele bardziej dotkliwa i bolesna niż którakolwiek z moich ran.

– Gdzie jestem? – zapytałem.

Wyjaśnili mi. Opowiedzieli, że mieszkają na łodzi i obecnie podróżują w kierunku północnym, czyli, wiedziałem dobrze, w stronę Siwy, i że znaleźli mnie w wodzie ciężko rannego.

– Wyglądałeś, młody człowieku, jak świeżo po ciężkiej wojnie – oznajmił Nehi.

– Na początku byliśmy pewni, że nie żyjesz – przyznała Ana.

– Zajęliśmy się tobą najlepiej, jak umieliśmy – wyjaśnił Nehi. Zaraz dodał: – Ale nie myśl, że jesteś nam coś dłużny, nie chcemy o tym słyszeć.

– W takim razie jestem wam dożgonnie wdzięczny.

Następne pytanie z mojej strony dotyczyło tego, ile czasu spędziłem na łodzi. Moi gospodarze wymienili spojrzenia, zrobili kilka zakłopotanych min i wzruszyli ramionami.

– Nie tak długo – odparł Nehi. – Tylko cztery noce.

Wyteżyłem umysł. Czyli zabójca, kimkolwiek był, miał nade mną cztery noce przewagi.

– Jeśli płyniecie dalej na północ, chętnie bym z wami został.

– A co jest na północy?

– Miasto, w którym się wychowałem. I kobieta, którą kocham. – Powstrzymałem się przed wspomnieniem o Medzajach, bo nie chciałem ich narażać. – Moje życie.

Miałem nadzieję, że moje odpowiedzi nie wykluczały się nawzajem, ale nie miało to dla mnie większego znaczenia, bo i tak wiedziałem, że muszę znaleźć się w Siwie.

– Chciałem tylko oddać ci chustę – odezwał się Bion, kiedy Aya odzyskała przytomność i zobaczyła go nad sobą. – Upadłaś.

Potrzebowała paru chwil, żeby się skupić, tak czuła się wytrącona z równowagi obecnością mężczyzny, którego nie zapraszała. Każda kobieta na jej miejscu byłaby zaniepokojona. Dziwny zapach się ulotnił, ale nadal go pamiętała.

– Twoja sąsiadka powiedziała, że niedługo wrócisz – ciągnął. – Bardzo uprzejmie zaproponowała, żebym zaczekał na ciebie tutaj.

W tym czasie Aya powoli podnosiła się na nogi, sprawdzając, czy potrafi się na nich utrzymać. Nie chciała, żeby miał przewagę.

– Moja ciotka... – zaczęła.

– Tak. – Skinął głową, żeby pokazać, że rozumie, o co chodzi. – Rozmawiałem z Nefru. – Uśmiechnął się lekko, ale wyłącznie ustami. – Opowiedziałem jej o naszym spotkaniu w oazie, a ona mi o wszystkim.

Aya uśmiechnęła się ostrożnie, udając całkowity spokój, choć w środku wrzały w niej myśli i uczucia.

Dlaczego? Dlaczego nie chce przebywać w towarzystwie tego człowieka? To było dobre pytanie, tyle że nie umiała na nie odpowiedzieć. W końcu wiedziała, że z jego strony nie ma czego się obawiać. A może jednak powinna, bo coś w nim nie dawało jej spokoju. Zdecydowanie było w nim coś, co ją niepokoiło.

Nie mogła się uwolnić od myśli, czy złodzieje koni w oazie nie znaleźli jej tam dlatego, że ktoś im powiedział, że tam będzie. Ktoś, kto podążał za

nią do oazy. A potem do Siwy.

– Jak długo byłam...

– Tylko kilka chwil – zapewnił. – Złapałem cię i położyłem, żeby przynieść ci wodę. – Wskazał puchar postawiony na stołku. – Ocknęłaś się na tyle szybko, że nie musiałem szukać pomocy u sąsiadki.

Nic nie zostało przestawione, stwierdziła, patrząc od niechcienia na puchar i przy okazji lustrując pokój za nim. Zaczepnęła głęboko powietrza, jakby starała się rozjaśnić sobie umysł – nadal nie czuła tamtego zapachu. Zachowuj się normalnie, upominała się. Niech myśli, że niczego nie podejrzewasz. Być może się myli. Ale też może mieć rację.

– Cieszę się, że tam nie poszedłeś. Nie chciałabym denerwować cioci ani Nefru. A swoją drogą, kiedy rozmawiałeś z Nefru?

– No, to było, kiedy poszłaś odwiedzić... – udawał, że się zastanawia, ale Aya nie dała się zwieść – czyjaś matkę. Matkę Bayeka?

– Coś w tym rodzaju – odparła wymijająco, po czym ruszyła, żeby obok niego przejść.

Nie było powodu, żeby wspominał Bayeka. Chyba że miał w tym własny interes. Aya zmusiła się do zachowania spokoju i rozważała sytuację. Niewątpliwie stanowił problem. Ale czy był zabójcą?

– Muszę iść obok, sprawdzić, co z ciocią.

On również wstał i przeszedł ukośnie przez pokój, niemal blokując jej drogę. Miało to sprawiać wrażenie przypadkowego ruchu.

– Ale czy powinnaś tam iść, skoro źle się czujesz? Słyszałem od medyków, że demony choroby mogą żywić się nawzajem swoją siłą.

– Jestem pewna, że nic nam nie będzie – odparła lekko, wymijając go, tak jak zrobiłby to każdy w zetknięciu z przypadkową osobą, przy której nie czuje się zagrożony. – Muszę sprawdzić, czy dobrze się czuje.

Na jego twarzy pojawił się wyraz skrepowania. Gdyby nie jej

nastawienie, wydawałby się normalny.

– W takim razie może powinienem sobie pójść.

Tak. Tak, wolalabym, żebyś sobie poszedł.

– Nie, nie, oczywiście, że nie – odpowiedziała szybko. Jeśli był zabójcą lub jego pomocnikiem, wołała wiedzieć, gdzie się znajduje. – Zostań, proszę. Jestem ci bardzo wdzięczna za pomoc, kiedy ci mężczyźni próbowali mnie napaść, więc możesz zostać, jak długo zechcesz. Teraz muszę iść zajrzeć do cici, ale niebawem wrócę. Może wtedy coś zjemy? Bardzo bym chciała dowiedzieć się o tobie czegoś więcej.

Przez jego twarz przebiegł dziwny wyraz, którego zapewne by nie dostrzegła, gdyby uważnie się w nią nie wpatrywała.

– Dziękuję – odparł tylko.

Skinęła głową i wyszła. Na ulicy z rozkoszą odetchnęła świeżym powietrzem, mrużąc oczy przed słonecznym blaskiem odbijającym się od bielonego kamienia. Jej wzrok bezwiednie powędrował ku świątyni, jakby coś go tam przyciągnęło. Tak pragnęła, żeby Bayek tam był. Teraz ucieszyłaby się nawet z obecności jego ojca. Skręciła w prawo i miała już wejść do domu Nefru, gdy zatrzymała ją myśl, że może sprowadzić na starsze panie niebezpieczeństwo. Ale z drugiej strony, przecież on już rozmawiał z Nefru. Jeśli stanowił zagrożenie, to było za późno, by trzymać się od niego z dala.

– Nefru – odezwała się cicho przy drzwiach – jesteś tam?

Sąsiadka ukazała się w wejściu.

– Masz gościa – powiedziała znacząco.

Aya delikatnie skierowała ją z powrotem do wnętrza, z dala od otwartych okien i ewentualnych podsłuchiwczy.

– Rozmawiałś z nim.

Nefru skinęła głową.

– Wydawał się miły. A ty mi nie powiedziałaś o tych koniokradach – zbesztła ją łagodnie i zlustrowała dokładnie, jakby bała się, że ujawniły się niewidoczne wcześniej rany.

– O co cię pytał? – naciskała Aya.

Nefru ponownie skinęła głową i przewróciła oczami.

– Wiesz, właściwie to był bardzo wścibski. Chciał się dowiedzieć wszystkiego, co możliwe, o tobie i Bayeku, twojej ciotce, ojcu Bayeka...

– Czyli wszystkiego – przerwała jej dziewczyna.

– O, tak, w zasadzie wszystkiego.

A ty mu powiedziałaś, prawda? Aya zaczerpnęła powietrza i w wyobraźni postarała się skupić całą frustrację w jak najmniejszej kuli, a potem użyć całej siły woli, żeby odłożyć ją na bok.

Stojąc w domu, Nefru miała przez cały czas świadomość jego obecności, jakby mógł ich podsłuchiwać przez ściany, co było absurdem.

Oczywiście, że powiedziałaś mu wszystko. Przecież nie masz pojęcia, co się dzieje.

Zajrzała jeszcze do Herit, po czym wyszła. Na ulicy znienacka natknęła się na Biona, co sprawiło, że aż podskoczyła. Natychmiast zamaskowała to typową kobiecą reakcją, przykładając dłoń do piersi i chichocząc nerwowo, jakby właśnie go rozpoznała.

– Hej! – zawołał z uśmiechem.

Im dłużej mu się przyglądała, tym silniejsze miała wrażenie, że jest w środku pusty. Skinął podbródkiem, patrząc ponad jej ramieniem, a kiedy się odwróciła, zobaczyła Nefru, która machała i wchodziła z powrotem do domu.

– I co, dowiedziałaś się wszystkiego, co chciałaś? – spytał.

Jego uśmiech wyglądał jak przyklejony i nie obejmował oczu.

– Tak, dziękuję. – Mając świeżo w pamięci lęk, jaki odczuwała w jego towarzystwie, pozwoliła sobie na drobny wybieg. – Jeśli się nie pogniewasz,

chciałabym się jeszcze położyć. – Przesunęła ręką po czole. – Nadal czuję się słabo. Może później coś zjemy.

– Oczywiście – odparł. – Tymczasem przespaceruję się po mieście. – Wskazał dłonią w górę. – Wasze świątynie są sławne.

Kiedy się odwróciła, żeby odejść, nachylił się w jej kierunku, a ona ledwo się powstrzymała przed wzdrygnięciem.

– Jak rozumiem, nie mówiłaś Nefru ani ciotce, że źle się czujesz?

Potrząsnęła przecząco głową, ale nie mogła zrozumieć, dlaczego mu zależy na zachowaniu tego w tajemnicy. Potem, kiedy już weszła do domu, coś jej podszeptało, żeby jeszcze wyrzeć na ulicę. Zobaczyła maszerującego nią Biona, ale z pewnością nie kierował się ku świątyniom. Wyglądało na to, że zmierza raczej w stronę domu Bayeka.

Przykro mi było opuszczać Nehiego i Anę. Czułem się w ich towarzystwie jak dziecko w chuście, i to nie byle jakiej, bo należącej do mojej matki. Przyzwyczailem się do rytmu, w którym łódź nocą kołysała się na falach. Za dnia, jeśli czułem się dobrze, wychodziłem na pokład, siadałem na deskach i przyglądałem się ludziom toczącym życie na rzece i wokół niej, oczarowany zupełnie tak samo, jak za pierwszym razem, kiedy jako nieokrzesany chłopak dotarłem na brzeg Nilu, podążając tropem ojca. Staralem się też niepostrzeżenie trenować. Łódź zapewniała interesujące wyzwanie dla mojego zmysłu równowagi. Gospodarze ze swojej strony nauczyli mnie o wiele więcej, niż im się wydawało, dając przykład, jak nie wywracać się na mokrych deskach, kiedy wzburzona woda buja pokładem.

W końcu jednak nadszedł czas i musiałem ruszyć swoją drogą. Wiedziałem, że będę tęsknił, ale i niecierpliwilem się, że nie jestem jeszcze na miejscu. Pożegnałem się serdecznie, podziękowałem za doprowadzenie mnie do zdrowia, zapewniłem, że do końca życia będą mile widziani w Siwie i doradziłem, że jeśli kiedyś odwiedzą moje miasto, niech poproszą kogoś, by wskazał im drogę do mojego domu, do siedziby obrońcy.

– Miło nam będzie poznać tę Ayę, o której tyle słyszeliśmy – powiedziała Ana.

– Tak – odparłem, mając nadzieję, że moja twarz nie zdradza strachu, jaki budziła we mnie myśl, że Aya mogła stać się ofiarą zabójcy.

Przy pierwszej okazji, która mi się nadarzyła, za większą część posiadanych pieniędzy odkupiłem konia od miejscowej karawany. Kiedy

ruszyłem przez pustynię w stronę Siwy, moje myśli powędrowały ku zabójcy i chustce Ayi, która zwisała z jego nadgarstka. Nie potrafiłem wyzbyć się obawy. Wyobrażenia torturowała mnie po nocach, podsuwając różne obrazy. Czy on ją zabił?

W napotkanej osadzie spytałem kupca:

– Jesteś tu od dawna?

– Dzień w dzień od siedmiu lat.

– Czyli widzisz większość osób, które tędy przejeżdżają.

– Jak najbardziej.

– Widziałeś może taką dziewczynę, kobietę? Miałyby za sobą wiele dni podróży. Nosi włosy upięte w warkocze, pas poprzewiązywany chustkami, naramienniki, bardzo piękna.

– O tak, widziałem dziewczynę, która odpowiadała temu opisowi. Kupiła ode mnie chleb.

– Nie wspomniała może, czy zdąża do Siwy?

– Wspomniała.

Zalała mnie fala ulgi i zacząłem się zbierać, ale w tej samej chwili coś – jakiś instynkt – sprawiło, że odwróciłem się z powrotem w stronę kupca.

– Czy mógłbym zapytać o jeszcze jedną osobę? Opisałem zabójcę. Kiedy kupiec potwierdził, że owszem, taki człowiek również przejeżdżał przez tę osadę i też kierował się do Siwy, przeszył mnie dreszcz. W następnej chwili siedziałem już na koniu, podwajając wysiłki, by jak najszybciej dotrzeć do domu.

Bion wrócił i siedział teraz naprzeciw niej na macie ze skrzyżowanymi nogami, na których starannie rozłożył brzeg tuniki. W dłoniach trzymał puchar z winem, a obok niego leżał talerz z okruchami chleba. Wcześniej miała okazję obserwować, z jakim skupieniem pochłaniał posiłek, co uznała za nawyk wyniesiony z wojska albo skutek wędrownego życia. Tylko dzięki szkoleniu odbytemu z Bayekiem potrafiła dostrzec drobne oznaki świadczące, że ma do czynienia z człowiekiem oszczędnym w ruchach, oraz rozpoznać zgrubienia skóry charakterystyczne dla osób posługujących się mieczem lub łukiem.

Aya nadal niewiele wiedziała o nieznanym z twarzą w bliznach, którego teraz gościła. On dowiedział się o niej tak wiele, ale nic nie zaoferował w zamian. To też wiele o nim mówiło. Była teraz przekonana, że to zabójca. Czatował na Bayeka, a na razie odnalazł ją.

Podeszła do niego, zabrała talerz i dołała mu wina. Potem odciągnęła swój stołek na drugi koniec pokoju, pragnąc zwiększyć dystans między nimi. Dopiero wtedy usiadła i wzięła do ręki swoje wino.

– Zatem – zagaiła – jak wygląda twoja historia? Dlaczego nigdy się nie ustatkowałeś? – Było to pytanie, które zadałaby niemal każda młoda kobieta z miasteczka takiego jak Siwa, żądna ciekawych plotek.

Łatwo było naśladować zachowanie Nefru, co dawało jej przykrywkę pozwalającą uważnie go obserwować.

– Któż to wie? Zapewne to przez te wszystkie lata spędzone w Gwardii Królewskiej. W młodości mieszkałem i pracowałem w Aleksandrii, chroniąc

możnych i posiadających władzę.

Na wspomnienie wielkiego miasta odrobinę się ożywiła.

– Moi rodzice tam mieszkają, w Aleksandrii – powiedziała i pozwoliła, żeby radość na myśl o bliskich uwidoczniła się na jej twarzy, przedostając się przez głęboko skrywany niepokój. Kolejny manewr mylący. – Spędziłam tam pierwsze lata, zanim przyjechałam tu i zamieszkałam z ciocią. – *Ale ty zapewne już to wiesz*, pomyślała. I rzeczywiście przytaknął ruchem głowy, jak ktoś, kto potwierdza, a nie reaguje na po raz pierwszy usłyszaną informację. – Chciałabym kiedyś tam wrócić – dokończyła.

Bion nie zadał żadnego pytania i nie kontynuował tematu.

– Cóż, na tym akurat wcale mi nie zależy – skomentował. – Jestem niezwykle szczęśliwy, że zostawiłem tamto życie za sobą.

– Bardzo się różnimy, ty i ja – zauważyła, podziwiając jego opanowanie i wiedząc, że te słowa to stąpanie po cienkiej linii.

Kiwnął głową.

– To prawda, bardzo. Poza jednym ważnym aspektem.

– Doprawdy? – odparła ostrożnie. – A jakiż to aspekt?

Nie spodobał jej się wyraz, który dostrzegła w jego oczach. Znów to samo. Jakby poza nimi znajdowała się pustka. Absolutna nicość.

– Pamiętasz ten dzień przy wodopoju, kiedy pochwaliłaś moje umiejętności łucznicze, a jednocześnie zauważyłaś, że mój łuk jest nowy?

– Oczywiście.

– Skłamałem, kiedy powiedziałem ci, że byłem najlepszym łucznikiem w swoim oddziale.

– Rozumiem – odparła. Zerknęła na drzwi, zastanawiając się, czy powinna do nich pobiec i czy zdąży tam dotrzeć, zanim ją zatrzyma. – Przypuszczam, że pytanie brzmi, dlaczego uznałaś za stosowne mnie okłamać.

Przygryzł wargę.

– Nigdy nie radziłem sobie zbyt dobrze z łukiem. Mój komendant, Raia, często kpił ze mnie z tego powodu.

– Czuleś z tego powodu wstyd?

– Cóż, to nie był powód do chluby, skoro byłem członkiem Machairophoroi.

Czuła w brzuchu narastający niepokój, wiedziała, że on wie, że ona wie. Ich słowa cięły teraz jak noże i lada chwila mogła pojawić się krew. Mimo wszystko zachowywała spokój. Gdyby chciał ją skrzywdzić, już dawno by to zrobił.

Zatem miała wcześniej rację. *Przynęta.*

– Myślę, że o to chodziło – ciągnął Bion. – Widzisz, dopiero niedawno przekonałem się do łuku. Chyba właśnie z powodu zażenowania czy próżności wolałem zachować to w tajemnicy.

– Przecież nie ma czego się wstydzić – zapewniła go, ale jednocześnie cały czas się zastanawiała, co on właściwie chce powiedzieć. Choć w zasadzie nie bardzo ją to obchodziło. Najważniejsze, że mówił, bo gdyby ktoś zbliżył się do domu, usłyszałby go i dowiedział się o jego obecności. A poza tym, póki mówił i nie ruszał się z miejsca, nie groziło jej, że ją zaatakuje. – Nikt, a w szczególności ja, nie osądzałby cię na podstawie takiego drobiazgu. Bardzo się ucieszyłam z twojego pojawienia się przy wodopoju.

– Moja pomoc wcale nie była konieczna. Miałem okazję zauważyć, że świetnie sobie radzisz w walce. Już wtedy zastanawiałem się, gdzie zdobyłaś takie umiejętności. I nadal mnie to ciekawi.

– Mój... – przerwała. – Mojemu przyjacielowi Bayekowi zależało, żebym potrafiła się obronić podczas samotnych podróży. To on mnie uczył.

– Wspaniale zastosowałaś te nauki w praktyce. A gdzie on teraz jest, ten

Bayek?

– O to samo pytałeś Nefru, więc znasz odpowiedź. Zastanawiam się tylko, dlaczego teraz z kolei mnie o to pytasz.

Rozłożył ręce, jakby nie chciał udzielić konkretnej odpowiedzi. Patrząc na nią pustymi oczami, obdarzył ją nikłym uśmiechem. Było to nieme przyznanie, że każde z nich przejrzało podstęp drugiego. Wydawało jej się, że dostrzegła przebłysk szacunku w jego oczach, ale wiedziała, że to nic nie znaczy. Ten mężczyzna zabijał, bo mógł. Cokolwiek więcej czuł, było nieistotne. Jak tylko będzie miał okazję, zabije Bayeka, zabije ją, a potem zapewne również Nefru, Herit i Ahmose, po prostu żeby nie zostawiać świadków. Dlatego była gotowa z nim rozmawiać nawet do końca świata, żeby temu zapobiec.

– Wspomniałeś, że mamy ze sobą coś wspólnego – przypomniała mu. – Co miałeś na myśli?

Skinął głową.

– Tak, do tego zmierzałem. Dostrzegłeś, że mój łuk jest nowy. Chyba wtedy pochwaliłem cię za spostrzegawczość. I to właśnie, Ayu, mamy ze sobą wspólnego. Ja również jestem spostrzegawczy.

Nie odrywała od niego wzroku, ale jednocześnie w myślach obliczała, jaka odległość dzieli ją od drzwi. Jak ciężki może być stołek, na którym siedzi. Jak szybko może nim w niego rzucić, żeby zyskać trochę czasu.

– Dlaczego mam wrażenie, że te twoje wywody do czegoś zmierzają?

– Bo tak jest.

Przełknęła ślinę, przygotowując się na nieuniknione. W pokoju wyczuwało się napięcie. Skryła przebłysk nadziei pod strachem, któremu pozwoliła jeszcze odrobinę się zwiększyć. Chciał rozmawiać, więc będzie z nim rozmawiać, jak długo się da.

– Słucham, powiedz mi. Do tego przez cały czas zmierzałeś, prawda?

Więc mi powiedz. Co takiego zaobserwowałeś, o czym tak bardzo chcesz mi powiedzieć?

– No, więc, dobrze, powiem – odparł.

I rzucił jej spojrzenie tak intensywne, że miała wrażenie, jakby jego ciemne oczy przeszywały ją na wylot...

Pędziłem szybciej, niż kiedykolwiek wcześniej się odważyłem, popędzając nieustannie swoją klacz i obiecując jej wodę, owies i wszelkie końskie przyjemności, jeśli tylko prędko dowiezie mnie do Siwy.

Zapadała już noc, a my, człowiek i koń, nie zwalnialiśmy biegu, i przez cały czas dręczył mnie śmiertelny strach, że mój wierzchowiec się potknie, straci równowagę i przewrócimy się razem na ziemię.

A gdyby do tego doszło – gdybyśmy naprawdę upadli – czyja by to była wina? Biednego konia, wyczerpanego i biegnącego z pianą na pysku, zmuszanego do galopu, pomimo że niewiele było widać w coraz większym mroku, i nieugiętego do końca, choć nowy właściciel tak źle go traktował? A może jednak jeźdźca? Mężczyzny doprowadzonego niemal do szaleństwa przez rozpaczliwą konieczność? Mężczyzny wypełniającego misję?

Dobrze wiedziałem, jak brzmi odpowiedź.

W końcu w moim polu widzenia pojawiła się oświetlona światłem księżycy woda oazy i zmusiłem klacz do jeszcze większego, ostatniego przyspieszenia, obiecując jej wszelakie skarby...

A jednak upadła. Nie wiem, czy z wyczerpania, czy źle stąpnęła, ale jej przednia noga się wygięła, tułów poleciał rozpędem do przodu i obydwójce znaleźliśmy się na ziemi.

Przez chwilę leżałem, wściekły. Potem obróciłem się i sprawdziłem, czy nie mam złamań lub ran, i odetchnąłem z ulgą, bo nic mi się nie stało. Obok klacz gramoliła się na nogi i w końcu się podniosła. Stała ze spuszczoneym łbem, ale na szczęście też cała. Tak wiele od niej wymagałem – zbyt wiele –

a ona doniosła mnie aż tutaj.

Była wyczerpana, lecz resztę drogi mogłem przebiec sam.

– Dziękuję, dziękuję – wyszeptałem, ściągając z niej juki.

Wziąłem miecz i łuk, przewiesiłem je przez plecy i ruszyłem biegiem wokół oazy. Nade mną wznosiło się wzgórze Siwy, a forteca i świątynie przyglądały mi się z niego władczo. Wpadłem na trakt prowadzący do wioski, poruszając rytmicznie nogami i rękami. Biegłem z dużym obciążeniem, ale byłem zdeterminowany.

Nie miałem czasu zastanawiać się nad powrotem. Jedyne, o czym mogłem myśleć, to Aya, i zmierzałem właśnie do jej domu. Oddychałem z trudem, kończyny wydawały mi się tak ciężkie, że nawet sobie nie wyobrażałem, że to możliwe. Biegłem ulicami i zaułkami, które doskonale znałem, ale nigdy wcześniej nie przemierzałem ich z taką motywacją i determinacją.

I w końcu go zobaczyłem: domek jej ciotki. Po raz ostatni widziałem go tej nocy, gdy przed laty opuszczałem Siwę, toteż ten widok przeniósł moje myśli w dawne czasy. Ale teraz nie pora na radosne wspomnienia. Teraz musiałem przede wszystkim trzeźwo myśleć i być mądry – czyż nie to ojciec stale wbijał mi do głowy? Zachowaj ostrożność. Myśl. Planuj.

Schroniłem się w cieniu rzucanym przez domy po drugiej stronie ulicy, żeby mieć czas na złapanie oddechu. Bezszelestnie odłożyłem juki na ziemię, obserwując przez cały czas front domu Herit. Uderzyło mnie, że jest bardziej zaniedbany niż dawniej. Sprawdziłem, czy miecz jest na swoim miejscu, ująłem na chwilę rękojeść noża i poczułem się silniejszy dzięki temu, że miałem je u pasa. Ruszyłem biegiem na drugą stronę ulicy.

Przed drzwiami stanąłem i przez chwilę nasłuchiwałem, choć nie wiem, co właściwie spodziewałem się usłyszeć. W każdym razie nie dobiegły mnie żadne dźwięki. Mimo to dom wyglądał na zamieszkały, bo w drzwiach

wisiała mata, a w oknach zasłony. Nie było jak go obejść, żeby dostać się do niego od tyłu. Chcąc nie chcąc, musiałem skorzystać z frontowego wejścia. Wzięłem głęboki oddech i wślizgnąłem się do środka.

Ciemność. Cisza.

Rozejrzałem się i dostrzegłem coś znajomego – czerwoną chustkę Ayi na stole. Niedaleko leżały też jej karwasze.

Na stole zauważyłem coś jeszcze. Dwa puchary, które wzięłem do ręki, żeby zbadać. Niedawno ich używano, bo były jeszcze mokre. Wyczułem zapach wina. Czy Aya piła je z ciotką? Może Herit wydobrzała? Czy to możliwe, że zabójca jeszcze tu nie dotarł? Albo przyjechał i czekał na stosowną chwilę. Może handlarz, z którym rozmawiałem, po prostu się pomylił?

Przeniosłem teraz uwagę na część sypialną. Znałem rozkład tego domu. Było tu tylko jedno pomieszczenie sypialne, więc zapewne Aya dzieli je z ciotką. Przez chwilę wahałem się, co zrobić. Z jednej strony nie chciałem najeść się wstydu, zostając przyłapanym na zaglądaniu do kobiecej sypialni, ale z drugiej – być może za tą ścianą leży Aya. Aya, za którą tęsknię od tyłu miesięcy, do której wyrywa się moje serce.

No dobrze. Uchyliłem drzwi do części sypialnej i szybko zajrzałem.

Była pusta.

Jeszcze raz zajrzałem. Nic się nie zmieniło – nadal pusto. W tym momencie moje obawy zostały wyparte przez znacznie silniejsze złe przeczucie. Były tu przedmioty Ayi, ale ona sama zniknęła.

Gdzie zatem jest?

Nagle mnie olśniło, że przecież obok mieszka najbliższa przyjaciółka Herit, Nefru. Wypadłem błyskawicznie na ulicę, nie dbając już tak bardzo o zachowanie ciszy. Nefru zapewne nie będzie zachwycona pobudką w środku nocy, ale tym razem to wyższa konieczność. Będąc już pod jej drzwiami,

usłyszałem dobiegające ze środka głosy. Wszystkie je rozpoznałem: Nefru, Herit i... Aya.

W tej chwili zapomniałem o dobrych manierach. Uleciały mi z głowy nawet myśli o zabójcy i pomszczeniu ojca. Po usłyszeniu tego głosu jedyne, o czym mogłem myśleć, to ona. Wykrzykując jej imię, wtargnąłem do domu Nefru. Może i nie było to stosowne wejście, ale nic mnie to nie obchodziło – jedyne, czego pragnąłem, to ją zobaczyć, a widok, który ujrzałem, był dla mnie cenniejszy niż woda, strawa czy powietrze. Zobaczyłem Ayę! Zobaczyłem, jak podnosi się z miejsca z szeroko rozwartymi oczami i wyrazem kompletnego zaskoczenia, który po chwili przerodził się w odbicie moich własnych odczuć, coś, co można nazwać jedynie radością.

Usłyszałem, jak Nefru mówi:

– Bogowie, dziecko, on przyjechał – a Herit jej wtóruje.

Ale to były tylko dźwięki w tle, na które zupełnie nie zwracałem uwagi, gdy bieглиśmy z Ayą ku sobie jak woda zamykająca się po przepłynięciu statku.

– Tak bardzo za tobą tęskniłam – powtarzała pomiędzy pocałunkami, którymi mnie zasypywała, trzymając moją twarz dłońmi. Nie pozostawałem jej dłużny. Za nami Nefru i Herit gruchały o „młodzieńczej miłości” i „czyż to nie słodkie”, jakbyśmy byli świeżo zakochanymi w sobie dzieciakami wymieniającymi pierwsze niezdarne pocałunki. A przecież byliśmy parą tak długo, że rozważaliśmy małżeństwo, a po naszym rozstaniu czułem, jak sobie teraz uświadomiłem, jakby jakaś część mnie umarła.

– Myślałem, że już nigdy cię nie zobaczę – tchnąłem.

Na jej usta wrócił tak dobrze mi znany, nieco ironiczny uśmiech.

– Mnie za to Rabia powiedziała, że twój powrót jest przesądzony.

– Szkoda, że ja nie mogłem mieć tej pewności – odparłem. – Bałem się, że nie żyjesz.

Potrząsnęła głową, a w jej głosie usłyszałem dziwny ton ulgi.

– Ale nic mi się nie stało. A gdzie twój ojciec?

Znów obudził się we mnie piekący ból.

– On nas w końcu odnalazł, Ayu. Ten człowiek, który polował na nas przez minione lata. Odnalazł nas i zaatakował.

– Sabu nie żyje? – powiedziała z pobladłą twarzą. – Tak mi przykro.

Złapałem ją za ramiona.

– Czy on tu jest?

Zesztywniała. Zaciśnęła dłonie w pięści i bezwiednie przybrała postawę, której obydwójce się nauczyliśmy podczas mojego szkolenia. Postawę gotowości do walki. Wszystko było jasne.

– Tak – odparła cicho.

Zza jej pleców dobiegł piskliwy głos Nefru:

– Ten człowiek, o którym mowa, Bayeku. On jest niebezpieczny, tak?

Nie odrywałem oczu od Ayi.

– Niezwykle niebezpieczny, Nefru. Niebezpieczny, a na do datek zdecydowany zabić mnie i cały mój ród. Jeśli tu jest, muszę natychmiast wiedzieć gdzie.

Wyraz oczu Ayi powiedział mi wszystko. Następne pytanie Nefru:

– Jak on wygląda, ten człowiek? – było zbędne.

Kiedy je zadawała, Aya powoli kręciła głową.

Był tutaj. Miałem już taką pewność, że go widziały, jakby zabójca stał w tej chwili w tym pokoju. I wystarczyło, że powiedziałem: – Blizny.

Obie starsze kobiety gwałtownie pobladły.

– Był tu – odezwała się Herit. – Ma na imię Bion.

Przez szaloną chwilę chciałem spytać Ayę, czy nic jej nie jest – choć przecież widziałem, że nie – albo czy nie zdarzyło się coś innego. Ale nie. Wyglądało, że nie odniosła żadnych urazów, przynajmniej fizycznych. Nie

tknął jej. Czekał na mnie. To ja byłem prawdziwą zwierzyną.

– Gdzie jest teraz? Tam go nie ma.

– Nie jestem pewna – zaczęła Aya. – Ja nie... Bayek, myślę, że on mógł...
Mój ród, przeleciało mi przez myśl.

– Moja matka – odezwałem się gwałtownie, wypuszczając Ayę z objęć.

Dopiero do mnie dotarło, dlaczego ona szykuje się do walki w domu ciotki. –
Bogowie, moja matka.

W następnej chwili wypadłem na ulicę z Ayą dzielnie dotrzymującą mi kroku.

– Bayeku, stój! – krzyknęła. – On jej nie zabije, póki ciebie tam nie będzie!

– Musimy się spieszyć! – zawołałem do niej i popędziłem dalej.

– Wiem – odparła – ale mnie nie zabił, bo nie było ciebie. Powiedział mi, że poczeka. – Słyszając to, niemal się zatrzymałem, dzięki czemu zdołała mnie dogonić. – I nie będziesz walczył z nim sam.

W oknach i drzwiach okolicznych domów pojawili się ciekawscy, ale nie miałem czasu ani ochoty ściszać głosu z ich powodu.

– Nie znasz go tak dobrze jak ja – odparłem.

– Byłbyś zaskoczony.

– On nauczył się...

– Dobrze strzelać z łuku. Wiem. Mówiłam ci, że z nim rozmawiałam.

To mnie znów zszokowało. Ale faktycznie mówiła. Wykorzystała tę pauzę, żeby powtórzyć:

– Idę z tobą.

Oczywiście miała rację. Nic innego nie miało teraz znaczenia. My z ojcem, dwaj Medzajowie, nie poradziliśmy sobie z zabójcą. Ze wszystkich osób w Siwie tylko Aya trenowała równie ciężko jak ja. Nie mieliśmy sprecyzowanego planu, ale nasza dwójka działająca razem powinna sobie

poradzić. Nagle stało się dla mnie oczywiste, że zabieranie się za to zadanie bez niej byłoby idiotyczne.

Poczuliśmy nagły przypływ bliskości. Pobiegliśmy dalej ramię w ramię i mimo okoliczności widziałem na jej ustach uśmiech. Wiedziała, że podjąłem słuszną decyzję.

– Poczekaj tu – rzuciła i wbiegła do swojego domu.

Po chwili dołączyła do mnie ponownie z mieczem i karwaszami, które związywała, gdy biegnęliśmy pod górę w stronę mojego domu.

Od tylu lat tęskniłem za matką i marzyłem, kiedy ją zobaczę, a teraz sprowadziłem śmierć pod jej drzwi. A jeśli jest już za późno, czy kiedykolwiek będę potrafił to sobie wybaczyć? Znałem już odpowiedź na to pytanie, gdy wraz z Ayą gwałtownie zatrzymaliśmy się w pobliżu mojego starego domu. Miałem wrażenie, że znów rzuca na mnie cień. Prawdę mówiąc, mój dom zawsze wydawał mi się nieco odpychający, zapewne dlatego, że był w nim mój ojciec. Mimo wszystko to jednak był mój dom – miejsce, w którym mieszkałem. Teraz sytuacja się zmieniła. Teraz, kiedy stanęliśmy przed nim z Ayą i spojrzeliśmy na siebie, zastanawiając się, co się zdarzy, kojarzył mi się raczej z polem bitwy.

Przez lata spędzone razem, podczas których wzajemnie się uczyliśmy, wytworzyła się w nas umiejętność porozumiewania się bez słów. Teraz ją wykorzystałem. Gestem nakazałem jej milczenie i wskazałem, żeby przedostała się na tył domu. Sam natomiast z walącym sercem podszedłem do drzwi frontowych.

Nasze drzwi były znacznie solidniejsze niż w innych domach wioski. Sprawdziłem, czy dadzą się otworzyć, pamiętając z młodzińskich eskapad, że skrzypią, ale niewiele mogłem na to poradzić. Czas miał teraz ogromne znaczenie. Jeśli był tu Bion, to z pewnością w środku. Zatem ja też musiałem tam wejść, i to natychmiast.

Czy działałem bez planu, przed czym zawsze ostrzegał mnie ojciec?
Można było tak powiedzieć, ale tym razem przynajmniej nie byłem sam.
Miałem u boku Ayę.

Jeśli mam być szczery, to kiedy wparowywałem przez drzwi, w moim sercu tliła się nadzieja, że zastanę wewnątrz puste jak u Herit. Owszem, chciałem stawić czoła zabójcy, ale dużo bardziej pragnąłem, żeby moja matka była cała i zdrowa.

Mój rodzinny dom wyglądał tak, jak go zapamiętałem – tak jak zawsze. Nie pamiętam właściwie, co spodziewałem się zobaczyć w środku, ale przywitał mnie widok Biona. Jeźdźca, łucznika, szermierza, człowieka, który zabił mojego ojca i obrał sobie za cel pozbawić życia również mnie.

Zaskoczyło mnie, jak bardzo nie przypominał olbrzymiej postaci, którą zapamiętałem. Kiedy widziałem go ostatni raz, przebijał mojego ojca mieczem, a przez to, że wyszedł z walki zwycięsko, choć sam był ciężko ranny i skąpany we krwi, bardzo urósł w mojej wyobraźni.

Teraz wyglądał jak zupełnie inna osoba.

Siedział na taborecie. Nogi miał rozsunięte, a wzrok spuszczonej. W pierwszym odruchu pomyślałem, że wpatruje się w swoje kolana, ale po chwili dostrzegłem błysk metalu w jego dłoni. Ostrze, niewielkie. Sztylet. Jego miecz wciąż zwisał z pasa – swój miałem w dłoni – ale moje obawy sprawiły, że zamiast wykorzystać przewagę i natychmiast zaatakować, rozejrzałem się uważnie po pokoju, by się upewnić, że nie ma w nim matki.

Zabójca był świadom mojej obecności. Nie mogło być inaczej. W pokoju nie znajdował się nikt poza nami i każdy dźwięk w tej pustej przestrzeni bił po uszach niczym trzask tłukącego się dzbana. Mimo to nie poruszył się, nie zareagował w żaden sposób na moje pojawienie się. Był tylko on, taboret,

nóż i ja, a we mnie narastający szal zemsty, świadomość, że znalazłem się tu, by pomścić zło, które dokonało się na brzegu Nilu.

Wreszcie podniósł wzrok i odnalazł swoimi oczami moje.

– Witaj, Medzaju – przywitał się cicho.

Sposób, w jaki to powiedział, nie pozostawił w moim umyśle żadnych wątpliwości, podkreślił nieodwołalność tego, co miało się tu stać.

Nadszedł czas.

Przestąpiłem pokój w dwóch szybkich krokach i ciałem od dołu, celując w jego odsłonięty lewy bok – przewidział to, bo w mgnieniu oka porzucił fasadę zamyślenia i jednym, niesamowicie szybkim ruchem wstał, obrócił się przodem do mnie i wyciągnął miecz.

Nasze klingi zderzyły się raz, drugi, po czym cofnąłem się o krok i przyjąłem inną pozycję. On w odpowiedzi zrobił to samo.

Ojczy, mam nadzieję, że spojłdasz na mnie z zaświatów. I ty, i Tuta. Bo cokolwiek za chwilę się stanie, chcę, byś wiedział, że robię to, co robię, dla ciebie, dla Medzajów i dla swojej rodziny. A jeśli przyplączę tę decyzję życiem, to przynajmniej zginę we własnym domu, broniąc swoich najbliższych.

Moje myśli powędrowały ku matce. Jakby w odpowiedzi w drzwiach za Bionem pojawiła się Aya.

– Nic jej nie jest, Bayeku. Żyje! – zawołała.

Dostrzegłem, że w jej oczach lśnią łzy ulgi.

Zabójca przeniósł wzrok ze mnie na Ayę i... wydało mi się, czy jego spojrzenie zmiękło, kiedy na nią padło? Zmiękło, a potem pojawił się w nim nowy przeblysłk... jakby uczuć? Nie wiem jak, ale wyczułem, że w naszym przeciwniku coś się zmieniło. Nieustępliwość pozostała ta sama, ale kryło się pod nią coś jeszcze.

Aya trzymała w dłoni swój miecz. Bion dostosował się do sytuacji,

zmieniając pozycję, i dostrzegłem w sposobie, w jaki się poruszył, minimalną niezdarność. Zastanowiło mnie, czy nie wynikała może z rany, którą zadałem mu w trakcie walki w obozie. Czyżby zabójca, który stał teraz naprzeciw nas, był osłabioną, mniej skuteczną wersją człowieka, z którym starliśmy się tamtego dnia?

Wymieniliśmy z Aya spojrzenia i dałem jej sygnał, poklepując się po boku. Natychmiast pojęła, co mam na myśli.

Bion zarejestrował ruch mojej dłoni i wiedział, co znaczy. Przemieścił dłoń, w której ścisnął sztylet, żeby zasłonić bok. Tymczasem Aya przemieściła się tak, że znalazła się minimalnie poza jego polem widzenia. Skinęła do mnie ledwie zauważalnie i zaatakowaliśmy jednocześnie.

Nasze miecze się spotkały. Walka się rozpoczęła.

Nie marnowaliśmy energii, próbując z nim rozmawiać albo go podjudzać. Instynktownie wiedzieliśmy, że to bezcelowe. Zamiast tego zaatakowaliśmy po prostu, w milczącym porozumieniu, że będziemy go dręczyć, podskubywać cios za ciosem, aż odkryjemy słaby punkt, na który rzucimy się niczym dwugłowy wąż.

Bion poruszał się jednak błyskawicznie i miał doskonałą technikę. Czubkiem miecza znalazł moje ramię. Poczułem ciepłą krew ściekającą po ręce, ale na szczęście – jak dotąd – nie ból, i szybko odpowiedziałem pierwszym trafieniem ze swojej strony, w bok, obok miejsca, w którym utkwiał mój nóż podczas walki nad rzeką. Odruchowo przestąpił w tył, co Aya wykorzystała, żeby ugodzić go w udo. Krew z obu ran pociekła po jego nodze na kamienną podłogę i zwróciłem uwagę, że zaczął delikatnie obracać stopą za każdym razem, kiedy przestawiał nogę, żeby mieć pewność, że nie stanął w śliskim miejscu. Był naprawdę niesłychanie dobry.

My jednak też nie mieliśmy się czego wstydzić. Poza tym było nas dwoje, a mnie łatwiej parowało się jego ataki, choć nie były mniej zażarte niż

te, które pamiętałem z ostatniego razu.

Ścieraliśmy się przez dłuższą chwilę. W końcu oznajmił:

– Poprawiłeś się.

– Walczę od serca. Żeby pomścić śmierć ojca.

Kiedy to powiedziałem, coś się stało, i zakląłem w duchu. Matka pojawiła się w drzwiach swojego pokoju i zobaczyłem, jak przykładła dłoń do ust, żeby zamaskować szok i gwałtowne wciągnięcie powietrza. Nie tak wyobrażałem sobie chwilę, w której przekażę jej wieści.

– I obronić swoje credo. Prawda, Medżaju? – stwierdził zabójca chłodno, bezdusznie. Po cieniu emocji, który wcześniej dostrzegłem, nie było śladu.

– To też, prawda. To też.

Szczęk. Szczęk. Dźwięk stali uderzającej o stal towarzyszył naszemu nieustającemu tańcowi wokół pokoju. Kamienną podłogę pokrywała śliska warstwa krwi ściekającej z naszych zakrwawionych tunik.

– A jeśli ci się uda? Jeśli pomścisz ojca, to co dalej? – spytał zabójca. Formował słowa w krótkich przerwach pomiędzy oddechami i choć utrzymywał wokół siebie atmosferę nieustępliwości, wyczułem, że zaczyna się męczyć. Mimo to kontynuował swój wywód: – Nic, tylko więcej zabijania. Pewnego dnia będziesz tym tak samo zmęczony jak ja teraz. Pewnego dnia zacznie ci się robić niedobrze na widok własnego odbicia. Słyszałem od innych ludzi, że to częsta reakcja.

– Różnica między nami jest taka, że ty zabijasz dla samego zabijania – odparłem. – Ja chcę przyłożyć rękę do powstania lepszego Egiptu. – Poczulem się pewnie, jakbym powiedział to, co trzeba.

Bion jednak natychmiast uśmiechnął się krzywo, szyderczo.

– Problem z wami wszystkimi, z Zakonem, z Medżajami, polega na tym, że wszystkim wam się wydaje, że staracie się zbudować lepszy kraj. Jesteście przeświadczeni, że wasza prawda jest najprawdziwsza i nie obchodzi was nic

poza udowadnianiem, że macie rację. A stos trupów tylko rośnie i rośnie.

– Powiedział płatny zabójca. Jak ci się nie podoba, to opuść miecz. Przymierzam, że nie będę przeciągał twojej agonii.

Szczęk, szczęk. Uparcie usiłowaliśmy znaleźć dziurę w swojej obronie, Aya też atakowała. Udało jej się zaliczyć dwa szybkie trafienia, czym zarobiła na wściekłe spojrzenie i cięcie, którego cudem uniknęła. Widząc to, doskoczyłem z kolejnym atakiem, i tak to szło.

– Nie wolno mi, Medżaju, choćbym i chciał – oznajmił.

– Musisz wytepić nasz ród, o to chodzi?

Bion skinął.

– Wszyscy tu obecni muszą umrzeć.

– Aya nie – odparłem.

– Nawet Aya.

– Dlaczego? – spytałem. – Ona nie ma w żyłach naszej krwi. Bion zerknął na nią – i to do niej się odezwał: – Nie wiesz?

Wzrok Ayi przeskoczył między Bionem a mną i zobaczyłem na jej twarzy zaniepokojenie. Co on miał na myśli? Mój brzuch podrażniły oślizgłe macki strachu.

Nie rozpraszaaj się, nakazałem sobie w myślach. On na to liczy. Mimo to w naszych zmaganiach nastąpiła chwila względnego spokoju, podczas której krążyliśmy wokół siebie. Nad ramieniem zabójcy dostrzegłem sylwetkę matki, która wciąż stała w drzwiach, ale nie pozwoliłem, żeby jej widok odwrócił moją uwagę.

– Możesz mi powiedzieć, o co mu chodzi? – powiedziałem do Ayi, nie odrywając wzroku od Biona i nie opuszczając miecza.

– Nie pozwól mu odwrócić twojej uwagi od walki – nakazała.

Zdążyła przejrzyć jego sztuczki i odzyskała panowanie nad sobą.

– Nie pozwolę.

– Po prostu kwestia tego, jak wszystko zbiegło się w czasie. Nie unikałam tematu – zapewniła mnie. – Niczego przed tobą nie ukrywam.

– Ona nosi twoje dziecko, Medżaju – oznajmił Bion i wybił się mocno w moją stronę.

Nie dało się ukryć, że jego słowa odniosły pewien efekt, trafiły mnie niczym cios w brzuch. Zza jego pleców dobiegł mnie okrzyk zaskoczenia Ayi. Mimo to udało mi się odbić jego miecz i wróciliśmy na poprzednie pozycje, a przewaga, którą miał nadzieję uzyskać, nie zmaterializowała się. Wiedząc, że sytuacja obróciła się na moją korzyść, pozwoliłem sobie na uśmiech. Czyżby założył, że informacja o ciąży Ayi mnie osłabi? Miał nadzieję, że dam się zaskoczyć?

Nieważne. Jego plan się nie powiódł. Wręcz odwrotnie: poczułem przyływ siły i pewności siebie. Nadziei. Nadziei, że nie kłamał. Że nawet jeśli była to tylko zagrywka z jego strony, później okaże się prawdą. Dostałem nowy powód, by walczyć – już nie chodziło tylko o honor Medżajów i pamięć ojca – i wznowiłem ataki z większą zawziętością, podobnie zresztą jak Aya.

Dostrzegłem u Biona oznaki zbliżającej się porażki, takie same, co wtedy u ojca na brzegu rzeki. W jego paradach pojawiła się desperacja, ruchy stały się mniej zdyscyplinowane. Twarz miał pobladłą, a na brew wystąpił mu pot. Przeliczył się. To, co zawsze uważał za słabość, okazało się źródłem siły.

Był jednak żołnierzem, wojownikiem. Zabójcą, który miał do wykonania misję. W jego słowniku nie znajdowało się słowo porażka. A to sprawiało, że wciąż był niebezpieczny.

Jakby czytał mi w myślach, przejął inicjatywę. Aya podeszła odrobinę za blisko, być może rozzuchwalona przebiegiem walki, w odpowiedzi na co Bion zamarkował atak, zanurkował pod wysoką gardą, objął Ayę ramieniem i przyciągnął do siebie, jednocześnie przykładając jej nóż do gardła.

To jedno posunięcie wystarczyło, by postawić sytuację na głowie. Teraz to on miał przewagę.

Zamarłem. Usłyszałem słowo: „Nie!”, i zdałem sobie sprawę, że wydostało się z moich ust. Aya napięła ciało i uniosła podbródek, odruchowo uciekając przed ostrzem przyłożonym do nasady jej szyi. Powolnym ruchem obracała miecz klingą ku sobie. Wiedziałem, co zamierza, i poczułem, jak po moich plecach rozlewa się lodowata fala strachu. Jeśli uda jej się przebić i siebie, i jego pod odpowiednim kątem, być może przeżyje. A może nie. Jego oczy spoglądały na mnie nad jej ramieniem. Zimne, bezduszne, wyrażające bezgraniczne ból i udrękę, które go przepełniały i które zadawał innym. W oczach Ayi odmalowywały się za to miłość i determinacja. Wiedziałem, że chociaż nie chce, zrobi to.

Dostrzegłem, jak jego ręka się napina, żeby przeciągnąć ostrzem po szyi Ayi, która w tym czasie ustawiła miecz pod odpowiednim kątem. Przerazało mnie, że była do tego gotowa. Sięgnąłem po swój nóż, choć wiedziałem, że to, co zamierzam, nie miało szans powodzenia, i w tej samej chwili...

Bion wybałuszył oczy i rozdziawił usta. Ręka, w której trzymał miecz, zwiotczała, a zaraz potem z kłopotem upadł na kamienie jego nóż. Po chwili dołączyła do niego na podłodze broń Ayi. Podbiegłem i chwyciłem Ayę akurat w momencie, gdy zabójca się zatoczył. Wzięła paniczny oddech i zerknęła przez ramię. Dostrzegłem nóż tkwiący w plecach Biona, a na drugim planie matkę, która nie zdążyła jeszcze opuścić ręki.

– Przekaż pozdrowienia mojemu mężowi – oznajmiła, przyglądając się z mściwą satysfakcją, jak opada na kolana i osuwa się na bok.

Zabójca zaległ na kamiennej podłodze, wydając westchnienie, w którym

umiałem już rozpoznać preludium śmierci.

W pokoju zapanował spokój, ulotniło się poczucie zagrożenia. Od matki biły fale płomiennej furii, która przypominała mi o nocy, kiedy zabiła ludzi Menny. W obronie swojej rodziny. Przez chwilę trudno mi było uwierzyć, że to koniec, ale tak było. Wróg leżał pokonany u naszych stóp, wierzgając nogami. Na jego ustach formowały się słowa. Dostrzegłem, że próbuje przywołać mnie wzrokiem, więc wyciągnąłem sztylet i odwróciłem się w jego stronę.

– Uważaj, Bayeku – ostrzegła mnie Aya, na co skinąłem głową.

Ostrożnie podszedłem do Biona i przyklęknąłem obok niego. Aya zajęła miejsce obok mnie. Oboje widzieliśmy, że koniec był bliski. W oczach Biona widać było, że pogodził się z porażką, może nawet odczuwał ulgę, że już po wszystkim – ale lśniła w nich też swego rodzaju ciekawość, jakby zastanawiał się, co go czeka po drugiej stronie. Zanim odszedł, poprosił mnie jeszcze gestem dłoni, żebym nachylił się niżej, a potem powiedział kilka ostatnich słów. Przysuwając swoją twarz do jego, trzymałem nóż w gotowości. Chyba nie będzie niczego próbował w tym stanie?

– Gratulacje, Medżaju – wydyszał.

– Czy powinniśmy się spodziewać kolejnych zabójców? Krew wypływała z jego ust prawie nieprzerwanie. Każde słowo przychodziło mu z największym wysiłkiem.

– Człowiek, który mnie zatrudnił, ma na imię Raia. Znajdziecie go w Aleksandrii. Jego plan polowania na Medżajów i wykorzystania mnie, miał na celu zapewnić mu awans w szeregach Zakonu. Tylko Raia wie o moim istnieniu. Zwoje, których treść ostrzegła Zakon o planach waszej organizacji, odkrył jego mistrz, ale Raia zaaranżował jego śmierć. Zróbcie z tą wiedzą, co chcecie.

– Czy on wie, gdzie mieszkam? – spytałem.

Bion przeniósł wzrok na Ayę, która klęczała obok mnie, potem z powrotem na mnie. Otworzył usta i zacząłem się zastanawiać, czy może będzie chciał przeprosić za cierpienie, które sprowadził, ale zaraz zdałem sobie sprawę, że nie, to nie leżało w jego naturze. Naturalną kolejną rzeczą dla niego było zabijać, aż sam zginie, a potem zabrać wszelkie demony, które nawiedzały jego myśli, ze sobą do zaświatów.

I tak zrobił. Bion, zabójca, który prześladował nas od tylu lat, zamknął oczy i wydał z siebie ostatnie tchnienie, a całą naszą trójkę spowiło niebywałe poczucie bezpieczeństwa.

Wstałem od jego ciała ze świadomością, że spełniłem moją pierwszą powinność, nie tylko jako obrońca Siwy, ale też jako Medzaj.

Epilog

Wbrew wszystkiemu, co kiedyś powiedziałem i sobie obiecałem, kilkanaście miesięcy później znalazłem się w Aleksandrii, nieopodal domu mężczyzny znanego mi wyłącznie jako Raia, którego imię usłyszałem z ust umierającego zabójcy wysłanego, by zamordować mnie, moją matkę, moją przyszłą żonę i dziecko, które nosiła w brzuchu.

Aya i ja zdążyliśmy się pobrać, a nasze dziecko – śliczny synek, któremu daliśmy na imię Khemu – przyszło na świat. Nefru nie posiadała się z radości, że odgadła stan Ayi przed nami wszystkimi, ponoć po zawrotach głowy i reakcji na zapach leczniczych ziół, aczkolwiek okazała też stosowną skruchę, że wygadała się połowie Siwy i naszemu niedoszłemu zabójcy, zanim wpadła na to, by powiedzieć samej Ayi. Nie było dnia, by Khemu nas nie rozczulał, wyciągając malutkie rączki w stronę naszych twarzy. Tyle miłości, bezwarunkowej i prostolinijnej. Malec chwycił mnie za nos i ciągnął ku sobie, licząc na buziaka albo tulenie. W tych chwilach przyglądałem mu się i rozmyślałem, czy ojciec też mnie tak traktował. Wiedziałem, że kiedyś mój widok sprawił, że postanowił ochronić mnie przed światem. Rozumiałem teraz o wiele więcej.

Moje życie w Siwie rozpoczęło się od nowa. Zostałem obrońcą miasta. Zdawałem sobie sprawę, rzecz jasna, że Aya nie porzuciła marzeń o powrocie do Aleksandrii, ale mimo to postanowiła mi nie towarzyszyć, kiedy trzy tygodnie temu wyjechałem z Siwy. Powiedziała, że zabierze się ze mną następnym razem. Chciała spotkać się z rodzicami, przedstawić im mnie i Khemu. Myślę, że chyba nawet zacząłem się cieszyć na tę myśl.

Zajęło mi to pewien czas, ale znalazłem Raię. Jego dom, w każdym razie, który okazał się luksusową, pięknie urządzonej posiadłością. Ukryłem się w krzakach po drugiej stronie ulicy. Wiedziałem, że kiedy go zobaczę, stanę przed wyborem: albo zabiję go tu i teraz, albo spędzę resztę życia, oglądając się za siebie, świadom możliwości, że może nasłać kolejnych zabójców na mnie, na Ayę, a teraz jeszcze na naszego syna.

Czyli tak naprawdę nie miałem wyboru.

Czekałem wiele godzin, ale w końcu się pojawił. Był elegancko ubrany, tak jak się spodziewałem, i szedł na czele krótkiej procesji. Kilka kroków za nim podążała kobieta – jego żona, uznałem – a za nią dwie córki.

Były w mniej więcej tym samym wieku co Aya i ja, kiedy pierwszy raz opuściliśmy Siwę w poszukiwaniu mojego ojca. Obserwując całą czwórkę zbliżającą się do frontu swojego domu, zastanawiałem się, jakie uczucia wywołuje we mnie jego rodzina, i spokojnie czekałem. Niedługo miała zapaść noc. Ciemność pozwoli mi podejść niepostrzeżenie. Nikt się nie dowie, co się stało, póki świt nie wybudzi ich ze snu. Podjąłem decyzję.

Zapewnię bezpieczeństwo mojej rodzinie i całemu Egiptowi.

Podziękowania

Specjalne podziękowania dla Andrew Holmesa i Ann Lemay.

Podziękowania dla następujących osób: Yves Guillemot, Alain Corre, Laurent Detoc, Geoffroy Sardin, Anouk Bachman, Aymar Azaizia, Antoine Ceszynski, Maxime Durand, Anne Toole, Elena Rapondzhieva, Jean Guesdon, Alain Mercieca, Etienne Allonier, Matthieu Bagna, Andrien Gbinigie, Cecile Russeil, The Ubisoft Legal Department, Clément Prevosto, Justine Toxé, Jillian Taylor, Elizabeth Cockeram, Caroline Lamache, Anthony Marcantonio, Victoria Linel, François Tallec, Julien Fabre, Clémence Deleuze.

Grafika na okładce: Liu „Sunsetagain” Yan.